

Trollope Joanna

Więzy rodzinne

Spokojne życie rodziny angielskich farmerów burzy śmierć żony Robina Mereditha. Caro, z pochodzenia Amerykanka, nie pasowała do tego tradycyjnego klanu, ale jej śmierć pogrążyła wszystkich w smutku. Jej przybrana córka czuje się zagubiona, kipi w niej gniew przeciw wszystkim. Wkrótce po pogrzebie na farmę przyjeżdża londyńska przyjaciółka Caro, ekscentryczna Zoe. Czuje się doskonale na wsi i nie zamierza wracać do Londynu. Jej poglądy i żywiołowość wprowadzają w życie rodziny nowe wartości, ukazują w innym świetle to, co ich spotkało. To początek zmian, których nikt się nie spodziewał.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Podczas pogrzebu żony jakaś kobieta, zupełnie jak mu się wydawało nieznajoma, z głową okrytą wełnianym szalem we wzór przypominający pióra, spytała Robina Mereditha, czy czuje ulgę wiedząc, że Caro spoczywa spokojna w Jezusie.

Odpowiedział tonem na tyle uprzejmym, na ile stać go było w tej sytuacji: nie, obawia się, że nie czuje. A potem wyszedł z kościoła i zapatrzył się w padającym deszczu w ziejącą dziurę, w której miano pochować Caro. „Nie ma mowy o kremacji” — oświadczyła. „Chcę, żeby wszystko odbyło się jak należy. Uchwyty z brązu. Pełna msza. Ceremonia na cmentarzu”.

Było to jedyne życzenie, które wypowiedziała, i zarazem jedyna chwila, kiedy zdradziła się przed nim, że jest świadoma bliskiego kresu. Patrzył na deski leżące przy dziurze w ziemi i długie czarne taśmy, na których miano opuścić trumnę.

— Dobrze się czujesz? — Córka stanęła tuż przy nim, ale nie dotknęła go.

— Lepiej, odkąd stamtąd wyszedłem — odparł, mając na myśli kościół.

— To tak jak ja. — Po chwili milczenia Judy dodała: — Ale z mamą było inaczej...

— Głos jej zadrżał.

— Tak — przyznał Robin. Wyciągnął rękę, by ująć dłoń córki, ale trzymała obie wciśnięte głęboko w kieszenie płaszcza; długiego czarnego płaszcza, bardzo w londyńskim stylu, podobnie zresztą jak reszta jej ubrań, świadczących o tym, że starała się zapomnieć, gdzie dorastała.

— Ty nigdy... — zaczęła syczącym szeptem.

— Szs...

Niezgrabni grabarze z nieomal karykaturalnie ponurymi twarzami szli w ich kierunku, ciężko stąpając. Wszyscy w okularach i butach przypominających obuwie ortopedyczne. Wierni podążali za nimi, by w końcu w milczeniu i z należytą godnością stanąć kręgiem wokół grobu: rodzice Robina, brat z bratową, zajmujący się bydłem Robina pastuch z żoną, współpracownicy Caro z opieki społecznej, wioskowy sklepikarz, kobieta w wełnianym szalu na głowie.

Judy znowu zaczęła płakać. Zostawiła Robina i ruszyła niepewnie na wysokich obcasach po mokrej trawie, do ciotki Lyndsay, by schronić się w jej objęciach.

Robin spojrzął przelotnie na matkę. Przyglądała mu się chłodno, z umiarkowaną ciekawością, tak jak robiła to całe życie — zupełnie jakby nie

bardzo pamiętała, kim też on może być. Opuścił wzrok na ustawioną tuż przy jego nogach trumnę z Caro. Wydała mu się trochę za krótka; Caro miała przecież prawie sześć stóp wzrostu.

Pastor z Dean Cross, zmęczony niski mężczyzna, mający w swej pieczy cztery parafie i od lat uparcie odmawiający pójścia na urlop, stanął bliżej grobu, osłonięty czarnym parasolem, który trzymała jego żona.

— Błogosławieni umarli, którzy w Panu umierają — powiedział bez zbytniego przekonania. Otworzył modlitewnik, a żona przesunęła parasol i na kartki spadł grad kropelek. — Jeśli zachowasz pamięć o grzechach, Panie — czytał poirytowanym tonem — któż się ostoi?

Robin zerknął na Judy. Teraz płakały już obie, ona i Lyndsay, a Joe, jego brat, trzymał nad nimi wielki żółty parasol z czarnym napisem: Kooperatywa Farmerów z Mid-Mercia. Twarz miał niewzruszoną, patrzył przed siebie, gdzieś ponad grób, najwyraźniej nie poświęcając ani jednej myśli Caro.

— Zmiłuj się, prosimy cię, Panie, nad zmarłą służebnicą Twoją — mówił pastor — której ciało powierzamy ziemi...

Niech jeszcze powie: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” — pomyślał Robin — a przeskoczę przez grób i walnę go.

— ...szczęście wiekuistej światłości przez Chrystusa Pana naszego, który umarł na krzyżu i pogrzebion zmartwychwstał...

Trumna, chwiejąc się niepewnie na czarnych pasach, pogrążała się w ziemi.

— Przez wszystkie wieki wieków...

Grabarze odstąpili, zwijając taśmy. Robin zamknął oczy.

— Boże, wskaż nam drogę...

Kiedy otworzył je ponownie, zobaczył podchodzącą do grobu Judy. Zatrzymała się i rzuciła na trumnę bukietik pierwiosnków, a wtedy kobieta w szalu na głowie zrobiła energiczny krok do przodu i upuściła sztuczną orchideę, której plastikowa łodyga zagrzechotała o wieko.

— Przywróć mi radość zbawienia Twego...

Radość, pomyślał Robin bez goryczy. Przyjemność. Uniósł rękę i szarpnął węzeł krawata. Nienawidził krawatów. Prawie tak jak kościołów. Pastor patrzył na niego ponad grobem wyczekująco. Robin skinął głową. Przecież nie oczekiwał chyba podziękowań!

— I nie wódź nas na pokuszenie... — mówił duchowny z oczami wciąż wlepionymi w Robina — ...który żyjesz i królujesz teraz i na wieki wieków amen.

— Amen — rozległy się ciche głosy.

— Piękna uroczystość — powiedziała matka Robina, Dilys.

Ojciec Robina, Harry, podszedł bliżej, rzucił szybkie spojrzenie na syna i zaraz spuścił wzrok na otwarty grób Caro. Dziwna z niej była kobieta. Amerykanka. Nigdy tak naprawdę nie przywykła do wiejskiego życia, a teraz... Harry przełknął ślinę. Pomyślał, czyby nie wspomnieć Robinowi o nowej broni mechanicznej za sześć tysięcy funtów; może to przyniesie mu niejaką ulgę, skieruje myśli na inne tory... Zdecydował, że lepiej z tym poczekać. Chyba jednak nie w tej chwili.

— Judy ciężko to przeżyła. — Dilys splotła przed sobą obciążone rękawiczkami dłonie. Popatrzyła na swego młodszego syna. — Tak jak i Joe.

— Caro była matką Judy, a jej mężem ja. Nie Joe — powiedział Robin ostro. Dilys przyglądała mu się bacznie.

— Wyobrażam sobie, że coś takiego musi być jeszcze bardziej przykre dla kogoś, kto został zaadoptowany — oznajmiła spokojnym, niewzruszonym głosem. — Czeka się podświadomie na kolejną utratę. Tak jak Judy... — przerwała, spojrzała na grób i dodała z ledwie wyczuwalną nutką pogardliwego żalu, nieodmiennie rezerwowanego dla wszystkich, którzy nie całkiem, według niej, należeli do rodziny: — Biedna Carolyn.

Robin zacisnął w pięści dłonie wsunięte do kieszeni płaszcza. Pochylił głowę.

— Zabieram ze sobą Judy. Spotkamy się na farmie na herbacie.

— Oczywiście — powiedziała Dilys. — Oczywiście. Harry pochylił się i dotknął leciutko ramienia syna.

— Trzymaj się, chłopcze.

Robin kupił farmę Tideswell na dwa miesiące przedtem, nim Caro zgodziła się za niego wyjść. Harry nie zaproponował częściowego sfinansowania zakupu ani też Robin go o to nie poprosił. Sprzedawszy niewielki dom, który przedtem kupił, by w nim zamieszkać, i zaciągnąwszy ogromną pożyczkę w banku, Robin wszedł w posiadanie dwustu akrów ziemi, opadającej łagodnie ku brzegom rzeki Dean, i siedemnastowiecznego wiejskiego domostwa z kamienia, przyozdobionego nie najszcześliwiej wiktoriańskimi detalami. Podwórze z tyłu za domem przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. Ocieniała je ogromna rozpadająca się stodoła, zupełnie nie nadająca się na pomieszczenie dla bydła. W pierwszych trudnych miesiącach, niemal ćwierć wieku temu, Robin dzień po dniu, od świtu do mroku, sam, niemal bez niczyjej pomocy, wylewał beton.

Ziemia okazała się, na co liczył, odpowiednia, by wykarmić bydło; niżej położone łagodne zbocza porastała trawa, wyższe rodziły kukurydzę. Wiosną, kiedy wierzby wzdłuż brzegów Dean pokrywały się miękkimi świeżymi liśćmi, krajobraz rozkwitał krótkotrwałym pięknem, a jeśli zima była dostatecznie obfita w opady, rzeka zalewała czwartą część gruntów i wtedy pojawiały się pary łabędzi, przydając farmie malowniczości parku. Ale zwykle — nad czym Caro Meredith srodze bolała — pola były po prostu polami, spłachetkami ziemi i trawy porozdzielanymi nieporządnie utrzymanym żywopłotem i płotami; szkaradne, niezwykle funkcjonalne metalowe bramy otwierały widok na grzęzawisko błota wytwarzanego przez bydło i koła traktorów.

Dom stał mniej więcej w połowie drogi między rzeką a gościńcem, którym podjeżdżała codziennie cysterna na mleko, żeby opróżnić główny zbiornik przy dojami. Zjeżdżała opadającym w dół grząskim od błota albo przesłoniętym tumanami kurzu traktem, który Robin w początkowych dniach entuzjastycznego gospodarowania obsadził na przemian zielono- i czerwoniastymi bukami. Ów trakt kończył się rozwidleniem, którego jeden wybetonowany odcinek prowadził na podwórze, drugi do drewnianych wrót, podpartych omszałym otoczakiem, tak by były stale otwarte na biegnący łukiem zwirowany podjazd do frontowych drzwi domu. W zaokrągleniu łuku znajdował się zegar słoneczny. Przytwierdzona do jego tarczy wygrawerowana metalowa tabliczka głosiła: „Odmierza tylko słoneczne godziny”. To Caro go tu umieściła. Jej pierwszy prezent gwiazdkowy dla Robina. Podjazd był wypełniony samochodami. Zza kolczastego żywopłotu, który oddzielał oborę od podwórza, dochodziło miarowe pobrzękiwanie i warkot. To mleczarz, przysłany przez miejscową agencję pracy człowiek o zgorzkniałej twarzy, sprawnie przeprowadzał wieczorny udój. Robin, stojąc w drzwiach, witał przybywających; węzeł krawata miał rozluźniony i walczył z pokusą, by pójść do krów, sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy i czy Gareth, doglądający w Tideswell bydła, rzeczywiście załatał przebicie w węzu do polewania.

W ponurym wnętrzu jadalni, z której on i Caro właściwie nie korzystali, na obrusach Dilys, używanych od lat w rodzinie Meredithów i pożyczonych na tę okazję, ustawiono szczodry pogrzebowy poczęstunek. Judy, wciąż w swoim czarnym płaszczu, z potarganymi rudymi włosami, nalewała herbatę, a Lyndsay podawała ją po kolei gościom, w drugiej ręce trzymając cukiernicę. W pokoju wyczuwało się atmosferę leciutkiego podekscytowania widokiem

tradycyjnych, przypominających dzieciństwo wypieków ułożonych na dekoracyjnie powycinanych podstawkach z białego papieru, które Dilys przyniosła ze sobą, oświadczając, że nie wyobraża sobie, by ich nie użyto.

Judy usiłowała przeforsować orzechowe i czekoladowe ciasteczka, zdecydowanie bardziej w amerykańskim stylu, i stwierdziła buntowniczo, że nigdy nie widziała, by Caro używała papierowych podstawek, nawet pod kieliszki.

— Ale to jest pogrzeb — powiedziała wtedy Dilys. — Rodzinny pogrzeb. Musi się odbyć jak należy.

Położyła akcent na słowie „rodzinny”. Przygotowała kilka ciast: wielkie nieskazitelne owocowe placki z połyskującymi wiśniami na wierzchu, perfekcyjnie blade biszkopty udekorowane nierzeczywiście równymi rzędami kandyzowanych owoców. Przyniosła je w higienicznych plastikowych pojemnikach i poustawiała na kuchennym stole — profesjonalnie wyglądające wypieki tradycyjnej farmerskiej żony, dla której wszystko, co nie przygotowane w domu, jest obłożone anatema.

— Rodzinny pogrzeb, kochanie — powtórzyła przy okazji raz jeszcze i popatrzyła na Judy, na jej długie ciało, które mogłaby odziedziczyć po obojgu rodzicach, gdyby byli jej rzeczywistymi rodzicami; na nieporządną rudą szopę na głowie, szeroką bladą twarz, której by po nich nie odziedziczyła. Robin miał ciemne włosy, tak jak niegdyś Harry, i ostre rysy, jak ojciec Dilys. A Caro miała brązowy koloryt — brązowe włosy i oczy, śniadą skórę, nawet w zimie. Zupełnie nieangielska cera, a już tym bardziej nie Meredithów. Nawet Lyndsay z tymi swoimi jasnym oczami i włosami, jakich nigdy nie miał żaden Meredith, nie mogła się pochwalić taką cerą jak Dilys: piękną, delikatną, czystą. Judy nie przypominała nikogo z nich. I nie była taka jak oni.

— Zdejmij płaszcz, kochanie — powiedziała teraz do Judy.

— Jest mi zimno. Zziębłam od płaczu.

— Daj jej spokój, mamó — odezwał się Joe, obejmując ramiona Judy. — Daj jej spokój. Idź porozmawiać z pastorem.

— Za nic nie chciałabym, żeby mnie w ten sposób pochowano — powiedziała Judy gwałtownym szeptem.

— Ani ja. — Zabrał rękę z jej ramion. — Spalony, a popioły mają zostać rozrzucone. Koniecznie rozrzucone.

— Po farmie? — zapytała, podnosząc wielki brązowy im-bryk do herbaty z dwoma uchami, wypożyczony z ratusza w Dean Cross.

— Bez obawy — odparł. — Do rzeki. Nie po tej cholernej farmie.

— Co to za kobieta w szalu na głowie? — zapytał Robin, stając przy nich.

— Niejaka pani Cornelius — odpowiedział Joe, sięgając przed Judy po kawałek leżącego na talerzu ciasta. — Kupiła stary dom Chambersów. Zwariowana bogaczka. Caro u niej bywała.

— Tak? — Robin spojrział na niego. — Po co? I skąd wiesz? Joe wzruszył ramionami, trzymając jedną dłoń pod drugą, by nie uронić na podłogę okruchów ciasta.

— Po prostu wiem. Ale nie wiem po co. Odwiedzała wielu ludzi.

— Była przyjaźnie nastawiona do ludzi — powiedziała Judy niemal gniewnie. — Lubiła ich. Bardzo rozmaitych ludzi. Chyba pamiętasz? — rzuciła spojrzenie na Robina.

Odwrócił wzrok. Spojrział ponad mahoniowym stołem o pięknie wygiętych nogach, który uratował z opuszczonej kurzej farmy na drugim końcu hrabstwa, gdzie ustawiono go jako podręczny mebel w stajni, i zobaczył matkę rozmawiającą z pastorem; panią Cornelius rozmawiającą z Debbie, żoną Garetha; swoją bratową, Lyndsay, która wsuwając głębiej charakterystycznym dla niej gestem grzebień w gęste włosy, rozmawiała jednocześnie z trzema współpracownicami Caro, kompetentnymi kobietami około czterdziestki, w nieodzownych kostiumach. Pomyślał przelotnie z ukłuciem żalu, ale i ulgi, o oborze. A potem o Judy i jej „pamiętasz?”, wypowiedzianym oskarżającym tonem. Pamiętasz? Jakby mógł zapomnieć w ciągu tygodnia — bo tylko tydzień minął od śmierci Caro, która umarła na guz mózgu w szpitalu Stretton — jaka była Caro: co kochała, czego nienawidziła, kim była. Problem polega na tym, pomyślał Robin, odrywając spojrzenie od włosów Lyndsay i błędząc wzrokiem po zamglonym wiosennym niebie za niezbyt dokładnie wymytm oknem, że jest za wcześnie. Za wcześnie, żeby pamiętać, bo właściwie jeszcze nie odeszła. A w każdym razie nie zbladło to, co się z nią łączyło. To znaczy nawet to, czego nie zaprzepaścili całe lata temu. Podał Judy filiżankę.

— Proszę — powiedział.

— Nikogo z jej rodziny? — spytał pastor Dilys. — Nikogo z Ameryki?

— Jej ojciec nie żyje — powiedziała Dilys, częstując go kanapką. — Matka jest unieruchomiona na wózku inwalidzkim. Dwa wylewy. No i ma siedemdziesiąt lat. Pastor wziął kanapkę, choć wolałby ciasto, na które nie mógł liczyć w domu.

— Jacyś bracia, siostry?

— O żadnych nie wiem.

— To smutne — stwierdził pastor, obrzuciwszy kanapkę ponurym spojrzeniem. — Umrzeć w obcym kraju, nie mając koło siebie nikogo bliskiego z własnej rodziny.

— Powiedział to samo wczorajszego wieczoru żonie, na co odparła, że coś podobnego było udziałem wiktoriańskich misjonarzy, a w jej głosie zabrzmiała nuta nieokreślonej tęsknoty. Zawsze chciała, żeby został misjonarzem, a kiedy ostatecznie stanowczo odrzucił tę możliwość na rzecz prowadzenia prowincjonalnej parafii, sama zaczęła nawiązywać kontakty z dalekimi chrześcijańskimi społecznościami, co pochłonęło ją całkowicie. Salonik na plebanii w Dean Cross pełen był afrykańskich masek, figurek, ozdób z czerwonych i czarnych paciorków. Co do pastora, wolałby raczej akwarele kojarzące się z wodą i żegluga.

— Bardzo smutne — przyznała Dilys, nie mając wcale na myśli Caro, tylko przerażającą wizję własnej śmierci z dala od ich farmy, Dean Place, i ludzi, którzy znali Meredithów.

— Nigdy nie byłem w Ameryce. — Pastor patrzył na najbliższej stojące ciasto.

— Ani ja — powiedziała Dilys.

— Ale czuję się tak, jakbym coś o niej wiedział. Dzięki Carolyn.

— Och, tak? — Dilys starała się ściągnąć wzrokiem Lyndsay, chcąc, by wreszcie przestała rozmawiać z takim zaangażowaniem i obeszła gości z poczęstunkiem. Jedzenie po pogrzebach jest czymś ważnym, kieruje myśli ku życiu. I picie. Miała nadzieję, że Robin nie zapomniał o sherry.

— Tak — odparł pastor, pamiętając czasy, gdy Caro przychodziła do jego gabinetu prosić o wskazówki, jak się tutaj zaaklimatyzować, przyjąć tutejsze zwyczaje, nie tracąc do końca niezależności i nie poświęcając wszystkiego, co dla niej istotne.

— To dobrzy ludzie — zapewnił ją wtedy, mówiąc o Meredithach.

— Co to znaczy być dobrym? Nie cudzołożyć, nie wykorzystywać słabszych?

— Są prawi — odpowiedział. — Mają zasady. Robią, co do nich należy.

— Ale to przecież nie wystarcza — stwierdziła smutno, a kiedy milczał, dodała nalegająco, niemal porywczo: — Nie wystarcza, prawda?

Spojrzał teraz na Dilys skoncentrowaną całkowicie na właściwym przebiegu stypy, na jej ułożone w fale siwe włosy, odświeżony ciemny kostium i odezwał się, nie całkiem świadomy tego, co mówi:

— Rzeczywiście nie wystarcza.

Nie usłyszała. Wykonywała w kierunku Robina dobrze utrzymanymi, zręcznymi rękami świetnej gospodyni dyskretny gest oznaczający picie.

— Sherry — powiedziała bezgłośnie. — Czas na sherry.

Kiedy wracali samochodem do ich nowoczesnego domu z cegły, zbudowanego na skraju Dean Place, Lyndsay oświadczyła:

— Powinniśmy zabrać do nas Judy.

— Niemożliwe — odparł Joe. — Nie można przecież zostawić Robina samego.

Lyndsay wyjęła grzebyki z włosów i wsunęła w usta, przytrzymując je zębami.

Pochyliła głowę i włosy opadły jej na twarz. Joe miał rację. Oczywiście, że miał rację. Chociaż z drugiej strony było w Robinie coś takiego, co go predestynowało do bycia samotnym, sprawiało, że nie umiał się z tej swojej samotności wyzwolić, i nikt mu nie mógł w tym pomóc, nieważne, co by robił albo czego nie robił... Zawsze myślała o nim jak o kimś samotnym: zawsze sam jeździł land-roverem, sam prowadził farmę i stał osamotniony na targowisku w Stretton, obserwując swoje bydło na wybiegu. Jedyne z Meredithów, który zajmował się hodowlą bydła. Harry i Joe uprawiali ziemię, jak ich dziad i pradziad, dzierżawiąc te same dwieście pięćdziesiąt akrów, choć zmienił się ich właściciel — z osoby prywatnej na miejscową korporację przemysłu przetwórczego, która wykupiła wiele farm we wczesnych latach siedemdziesiątych, kiedy cena ziemi była dość niska. Robin nie chciał być dzierżawcą. Chciał być właścicielem ziemi.

— Dajmy mu spokój — powiedział wtedy Harry. — Nie mogę go powstrzymać ani też mu pomóc.

Ale kiedy Joe i ona potrzebowali domu, zapłacił za niego. Zawarł umowę z właścicielami gruntu, a potem pokazał Lyndsay plany rozłożone na kuchennym stole.

— Pomieszczenie gospodarcze — pokazywała Dilys. — Południowa wystawa. To będzie uroczy dom.

Lyndsay wyjęła grzebyki z ust i zaczęła je wsuwać we włosy. Nagle uderzyła ją myśl, że Joe również na swój sposób jest samotnikiem. Nigdy nie wiedziała, co tak naprawdę myśli, czy jest rzeczywiście zadowolony czy smutny. Wiedziała tylko, że czuje się szczęśliwy, osiągając lepsze wyniki niż inni farmerzy w okolicy, ale przecież trudno nazwać szczęściem triumf płynący z wygrania współzawodnictwa. Inna rzecz, że w tych stronach nie widziano w tym nic dziwnego. Trudno byłoby go zmusić do prowadzenia rozmowy, która nie dotyczyła prozaicznych faktów, ale większość farmerów była taka, przynajmniej ci, których ona знаła. Nie umieli rozmawiać. Nie tak jak kobiety. No, w każdym razie niektóre kobiety. Dilys na przykład też nie rozmawiała. Mówiła — jak Harry czy Joe — o tym, co się wydarzyło: co na

farmie, co we wsi. Szczęście, nieszczęście, uważała Lyndsay, były dla Dilys czymś takim jak pogoda: odczuwa się je albo nie, całkowicie nieprzewidywalna sprawa i trzeba z tym jakoś żyć. Jeśli kiedykolwiek miała ochotę rzucić się na męża — uczucie znane chyba większości żon — na pewno przeczekala ten moment, tak jak się przeczekuje deszcz. Gdyby Lyndsay przyszła do Dilys i oświadczyła, że wprawdzie nie potrafi tego uzasadnić, ale czuje się, jakby była u kresu wytrzymałości, z pewnością otrzymałaby radę, aby zrobić przepierkę albo przyrządzić sos. Życie należało przeżyć, kłody rzucać pod nogi ominąć, niekoniecznie je rozbijając. Nie ma co toczyć walki z życiem; od tego miało się ziemię. „Nie rozpamiętuj tego” powiedziałyby Dilys. „Nie duś w sobie”. Ciekawe, czy Caro kiedykolwiek usłyszała od niej coś podobnego?

— Dojdzie do siebie?

— Robin? — zapytał Joe. — Sądzę, że tak. Po pewnym czasie...

— Bardzo lubiłeś Caro, prawda? — spytała Lyndsay nieśmiało. Po chwili milczenia odpowiedział:

— Wniosła jakiś powiew nowego. Była Amerykanką.

Po ukończeniu studiów Joe spędził rok w Ameryce. Harry najwyraźniej nie oczekiwał, że syn znajdzie sobie na ten rok jakieś poważne zajęcie — Robin oczywiście nigdy nie zrobił na ten temat najmniejszej wzmianki — więc Joe przemierzał pokaźne obszary, podejmując dorywcze prace w barach i restauracjach albo na farmach, by zarobić na przejazd. W pewnym momencie, urzeczony dziewczyną z Kolorado, omal nie został w amerykańskich górach, ale po kilku tygodniach, jakby nagle przypomniawszy sobie, gdzie są jego korzenie, i zrozumiawszy różnicę między krajem a krajobrazem, zatelefonował z Denver, że wraca na Boże Narodzenie.

Wtedy właśnie Robin oznajmił, że zamierza się zająć hodowlą bydła. Pewnego wieczoru oświadczył podczas kolacji, że podjął ostatecznie decyzję: opuszcza dom i będzie hodował dojne krowy. Może nawet bydło opasowe. Harry odłożył nóż i widelec i w jaskrawym świetle wiszącej mu nad głową lampy, którego Dilys nie widziała potrzeby przytłumiać, ponieważ tak było praktyczniej i wygodniej do pracy, przyglądał się przez chwilę żonie. Potem, znacznie dłużej i baczniej, Robinowi. W końcu podniósł z powrotem nóż i widelec i spytał:

— Wszystko sobie wyliczyłeś?

— Tak.

— Joe niedługo wraca do domu — powiedziała Dilys, podając synowi salaterkę z omaszczoną masłem kapustą.

— Wiem.

Robin czekał, kiedy jedno z rodziców powie, że na farmie Dean Place nie ma miejsca dla trzech Meredithów, ale nic takiego nie usłyszał. Nabrał pełną łyżkę kapusty i oświadczył znacznie bardziej szorstko, niż zamierzał:

— Zamierzam mu się usunąć z drogi.

Harry chrząknął. Od czasu gdy ich młodszy syn wyjechał do Ameryki, większość rozmów, jakie prowadzili z Dilys, dotyczyła tego, gdzie Joe osiadzie.

— Znalazłem odpowiednie miejsce. Ziemia dobra, ale w obejściu trzeba sporo zrobić. Muszę też wybudować dojarnię.

Harry, żując pracowicie, popatrzył na syna. ?— "Nigdy nie trzymaliśmy inwentarza. Nigdy.

— No tak, ale ja chciałbym — odparł Robin. Miał ochotę dodać: „I zobaczysz, jakie będę miał dochody”, ale doszedł do wniosku, że nie ma co kusić losu ani prowokować ojca, powiedział więc tylko: — Biorę pożyczkę. Znalazłem też kupca na dom.

Dilys wstała i przyniosła spory klin sera i słoje z piklami.

— Życzymy ci szczęścia, kochanie — powiedziała pogodnie, stawiając jedzenie na stole, i uśmiechnęła się do Robina, jakby właśnie rozwiązał za nią problem, czego się zresztą po nim spodziewała.

Joe wrócił do domu naładowany ożywczą atmosferą Ameryki i zastał Robina kopiącego wynajętymi maszynami grząskie dziury na farmie Tideswell. Zobaczył także, że brat ma dziewczynę: wysoką, o brązowych włosach. W dżinsach i kowbojskich butach malowała framugi okien w stojącym na farmie domu.

— Owszem, jest Amerykanką — powiedziała Dilys. — Poznali się w klubie młodych farmerów. — Dilys zajmowała się akurat rachunkami, księgi i papiery leżały rozłożone na kuchennym stole, przyciśnięte słoikami po dżemie, w których trzymała drobne sumy na prowadzenie gospodarstwa: pieniądze za jajka, pieniądze na gazety, podatek kościelny, szewca. — Wygląda na miłą osobę.

Nie tylko, pomyślał Joe. Było w niej coś, co mu się kojarzyło ze swobodną atmosferą Ameryki: być ciągle w ruchu, stale szukać... poczucie wolności, które ogarnęło go na krótko, niby choroba morska. W pierwszych tygodniach po powrocie chciał razem z nią malować okna, jakby dzięki niej mógł na dłużej zatrzymać w sobie cząstkę Ameryki, ale konsekwentnie odsyłała go, żeby pomógł Robinowi albo zajął się farmą razem z ojcem. Była kimś specjalnym dla Joego, nawet wtedy, gdy już została żoną Robina; kimś, kto

mu stale przypominał, że istnieją na ziemi miejsca różne od Dean Cross, miejsca, gdzie możliwość odmiany działa równie ożywczo jak tlen w powietrzu.

— Nigdy jej dobrze nie poznałam — odezwała się Lyndsay, wpatrując się przez szybę samochodu w wilgotną szarówkę wieczoru przed sobą. — Mam na myśli to, że bywałyśmy u siebie, ale nie byłyśmy ze sobą blisko.

— Była starsza od ciebie — odparł Joe. — Ona i Robin byli małżeństwem przez dwadzieścia cztery lata. Przecież Judy ma już dwadzieścia dwa lata.

Za zakrętem obrośniętej żywopłotem drogi rozbłysły światła ich domu. Mary Corriedale, która pracowała w fabryce papieru w Stretton, a mieszkała w bungalowie w Dean Cross, opiekowała się dzisiaj dziećmi. Prawdopodobnie kładła je spać. Rose musiała już leżeć w łóżeczku i pewnie rzucała zabawki na podłogę, protestując w ten sposób, że dzień się skończył. Hughie, w pidżamie i kapciach w kształcie żab, domagał się, by go podziwiano za świeżo nabytą umiejętność balansowania na jednej nodze.

Biedna Caro, pomyślała nieoczekiwanie Lyndsay z uczuciem niekłamanego żalu. Biedna, że nie mogła mieć własnych dzieci. Co ona sama by zrobiła, odkrywszy coś podobnego? Albo że Joe nie może? Była od niego o tyle młodsza, więc zawsze uważała, że urodzi, kiedy zechce. I tak się też stało.

— Czy Robin dowiedział się przed ślubem, że Caro nie może mieć dzieci? — zapytała.

— Nie wiem — odparł Joe. Skreślił z drogi na wybetonowany podjazd do domu. — Nie wiem, nigdy go nie pytałem. Przecież nie pyta się o takie rzeczy!

W dojami panowała cisza. Było tu porządnie wysprzątane i pachniało wilgocią po ostatnim dzisiejszego dnia polewaniu wodą z gumowego węża. Końcówki mechanicznej dojarki wisiały zapętlone obok słoiki na mleko z hartowanego szkła, na których — co Robin natychmiast zauważył wprawnym okiem — widać było gdzieś odpryski błota, ale wyżłobienia w podłodze wzdłuż boksów połyskiwały wilgocią i czystością. Wąż leżał zwinięty w luźnych pętłach w kanale pomiędzy boksami, dokładnie tak jak Robin sobie tego życzył, a na stopniach prowadzących do kanału stały równym rzędem butle z jodyną i gliceryną w sprayu. Bramki do zagradzania boksów wisiały jedne obok drugich na ścianie naprzeciwko. Zimą, kiedy rzeka wzbierała, kanał podchodził wodą i Robin z Garethem, klnąc monotonnie, doili krowy, poruszając się w niewygodnych, wysokich nieprzemakalnych butach.

Zgasił fluoryzujące światło, sprawdził główny zbiornik i wszedł do obory. Ciemności rozjaśniały smugi słabego światła z niskowatowych żarówek przykręconych w równych odstępach do belek. Krowy leżały przeważnie w swoich przegrodach, zwrócone głowami do ściany; duże, czarno-białe cielska rozciągnięte nieruchomo między drabiniastymi ściankami boksów.

Niektóre jeszcze stały, z tylnymi nogami w kanale na nieczystości, niektóre mniejsze sztuki obróciły się w przegrodzie i teraz rozdeptywały gnój przednimi nogami. Trzeba będzie przypomnieć Garethowi, żeby rozrzucił trochę wapna. Z tyłu, w zagrodzie na podwórzu, gdzie część krów spędzała zimowe dni poza oborą, przycupnęły przy korycie na paszę wypełnionym resztkami pociętej pszenicznej słomy i kukurydzy dwa kocury. Kiedy się zbliżył, pomknęły lotem strzały w ciemnościach do składu paszy, w którym harcowały pod ich nieobecność gryzonie. Robin popatrzył w niebo. Księżyc był zamazany, co wróżyło deszcz, świeciły nieliczne gwiazdy. Rzadko miał okazję wysłuchać prognozy pogody w ciągu pracowitego dnia. Odetchnął głęboko. Wiatr powiewał łagodnie, ale czuło się w nim zapowiedź rychłego deszczu.

Wyszedł z powrotem przez oborę i dojarnię na betonową ścieżkę prowadzącą do tylnych drzwi domu. Czekala przy nich oswojona kotka o rdzawej, beżowej i brązowej sierści, której pozwalano wchodzić do środka, ponieważ nauczyła się zachowywać czystość, nie przejawiała żadnych zachowań charakterystycznych dla jej dzikich pobratymców i wytrwale łowiła myszy. Robin zatrzymał się, żeby zdjąć buty i podrapał ją po główce.

— Cześć — powiedział.

Zamruczała grzecznie, wyginając w łuk grzbiet pod jego dłonią, a kiedy otworzył drzwi, wystrzeliła jak z procy do środka.

Judy wciąż siedziała przy kuchennym stole, tak jak dwadzieścia minut temu, kiedy Robin wychodził. Sprzątnęła po kolacji, a potem usiadła z powrotem na tym samym krześle co zawsze, podparta łokciami, zapatrzona w kieliszek czerwonego wina, który ojciec przed nią postawił. Nie spojrzała na niego, kiedy wszedł.

— Wszystko w porządku — powiedział, wsuwając przemoczone nogi w kapcie.

— Cieszę się.

— Sto dziesięć w tej chwili. Próbuję powiększyć liczbę holenderskich. W przyszłym tygodniu trzy powinny się ocielić.

— Co będzie, jeśli się okaże, że to byczki?— zapytała Judy, nie odrywając oczu od kieliszka.

— Przecież wiesz. — Robin nalał sobie wina i usiadł naprzeciwko niej. — Dorosłaś tutaj.

— Już zapomniałam.

— Pojadą na targ.

— A potem?

— To też wiesz. Będą je tuczyć albo pójda do rzeźni.

— Mama mi kiedyś powiedziała, że jedna z pierwszych prawd, jakie poznała na farmie, dotyczyła samców. Są użyteczne dla ich nasienia. I mięsa.

Nic nie odpowiedział. Obracał kieliszek w palcach. Kolacja przeszła w ciężkim nastroju, głównie dlatego, że nie wiedział, czego Judy od niego oczekuje.

Rozgrzebując na talerzu potrawkę, którą przygotowała dla nich Dilys, stwierdziła w pewnym momencie:

— Nie wydaje mi się, żebyśmy obchodzili żałobę po tej samej osobie.

— To oczywiste — odparł, ponieważ w istocie wydawało mu się to całkowicie zrozumiałe i oczywiste, tymczasem bezwiednie uraził ją, uchylając się od zawartego w tym oskarżenia.

Postanowiła chronić przed nim swój smutek, tak jakby mógł go skalać niezrozumieniem.

— Tato — powiedziała.

— Tak?

— Chciałabym cię o coś spytać.

— Tak?

— Czy ją kochałeś? — Usta jej drżały. — Czy kochałeś mamę?

— Tak.

— Zbyt szybko to potwierdziłeś.

Robin wstał i oparłszy się rękami o stół, przybliżył twarz do twarzy Judy.

— Cokolwiek powiem, nie sądzę, by cię to w tej chwili usatysfakcjonowało.

Wreszcie podniosła na niego oczy.

— Jeśli ją kochałeś... Czekał.

— Jeżeli naprawdę ją kochałeś...

— Tak?

— To dlaczego tak cię rozgniewało to pytanie?

ROZDZIAŁ DRUGI

Carolyn Bliss przysłała na świat w niewielkim drewnianym domu, pomalowanym niebieską luszczącą się farbą, w Sausalito w hrabstwie Marin, po gorszej stronie mostu Złote Wrota. Ojciec był malarzem, spokojnym, nie wyznaczającym sobie w życiu żadnego celu człowiekiem popalającym trawkę, nękanym tak silnym poczuciem moralnego relatywizmu, że — jak uważała matka Carolyn — całkowicie niezdolnym do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Ona sama pochodziła z wybrzeża, z niczym nie wyróżniającej się małej miejscowości przy granicy stanu Waszyngton; wysoka, silna dziewczyna z pnia skandynawskich osadników. Miała wiejskie korzenie i chciała przeprowadzić się z powrotem do Oregonu ze swoim malarzem i dzieckiem, uprawiać winnicę, małą dwunastohektarową winnicę obsadzoną Cabernet Sauvignon. Pomalowany na niebiesko drewniany dom, w którym Caro spędziła dzieciństwo, był pełen podręczników o uprawie winorośli, ulotek na temat techniki przycinania pędów, fotografii skąpanych w słońcu omszałych kiści dojrzałych do zbioru winogron.

Caro dorastała w silnym przekonaniu, że życie — a także świat i przyszłość — zaczyna się za Złotymi Wrotami, słynnym wiszącym mostem San Francisco. Miasto na horyzoncie lśniło i migotało nad zatoką, jakbyś oglądał wieże i iglice mitycznego miasta snów, miejsce, które — jeśli tylko zdołasz do niego dotrzeć — ofiaruje ci przeznaczonego wyłącznie dla ciebie Świętego Graala. Matka, opowiadając o Oregonie utrzymywała w Caro przekonanie, że niebieski drewniany domek jest tylko punktem wyjścia, gniazdem, i nie ma nic do zaoferowania, dosłownie i w przenośni, chyba tylko zatokę, most i wabiące miasto. W lecie piękną linię wybrzeża wokół niebieskiego drewnianego domku zaludniali ludzie, którzy zbudowali tu letnie rezydencje, i ich dzieci; dzieci, których ojcowie nie spędzali zimy w narkotycznym oszołomieniu, usiłując się zaprzyjaźnić z rybakami na wybrzeżu, i których matki pływały, żeglowały i przygotowywały grilla, zamiast dziobać grunt za pomalowanym na niebiesko domem jak rok długi, jakby można było samą tylko determinacją i brutalną siłą zmusić ziemię do rodzenia.

Kiedy ojciec od nich odszedł, Caro przez jakiś tydzień lub dwa była w stanie lekkiej euforii. Pewnego dnia po prostu zniknął, zabierając ze sobą swoje obrazki, zapas marihuany, którą uprawiał pieczołowicie na oczyszczonych przez żonę splechawkach ziemi, i wszystkie odłożone przez nią na zakup winnicy w Oregonie dolary. Policjanci dopisali jego nazwisko do niekończącej się listy zaginionych i być może wyczuwszy, że ani małżonka,

ani latorośl nie oczekują z niecierpliwością wiadomości o odkryciu miejsca jego pobytu, odczekali stosowną liczbę miesięcy, by bardziej szczegółowe wyjaśnienia stały się zbędne, po czym oświadczyli, że nawet jeśli do tej pory żyje, do domu już z pewnością nie wróci. Caro została po nim mała prostokątna akwarela przedstawiająca morze. Czasami, patrząc na namalowany pasek wody, zastanawiała się, czy ojciec nie leży gdzieś nieruchomo na dnie zatoki ze skrzydełkami w jednej ręce i pędzlem w drugiej. Nie brakowało go jej. Nie dał jej z siebie tyle, żeby za nim tęskniła.

Matka sprzedała nie wykorzystaną część opłaconej dzierżawy domu chińskiej rodzinie z San Francisco, która chciała mieć letnią siedzibę w tym rejonie, i wyruszyła z Caro na północ. Dziewczynka miała wtedy jedenaście lat. W podróży matka zaprzyjaźniła się z drobną, silną kobietą, Ruthie, która najwyraźniej podzielała jej sen o winnicy. Kupiły mocno nadwerżoną przyczepę, wydzielili w niej miejsca do spania i przez cztery lata przemierzały z Caro drogi północno-zachodniej Ameryki w poszukiwaniu odpowiednich dwunastu hektarów. W którymś momencie tej podróży dla Caro stało się jasne, że w ten sposób nigdy nie przekroczy Złotych Wrót, mostu wiodącego do przyszłości, i że choć definitywnie uwolniła się od hrabstwa Marin, dalej jest uwięziona w niebieskim drewnianym domku, wciąż oczekując na prawdziwe życie.

Caro nie lubiła Ruthie. W ciągu któregoś z krótkich okresów pobierania nauki w akurat dostępnej szkole rówieśnice uświadomiły jej, że matka i Ruthie prawdopodobnie sypiają ze sobą. Caro nie zauważyła niczego, co by na to wskazywało, ale od tej pory starała się nie widzieć zbyt ostro, tak jak starała się nie zauważać stempli opieki społecznej na żywności, którą dostawały, czy imania się w czasie wędrowki przez matkę i Ruthie ciężkich sezonowych prac — porządkowania winorośli w styczniu, zbierania zielonego groszku w czerwcu, żniw u schyłku lata — od których pękały im kręgosłupy. Strzegła zawzięcie, z zazdrosną zaborczością, swojego kąta w przyczepie i rysowała bezustannie obrazki domów otoczonych płotami z drewnianych palików, z psimi budami i jabłonią na podwórzach, z wszelkimi akcesoriami wskazującymi na zasiedloność mieszkańców.

Kiedy skończyła piętnaście lat, uznała, że ma dosyć. Zebrała włosy w gruby koński ogon i w świeżo wypranym ubraniu, wyprasowanym przez noc pod materacem, powędrowała w palącym sierpniowym słońcu na farmę, gdzie Ruthie z matką ścinały kukurydzę, i zapytała żonę farmera, czy mogłaby mieszkać tutaj przez zimę i chodzić codziennie do pobliskiej szkoły w Harrisburgu. Mogłaby zarobić na utrzymanie sprząając dom, doglądając

drobiu, zmywając i opiekując się dziećmi. Żona farmera, najwyraźniej wymęczona przez własne potomstwo, pięciu synów, z których najstarszy miał dziewięć lat, zgodziła się. Wynikła z tego przerażająca awantura, po której Ruthie postanowiła zamykać Caro na klucz w przyczepie, a matka zabrała jej buty. Niemniej przy końcu miesiąca Caro przeprowadziła się na farmę, gdzie z ogromną satysfakcją obejrzała surowo urządzone, pokrytą grubą warstwą kurzu sypialnię.

Spędziła tu rok, a potem przeprowadziła się na następny do koleżanki szkolnej. W ostatniej klasie mieszkała z rodziną nauczyciela historii. Dwa, trzy razy w roku parkował przy każdym z tych domów samochód z przyczepą, matkę i Ruthie częstowano ciastem, piwem, pizzą i niskokaloryczną colą, aż wreszcie Caro uznała, że dosyć tego, obie już i tak zbyt długo pojawiały się w jej życiu. W miarę jak się starzały, stawały się do siebie podobne, maniery miały coraz bardziej szorstkie, mówiły jak mężczyźni. Żadna z nich nigdy nie zaproponowała, by Caro znów się do nich przyłączyła i zajęła swój kąt w przyczepie. Odrzuciłaby zresztą tę propozycję w tym samym momencie, w którym by padła.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, przyznano jej stanowe stypendium, umożliwiające studiowanie wzornictwa i grafiki na wydziale sztuki w Portland. Odziedziczyła artystyczne uzdolnienia po ojcu, ale jednocześnie nękało ją silne pragnienie niosącego bezpieczeństwo życiowego ładu. Nie podobało jej się w Portland, a wkrótce odkryła, że nie podobają jej się także studia. Zaczęła ją prześladować myśl, że żyje w niewłaściwym — w dosłownym, geograficznym sensie — miejscu i jeśli nie wróci na południe, by przekroczyć ten przeklęty most Złote Wrota, nigdy nie zacznie prawdziwej egzystencji, nie otworzy się przed nią żadna przyszłość, a wszelkie wysiłki, które podjęła dorastając, by się rozwinąć, pójdą na marne.

Sprzedła większość tego, co miała, tak żeby kupić bilet w jedną stronę na dalekobieżny autobus do Kalifornii i żeby jej zostało parę dolarów na podróż. Udała się do Sausalito, by rzucić okiem na niebieski drewniany dom — teraz pomalowany na jaskraworóżowo — a potem przeszła przez Złote Wrota do miasta, co jej zajęło dokładnie dwadzieścia siedem minut. Gnana wspomnieniem życzliwego przyjęcia przez szkolną społeczność w Harrisburgu, ruszyła autostopem na uniwersytet w Berkeley i znalazła sobie pracę w sklepie z puchowymi kołdrami japońskimi, futonami, jednym z wielu pośród banków, księgarni, magazynów i niezliczonych sklepików wypełnionych hipisowskimi paciorkami, korzeniami żeńszenia, halucynogennymi grzybami.

Dwie ważne rzeczy przydarzyły się Caro, odkąd zaczęła pracować w sklepie z futonami. Po pierwsze, zaprzyjaźniła się z parą Anglików, profesorem semantyki i lekarką, którzy przyjechali do Berkeley na rok w ramach akademickiej wymiany kadr. Przyszli do sklepu kupić futony, aby ich dorastające dzieci miały gdzie spać, gdy ich odwiedzą, i pośród bel przykryć o bladych kolorach, leżących w cichym, wielkim jasno oświetlonym sklepie, zadzierzgnęła się przyjaźń. W rezultacie Caro zaczęła bywać w ich mieszkaniu, najpierw zapraszana na posiłki, potem na weekendy.

Tym drugim, co się Caro przytrafiło, była pierwsza miłość. Był Japończykiem, studiował na uniwersytecie, a w soboty pracował w sklepie, czasami pomagał również właścicielowi w prowadzeniu ksiąg, jako że ten nie znalazł japońskiego i nie był w stanie rozszyfrować wszystkich faktur. Nazywał się Ken i był wysoki jak na Japończyka, ale oczywiście i tak dużo niższy od Caro. Kochali się w magazynie na tyłach sklepu, na futonach przygotowanych do zwrotu do fabryki, głównie z powodu niedokładności w szyciu. Podobała jej się szczególnie jego skóra i włosy, a także kurtuazja, jaką jej okazywał. Towarzyszył jej na przykład podczas wizyty w studenckiej przychodni, gdzie otrzymała po raz pierwszy w życiu receptę na pigułki antykoncepcyjne. Zaczęła wierzyć, że tym razem naprawdę przekroczyła Złote Wrota.

Wkrótce jednak poczuła się niedobrze. Nękało ją uczucie permanentnego znużenia i mdłości, co początkowo przypisała ubocznemu działaniu pigułki, ale złe samopoczucie pogłębiało się i wreszcie zanikł jej okres. Przestała mieć ochotę na miłość z Kenem, a on wprawdzie nadzwyczaj grzecznie, ale jasno dał jej do zrozumienia, że nie ma ochoty wyłącznie leżeć z nią na futonach i palić. Stosunki między nimi ochłodziły i w końcu oświadczył, że musi pomyśleć o zaspokojeniu swoich naturalnych potrzeb gdzie indziej, po czym przeniósł się do pracy w barze serwującym sushi i co sobota zasiadał tam w zielonej kamizelce i takiej samej muszce przy kasie, przyjmując pieniądze od klientów.

Trzy dni po jego odejściu ze sklepu Caro zemdlą w pracy. Odzyskawszy przytomność powiedziała, że ból jest po prostu nie do wytrzymania, i zemdlą ponownie. Zawieziono ją do szpitala, gdzie badania wykazały całkowitą niedrożność obu jajowodów spowodowaną chronicznym zapaleniem, wynikłym z infekcji, a także poważne zmiany w obu jajnikach. Przeprowadzono natychmiast operację, po której Caro dowiedziała się, że niestety będzie bezpłodna. Rekonwalescencję odbyła w domu angielskiej pary na jednym z futonów, który im sprzedała.

Okazali jej wiele dobroci. Była w wieku ich najstarszej córki, studiującej prawo na uniwersytecie Exeter w Anglii. Caro nigdy o Exeter nie słyszała i już sam ten fakt pogłębił współczucie, jakie dla niej mieli. Pielęgowali ją, dopóki nie wróciła do zdrowia, znaleźli jej pracę w studenckiej księgarni, a na dwudzieste urodziny wręczyli w prezencie bilet w dwie strony w klasie turystycznej do Londynu. Będzie mogła zatrzymać się u ich przyjaciół i krewnych, powiedzieli, będzie miała szansę spojrzeć na swój kraj i dotychczasowe życie z innej perspektywy. To jej na pewno pomoże podjąć jakieś życiowe decyzje. Dla Caro był to najwspanialszy prezent, jaki mogła otrzymać, nie tylko dlatego że tak hojny, ale przede wszystkim ponieważ — na przekór Kenowi i operacji — świadczył o tym, że bramy mostu Złote Wrota są dla niej wciąż otwarte.

W kwietniu 1971 roku Caro Bliss, ze skromnym bagażem i listą adresów, przyjechała do Anglii. Spędziła dziesięć dni w podmiejskim domu krewnych jej dobroczyńców przy Richmond Park, a potem przeniosła się do wynajmowanego pod Exeter przez studentów farmerskiego domu, w którym panował kompletny chaos, gorąca woda była ledwie letnia, a elektryczność czasami wyłączano. Przeżyła wstrząs z powodu różnicy kultur. Nawet język raczej dzielił niż łączył. Przez trzy tygodnie znosiła niepojęte hałaśliwe swawolenie angielskich studentów, tak różne pod każdym względem od narkotycznego luzu ich amerykańskich odpowiedników z Berkeley, a potem, zostawiwszy niezręczną karteczkę z podziękowaniami, wyruszyła w zagadkowy dla niej sposób zorganizowaną siecią kolei brytyjskich pod trzeci adres — na farmę położoną w środkowej Anglii.

Farma była duża, nastawiona na hodowlę bydła opasowego i tuczników, ale uprawiano na niej także warzywa i sadzonki drzew owocowych dla sieci wiejskich sklepów. Rodzina, która ją prowadziła, składała się z ojca, matki, dorosłego syna i dwóch córek. Znali lekarkę z Berkeley od dziecka; matka żony farmera, już nieżyjąca, była jej matką chrzestną. Przyjęli Caro tak, jakby dawanie dachu nad głową wysokim, bezdomnym amerykańskim dziewczynom było dla nich chlebem powszednim i bez jakichkolwiek zgrzytów włączyli ją w swoje życie i pracę.

W przeciwieństwie do studentów z Exeter rozmawiali nie bez przerwy, lecz kiedy było to konieczne i dotyczyło pracy albo spraw dziejących się na farmie, co bardzo Caro odpowiadało. Egzystując od ukończenia piętnastu lat w cieniu życia innych, przyzwyczaiła się nie mówić zbyt wiele — jakby mówienie wystawiało ją na widok publiczny, koncentrowało na niej uwagę tych, od których zależał jej byt, a tym samym odstręczała ich od siebie. W

dzieciństwie również nie miała okazji dać upustu elokwencji. Ojciec wypowiadał się swoimi obrazkami, matka znajdowała spełnienie w skrajnej praktyczności, jakby w ten sposób mogła nadać pozór realności romantycznym snom. Na wielkiej, profesjonalnie prowadzonej farmie w środkowej Anglii Caro miała wreszcie w czym szukać oparcia. Powoli, ostrożnie przystosowując się do niezwykłego dla niej rytmu przemijania dni i dziwaczego jedzenia, zaczęła, jakby wbrew sobie rozluźniać się.

Wieczorami i w weekendy syn farmera i jego dziewczyna — lekarka weterynarii specjalizująca się w leczeniu świń — zabierali często Caro na spotkania lokalnej grupy Młodych Farmerów. Słuchała wykładów na temat zarządzania farmą, uczestniczyła w wystawach bydła, spędzała niezliczone wieczory w pubie, ucząc się grać w strzałki. Nie rozsmakowała się natomiast w grzanym mocnym angielskim piwie. Wkrótce ten tłum stał się znajomy: przyjaźnie nastawieni, radośni, zdrowi młodzi ludzie, jakich Caro przedtem nigdzie nie spotkała, nie poświęcający ani jednej myśli miejskiemu życiu. Dzieci farmerów, które zdecydowały się poświęcić ziemi, nie podejmując właściwie takiej decyzji, raczej akceptując z góry znaną sobie kolej rzeczy. W zadymionych pubach i klubach Caro — nie bez uczucia zachwytu — odkryła, że oto ona, pochodząca z rodu nomadów, znalazła ukojenie wśród ludzi osiadłych, określonych przez miejsce, a nie zawód czy osobowość. Ku jej zdumieniu naprawdę jej się to podobało.

Robin Meredith obserwował ją przez pięć tygodni, zanim się do niej odezwał. Sam wysoki, był urzeczony jej wzrostem, a potem egzotycznym akcentem. Nie była zbudowana jak angielskie dziewczęta, inna też była mowa jej ciała i gesty.

Powiedziano mu, że najęła się do pracy w sklepie przy Trips End, przypuszczał więc, że należy do wielkiej międzynarodowej rodziny wędrownych studentów, którzy starają się jak najdłużej opóźnić powrót do domu, nie chcąc stawić czoła nieznannej przyszłości. Postawił jej wreszcie ćwiartkę jabłecznika i wówczas dowiedział się, że nie jest studentką ani nie pracuje przy Trips End. Przyjechała do Anglii tylko dzięki czyjejś propozycji i szczodrości.

— POCO? — zapytał.

— Żeby zobaczyć, jak sądzę — odparła, wzruszając ramionami. — Zobaczyć stąd, jak to wszystko tam wygląda.

— POCO? — powtórzył.

Milczała, wpatrując się w jabłecznik. Wreszcie wypowiedziała prawdę, którą świeżo o sobie samej odkryła:

— Może żeby się przekonać, czy rzeczywiście należę do nomadów.

Nie bardzo wiedział, co miała na myśli, mimo to zaproponował, by wyszli razem z pubu. Obwoził ją po okolicy, pokazując farmy, pola uprawne, tereny zalesione specjalnie dla hodowli bażantów. Zabierał do kina i siedział obok, przycisnąwszy długie udo do jej uda, ale nigdy nie ujął jej dłoni. Wziął ją na doroczne lokalne targi koni, gdzie po raz pierwszy w życiu zobaczyła Cyganów. Wybrali się również na Stretton Beacon, aby patrzeć na rozciągający się w dole widok na hrabstwo: uporządkowane, monotonne z tej wysokości przestrzenie upraw rolnych, poznaczone dachami i kominami siedzib ludzkich. Tu, na górze, pocałował ją na wietrze i powiedział, że opuszcza rodzinny dom i zakłada własne stado mlecznych krów.

— Tam — pokazał na zieleniące się w zakolach Dean miejsce. — Dokładnie tam.

— Nigdy w życiu nawet nie dotknęłam krowy — powiedziała Caro.

— Zacznę od dwudziestu — odparł. — Dwudziestu. I zbuduję oborę. Spojrzała na rozciągający się poniżej krajobraz. Widywała przyjemniejsze, to pewne, bardziej zróżnicowane, robiące większe wrażenie. Ale czy któryś zrobił na niej wrażenie przyjaźniejszego człowiekowi? Czy widziała kiedyś przychylniejszy życiu, bardziej pociągający i harmonijny? Rozciągał się u jej stóp, dwadzieścia albo trzydzieści mil kwadratowych spokoju i cierplivej, nieprzerwanej uprawy, nie nękany walkami wojowniczego rodu ludzkiego, nie rozdierany atakami gwałtownej pogody czy trzęsieniami ziemi, rzeczywisty, bo odległości były wyobrażalne, a nie nieprawdopodobne. Tam, na dole świat był kompletny: człowiek, ziemia, zwierzęta pod angielskim niebem, które niczym się nie wyróżniało, niczym nie zagrażało. Caro wsadziła ręce w kieszenie żakietu i zamknęła oczy. Jak, nie mając nic prócz siebie samej, stworzyć sobie szansę, aby tu zostać?

Tydzień później Robin zawiózł ją na farmę Tideswell. Obejrzelili dom, zapuszczone podwórze, zeszli po zaniedbanych polach nad rzekę, gdzie w trzcinach odzywały się kaczki i pardwy. Był koniec marca i na gałęziach wierzb pojawiły się pierwsze żółtawozielone listeczki. Na drugim brzegu traktor orał czerwono-brunatną ziemię w równiutkie jak prążki na sztruksie bruzdy.

— Co powiesz o domu? — spytał Robin.

Caro obserwowała traktor. Przyjemne dla oka stadko rybitw zataczało kółka nad kilwaterem pługą. Dom Robina był zbyt dla niej niezwykły, by móc powziąć o nim jakąkolwiek opinię; tak stary i solidny z tymi ścianami z kamienia, taki dziwaczny z tymi posepnymi, surowymi wiktoriańskimi

detalami... Ten korytarz wyłożony mozaiką czerwonych i brunatnożółtych płytek, pokój z wykuszami, okna jak w gotyckim kościele.

— Nie wiem — odparła. — Nie mogę go z niczym porównać...

— Czy to ma jakieś znaczenie? Popatrzyła na niego.

— Nie — powiedziała wolno — myślę, że nie ma. Kiedy się podróżuje, po prostu przywyka się do porównywania. Nic nie można na to poradzić. Te wszystkie różnice wpływają na ciebie, na to, jak myślisz.

Wyciągnął rękę ku wierzbie nad nimi i odłamał długą, gładką giętą witekę.

— Jak wyglądało najprzyjemniejsze miejsce, w którym zdarzyło ci się mieszkać?

— Och, jeszcze go nie znalazłam. Wciąż szukam.

Robin zaplótł wierzbową gałązkę w kółko, jakby robił wianek, a potem rzucił ją do rzeki.

— Nie musisz się tak stale tułać — powiedział. — Nie musisz. Spojrzała na niego.

Obrzuciła wzrokiem sztywne, niemal czarne włosy, stanowczą uctiwą twarz, sztruksowe spodnie, buty, podniszczoną przeciwdeszczową kurtkę z podniesionym wysoko kołnierzem. Przecież go nie znam, pomyślała, i niemal natychmiast przemknęło jej przez głowę: a czy ja w ogóle kogokolwiek znam? Odwrócił się i popatrzył na nią.

— Powiedziałem, że nie musisz się tułać. Już nie. — Zrobił gest ogarniający pola i dom. — Możesz tu osiąść. Jest tu dla ciebie miejsce. Możesz... — przerwał na chwilę, a potem dokończył: — Możesz za mnie wyjść.

ROZDZIAŁ TRZECI

Velma Sims stała przy zlewie w kuchni domu na farmie Tideswell i zmywała naczynia po śniadaniu Robina. Nigdy nie używała zainstalowanej przez Caro zmywarki. Nie akceptowała tego urządzenia, ponieważ zużywało elektryczność. Z tego też powodu wolała czyścić dywan ręczną mechaniczną szczotką niż odkurzaczem, a wszelkie gospodarskie czynności wykonywała w przygaszonym świetle. Ze szczerym oburzeniem karmiła monetami wiszący w jej domu licznik na elektryczność, uważając, że jakiś niezyczliwy bożek ogniska domowego narzucił jej to niby-udogodnienie za pośrednictwem władz miasta. Ilekroć Velmie Sims udało się nie poddać tyranii elektryczności, świętowała swoje osobiste zwycięstwo, potężny cios zadany złym mocom.

Przy stojącym za nią kuchennym stole siedział Gareth, zajadając kanapki z bekonem. Późnym wieczorem Debbie przygotowywała mu całą stertę kanapek na następny dzień i Gareth zabierał je rano, żeby zjeść po pierwszym udoju i zaoszczędzić sobie drogi do domu. Mieszkał ledwie o paręset jardów w ceglany parterowym domku z trzema sypialniami, który Robin zbudował dla poprzedniego pastucha, ale zawsze to była jakaś odmiana — jeść w nie swojej kuchni, a poza tym owe oszczędzone piętnaście minut, które tutaj spędzał, oznaczało, że zostanie poinformowany na bieżąco o wszystkim, co się dzieje. Kiedy Caro żyła, nie robił tego, podejrzewając mgliście, że naruszyłby czyjeś terytorium — zakazane, a przede wszystkim przypisane kobietom. Czasami pojawiał się w drzwiach w skarpetkach i kombinezonie roboczym, aby przekazać Caro wiadomość od Robina: a to, że krowy mają zapalenie wymion, a to, że inseminator nie przyszedł. Stawał jak przymurowany przy lodówce i mówiąc do Caro, błędnym zdumionym wzrokiem po tym wielkim dwudrzwiowym amerykańskim sprzęcie, ogromnym niczym szafa. — Trzeba by ci było ją widzieć — opowiadał Debbie. — Jakbyś chciała, swobodnie zmieściłabyś w niej paru facetów.

Teraz siedział żując, odwrócony do lodówki plecami. Nie miała już tego magicznego uroku, odkąd zabrakło Caro, i dobrze wiedział, że jej przepaściste wnętrze skrywa tylko domowe zapasy Robina. Stała tu właściwie jakby tylko po to, by drażnić Velmę, prowokować ją do otwarcia dużych drzwi, a jeszcze lepiej obojga drzwi. Velma nienawidziła tego robić, ponieważ za każdym razem włączało się w środku światło.

— Co za marnowanie elektryczności — wrzeszczała, zatrzasnąwszy drzwi z powrotem, niemal zanim zdążyła wyciągnąć mleko.

— Nie je nic ciepłego — odezwała się teraz, ustawiając miseczkę po płatkach śniadaniowych na suszarce. — Dopóki nie umarła, przygotowywał sobie śniadanie na ciepło, a teraz przestał. Kubki z wystygłą herbatą, nad którymi siedzi godzinami, a potem o nich zapomina, walają się po całym domu. I te sterty misek po płatkach śniadaniowych.

— Lepsze to niż butelka — stwierdził Gareth. Zlustrował spojrzeniem stojącą do niego tyłem Velmę. Miała na sobie purpurowe legginsy i coś z czarnego dżerseju, zdecydowanie przykrótkiego, do tego turkusowe adidas. Gareth zdecydował, że widok jej pupy przywodzi mu na myśl własną matkę.

— Uważał ją za ósmy cud świata — oświadczyła Velma z całym przekonaniem. — Ósmy cud świata.

— Tak? — spytał Gareth.

Znał innego Robina: człowieka, który nikogo ani niczego nie uznałby za ósmy cud świata. Chciał po prostu, żeby wszystko szło jak należy, a praca była wykonana właściwie. Kiedy Debbie się uskarżała — a robiła to nader często — że Gareth myśli wyłącznie o krowach, odpowiadał, że owszem, po prostu musi, nie? Bo jaki ma wybór z Robinem bezustannie na karku, we dnie i w nocy? Debbie chciała, żeby rzucił tę robotę, wrócił do college'u, nauczył się czegoś o komputerach i biznesie. Wolałaby, żeby należał do tych, którzy zarządzają farmami, a nie do tych, którzy chodzą w ubabranych kombinezonach i spędzają pół dnia z rękami unurzanyymi po łokcie w czymś, o czym lepiej nie myśleć. Ale Gareth lubił krowy. Nie przeszkadzały mu długie godziny pracy ani Robin. Natomiast na myśl o komputerze ogarniała go panika.

— A dokąd on pojechał? — zapytała Velma.

— Zebranie w sprawie kontyngentów mleka.

— Zawracanie głowy, całe te kontyngenty...

— Taa... — Gareth wstał, zgniótł w kulkę folię, w którą Debbie zawinęła kanapki, i powiedział: — Wesole tutaj, prawda?

Velma wyjęła ręce ze zlewu i wytarła je ręcznikiem. Rozejrzała się po kuchni pomalowanej w słoneczne, soczyste amerykańskie kolory, popatrzyła na przepastną lodówkę, na plakat z przeraźliwie wielkim wiszącym mostem, sfotografowanym pod słońce, opatrzonego napisem „California Dreamin”.

— Nigdy tak naprawdę tutaj nie osiadła — orzekła. — To samo było z siostrą mojej mamy. Wyjechała do Nowej Zelandii, żeby wyjść za hodowcę owiec, i nigdy do końca nie przywykła. Nostalgia nękała ją aż do dnia śmierci. Ale przynajmniej wiedziała, co ją gryzie. — Velma wzięła pełną garść łyżek i zaczęła je wycierać. — Nasza gospodyni chyba tego nie wiedziała.

— A to kto? — zapytał Gareth.

Dawno już powinien wrócić na podwórze, obejrzeć kopyta trzech krów, ale cała ta rozmowa miała dla niego osobliwy urok. Teraz jeszcze na dodatek dojrzał land-rovera na podwórzu w kawałku nie przesłoniętej sylwetką Velmy szyby.

— Joe — odpowiedziała, obciągając dżersejową tunikę. Ten przystojniak Joe, dodała w myślach.

— Co on tu robi?

Velma ruszyła do kuchennych drzwi i przez ganek, na którym trzymano buty robocze, przeszła na podwórze.

— Nie ma go! — krzyknęła do Joego.

— Nic nie szkodzi. — Joe minął ją i wszedł do kuchni, ubrany po roboczemu, tak jak Gareth, w kombinezon z ciemnoniebieskiego drelichu i znoszone buty. — Witaj, Gareth.

Gareth kiwnął głową. Podniósł ze stołu gazetę codzienną, swoją ulubioną, po części ze względu na dominującą w niej tematykę piłkarską, po części z powodu zamieszczanego tu co dzień zdjęcia kobiecych piersi. Debbie miała kiedyś niezłe, ale wyraźnie jej zanikały, jakby stopniowo oddawała ich częśćkę każdemu z trojga dzieci, które urodziła. Doprawdy szkoda...

— Właśnie wychodziłem na podwórze.

— Aha — powiedział Joe.

— Kawy? — spytała go Velma, wracając do kuchni.

— Nie, dzięki. Muszę czegoś poszukać. — Po chwili dodał: — Na górze.

— Pokażę ci...

— Nie — przerwał Joe. Wyciągnął rękę, jakby zamierzał ją powstrzymać. — Wiem, o co mi chodzi, i znam ten dom. Do zobaczenia, Gareth.

Patrzyli za nim, gdy wychodził z kuchni.

— Zdejmij buty! — krzyknęła Velma.

Słyszeli jego kroki, gdy szedł, nadal w butach, po schodach.

— Co, do cholery...

— Nie wiem — powiedziała Velma. — Nie wiem. Nie powinnam była mu pozwolić. Ale przecież nie mogłam go zatrzymać, to w końcu brat Robina i...

— Szz... — Gareth spojrział na sufit, a Velma poszła za jego wzrokiem. Joe kroczył w butach po deskach podłogi ponad ich głowami, w końcu przystanął.

— Co za cholerna bezczelność! — odezwała się Velma. — Jest w jej pokoju. Co on tam robi?

Kroki rozległy się znowu. Powolne, ostrożne.

— Jest w jej pokoju! — powtórzyła Velma. — W pokoju Caro! Nie wchodzę tam, odkąd odeszła, tyle co odkurzyć. Lepiej pójdę na górę...

— Nie. — Gareth położył rękę na jej ramieniu. — Zostaw go.

— Ale...

— Przecież nie wiesz, czego chce. Przecież nie musi niczego zabrać. Może...

— Może co?

— Po prostu go zostaw. — Ścisnął jej ramię, a potem cofnął rękę. — Nie przyszedłby tutaj tak bezczelnie i pewnie, gdyby chciał coś zmajstrować.

Zwyczajnie go zostaw.

Wzięła z powrotem ścierkę do ręki, potrząsając głową, jakby chciała się uwolnić od nieprzyjemnego brzęczenia.

— Przedziwne — powiedziała.

W sypialni Caro Joe stał oparty o poręcz w nogach łóżka i badał wzrokiem miejsce, gdzie widywał leżącą bratową. Patrzył na nią wiele razy, obserwując zatrważająco szybkie postępy choroby, ubraną w koszulę w białe-różowe paseczki, z włosami zaplecionymi na jedną stronę głowy, bo tak było jej wygodniej leżeć. To znaczy do momentu, kiedy jeszcze miała włosy. Przed kuracją.

Trzymał wypolerowaną drewnianą poręcz łóżka i wpatrywał się w wybrzuszenie biało-czerwonej patchworkowej kołdry w miejscu, gdzie przykrywała poduszkę. Właściwie nie był całkiem pewien, dlaczego się tutaj znalazł, chyba że tłumaczyć to nagłym impulsem, by pożegnać się z Caro, wyjaśnić jej — nie słowami, raczej przez samą obecność w jej sypialni — że jego roztargnienie w czasie pogrzebu i zamykanie umysłu na wszystko, co się łączyło z jej śmiercią, nie miało nic wspólnego z nią samą. Przyczyną było mroczne, alarmujące uczucie strachu, które zaczęło w nim rosnać od chwili, gdy Robin zadzwonił ze szpitala w Stretton i powiedział, że Caro zmarła dwadzieścia minut temu. Stojąc koło grobu z złotym parasolem wzniesionym nad Lyndsay i Judy, czuł niemal panikę. Nie opuściła go dotąd, od czasu do czasu zniecka brała we władanie. Łapał się na tym, że nadkłada drogi przez Dean Cross, aby uniknąć jazdy koło cmentarza, i warczał na Lyndsay, jeśli tylko padło w rozmowie imię Caro. Dziesięć minut temu jechał do domu, gdy na drodze między Dean Place i Tideswell uczucie paniki napłynęło z taką mocą, że omal nie zemdlał.

— Zwalczę to — powiedział głośno do samego siebie, chwytając mocniej kierownicę. — Stanę w jej sypialni i zwalczę, do jasnej cholery!

Ale w jej sypialni nic się nie wyjaśniło. Pokój był schludny, urządony skromnie przypadkowo dobranymi meblami, które przez lata wyluskiwała na wyprzedażach; gustownymi, niemal do przesady prostymi meblami. Nic w nim nie świadczyło o obecności Robina, nic nie wskazywało na to, że sypiał z nią w łóżku przykrytym patchworkową kołdrą. Nie było tu też oznak, które Joe tak niecierpliwie chciał wypatrzeć — oznak cudzego życia.

— Caro — powiedział w nieruchome powietrze.

Nic się nie poruszyło. Podszedł do okna i wyjrzał na podwórze — należało przypuszczać, że dla tego widoku wybrała ten akurat pokój — ale tu też niczego nie zobaczył. Nawet krów. Jej odejście było czymś niemożliwym do zniesienia, czymś głęboko okrutnym i nieodwracalnym. Przycisnął czoło do szyby. Właśnie ta nieodwracalność losu była najgorsza. Bez Caro, żywej i obecnej, nie miał dowodu na istnienie innego świata, życia pełnego możliwości i nadziei; nosiła to w sobie, emanowało to z niej, a teraz śmierć to zniszczyła. Przełknął z trudem ślinę. Coś w samej Caro, to, kim była, skąd pochodziła, sprawiało, że tak się czuł — dlaczego do cholery właśnie dzięki niej tak czuł? — jakby mógł umknąć przeznaczeniu.

Wystarczy, że będzie wciąż biegł, a umknie...

To również za jej przyczyną miał wrażenie, że pieniądze nic nie znaczą, że łatwość, z jaką radzi sobie z finansami farmy, została mu dana raz na zawsze. Nigdy nie mówił jej otwarcie o swoich obawach, o potajemnie zaciągniętych pożyczkach, o tendencji do wydawania pieniędzy w złudnym przekonaniu, że i tak w jakiś sposób automatycznie do niego wrócą. Napomykał tylko o tym. A ona uśmiechała się do niego. Spokojnym, pełnym zrozumienia uśmiechem. I radziła mu, żeby nie reagował natychmiast: jak patrzysz z bliska, zawsze jesteś wstrząśnięty. To z dalszej perspektywy widzi się właściwie. A teraz odeszła, a wraz z nią pocieszająca myśl o dalszej perspektywie, i został sam na sam z szokiem.

Odsunął się od szyby i potarł czoło. Nieopodal Gareth przechodził przez podwórze, mając po obu bokach krowę w kantarze. Robin umiał znakomicie wdrażać krowy do chodzenia w kantarze, wyposażył nawet farmę w urządzenie podobne do obrotowej suszarki na bieliznę, za pomocą którego trenował młode jałówki, by dawały się prowadzić. Twierdził, że łatwiej je prezentować w hali aukcyjnej: dobrze wychowane krowy prędzej przyciągają oko kupującego. Robin... Co by pomyślał, gdyby wrócił teraz do domu i zastał go w sypialni zmarłej żony, niezdolnego w żaden sensowny sposób wyjaśnić swojej tutaj obecności? Zresztą nie istniało przecież sensowne ani przekonujące wyjaśnienie, w każdym razie nie takie, które można by złożyć

tak sceptycznemu bratu. W końcu to właśnie Robin miał prawo do manifestowania na wszelkie sposoby żałoby, gdyby chciał dać jej upust, podczas gdy on, Joe, zaledwie szwagier zmarłej, mąż i ojciec żyjącej rodziny, prawa takiego nie miał. Najmniejszego. I żadnego tytułu, by je sobie rościć, może tylko to zatrważające uczucie, że Caro dzierżyła klucz do jego przyszłości i umierając zabrała klucz ze sobą.

Wyszedł na podest schodów. W domu panował całkowity spokój. Velma wciąż tkwiła w kuchni, udając że zmywa, a w rzeczywistości czekając, aż on, Joe, zejdzie na dół i wytłumaczy się. Nie przyszła na pogrzeb. Powiedziała, że nigdy nie chodzi na pogrzeby, nie mogłaby czegoś podobnego znieść. „Makabra — oświadczyła — skoro umarłeś, to umarłeś. Pogrzeby są nienormalne”. Co powiedziała Robinowi, o ile w ogóle coś powiedziała? „Przykro mi z powodu straty, która cię dotknęła” albo: „Z pewnością będzie mi jej brakowało”? A może po prostu: „Czy mam zaparzyć następną porcję kawy, bo już się kończy?”.

Po drugiej stronie podestu stały otworem drzwi do sypialni Robina. Łóżko było jako tako posłane, ale na widocznych stąd dwóch drewnianych krzesłach piętrzyły się ubrania, po podłodze wałały buty, gazety i czasopisma poświęcone hodowli krów. Naprawdę dziwne. Robin był zawsze taki pedantyczny. W głębi, na komodzie stojącej pod ścianą Joe zauważył czarnobiałą fotografię Caro opartej o bramę prowadzącą z ogrodu na widoczne z okien domu piętnastoakrowe pole, gdzie wypuszczano po raz pierwszy jałówki, tak by mieć je na oku. Nie mógł widzieć wyraźnie z tej odległości, niemniej dojrzał, że Caro ma rozpuszczone włosy i jest ubrana w coś w kratkę.

— Wszystko w porządku? — krzyknęła Velma. Stała u stóp schodów ze ściereczką od kurzu i pojemnikiem płynu w sprayu do politurowanych mebli. — Znalazłeś, czego szukałeś?

— Nie — odparł — nie znalazłem. Ale to nie ma znaczenia.

— Może lepiej zejść na dół. — Obserwowała go, gdy powoli szedł po schodach. — Robin wróci do domu w porze obiadowej.

— Aha.

— Zostawiam mu szynkę z cielęciną zapiekaną w cieście — powiedziała, a potem dodała zdecydowanie: — Dbam o Robina.

W domu Lyndsay na pewno przygotowuje lunch dla niego i dzieci; odpowiednie, starannie zestawione potrawy, jakie gotowała każdego dnia, z mnóstwem warzyw. Usiądą wokół kuchennego stołu: on, Lyndsay, Hughie i Rose na wysokim krzeselku, żeby zjeść mielone mięso z przyrumienionymi

tluczonymi ziemniakami albo zapiekankę, albo ziemniaczano-serową babkę, i Lyndsay będzie próbowała nawiązać z nim rozmowę, zachęcić go, by pogadał z Hughie. Będzie próbowała wyperswadować mu słuchanie wiadomości i prognozy pogody w radio; powie, że może to sobie robić cały boży dzień w land-roverze czy na traktorze, a wspólne posiłki służą porozumieniu, okazywaniu sobie uwagi, rozmowie. Rose zacznie krzyczeć i bębnić łyżką po tacy umocowanej przy wysokim krzeselku, jakby chcąc sobie powetować to, że jeszcze nie mówi. Jeśli on będzie miał akurat zły dzień, powie, co o tym myśli, zamiast Rose.

— Już wychodzę — powiedział do Velmy. Popatrzyła na niego. Zawsze uważała, że jest w nim coś z młodego Johna Wayne'a, coś pierwotnego.

— Spróbuj się uśmiechnąć, Joe. Życie toczy się dalej. Przystanął na chwilę i obdarzył ją przelotnym uśmiechem,

który nie odbił się w jego oczach, a potem wyszedł z kuchni na podwórze.

Cielecina w cieście dla Robina leżała przykryta starannie kawałkiem folii spożywczej tuż obok soli, młynka do pieprzu i bochenka chleba umieszczonego pod kopulastym przykryciem z muślinu. Dilys dała kiedyś Caro kilka takich kopuł dla uchronienia żywności w spiżarni przed muchami, ale Caro ich nie używała, w każdym razie od chwili, gdy przestała korzystać ze spiżarni i zaczęła przechowywać wszystkie łatwo psujące się produkty w ogromnej amerykańskiej lodówce, którą Robin sprowadził dla niej dwanaście lat po ich ślubie za pośrednictwem londyńskiego importera.

Domowa kotka najwyraźniej na próżno usiłowała dobrać się do jedzenia, przysiadła więc przy tylnych drzwiach na kupce gazet zostawionych tu do czasu, gdy Robinowi będzie po drodze przejechać koło pojemników na makulaturę, i czekała na dalszy rozwój wydarzeń.

— Moje — powiedział Robin, wskazując na talerz. Kotka udała, że nie słyszy.

Patrzyła na niego niewzruszenie. Robin

przyjrzał się dokładniej jedzeniu. Miało nieświeży wygląd, charakterystyczny dla wszelkiej przetworzonej żywności pozostawionej w pokojowej temperaturze; Velma wolała raczej zaryzykować, że coś się popsuje, niż zużywać elektryczność, korzystając z lodówki. Robin odwinął folię i powąchał ciasto. Odstreńczył go intensywny zapach jeszcze nie zjełczanego, ale już nieświeżego produktu. Wziął talerz, zaniósł go do stosu gazet i postawił przy nich na podłodze.

— Wszystko twoje — powiedział.

Podszedł do lodówki i wyjął z niej kawałek sera. Wyglądało na to, że można przeżyć, zapychając sobie żołądek; ser, płatki, cokolwiek treściwego i

prostego do przyrządzenia. Kiedy był jeszcze dzieckiem, Dilys trzymała specjalnie dla nich krowę, robiła masło i ser, a chude mleko się wypijało. Teraz Dilys kupowała masło i ser, jak wszyscy. Utrzymywanie jednej krowy na potrzeby rodziny było zgoła nieopłacalnym przedsięwzięciem. Velma zostawiła mu na kuchennym stole kilka wiadomości. „Dzwonił człowiek od programu rozwijania farm. Mówił, że wiesz, o co chodzi. Gareth powiedział, że przyszły nowe rury do odprowadzania nieczystości. Był kupiec w sprawie nawozu, powiedziałam, niech wróci w środę. Przyszedł Joe, ale nie wiem po co. Mam jutro rano lekarza, przyjdę później. Trzeba przeczyścić komin w dużym pokoju”.

Robin włączył radio i trafił na prognozę pogody. Zapowiadano silne zachodnie wiatry, a ponieważ dokładnie to samo słyszał, wracając samochodem do domu, wyłączył radio. Podniósł muślinową kopułę znad chleba i spojrzał na bochenek. Czego Joe chciał? Cóż to takiego, że nie mógł tego załatwić przez telefon? Wziął nóż do chleba i zaczął z wprawą kroić grube równe kromki. Zebranie nie wprowadziło go w dobry nastrój. Zresztą w dzisiejszych czasach trudno było o dobry nastrój na zebraniach, skoro człowiek słyszał tylko zapowiedzi zmniejszenia produkcji od przedstawicieli wielkich mleczarni albo przeprowadzenia przez Ministerstwo Zdrowia kampanii na rzecz ograniczenia spożycia produktów mleczarskich, które zawierają zbyt wiele tłuszczu. Nie potrzebował zebrania, żeby się o tym dowiedzieć. Ani tego ich dolewania oliwy do ognia. Kiedy zaczynał, myślał, że mu się udało: zyski z hodowli podwajały się co roku i zaciągnięta pożyczka przestała spędzać mu sen z powiek, a nawet przez krótki ekscytujący okres wydawało mu się, że dług topnieje równie szybko, jak wiosenne śniegi. Nie ma nadziei, rozmyślał, wkładając ser między kromki chleba, nie ma nadziei przy tych stale rosnących kosztach... Trzyście tysięcy funtów dla Garetha plus utrzymanie jego domu, odsetki od kredytów, setki funtów na dodatkową paszę dla krów... i jeszcze ta zimna mokra wiosna zapowiadająca opóźnione plony kukurydzy. Ugryzł kanapkę i natychmiast ją odłożył. Była bez smaku i w dodatku sucha jak pieprz. Na podwórzu panowała niezmacona cisza. Za godzinę Gareth powinien zacząć zaganiać krowy do obory, a potem objechać wszystkie budynki i podwórze i zagarnąć gnój przyczepionym do traktora specjalnym pługiem. Bardzo wysłużonego traktora, pamiętającego początki gospodarowania na farmie, w dodatku w chwili kupna Robin został jego trzecim z kolei właścicielem. Za sumę, którą wówczas za niego zapłacił, dzisiaj nie kupiłoby się nawet opon. Robin lubił to, co stare, na przykład doświadczone krowy,

uparte jak jasna cholera, zawsze zajmujące to samo miejsce przy dojeniu i tę samą przegrodę w oborze. Poruszały się z godnością i powagą, co Robin doceniał, i miały dobry wpływ na młode jałówki. Dlatego lubił mieć zawsze parę starszych sztuk wśród młodzieży, chociaż określenie „starsze” nie bardzo do nich pasowało. Myślał o nich tak, jakby dobiegały przyrodzonej im długości życia, trzynastu czy czternastu lat, tymczasem w dzisiejszych czasach „starsza” sztuka osiągała ledwie pięć.

Wsiadł do land-rovera, a krowy patrzyły, wcale nie zaniepokojone, na przejeżdżający obok nich samochód. Musiał pojechać nad rzekę, ponieważ ludzie od skażenia środowiska podnieśli krzyk z powodu obfitych wiosennych deszczy, niosących niebezpieczeństwo splukania gnojowicy do Dean.

Zawsze coś takiego wyskoczyło — jak nie ci od środowiska, to ci od przepisów sanitarnych — i zawsze wiązało się to z koniecznością wydania pieniędzy, których nie miał.

— Nie mam w ogóle pieniędzy — powiedziała mu Caro wtedy, przed laty, nad brzegiem rzeki. — Ani centa.

— Ja też nie mam.

— No przecież... — Pokazała na zaniedbanym podwórzu.

oszące się pola i na dom z

— Pożyczyłem na to — odparł zrozumiawszy, o co jej chodzi. — Calutkie sześć tysięcy funtów. Co do pensa.

Zjechał land-roverem z drogi i zatrzymał się przy bramie, która prowadziła na pole spadające ku rzece. Zwykle było zalane aż do wczesnych dni marca i leżało odłogiem — opuszczone, ponure, spragnione słońca i odradzającej się świeżej trawy. Pożyczyłem! To był ledwie początek. Pożyczanie stało się stylem życia: na inwentarz, na maszyny, budynki, traktory, wyposażenie dojami, odprowadzanie nieczystości; wszystko na raty, przestarzałe, zanim zdążył na dobre spłacić.

— Dlaczego sam nie doisz? — dopytywał się bezustannie Harry. — Zaoszczędzisz na robociźnie. Po co ci pastuch przy takim stadzie?

Z powodu Caro, mógłby odpowiedzieć, ale nigdy nic takiego nie padło. Bo to w nim samym trzeba było szukać przyczyny. Nigdy nie zażądała, by zaczął poświęcać więcej czasu jej i Judy, nigdy nie oświadczyła, tak jak Lyndsay, że czuje się wykluczona ze żmudnego, pełnego poświęcenia, twardego farmerskiego życia męża. To on sam, chociaż właściwie nie mógł sobie na niego pozwolić, postanowił zatrudnić pastucha, ponieważ chciał być częścią życia Caro, chciał mieć dla niej czas, być choć przez kilka godzin nie tylko farmerem.

— Dlaczego chcesz pracować akurat na farmie? — zapytała go kiedyś na początku.

— Ponieważ chciałbym coś wytwarzać — odparł trochę nieśmiało, a wówczas popatrzyła na niego z nieokreślonym smutkiem, którego zupełnie nie rozumiał. Wsiadł z land-rovera i szedł wzdłuż niewielkiego strumyka wypływającego poniżej kanału na gnojowicę, w kierunku żywopłotu. Trzeba go odnowić, przemknęło mu przez głowę, powinien też powiększyć kanał; o tym myślał już od roku, podobnie jak o wymianie pompy uzdatniającej wodę. Następna rzecz, która na niego spadnie, prawdopodobnie razem z zawiadomieniem o grzywnie, które dołoży do sterty rachunków przechowywanych w plastikowym pudełku na dokumenty w kuchni; przejmował się nimi dopiero, gdy przychodziły oznaczone na czerwono ponaglenia.

Caro nigdy nie prowadziła ksiąg farmy. Robin wydobył je z wielkim trudem od matki, mając nadzieję, że Caro się nimi zajmie, pozna ceny pasz, stawki opłat za wodę i za bycze nasienie, co jej pozwoli spojrzeć na farmę bardziej realnie i w konsekwencji nie będzie to już tylko jego sprawa, ale ich wspólne przedsięwzięcie. Odmówiła jednak grzecznie i stanowczo. Powiedziała, że nie jest dobra w rachunkach.

— Przecież się nauczysz...

— Nie — odpowiedziała z uśmiechem. — Nie nauczę się. Przeznaczyła jeden pokój w domu na biuro, wąski pokoik na parterze, który powstał jakby z oddzielenia części korytarza, z oknem wychodzącym na drogę. Zamontowała w nim osobiście półki, zawiesiła zasłony, porobiła poduszki i ustawiła plastikowe wysuwane szufladki na dokumenty, zupełnie jakby chciała zachęcić do pracy dziecko, sprawić, by uwierzyło, że odrabianie lekcji może być zabawą. Przez dwadzieścia lat, aż do dnia jej śmierci, posłusznie gromadził wszystkie papiery dotyczące farmy w tym wąskim pokoiku, tutaj się chronił, gdy chciał przeczytać przysłane z ministerstwa broszury, raporty dotyczące rynku mleczarskiego czy artykuły na temat nowych pasz; tutaj także, kiedy już nie dało się tego uniknąć, wypisywał czeki. Wydzierał je z książeczki ostemplowanej „Rachunek Farmy Tideswell”. Caro wyobrażała sobie, że książeczka jest czymś na kształt skarbonki bez dna, on wiedział, że jest tylko świadectwem zadłużenia farmy.

Doszedł do żywopłotu i precyzyjnie się między krzakami, żeby popatrzeć na strumień. Swobodnie płynąca wąskim korytem woda wyglądała na zupełnie czystą, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Gnojowica mogła się do niej

saczyć w którymś miejscu przez rozmiękłą ziemię i byłoby lepiej, gdyby sam to stwierdził, nie czekając, aż władze przyślą mu oficjalne pismo w tej sprawie. Nie wiedział, prawdę mówiąc, co też mógłby zrobić odkrywszy, że rzeczywiście zanieczyścił wody Dean, ale ostatnio w ogóle nie wiedział, co robić. Ze wszystkim. Wyprostował się i popatrzył ponad długimi rzędami żywołotu w kierunku odległych dachów zabudowań, rysujących się na tle jednostajnie szarego nieba. Przez te wszystkie tygodnie po śmierci Caro niebo było jednostajnie szare, dzień po dniu odmawiało ciepła przemarzniętej ziemi i odbierało mu resztki ducha. I podobnie jak w dniu jej pogrzebu, wciąż padało — zimny, przejmujący deszcz, przeszkadzający w nawożeniu gleby i z jakiegoś niezrozumiałego dla niego samego powodu wzbudzający w nim przedziwne przekonanie, że znalazł się poza nawiasem, że go za coś ukarano.

Judy oskarżyła go o to, że nie kochał Caro. Zaprzeczył. Niezręcznie, ale nie żeby sam nie był tego pewien, po prostu za bardzo się to skomplikowało, sprawy między nim i Caro za daleko zaszły. Być może powinien pomimo pustki w sercu i głowie spróbować to jednak Judy wytłumaczyć, a chociażby uzmysłwić jej, jak bardzo kiedyś kochał Caro i jak boleśnie nękało go poczucie straty, kiedy zdał sobie sprawę, że to przegrana miłość i że z każdym dniem idzie ku gorszemu. Z drugiej strony właściwie nie znał samego siebie. Zdawało mu się, gdy cofał się myślą do lat, które minęły, że zabiegał o Caro ze wszystkich sił, całym sercem, aż wreszcie dojrzał do samotności i spokojnie — nawet z pewną dozą obojętności — zrezygnował z bezustannie podejmowanych prób zrozumienia żony. Judy z pewnością nazwałaby to zdradą — używała teraz takiego języka: prowokujących nieprzyjemnych słów — ale Robin nie widział, w czym zawiódł. Nie porzucił jej, nie zwodził ani okłamywał; odwrotnie: toczył walkę, by jednak wieść wspólne życie z kimś, kogo wybrał, choć ten ktoś okazał się nie tylko zupełnie inny niż wyobrażenie o nim, ale też całkowicie niezdolny do zmiany.

Z pochyloną głową szedł powoli wzdłuż brzegu strumienia, z oczyma wbitymi w błoto i wodę. Judy zarzuciła mu, że odpowiedział jej gniewnie. Cóż, do pewnego stopnia rzeczywiście odczuwał gniew, narosły w nim przez lata walki i usiłowań. Gniew spowodowany konkretnymi rzeczami, jak na przykład tym, że zaniedbała mu powiedzieć przed ślubem o swojej bezpłodności albo że nieoczekiwanie przysłano mu z Ameryki wezwanie do zapłacenia rachunków za pobyt jej matki w prywatnym szpitalu, dawno już wyparował. Ale nie zniknął bezsilny gniew wywołany jej wyniszczającą chorobą, ciężkim umieraniem, jakim nikt nie powinien umierać, powolnym,

pełnym okrucieństwa, potworniejszego niż to, które przywykł dostrzegać w naturze. Ani gniew na nią, że go opuściła, że umarła, że skazała go, nim odeszła, na długie życie w związku opartym na czymś w rodzaju koleżeństwa, na niezaspokojenie. Czy istotnie z tych właśnie powodów?... Wyciągnął na oślep rękę, złapał prężny różowawy odrost z żywopłotu, zgiął witkę porywczym ruchem i wplótł między starsze, porządnie przycięte grubsze gałęzie. Nie, a w każdym razie to wszystko było tylko rezultatem czegoś, co naprawdę raniło go do żywego, przepęniało goryczą, upokarzało. Nigdy, pomimo wszelkich jego wysiłków, nawet na początku, nie kochała go. Chyba w ogóle nie próbowała pokochać, przyszło mu do głowy. Popatrzył znowu na rzekę. Niosła ciemne połyskujące wody między błotnistymi brzegami; z trudem tylko można było rozpoznać zarys linii brzegowej, rozmytej po ostatniej powodzi. Trochę w bok, na prawo od miejsca, gdzie jego żywopłot dotykał brzegu, ciągnął się szereg z rzadka rosnących wierzb o pochylonych, ciężących ku wodzie sylwetkach, na swój dziwaczny sposób przywodzących na myśl orient. Właściwie z powodu tych wierzb oświadczył się Caro, mówiąc jej, że może zamieszkać w jego domu... Myślał, że ona zrozumie, co przez to chciał naprawdę powiedzieć: że on się nią zaopiekuje. I dotrzymywał tego. Nawet kiedy wyniosła się do małej sypialni nad kuchnią, dalej gotów był się nią opiekować. Czy to nie była miłość? Judy oczywiście nazwałaby to zaborczym męskim protekcjonizmem, ale nie miałyby racji. Czyż pragnienie, by chronić i rozpieszczać, nawet gdy zabrakło intymności w ich stosunkach, nie oznaczało swoiście pojętej miłości? Odwrócił się i zdecydowanym krokiem podjął marsz w górę zbocza. Zanieczyszczenie Dean to jego problem, po prostu jego problem, nie może sobie pozwolić na rozchwianie, na daremne powroty w przeszłość, wracanie w miejsca, które Caro opuściła, szukanie dróg, po których przestała chadzać, zanim zdążył się na nich pojawić. Smutek, powiedział pastor Robinowi tuż po pogrzebie w czasie swojej krótkiej wizyty, która upłynęła w atmosferze skrepowania, objawia się rozmaicie i dlatego nawet dość niepokojące reakcje należy traktować jako całkowicie normalne.

— Całkowicie — powtórzył pastor, wstając na znak, że wizyta ku jego szczerzej uldze dobiegła końca. — Nie ma sensu się o nic obwiniać.

Robin przyglądał mu się w milczeniu, zupełnie tak samo jak w czasie ceremonii pogrzebowej.

— W twoim przypadku — mówił pastor, ściągając ciemnoniebieski anorak sznurem w pasie — ulgę przyniesie prawdopodobnie praca. To wielki

pocieszyciel. Można w niej też znaleźć rozwiązanie wielu duchowych problemów. Wyciągnął rękę do Robina, który wstał powoli i po króciutkiej sekundzie przyjął podaną dłoń.

— Wiem — stwierdził. Nie zadał sobie trudu, by ukryć pogardę dźwięczącą w jego głosie. — Całe życie to wiedziałem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Judy Meredith, podnosząc głowę znad biurka, mogła popatrzeć na brudną ścianę z białych cegieł i róg balkonu zbyt małego, by ktoś się na nim pojawił, na zwisającej z niego w plastikowym pojemniku, zostawioną samą sobie wyblakłą roślinę, fragment ściany z brązowej cegły i skrawek nieba. Jedyne elementy widoku, który kiedykolwiek się zmieniał, a i to w czasie zimowych miesięcy nieczęsto. Ostatniej zimy, kiedy umierała matka, niebo wyraźnie uparło się współgrać z bezustannym napięciem, w jakim Judy żyła, i pozostawało nieodmiennie mroczne nawet w południe — albo zasnuwane deszczem, albo nim grożące.

Na jasnoszarym plastikowym biurku Judy stał szary monitor komputera i klawiatura. Na ekranie artykuł do poświęconego urządzaniu wewnątrz czasopisma, w którym pracowała. Miała go zaadiustować. Czasami pozwalano napisać jej coś samodzielnie, na przykład o wycinankach, cynowych naczyniach Shakerów czy powracającej modzie na osiemnastowieczne wzory obić w paski. Jej ostatni artykuł, napisany na cześć Caro, dotyczył sztuki robienia amerykańskich patchworkowych kołder i zaowocował dwudziestoma siedmioma listami od czytelników wyrażających gratulacje i domagających się rozszerzenia tematu i kilkoma ciepłymi słowami od redaktor naczelnej, przesłanymi na żółtym jak jaskier bileciku, jej znaku rozpoznawczym. Judy zachowała bilecik, żeby pokazać go matce przy okazji przyjazdu do Tideswell na weekend, ale zamiast tego zjawiała się tam w czwartkowy wieczór, gdy zatelefonował Robin z wiadomością, żeby jak najszybciej przybyła do szpitala w Stretton. Kiedy wróciła po pogrzebie do biura, podała żółtą karteczkę i wyrzuciła do kosza na śmieci z szarego plastiku. Zbyt mocno kojarzyła jej się ze stratą.

Za komputerem piętrzyły się plastikowe szufladki na dokumenty i stos wcześniejszych numerów czasopisma, stał kubek ofiarowany przez fabrykę porcelany w nadziei na darmową promocję, w którym trzymała ołówki, zdjęcie Caro i fotografia Tideswell w pełni lata. Na pierwszym planie widać było mnóstwo młodych jałówek, z tyłu przy stodole stał prawdopodobnie Robin, ale równie dobrze mógł to być Gareth. Caro przysłała tę fotografię wkrótce po tym, jak Judy wyruszyła do Londynu, i napisała na odwrocie: „W domu najlepiej!”. Judy zastanawiała się teraz, czy matka nie chciała zawrzeć w tym wykrzykniku ironii.

Biurko wyglądało niezwykle porządnie. Po obu jego stronach stały pod pewnym kątem dwa inne biurka, na których panował kompletny chaos.

Papiery, kubki po kawie, wazony ze zwiędłymi kwiatami, odbitki do korekty, opróżnione opakowania po chrupkach, próbki materiałów, deszcz małych żółtych karteczek z zapiskami spraw, o których należy pamiętać — wszystko rozrzucone przypadkowo na powierzchni blatów, a pośród tego bałaganu trwały ekrany komputerów, nieruchome jak peryskopy. Użytkowniczkę obu biurów, Tessa i Bronwen, okazywały Judy w czasie choroby Caro wiele troski. Znosiły jej kwiaty, owoce i ciastka z kremem w papierowych torebkach, jakby to ona sama była chora. Kiedy Caro zmarła, poraziła je chyba niewiedza, co robić w takiej sytuacji, więc nie zrobiły nic. Odwracały oczy od zdjęcia na biurku Judy i mówiły szeptem w słuchawki telefonów, w mniemaniu że w ten niezręczny sposób okazują jednak współczucie i zrozumienie.

— Co za okropność — powiedziała Zoe.

Zoe była nową współlokatorką Judy. Pojawiła się w tydzień po pogrzebie z polecenia siostry ostatniej współmieszkanicy Judy. „Jest fantastyczna, na pewno ją polubisz”.

Ciemnobrązowe włosy Zoe miała ufarbowane na kolor burgunda i ostrzyżone na zapałkę. Cały swój majątek — z wyjątkiem chińskiej koldry w kolorze fuksji, z której odwinęła dwie drewniane czaple wysokości przynajmniej połowy czapli naturalnej — wniosła na czwarte piętro w plastikowych torbach na zakupy i kartonowych pudłach.

— Nie gotuję — oświadczyła — bo nie umiem. Tak więc żadnego kuchennego smrodu.

Judy od razu pierwszego wieczora powiedziała jej o Caro.

— Nie mogę się z tym uporać. Tylko o tym myślę. Czuję się tak, jakbym miała wypisane na czole: „Moja matka właśnie zmarła”. Wiem, że nie powinnam na ten temat mówić, ludzie są przerażeni. Koleżanki z pracy po prostu udają, że mnie nie ma, i czekają, aż się wreszcie pozbieram i wszystko wróci do normy.

— Co za okropność — powiedziała Zoe, przyglądając się Judy. — Wyglądasz na wykończoną.

— Źle sypiam. Stale jestem zmęczona, a mimo to nie mogę zasnąć.

— To smutek. Jest gorszy niż stres. — Zoe ustawiła czaple po obu stronach zamurowanego kominka w niewielkim saloniku. — Mogą stać tutaj?

— Czy straciłaś kiedyś kogoś bliskiego? Zoe oderwała wzrok od czapli i przeniosła go na Judy.

— Ojca.

Wydawało się, że Judy rozplynie się ze współczucia.

— Och...!

— Trzy lata temu. W Australii. Opuścił matkę, kiedy miałam osiem lat, tak że właściwie go nie znałam. Spędziliśmy razem dwa dni, gdy skończyłam siedemnaście lat. Matka po prostu szalała, ale ja i tak pojechałam i okazał się wspaniały. Był przezabawny. I przez całe te dwa dni nie powiedział ani jednego złego słowa na matkę. A potem wziął i umarł, palant jeden. Za samo to mogłabym go zabić.

Judy miała ochotę wyznać: „Zaadoptowali mnie”, ale powstrzymała się ogromnym wysiłkiem woli. Gdyby to powiedziała, musiałaby wspomnieć o Caro i o tym, jak powtarzała, gdy po raz pierwszy zaprowadziła ją do szkoły: „Posłuchaj, Judy. Wybrałam cię. Ciebie”. Z pewnością rozplakałaby się znowu i chociaż wyglądało na to, że Zoe będzie życzliwą, zdolną do wyczuwania nastrojów innych sublokatorką, trudno było zaczynać znajomość od morza łez.

Teraz, siedząc za biurkiem i ze sztucznym zaangażowaniem pracując nad artykułem o wiejskiej samotni znanej projektantki mody — poustawiała tam wielkie białe kanapy, meble według

Judy przerażająco niepraktyczne, których jedyną funkcją było dodawanie splendoru bogaczom — zerknęła co chwila na listę słów, którą wręczyła jej Zoe. Wypisała je na długim pasku zielonego papieru tym swoim dziecięcym, kapryśnym pismem. Na górze widniała „Żałoba” drukowanymi literami, a pod spodem, jedno po drugim, równo jak pod linijkę: „Żal, Strapienie, Niedola, Nieszczęście, Ból, Cierpienie, Żalność, Męczarnie, Katusze, Rozdarte serce, Koszmary, Szok, Depresja, Przygnębienie, Rozchwianie duchowe”.

— Dlatego tak fatalnie się czujesz — powiedziała Zoe, wciskając Judy listę w rękę.

— Smutek oznacza dla ciebie właśnie to. A nie wyliczyłam wszystkich symptomów.

— Do czego mi to potrzebne? — zapytała Judy, odsuwając od siebie listę.

— Bo powinnaś doznać tego wszystkiego, a wtedy poczujesz się lepiej.

Wszystkiego.

Caro nigdy nie powiedziała by podobnej rzeczy. „Musisz żyć dalej. Tylko tyle można zrobić, kochanie, po prostu żyć dalej. Bądź sobą, a przetrwasz” — tak by powiedziała. Bo właśnie tak skomentowała dwa miłosne zawody, które Judy przeżyła przed wyjazdem do Londynu. Nie takie znowu wielkie miłości, raczej ucieleśnienie wyobrażeń Judy, niewiele mające wspólnego z rzeczywistością, niemniej oba romanse zakończyli mężczyźni. „Wybacz, Judy, naprawdę mi przykro. Jesteś taka słodka, Judy, ale...” i „Nie jestem gotowy na stały związek. To nie ma nic wspólnego z tobą, nie jestem w stanie przyjąć odpowiedzialności, nie teraz w każdym razie”.

W obu wypadkach poszła prosto do domu, do Caro, i wyszydząc siebie samą, swój wzrost, rude włosy, nieatrakcyjność, przywołując fakt, że została zaadoptowana, czepiając się każdej rzeczy, która wpadła do jej rozszalałego mózgu, szukała przyczyny najpierw wycofania się Tima, potem odejścia Eda — przygotowywanego stopniowo, zakończonego przeprosinami i usprawiedliwieniami, ale jednak odejścia. A Caro słuchała — odkąd Judy podrosła na tyle, by to pamiętać, Caro zawsze słuchała — i wreszcie powiedziała cichym spokojnym głosem, z tak samo silnym jak dawniej kalifornijskim akcentem, że Judy powinna ocalić światło w sobie i po prostu dalej wędrować przez ciemności życia. Caro uwielbiała tę metaforę. Zawsze ją przywoływała. Nawet kiedy była małym dzieckiem, Judy stale słyszała, że ma w sobie maleńki płonący kaganek, którego nikt nie może zdmuchnąć, nikt. Jej własne światło. Gdyby tylko matka wiedziała, jak bardzo pragnęła w to uwierzyć, jak bardzo starała się choć przez chwilę odczuć ten wewnętrzny żar — twój i tylko twój — którego nie sposób stłumić. Tymczasem stale miała wrażenie, że zawiodła matkę, a jej roztrzęsienie po tym, gdy została porzucona przez dwóch tak beznadziejnie pospolitych młodych mężczyzn jak Tim i Ed, dowodziło tego ostatecznie, choć może nie całkiem logicznie. Po Timie i Edzie Judy przeżyła krótki okres pozowania na wampa; malowała usta czerwoną szminką i sypiała z mężczyznami, których nie знаła zbyt dobrze. Nigdy nie wspomniała o tym Caro. Miała niejasne wrażenie, że jeśli zachowa to w sekrecie, zdoła uwolnić się od Caro, od przygnębiającej świadomości, że jest jej wybraną córką, a nie po prostu córką. „My się nie kłócimy — powiedziała kiedyś Caro o sobie i o Judy do Lyndsay — nie wiemy, co to awantura”. Już wtedy Judy zaczęła się zastanawiać, czy niekłócenie się nie jest przypadkiem dowodem — albo raczej piętnem — ciężącej nad ich wzajemnym stosunkiem kurtuazji. Kurtuazji między wybierającym i wybranym. Zapamiętała, jak uważnie przyglądała jej się podczas tamtej rozmowy Lyndsay. Była w ciąży z Hughie i miała na sobie przymarszczoną tunikę z kremowej bawełny, drukowanej w małe błękitne kwiaty bławatków, którą jej uszyła Caro. Matka w ogóle zachowywała się wobec Lyndsay niezwykle wielkodusznie, kiedy Lyndsay była w ciąży. A ta cała lista... Judy podniosła zieloną karteczkę i wpatrzyła się w nią. Nie bardzo umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego lista zrobiła na niej takie wrażenie. Świadczyła, że Zoe jej współczuje, ale na szczęście było to innego rodzaju współczucie niż to, które jej okazywali koledzy: ilekroć ich oczy spotkały się przypadkiem ze wzrokiem Judy, na ich twarzach natychmiast pojawiał się wyraz przejęcia, przestachu i niepewności. Lista Zoe była

rzeczowa, niemal podnosząca na duchu. Sugerowała, że w sytuacji, w jakiej znalazła się Judy, podobne uczucia są nieuchronne i jeśli ktoś ich nie doznaje, to właśnie z nim jest coś mocno nie w porządku. Trzeba być prawdziwym potworem, żeby nie przeżywać tego wszystkiego po śmierci matki. Klęska, której bolesna świadomość tak często towarzyszyła Judy, rodziła się z utrzymywania na siłę płomyka wewnętrznego światła, podczas gdy należało pogрузić się w ciemności.

Judy odłożyła zieloną kartkę pieczołowicie na bok i wróciła wzrokiem do monitora. Projektantka mody wyznawała, że serce jej dosłownie pęka, ilekroć musi opuścić swoją rajską samotnię w Brittany i wrócić do sklepu na Bond Street: „To mnie wyniszcza. Nie ma odpowiedniejszego słowa. Rozdziera mi serce”. Judy bardzo korciło, żeby dopisać w nawiasie kąśliwą uwagę na temat ewentualnego wpływu podobnego wyznania na lojalną klientelę, która prawdopodobnie do tej pory uważała, że to wymyślanie dla niej strojów nadaje sens życiu projektantki, i która zawartością swoich szaf opłacała umeblowany białymi kanapami dom w Brittany. Zerknęła na odłożoną listę Zoe. „Katusze, Rozdarte serce, Koszmary”. Skupiła ponownie wzrok na ekranie.

— Ty głupia krowo — powiedziała pod adresem projektantki mody. — Ty głupia, beznadziejna krowo!

Tego wieczoru Zoe wróciła z pracy z tartą ze szpinakiem w kartonowym pudełku. Pracowała jako asystentka fotografa.

— Akurat przechodziłam, kiedy obniżali cenę o półtora funta przed zamknięciem sklepu. Może nienawidzisz szpinaku?

— Tylko brukwi.

Zanim Zoe przyszła do domu, Judy wypła dwa kieliszki białego wina i zjadła pół opakowania macy, która w przedziwny sposób zarazem jej smakowała i nie smakowała. Obejrzała przy tym w telewizji teleturniej, wiadomości i program udowadniający, że rośliny czują. Brukiew też? — zastanowiła się teraz.

— Udany dzień? — zapytała Zoe. Była, podobnie jak Judy, ubrana na czarno, ale nosiła się bardziej po męsku: ciężkie trzewiki i kurtka motocyklisty.

Judy zrobiła minę.

— Niekoniecznie udany, ale nie tak do kitu jak zwykle. Mam wolną rękę, żeby napisać o marmurach.

— Hole?

— Ściany, łazienki, kuchnie i małe przytulne marmurowe sypialenki. Czemu nie. Zoe wyciągnęła rękę z kartonowym pudełkiem.

— Mam to podgrzać?

— Tak.

— Nie umiem nastawić piecyka.

— Jesteś beznadziejna — oświadczyła Judy, podnosząc się z westchnieniem z krzesła i rozsiewając wokół okruszki macy.

— To samo powtarza mój szef. Chyba zacznę się uczyć hiszpańskiego na kursach wieczorowych.

— Po co?

— Będę mogła robić na własną rękę zdjęcia osiołków i rozświetlonych wsi, zamiast zajmować się obróbką czyichś artystycznych ujęć koszy na śmieci i pociągów w metrze.

Judy poszła do kuchni. Była maleńka i pomalowana na cześć Caro w słoneczne kolory Kalifornii. Judy zrobiła to sama, niezbyt dobrze, więc spod żółci przebijały smugi starej ciemnobłękitnej farby. Zoe nie dodała do kuchennych rzeczy nic własnego, nawet kubeczek czy łyżeczki, choćby plakatu na ścianę. Kupowała codziennie coś gotowego i zjadała tam, gdzie akurat się znalazła, często na stojąco. Poza tym piła wodę prosto z kranu, korzystając z jednego z kubków Judy.

— Nie lubisz kawy?

— Oczywiście, że lubię.

— Więc...

— Wyjdę i kupię ci tyle galonów kawy, ile sobie tylko zażyczysz — przerwała Zoe — ale nie będę jej przygotowywała.

Judy otworzyła piecyk i wsunęła do niego tarte, którą przełożyła na blachę.

— Chcesz wina? — krzyknęła, dolewając sobie.

— Nie piję. — powiedziała Zoe, stając w drzwiach z pudełkiem macy.

— Boże święty. Na pewno nie?

— Nie smakuje mi. Judy...

— Naprawdę?

— Masz chłopaka?

— Nie — odpowiedziała Judy po chwili i zaraz dodała: — Założę się, że ty masz.

— Mam — odparła Zoe, wyjmując z pudełka macę. — Nigdzie nie pracuje i nic z tego nie będzie. Nawet nie jest fajnie. Ma na imię Ollie. Był dla mnie

bardzo miły, kiedy umarł ojciec. — Spojrzała Judy prosto w oczy. — A co z twoim ojcem?

— Jest farmerem — odpowiedziała pośpiesznie Judy.

— Farmerem? No, no...

— Dlaczego „no, no”? — Judy znieruchomiała przy otwartej szafce, w której szukała talerzy.

— No bo farmer. Większość ojców pracuje w ubezpieczeniach, bankach, przy komputerach i tym podobnych. Żadnych traktorów... Obejdę się bez talerza.

— Produkuje mleko. Trzyma krowy.

— Gdzie?

— W środkowej Anglii. Troszeczkę bliżej Walii.

— Tam się wychowałaś?

— Tak.

— Umiesz doić?

— Maszyny to robią — ucięła Judy, pochyliła się i otworzywszy drzwiczki piecyka, dotknęła palcem tarty.

— Ojciec został sam na tej farmie z tymi wszystkimi krowami po śmierci matki?

— Ma Garetha. No i są Joe i Lyndsay. I babcia z dziadkiem.

— Co masz taką nadąsaną minę? — zapytała Zoe. — Mówisz zupełnie, jakbyś ich wszystkich nienawidziła.

Judy zamknęła z hałasem piecyk i z kieliszkiem wina w dłoni poszła do saloniku, przeciskając się w drzwiach obok Zoe.

— Nigdy nie czułam się tam jak w domu. Nie przeszkadzało mi to, dopóki mama tam była, ponieważ ona również czuła się obco. Właściwie było to po prostu miejsce, gdzie spędziłam dzieciństwo, a nie dom. Z grubsza rzecz biorąc. — Umilkła.

Zoe stała wciąż w drzwiach kuchni, oparta o framugę, odwrócona twarzą do Judy.

— Czy to znaczy, że cię adoptowali? Judy gwałtownie skinęła głową.

— Sporo jak na jedną osobę — powiedziała Judy. — Zostać zaadoptowanym, a potem stracić matkę. Ciężko to udźwignąć. A co z twoją prawdziwą matką?

— Mieszka w Afryce Południowej. Przysyła mi na urodziny pocztówki ze zdjęciami afrykańskich krzewów i z informacjami o pogodzie na odwrocie.

Zoe postawiła pudełko z macą na podłodze i podeszła do Judy.

— Zdaje się, że chciałabyś jakoś to wszystko uładzić — powiedziała. — Nie ma sensu udawać, że jest inaczej.

— Nie należę właściwie do rodziny. — Judy objęła kieliszek obiema dłońmi. — Nic nie rozumiesz, nie znasz rolników. Są inni, Trzymają się wszyscy razem i jeśli nie urodziłeś się w rolniczej rodzinie, nie uznają cię za swojego.

— Mogłabym się temu przyjrzeć z bliska? — spytała Zoe. Judy utkwiała w niej spojrzenie.

— Przyjrzeć czemu?

— Farmie, twojemu ojcu, krowom, wszystkiemu.

— Chcesz pojechać do Tideswell?

— Tak.

— Na weekend?

— Czemu nie.

— Tarta się pali. — Judy przemknęła obok Zoe i już z kuchni zawołała: — Taka farma to raczej nudna sprawa. Pola, krowy i nic poza tym.

— Nic nie jest tak do końca nudne — oświadczyła Zoe. — No, może poza Olliem — dodała z zastanowieniem. — Więc będę mogła pojechać?

Judy pojawiła się w drzwiach kuchni, niosąc jedną połowę tarty na talerzu, a drugą na kartonowej tacce, na której Zoe ją przyniosła. Wręczyła tackę Zoe.

— Dobrze.

Zoe przysiadła na poręczu fotela Judy i ustawiła sobie jedzenie na kolanach.

— Jak wygląda twój ojciec?

— Wysoki, ciemnowłosy, burkliwy.

— Burkliwy...

— Jak większość rolników.

— Możemy pojechać w najbliższy weekend? — zapytała Zoe, podnosząc całą połówkę tarty i wygryzając kawałek ze środka.

— Dobrze.

— Zadzwońisz? Możesz zadzwonić do ojca?

Judy odstawiła talerz na stertę czasopism. Nie telefonowała do Robina od dziesięciu dni, chociaż nie było dnia, żeby nie nękało jej poczucie, że powinna. Wyobraziła sobie kuchnię w Tideswell i Robina jedzącego kolację — zupa z puszki albo może Dilys coś ugotowała — jak na dźwięk dzwonka telefonu podnosi się, mamrocząc coś pod nosem ze zniecierpliwieniem, i odkłada okulary na stronę poświęconego rolnictwu pisma, żeby zaznaczyć akapit artykułu o zapładnianiu ciężko poddających się temu zabiegowi

jałówek. „Tak?“, rzuca ze zniecierpliwieniem w słuchawkę. „Tak, farma Tideswell“. Jak zareaguje na jej prośbę? A na Zoe, z tymi jej włosami w kolorze czerwonego wina i srebrnymi pierścionkami na wszystkich palcach, i poważnymi, badawczo patrzącymi oczyma?

— Nie sprawię kłopotu — zapewniła ją Zoe. — Mogę spać gdziekolwiek.

— Nie o to chodzi...

— Słuchaj — powiedziała Zoe z pełnymi ustami. — Kupię od razu powrotny bilet na autobus i jeśli okażę się wyjątkowo uciążliwym gościem, natychmiast rano spływam.

Judy kiwnęła głową i dodała, jakby chciała nadrobić niedostatek gościnności:

— Jest tam rzeka i spore wzgórze... całkiem niedaleko. Czasami bywa naprawdę pięknie...

— Po prostu zadzwoń. Zatelefonuj do swojego ojca i powiedz mu: przywożę ze sobą znajomą. Dlaczego nie miałybyś tego zrobić? Dlaczego nie teraz?

Robin drzemał przed telewizorem, w którym nadawano właśnie wieczorne wiadomości o dziewiątej. Po śmierci Caro przyniósł do kuchni, oprócz plastikowych szufladek z dokumentami i rachunkami farmy, telewizor i dodatkowy grzejnik elektryczny. Ustawił odbiornik tak, żeby móc oglądać program z miejsca, które zwykle zajmował za wielkim, stojącym pośrodku stołem, i często wieczorami, siedząc nad zapiekanką czy gulaszem przyniesionym od Dilys przez Velmę albo Joego, zasypiał tak na jakieś dwadzieścia minut. Budził się z głową opartą na zgiętym ramieniu, tuż przy talerzu z wystygłym jedzeniem, a potem, kiedy już oddał kolację domowej kotce i obszedł, jak to zawsze robił, przeżuujące i podrzemujące krowy w oborze, nie mógł zasnąć. Padał na łóżko śmiertelnie znużony, mięśnie wołały o odpoczynek, i wsłuchiwał się pośród cichej nocy w daleki zegar na wieży kościoła w Dean Cross, który wybijał nieubłaganie godzinę po godzinie. Zapadał w ciężki, głęboki sen na pół godziny przedtem, nim przeszywał powietrze podrywający go z łóżka przeraźliwy dźwięk budzika nastawionego na za piętnaście szósta. W słabym świetle świtu myśl o Caro czaiła się w sypialni, czekała na niego w łazience, towarzyszyła, gdy schodził na dół do kuchni i szedł przez podwórze w kierunku traktora stojącego pod plandeką w magazynie na paszę, tuż obok ściany kukurydzy. Nie jej twarz, nie głos, ale niewątpliwe, choć niepełne, bolesne doznanie jej obecności. Tego przecież już nie ma, powtarzał sobie, nie ma. Kiedy telefon zadzwonił, Robin był pogrążony w niespokojnym śnie, zakłócanym dźwiękami telewizora. Wracił

do świadomości ciężko, powoli, i przez moment jeszcze siedział, patrząc ogłupiałym wzrokiem w ekran odbiornika i zastanawiając się, dlaczego podczas wywiadu z ministrem spraw zagranicznych nikt nie zadaje sobie trudu, żeby odebrać telefon nie w porę, zanim doszło do niego, że to sygnał jego własnego telefonu komórkowego, który kupił, kiedy okazało się, jak poważnie chora jest Caro, i który teraz brzęczał niezadowolony, skryty gdzieś na stole pod stertą gazet i porzuconym swetrem.

— Tak?

— Tato...

— Judy?

— Nie musisz być taki zdumiony...

— Przepraszam. Zasnąłem. Nad rybą zapiekaną w cieście, od babci.

Na chwilę zapadła cisza. W Londynie Judy obserwowana przez Zoe, w Tideswell Robin przed telewizorem, każde czekało, aż to drugie powie: „Jak się czujesz?”.

— Myślałam, czyby nie...

— Poczekaj, nic nie słyszę. Tylko ściszę telewizor. — Kiedy wrócił, zapytał: — W czym ci mogę pomóc?

— Mogłabym przyjechać? Na ten weekend?

— Oczywiście! — Jego głos zabrzmiał niemal zbyt serdecznie. — Wspaniale.

— Przyjadę z kimś...

— Przyjedziesz z kimś?

— Z moją nową współlokatorką, Zoe. Jest fotografką.

— Czemu nie? — powiedział Robin. — Czemu nie.

— Świetnie.

— Fotografką?

— Tak. Przyjedziemy autobusem w piątek. Do Stretton.

— Wyjadę po was. Powiedz mi tylko, którym autobusem, a wyjadę.

— Dziękuję. Dam ci znać. Niczego nie przygotowuj, nie rób sobie kłopotu.

— Velma pościeli łóżka — powiedział Robin. — A babcia na pewno przyśle coś dla trojga, nie dla jednego.

— W takim razie do zobaczenia w piątek.

— Tak, tak — rzucił Robin, nagle boleśnie sobie uświadamiając, jak bezsensowną prowadzą w ich sytuacji rozmowę. — Do zobaczenia w piątek.

Odłożył aparat. Biedna Judy, pomyślał w nieoczekiwanym przypląwie uczucia, biedna mała biedulka, z ojcem takim jak ja, którym gardziła, bo nie okazywał uczuć, nie miał odpowiedniego podejścia. Odtrącała go jeszcze jako

zupełnie maleńkie dziecko, jakby wiedziała, że zawsze pozostanie jej obcy i niezrozumiały; dziwaczny obcy, który będzie ją napawał lękiem, a czasem niesmakiem. Kiedy się pojawiła, ośmiomiesięczne niespokojne niemowlę o rudych włosach, Joe zaakceptował ją dużo szybciej i łatwiej niż on, Robin. Joe nie czuł się niezręcznie przy tym dziecku, rozmawiał o nim swobodnie z Caro, jakby to było naturalne, a on, Robin, zupełnie nie mógł się na to zdobyć. Pewnego dnia zastał Joego leżącego na podłodze w kuchni w roboczym kombinezonie i trzymającego wysoko nad sobą w wyprostowanych ramionach Judy, która zaśmiewała się, krzycząc, i wierzgała furiacko nóżkami. On sam nigdy nic podobnego nie robił, wiedział, że wypadnie to sztucznie. Ale próbował czytać jej książeczki, pokazywać rozmaite rzeczy na farmie, kłaść jej wyciągniętą rączkę na szerokich, wilgotnych krowich pyskach. Wytrzymała z nim kilka śmiertelnie długich minut, a potem drętwiała z napięcia w jego ramionach, odwracała od niego twarz i oczy i chciała już tylko wrócić do Caro.

Co do Caro, dała mu do zrozumienia — a kiedy Caro dawała coś do zrozumienia, brzmiało to tak, jakby ktoś inny po prostu tę rzecz wygłaszał — że odrzucił Judy, zanim w ogóle się u nich pojawiła. Caro oświadczyła mu któregoś dnia spokojnym, jak to ona, głosem, że chciałyby adoptować dziecko, a kiedy zaskoczony i zmieszany zapytał dlaczego, odparła, że bardzo pragnie dziecka, a ponieważ nie może mieć własnego, chce je zdobyć w ten sposób.

Oświadczyła mu to, stojąc przy urządzeniu do schładzania mleka, pierwszym, które Robin zainstalował w dojami. Cała ona. Nie mogła poczekać z ważnymi rozmowami, aż zasiądą do posiłku, musiała odszukać Robina, gdziekolwiek by był, i w ten swój dziwaczny, pozbawiony pośpiechu sposób powiedzieć, co miała do powiedzenia.

Zagapił się wtedy na nią, ręce ześliznęły mu się z przyrządów pomiarowych, jakby jego mózg przestał panować nad ich ruchami.

— Nie możesz mieć dzieci?

— Nie — powiedziała, stojąc przed nim w drelichowej koszuli, dżinsach, kowbojskich butach, z czerwoną wstążką wplecioną w koniec warkocza. — Kiedy miałam dziewiętnaście lat, poddano mnie operacji, ponieważ wdała się infekcja. Jestem bezpłodna. — Rozłożyła ręce. — Nic z tego.

Usiłował się kontrolować, zareagować na tę bombę w jakiś cywilizowany sposób, i nagle spostrzegł się, że krzyczy.

— Dlaczego nie powiedziałaś?! Dlaczego nie powiedziałaś tego przed ślubem?!

— Myślałam, że chcesz się ożenić ze mną, a nie z moją zdolnością do rodzenia dzieci.

— Żeniłem się z tobą, Caro, ale... — urwał, wytrącony z równowagi i zdumiony.

— Ale każdy normalny mężczyzna chce mieć dzieci. I wszystkie normalne kobiety mają dzieci, tak? To miałeś na myśli? — sformułowała na głos to, czego nie wypowiedział.

— Nie uważam cię za nienormalną. Nie uważam, że...

— Nie jestem normalna. Byłam, ale już nie jestem. Niemniej pozostałam na tyle normalna, że pragnę dziecka. To wszystko.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — zapytał znowu, tym razem niemal szeptem.

— Nie przyszło mi to do głowy. Chciałam tu zostać, przestać się włóczyć i po prostu nie przyszło mi to do głowy.

— A nie sądzisz, że powinno? Nie sądzisz, że powinnaś pomyśleć także o mnie? Rozważała to przez chwilę, a potem powiedziała grzecznym tonem:

— Może.

Wtedy znowu zaczął krzyczeć. Wywrzeszczał jej, że został oszukany, że to nie do zniesienia pozostawać w związku z kimś, kto patrzy na sprawy tak jednostronnie, że nie będzie dziedzica w Tideswell, na jego farmie, którą stworzył sam, własnymi rękami, nie korzystając z niczyich pieniędzy. Zakończył stwierdzeniem:

— Nie chcę nikogo adoptować!

— To jedyna droga, żeby mieć dziecko — powiedziała. — Naprawdę nie chcesz, żebyśmy je mieli?

Odwrócił się od niej i oparł dłonie o ścianę dojami, pomalowaną przez niego osobiście na jasnoniebieski kolor, już nieco wyblakły.

— Sam nie wiem — odparł i dodał nagle całkiem przygnębiony: — Zakładałem, że będziemy je mieli. Kiedy się wreszcie przyzwyczaisz. Myślałem, że czekamy, aż ty będziesz gotowa.

— Ależ ja jestem gotowa — oświadczyła rzeczowym tonem jego plecom. —

Dlatego właśnie rozmawiam z tobą o adopcji. Jestem gotowa, żeby mieć dziecko. Zamknął oczy i pomyślał, że kiedy się kochali — nigdy tego nie inicjowała, ale niemal zawsze chętnie przystawała na seks — on myślał sobie jedno, a ona wiedziała swoje. Nie było co dalej krzyczeć czy robić awantur;

była niewzruszona jak sama natura, nie kierująca się żadnym prawem poza swoim własnym. Oderwał dłonie od ściany.

— W porządku — powiedział.

— Chcesz go?

— Nie — wydusił przez zaciśnięte zęby. — Nie o to chodzi. Skoro i tak do tego w końcu doprowadzisz, proszę bardzo, zrób to. Ale nie oczekuj, że będę w tym ot tak, po prostu, współuczestniczył. Nie jestem w stanie w jednej sekundzie przestać wierzyć w jedno i zaakceptować drugie, nie mogę... — urwał.

— Czego nie możesz?

Odwrócił się powoli i zaczął się jej przyglądać.

— O czym jeszcze mi nie powiedziałaś?

— Wiesz wszystko, Robin. Po prostu zapomniałam o tym. Chciałabym mieć córkę. Straszliwie pragnę córki.

Już otwierał usta, chcąc powiedzieć, że nie bardzo rozumie dziewczynki, ale zrezygnował. Jaki miało sens oświadczać coś, co w ciągu ostatnich dwudziestu minut okazało się tak całkowicie jasne? W ogóle nie rozumiał ani dziewczynek, ani kobiet. Nie znał ich pragnień, nie przeczuwał nawet, co sobie mogą myśleć. A przecież bardzo chciał. Tego słonecznego letniego popołudnia stał w dojami, patrząc w gładką twarz Caro, i oddałby wszystko, żeby ją zrozumieć, wiedzieć, dlaczego pewne rzeczy robiła tak ostentacyjnie, a inne z równą łatwością pomijała. A potem zalała go fala żalu, że nigdy nie będzie miał z nią dziecka, że nawet to nie może ich połączyć, więc odwrócił się i poszedł przez dojarnię na podwórze, gdzie stały krowy, czekając na udój.

Biedna Judy. Kiepski początek dla dziecka, zwłaszcza już pokrzywdzonego przez lekkomyślne poczęcie i oddanego z wyraźną, pośpieszną ulgą. Stał przy kuchennym stole i usiłował uporządkować nieco panujący na nim bałagan; niech Velma nie ma rano zbyt wielu pretekstów do wyżywania się na nim z powodu stanu jego umysłu. Na razie sprawy wyglądały tak, że miała go jak na dłoni, znała wszystkie jego świeżo nabyte przyzwyczajenia. Velma. Musi jej zostawić wiadomość, żeby posłała łóżka dziewczynom i przygotowała ręczniki. Ziewając, wetknął we włosy okulary i zaczął przekopywać rzeczy na stole w poszukiwaniu kawałka papieru.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rose opierała się zawzięcie założeniu czystych ogrodniczek. Rzuciła się i wrzeszczała w ramionach Lyndsay, a jej twarz, okoloną aureolą jasnych loków, nadających jej złudny pozór słodkiego dziecka, oblewał szkarłatny rumieniec.

— To denerwujące — orzekł Hughie. Stał w kapeluszu pirata, który zrobił w przedszkolu z czarnego sztywnego papieru, i obserwował siostrę.

— Bardzo — przytaknęła Lyndsay.

— Uaa, uaa, uaa! — zanosila się Rose.

— Nie może po prostu zostać w pieluszce?

— Nie — odparła Lyndsay, wpychając tłustą kopiającą nóżkę w nogawkę ogrodniczek. — Judy przyjeżdża z koleżanką, a to ona podarowała te spodenki Rose na gwiazdkę.

— Mam nadzieję — powiedział Hughie, przyglądając się wzorowi z różyczek na materiale — że są przeznaczone dla dziewczyn? — Pochylił się do przodu, jakby miał wygłosić coś ważnego. — Raczej bym nie nosił kwiatów na spodniach.

— Nikt ci tego nie proponuje. Rosie, ty mała diablico. — Lyndsay przełożyła sobie uparcie wrzeszczącą córeczkę przez prawe ramię i naciągnęła jej na pupę ogrodniczki.

— Mam nadzieję, że byłem grzecznym dzieckiem — powiedział Hughie.

— Owszem, byłeś.

Schylił się i podniósł Pana Fokę, przytulankę z szarego pluszu, którą wszędzie ze sobą nosił, co doprowadzało Joego do szału.

— On ma tylko trzy lata — tłumaczyła Lyndsay. — A przy Rose...

— To jest już spory chłopczyk — odpowiadał — a nie niemowlę. Hughie wsadził sobie fokę dla wygody pod prawe ramię i wsunął kciuk do ust.

— Hughie...

— Muszę — powiedział nie wyjmując palca.

— Tata nie będzie zachwycony.

Popatrzył na nią, ssąc kciuk, a potem odwrócił się i powolnym krokiem wyszedł z pokoju. Słyszała, jak przechodzi przez podest do swojej sypialni i zdecydowanie zatrząskuje za sobą drzwi. Wiedziała, że zasiądzie w pirackim kapeluszu, z foką wciśniętą pod ramię, na dużej, wypełnionej poliestrem poduszce i będzie ssal zawzięcie kciuk.

Rose znudziło się awanturować i zaczęła się wykrecać, żeby Lyndsay postawiła ją na podłodze. Była dużym dzieckiem, dużym i silnym, jasnym jak Meredithowie, zbudowanym jak oni. Dilys pokazała kiedyś Lyndsay fotografię Joego ubranego w dziecięcy kombinezon z marynarskim kołnierzem, zrobioną w dniu jego pierwszych urodzin. Rose była ładząco do niego podobna. Szczególnie przypominała ojca, kiedy się uśmiechała, co zresztą robiła bardzo często. Promień słońca albo burza z piorunami, taka była Rose. Szkoda wielka, rozmyślała Lyndsay, zbierając rozrzucone ubranka córki i podnosząc brudną pieluszkę, że w Joem jest ostatnio tak mało słońca. Żeby chociaż przebłysk humoru, odrobina lekkości. Sprawiał wrażenie człowieka, którego spotkało coś przygnębiającego, z czego nie mógł się otrząsnąć; przesiadywał w domu milczący i obojętny, zmaltretowany, całkiem bezwolny. Coś go straszliwie absorbowało, coś napełniającego goryczą i nierozwiązywalnego bezustannie nękało jego umysł. Próbowwała czasem go wypytać — nieśmiało, bo przecież zupełnie nie знаła się na prowadzeniu farmy — czy ma jakieś kłopoty zawodowe, niepokoi się o pieniądze, zaciągnął długi.

— Nie — ucinał kategorycznie. — Nie, nic podobnego. — W jego głosie brzmiała złość. — Nic podobnego.

Lyndsay zostawiła córeczkę raczkującą po podeście w kierunku bramki chroniącej ją przed upadkiem ze schodów, którą mała uwielbiała trząść, gromko przy tym pokrzykując, i poszła do łazienki umalować się. Stanęła przy umywalce i zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Napotkała własne zaniepokojone spojrzenie; nie zdążyła zmienić wyrazu oczu na bardziej ufny i optymistyczny. No cóż, rzeczywiście była niespokojna. Nigdy by się nie spodziewała, że małżeństwo z Joem przysporzy jej tylu zmartwień. Szczerze mówiąc, poślubienie starszego o piętnaście lat mężczyzny wydawało jej się dostateczną ochroną przed niepokojem i zmartwieniami. Wydawał się taki pewny siebie, spokojny, opiekuńczy... dojrzały człowiek z ugruntowaną pozycją. „Silny i małomówny”, powiedziała matka Lyndsay, traktując to jako komplement.

To właśnie ta jego małomówność przysparzała jej kłopotów. Lyndsay rozpuściła gęste blond włosy, przeciągnęła po nich szczotką i upięła ponownie grzebieniami. W ciągu ostatnich kilku tygodni przeprowadzili zaledwie jedną rozmowę, zbyt luźno związaną z tym, co nurtowało Lyndsay, i tak z jej punktu widzenia niezadowolającą, że tylko pogłębiła jej zatroskanie. Dwa dni

temu dopadła go wreszcie po lunchu, gdy zakładał buty robocze w pomieszczeniu gospodarczym.

— Joe, Joe, proszę cię. O co chodzi? Mruknął coś, szarpiąc sznurowadła.

— Co cię nęka? Co cię trapi?

— Nic.

— Owszem, tak. Tak... Prawie się do nas nie odzywasz, wieczorami przesiadujesz przed telewizorem milczący niczym zombie. Chodzi o farmę?

Wzruszył ramionami i podniósł się na nogi. Lyndsay przemknęła obok niego i zagroziła mu drogę w drzwiach.

— Czy chodzi o farmę? — zapytała ponownie. Joe zapiął zatrzaski w kombinezonie.

— Może.

— Joe, powiedz mi! Nieważne, co to jest, ale powiedz mi! Wyciągnął ręce i położył jej na ramionach. A potem delikatnie, ale stanowczo odsunął ją od drzwi.

— Zawsze szło mi niemal zbyt łatwo — powiedział, nie patrząc na nią. — Zawsze. Ale teraz nie jest łatwo na farmie.

— Z powodu Caro? — wykrzyknęła. — Dlatego że umarła? Przez moment patrzył na nią badawczo, a potem położył rękę na klamce.

— Nie wiem — powiedział niecierpliwie. — Skąd mam wiedzieć. — Szarpnął drzwi i niemal biegiem wypadł na dwór.

Lyndsay otworzyła szafkę w łazience i wyjęła szare cienie do powiek i pędzelki.

Kiedy poznała Joego, uczyła się zawodu kosmetyczki i marzyła o otwarciu własnego salonu piękności. Nigdy dotąd nikt jej tak nie pociągał i nic ją nie obchodził jego zawód. Uprawianie roli? Nic o tym nie wiedziała, ale brzmiało wspaniale. Był w tym naprawdę dobry — pierwszy farmer w okolicy, który osiągnął trzy i pół tony z akra — będzie go miała dla siebie cały dzień, zawsze gdzieś w pobliżu, stale razem. Rzeczywistość okazała się inna. Nigdy nie było go w pobliżu. Nigdy, od samego początku, nie mogła sobie rościć żadnych praw do jego czasu. Pierwszego dnia ich pierwszych wspólnych świąt Bożego Narodzenia wyszedł w codziennym ubraniu i nie wrócił aż do zmroku, ponieważ pogoda i ziemia były akurat takie jak trzeba. Usiłowała zaprotestować, a wtedy oświadczył: „Nie mogę tego zmarnować, Lyn. Nie stać mnie na marnowanie czasu i pieniędzy”.

Wyjęła z szafki jeszcze jeden pędzelek, żeby nałożyć szminkę na wargi. To uspokajało — dobrze znany rytuał malowania, nakładania cieni, rozcierania. Na podeście Rose pokrzykiwała, waląc w bramkę, ale Lyndsay uwielbiała to; uwielbiała hałas robiony przez córeczkę. Matka twierdziła, że

Lyndsay zupełnie nie panuje nad córką. Ma rację, doszła do wniosku Lyndsay, ani nad Rose, ani nad Joem, kochanym, cudownym Joem, jej całym światem po prostu — i nie ma pojęcia, co z tym począć. Co z nimi obojgiem począć.

Dilys patrzyła przez kuchenne okno, jak Judy zajeżdża samochodem Robina na Dean Place i niewprawnie parkuje na podwórzu tuż przy składziku, w którym dawniej przechowywano paszę dla kur. Pełno ich było kiedyś na tym podwórzu, czterdzieści czy pięćdziesiąt, rzadkich ras, leghorny, welsummery, rodajlendy, bantamki. Dilys zdobywała za swoje kury nagrody, zwłaszcza za orpingtony. Ale teraz pracowite dni hodowli należały do przeszłości. Podwórze było ciche, wysprzątane, latem tylko ozdobione dwoma słupami kwitnącego purpurowo geranium, które zadziwiało zarówno kolorem, jak i niesłychanie uporządkowanym kształtem krzewów.

Przyjaciółka Judy wyglądała co najmniej dziwnie. Wysiadła z auta i rozglądała się wokół, kręcąc wystrzyżoną głową. Miała na sobie legginsy, ubranie, nad którym Dilys nieodmiennie wydziwiała, spotykając w nim ludzi z wioski, i dziwaczny ni to żakiet, ni to tunikę, zupełnie jak Szczurołap z Hameln na ilustracji z dziecięcej książki. Judy była ubrana w czarne dżinsy i długi zielony sweter, a szyję omotała przezroczystą apaszką. Dilys lubiła Judy w zielonym. Uważała, że to kolor bardzo odpowiedni dla rudowłosych. Przyjemnie też było widzieć Judy wreszcie nie samą, a we współczesnym świecie, tego nauczyła się nawet Dilys, nie można sądzić po wyglądzie, jak za dawnych dobrych czasów. Teraz należało czekać, aż ludzie sami się odsłonią. O ile oczywiście chcieli się odsłonić.

Dilys podeszła do kuchennych drzwi w towarzystwie starego springer spaniela, który kiedyś chodził na polowania z Harrym, a teraz awansował do roli psa domowego, i otworzyła je.

— Babciu — przywitała ją Judy. Nachylając się, by pocałować Dilys, poczuła towarzyszący jej nieodmiennie, odkąd pamiętała, zapach świeżo wypranej bielizny i mąki. — To jest Zoe.

— Dzień dobry, moja droga. — Dilys wyciągnęła rękę.

— Dzień dobry — odpowiedziała Zoe z uśmiechem; uśmiechała się niemal bez przerwy i powtarzała Judy: „Tu jest wspaniale. Dlaczego uważasz, że nie jest wspaniale?”.

— Wejdźcie — zaprosiła Dilys. — Nastawiłam czajnik.

— Dopiero co wypiliśmy herbatę u Lyndsay — powiedziała Judy.

— Widziałas Joego? — zapytała Dilys, rzucając jej krótkie spojrzenie.

— Nie. Pracował. Dlaczego pytasz?

— Jest ostatnio trochę przygnębiony. Tylko dlatego. — „Właściwie to się zamartwiam”, powiedziała przedwczoraj Harry'emu, szykując wieczorną herbatę. „Naprawdę się zamartwiam. Jest stale nieobecny, to nienaturalne”. — Nie to żeby było się o co martwić — Położyła pokrywkę na czajniku. — Na pewno nie o farmę. W końcu prowadzę księgi, więc bym wiedziała.

— Uniosła czajnik. — Bilans całkiem nieźle wygląda. Jak zawsze zresztą. Zaprowadziła je do długiego kuchennego stołu, przykrytego na jednym końcu obrusem w niebieską kratkę. Stał na nim talerz z ułożonymi wachlarzowato kawałkami kruchego ciasta.

— Babciu, my nie...

— Jestem pewna, że dacie radę. — Dilys spojrzała na Zoe, a potem wskazała głową na ciasto. — Upiekłam je dziś rano.

— Cudownie — oznajmiła Zoe. — Nic tu nie robię, tylko jem. Skoro zjadłam dwa śniadania, nie widzę powodu, żeby nie wypić dwóch herbat. — Zasiadła wygodnie za stołem, opierając łokcie na obrusie w niebieską kratkę. — W życiu nie dostawałam niczego do jedzenia przy herbacie.

— Co sądzisz o ojcu? — zwróciła się Dilys do Judy, nalewając wrzącą wodę do fajansowego kremowego czajniczka ozdobionego wianuszkiem malowanych kwiatków.

— Sama nie wiem — Judy patrzyła na znajome aż do bólu naczynie. — Trudno coś powiedzieć. Strasznie chudy.

— Posyłam mu codziennie gorący posiłek, a on oddaje go kotu — powiedziała Dilys z dezaprobatą. — Velma zbiera rano talerze z podłogi.

Zoe poczęstowała się ciastem; odgryzła kawałek, siejąc okruszki.

— Dlaczego miałby mieć apetyt? — powiedziała. — Przecież jest w żałobie.

Dilys zacisnęła wargi. Odezwanie zupełnie nie na miejscu.

— Ciężko pracuje — powiedziała do Zoe, odstawiając czajniczek na podstawkę z drewnianych koralików.

— To nie oznacza, że przestał odczuwać — odparła Zoe nie zrażona.

— Farmerzy nie zwykli sobie folgować — oświadczyła Dilys stanowczym tonem.

— Nie zostawiamy spraw ich własnemu biegowi. Nie da się powstrzymać upływu czasu ani przyływu morza.

Judy, siedząca naprzeciwko Zoe, próbowała ściągnąć ją wzrokiem i dać do zrozumienia, by zamilkła.

— On sobie nie folguje — kontynuowała Zoe, ignorując wysiłki Judy. — Robi, co do niego należy. Ale cierpi. To widać.

— Zoe... — powiedziała Judy.

— Chyba sama to widzisz. — Zoe przeniosła spojrzenie wielkich oczu na Judy. — Kto jak kto, ale ty powinnaś go rozumieć.

Judy spuściła oczy. Dilys zaczęła nalewać herbatę do filiżanek ozdobionych rysunkiem bązanta, z serwisu, który dostała w prezencie ślubnym. Nie znosiła kubków. Pozwalała Harry'emu pić z kubka tylko późnym rankiem, kiedy wracał po kłótni z Joem na temat nowoczesnych metod uprawy. „Nie powinieneś denerwować Joego”, powtarzała niezmiennie przy takich okazjach Dilys. „Wie, co robi. Joe umie przewidywać, do czego ty nigdy nie byłeś zdolny”. Nie chciała, by starczy upór Harry'ego hamował syna, był dla niego źródłem kłopotów. Dilys mogła znieść to, że Harry czy Robin miewali kłopoty, ale gdy szło o Joego, na samą myśl o tym skóra na niej cierpła.

— My tu nie przywykliśmy rozmawiać o cierpieniu, kochanie — powiedziała. — Nie roztrząsamy uczuć. Rzeczowi z nas ludzie.

Zoe rozejrzała się po skromnie urządzonej, nieskazitelnie czystej kuchni, w której każda rzecz, po najmniejszą filiżankę, tkwiła na swoim miejscu.

— Rozumiem — powiedziała naturalnym tonem.

— Może chodzi o farmę — wtrąciła szybko Judy. — Miał zły dzień w czwartek. Musiał wieźć z powrotem trzy krowy z aukcji, bo coś było z nimi nie w porządku. Przynajmniej prowadzący aukcję tak twierdził.

Dilys cmoknęła. Podsunęła Zoe ciasto.

— Pracujesz z Judy?

— Nie. Jestem fotografką. W każdym razie usiłuję nią zostać.

Wstała o wpół do szóstej, żeby fotografować w dojami Garetha, dwa szeregi dużych czarno-białych krów, wijące się gumowe węże mechanicznej dojarki, wielkie słoje ze szkła, wypełniające się ciepłym białym mlekiem. Garethowi podobało się, że z nim była, czuł się szczęśliwy, pozując, kiedy go o to prosiła, zakładając gumowe końcówki na wymiona, spryskując je potem sprayem, wyprowadzając w bladym świetle wstającego poranka karną gromadkę krów na podwórze. Miała na sobie, tak jak on, kombinezon roboczy; natknęła się na ten kombinezon pod drzwiami sypialni, kiedy za dwadzieścia pięć szósta szła do łazienki. Leżał porządnie złożony na podłodze razem z parą wełnianych grubych skarpet. Takie same zakładał zwykle jej ojciec do ciężkich butów, które lubił nosić. Pewnie Robin to wszystko dla niej zostawił. Bądź co bądź świadczyło to o jakimś ludzkim, ciepłym podejściu, i Zoe to doceniła.

— Porobiłam dzisiaj rano zdjęcia w dojami, a przed chwilą dzieciom Lyndsay — opowiadała Dilys, żeby ułagodzić Judy. — Ten jej mały synek jest uroczy.

— Owszem, uroczy — przyznała Dilys. — Wrodził się w matkę. Za to Rose to prawdziwa Meredithówna. Istna skóra zdarta z Meredithów.

Judy podniosła filiżankę, jakby chciała w niej skryć twarz. Najchętniej by stąd wyszła; niechby wreszcie dobiegła końca ta dziwna, niezręczna wizyta. Można by było zabrać Zoe w jakieś miejsce, gdzie przestałaby łamać reguły, których istnienia nawet nie podejrzewała. Dilys była wyraźnie wytracona z równowagi przez Zoe, jej wygląd i bezpośredniość w wyrażaniu myśli. Lyndsay przewidziała coś podobnego: — Tylko nie przerażcie babci — ostrzegła.

— Nic na to nie poradzę. Musimy iść — odpowiedziała jej Judy. Z twarzą wciąż pochyloną nad parującą herbatą, Judy zapytała:

— Gdzie jest dziadek?

— Porządkuje żywopłot. Na dziesięcioakrowym polu. Chciał go trochę przetrzebić, żeby łatwiej było orać w poprzek, ale Joe mu nie pozwolił. Twierdzi, że naruszyłyby poprzeczniaki.

Judy odstawiła filiżankę i wstała.

— Może pójdziemy go poszukać.

— Ucieszy się — powiedziała Dilys. — Możecie mu zanieść termos ze świeżą herbatą. Na pewno starą już wypił. — Spojrzała na Zoe. — Przyjemnie było cię poznać, moja droga.

— Mnie też było miło — odpowiedziała Zoe, odwzajemniając spojrzenie.

— Jezusie — powiedziała Judy, skręcając samochodem na podwórzu. — Przepraszam za to wszystko.

— Co konkretnie masz na myśli?

— Babcię, oczywiście. Zawsze i wszędzie te jej gotowe sztywne zasady...

— Spodobała mi się — stwierdziła Zoe. — Nawet jeśli ja jej nie, to niczego nie zmienia. Ty też nie myślisz tak samo jak ja.

— Nie — przyznała Judy z zazdrością. — Nie tak jak ty.

— A skoro już mowa o podobaniu — Zoe podciągnęła nogi do piersi, opierając stopy na brzegu fotela, i objęła kolana ramionami — to dlaczego aż tak ci się tutaj nie podoba?

— Zoe, nie wiesz, jak tu jest...

— Oczywiście, że nie wiem. Ale przecież widzę. Ciężkie do życia miejsce, ale to nie powód, żeby go nienawidzić.

— Nie czuję żadnej nienawiści.

Zoe przyglądała jej się przez chwilę, a potem skierowała wzrok z powrotem na przednią szybę.

— Nie? Cóż, mogę tylko powiedzieć, że wspaniale udajesz.

Harry kończył przycinać siódmy jard żywopłotu ciągnącego się wzdłuż dziesięcioakrowego pola od strony, z której zawiewał ostry północno-wschodni wiatr, wciskający się w najdrobniejszą szczelinę. Pracował w skórzanych rękawiczkach, które dostał specjalnie do tej roboty od ojca czterdzieści lat temu, popękanych i sztywnych jak skorupa, dopóki nie ułożyły się od ciepła rąk. Mógłby kupić nowe, ale lubił właśnie te. Lubiał związane z nimi wspomnienia.

Nigdy nie był wprawny w formowaniu żywopłotu. Ojciec nauczył go tej sztuki zgodnie ze wzorami starej środkowej Anglii: zaciąć głęboko nożem ogrodniczym pędy i wpleść je poziomo, by wzmocnić i zagęścić szpaler. Ale z żywopłotu Harry'ego wystawało zawsze zbyt wiele odłupanych końców gałązek, nie umiał też ich zapleść tak, by dawał całkowitą ochronę przed wiatrem. Niemniej Harry pracował jak należy. I to mu wystarczało: pracować jak należy. Nie nękało go, tak jak Dilys, pragnienie, by być lepszym albo najlepszym, co zresztą odziedziczył po niej Joe. Ale już nie Robin. Odkąd Harry pamiętał, Robin pragnął czegoś innego. Mogłeś go chcieć sobie podporządkować, a i tak robił swoje ze wzruszeniem ramion, choćby to nawet oznaczało trudności i długi. Powinien sprzedać stado, dom, ziemię, a potem wydzierżawić ją na powrót już jako grunt rolny. Zwalić komu innemu na głowę kłopoty. Nigdy mu tego oczywiście nie powiedział. Podobnie jak nie pytał teraz Joego: „Co z tobą nie w porządku, synu?”. Nie robi się czegoś takiego. I nie chodziło o respektowanie czyjejś prywatności, nawet jeśli tym kimś był własny syn; raczej o prawo każdego mężczyzny do samodzielnego stanowienia o sobie, wzięcia na siebie odpowiedzialności, o prawo do rozwiązania albo znoszenia problemów, które z tego wynikały.

Na drodze, która biegła wzdłuż pola, pojawił się jadący powoli samochód.

Zatrzymał się przy bramie o dwadzieścia jardów od Harry'ego. Auto Robina. Czego mógł chcieć w sobotę po południu? Harry usłyszał odgłos zamykania dwojga samochodowych drzwi, a potem zobaczył ponad żywopłotem rudą głowę Judy, która wdrapywała się na bramę, a obok drugą głowę, ciemniejszą. Judy zeskoczyła na pole i zaczęła wymachiwać termosem.

— Wspaniale! — krzyknął Harry. — Wspaniale!

Zaczął iść sztywno i pośpiesznie w jej kierunku, ściągając z dłoni rękawiczki i wpychając je do kieszeni kombinezonu. Zapomniał o przyjeździe wnuczki, w ogóle o wszystkim zapomniał po tej ohydnej porannej awanturze,

którą urządził mu Joe, kategorycznie zabraniając wyrywać z ziemi korzenie żywopłotu.

— Zajmie mi to zaledwie parę dni. Posłużę się wyciągarką.

— Nie, tato. Nie, nie. Niczego nie będziesz wyrywać. Czy ty nigdy nie wybiegasz myślą dalej niż poza dzień jutrzejszy? Nigdy nie patrzysz dalej niż na czubek twojego cholernego nosa?

— Dziadku — powiedziała Judy z wyraźną przyjemnością. Objęła go i poczuła jego solidnie zbudowane ciało, jak pień drzewa, jak stary porządny wiejski mebel.

— Moja dziewczynka — powiedział Harry, poklepując ją. — Moja dziewczynka.

— To jest Zoe.

— Cześć, Zoe — uśmiechnął się Harry. Śmieszne stworzenie. Twarz kobiety, włosy chłopca. Spoglądała na żywopłot, tę część, którą przygiął i zaplótł.

— To trudne?

— Nie tak bardzo, jak na to wygląda, kiedy się na mnie patrzy. Widziałaś się z babcią?

— A z Joem?

— O co tutaj chodzi? — zapytała Judy. — Babcia też nas o to pytała. Nie, nie widziałam się z Joem. Spotkałyśmy się tylko z Lyndsay i dziećmiakami.

Harry chrząknął i rzucił spojrzenie na Zoe.

— Pierwszy raz na farmie?

— Tak.

— Okropne życie. Okropne. Trzeba być szalonym, żeby tak żyć.

— Też tak sądzę — przytaknęła Judy.

— Dlaczego więc tak żyjecie? — zapytała Zoe.

— Bo nie umiemy robić nic innego. Rodzimy się z tym, to przechodzi z ojca na syna. Nawet w czasie wojny, kiedy ugrzązłem gdzieś we Włoszech, nie mogłem myśleć o niczym, jak tylko o tej przeklętej farmie. A miałem wtedy dziewiętnaście lat.

— Mama... — powiedziała Judy i umilkła. Zoe popatrzyła na nią.

— No. mów.

— Mama zawsze powtarzała, że nawet w święta tata patrzył na krajobraz tylko po to, żeby zobaczyć, czy jest należycie zagospodarowany. Jedynym wyjątkiem był ich pobyt w Tunezji, bo nie było tam farm do oglądania, tylko piasek i wielbłądy.

Miałam siedem lat i mieszkałam przez ten czas u was.

Tak.

— Obsesja — powiedziała Zoe. — Obsesje bywają interesujące.

— Aha. I przerażające — stwierdziła Judy, wręczając termos Harry'emu.

— Herbata dla ciebie, dziadku.

Spoglądał na nią przez chwilę, zanim wziął termos, i nagle jego oczy wydały się Judy bardzo stare — wyblakłe źrenice i przygaszony kolor tęczówki. Z ukłuciem bólu pomyślała, że dziadek jest w wieku, kiedy się umiera, kiedy świat dokoła nuży, traci blask, okrywa się mgłą, a nie w wieku Caro. Nie miał już nic do zrobienia, nikogo, komu byłby potrzebny.

— Lepiej będzie, jak wrócę do roboty — powiedział Harry łagodnie.

— Dobrze.

— Inaczej będę miał na karku wujka Joego. Judy pochyliła się i pocałowała go znowu.

— Może zobaczymy się jutro.

— W porządku. — Harry wyciągnął rękę do Zoe. — Więc do zobaczenia.

— Do zobaczenia — odparła, uśmiechając się do niego. Kiedy szły wzdłuż żywopłotu z powrotem do samochodu, zobaczył, jak Zoe pokazuje ręką na jego całodzienny urobek.

— Założę się — usłyszał — że to potrafiłabym zrobić. Założę się, że umiałabym.

— Myślicie, że damy radę sami coś z tym zrobić? — zapytał Robin, pokazując na kupionego w supermarkecie kurczaka, który leżał na kuchennym stole, opakowany w folię i związany do pieczenia.

— Zjeść to ja mogę — powiedziała Zoe — ale przyrządzić nie potrafię.

— To coś jak ja. Judy?

— Zgoda. Pod warunkiem, że pozmywacie. Masz ziemniaki?

— Pewnie są jakieś w spiżarni. — Wskazał na plastikową beczułkę z jabłecznikiem.

— Coś do picia, dziewczyny?

— Zoe nie pije — poinformowała go Judy.

— Naprawdę?

— Nie — potwierdziła. — Nie smakuje mi. ? Robin popatrzył na nią.

— Raczej niezwykle — rzekł.

— Dziękuję za kombinezon. I skarpetki.

— Nic takiego.

— Podobało mi się dojenie. — Zoe przysiadła na brzegu kuchennego stołu.

— Jutro znowu pójde.

— Nie wcześniej aż obierzesz ziemniaki — odezwała się Judy.

Robin przekręcił kranik plastikowej beczułki, nappełnił szklanę jabłecznikiem i wręczył ją Judy. Biorąc ją, o mały włos nie spojrziała mu w oczy.

— Dzięki.

— Już lepiej wyglądasz.

Odwróciła się od niego i zaczęła odzierać kurczę z plastikowej osłonki.

— Co ty tam wiesz.

Zoe przechyliła się ku niej nad stołem,

— Ej, ej, nie pogryź go...

Judy nie odpowiedziała. Robin też lepiej wyglądał, już nie tak wymizerowany, cienie pod jego oczami nieco się zmniejszyły. Powinien pójść do fryzjera, w każdym razie w normalnym stanie rzeczy już dawno by poszedł. Inna rzecz, że do twarzy mu było z dłuższymi włosami, nie miał tak wyostrzonych rysów. Ale nie będzie się jej przypochlebiał przy Zoe. To nieuczciwe.

— Przyniosę ziemniaki — powiedział Robin. — Czy my jesteśmy bardzo głodni?

— Niekoniecznie. Właściwie cały czas coś jadłyśmy. Najpierw u Lyndsay, potem u babci. Aha, zanim nas zdążysz zapytać: nie, nie widziałyśmy Joego.

Robin, z ręką na kłamce spiżarni, już otwierał usta, by powiedzieć, że ostatnio w ogóle nie widuje się z bratem, ale zrezygnował. Kiedy obie dziewczyny wyszły, wpadł do Joego, żeby się z nim zobaczyć, ale zastał tylko Lyndsay pomagającą synkowi napisać „Hughie” i Rose jeżdżącą z łomotem wokół nich po kuchni w chodziku na kółkach.

— Patrz — powiedział Hughie. — Duże „J”. Duże „H” jest moje.

— Całkiem nieźle, synu.

Lyndsay wyglądała na zmęczoną, miała na twarzy wyraz znużenia.

— Nie ma Joego. Nie pamiętam, czy powiedział, co będzie robił po południu, ale chyba nie zjawi się przed zmierzchem.

— Mogę poczekać — rzekł Robin.

Rose przypędziła z drugiego końca kuchni, pokrzykując, i wyciągnęła ramionka, domagając się uwagi Robina.

— Cześć, Rosie.

— Zachowuje się okropnie — poskarżyła się Lyndsay. — Całe popołudnie. Zawsze czuła się odrobinę niezręcznie w obecności Robina... był taki masywny, emanowała z niego samotność... To pewnie dlatego czuła się w obowiązku usprawiedliwiać z rzeczy, z których jak sądziła, mógł być niezadowolony, na przykład z niesforności

Rose. Tymczasem on wstał i wyjął Rose z chodzika, co małą wyraźnie zachwyciło.
— Niach-niach-niach — zagruchała do niego. — Niach-niach-niach.
— Krzepka z ciebie kobietka — powiedział Robin. Rose promieniała. — Co myślisz o tej znajomej Judy? — zwrócił się do Lyndsay.
— Miła. Raczej niezwykła. Hughie ją wręcz uwielbia.
— Wcale nie — zaprzeczył Hughie głośno i wyraźnie.
— Dobrze wpływa na Judy, nie jest już tak ponura. Podobno wstała o wpół do szóstej zobaczyć, jak się doi krowy...
Rose położyła dłoń na policzku Robina.
— Lepisz się, malutka.
— Ona zawsze się lepi — powiedziała Lyndsay i dodała w przypiływie ufności wywołanej niezwykłym widokiem Robina z dzieckiem w ramionach:
— Robin, jestem... — urwała, uświadomiwszy sobie, że Hughie słucha, i dokończyła bezgłośnie: — Boję się o Joego.
Kiwnął głową.
— Wiem. ?
— I twoja matka...
— Tak.
— Czy mógłbyś... mógłbyś z nim porozmawiać? Wybadać, o co chodzi? Rose zaczęła się domagać, żeby postawić ją z powrotem na podłodze.
Robin pochylił się i włożył ją do chodzika.
— Spróbuję.
Lyndsay wstała. Popatrzyła na Robina stojącego w roboczym ubraniu w jej kuchni i nagle ogarnęła ją pokusa, by do niego podejść, dzieci nie dzieci, oprzeć się o niego, wtulić twarz w granatowy drelich i poprosić: „Pomóż mi, pomóż mi. Nie wiem, co robić. Jestem u kresu wytrzymałości”.
— Muszę wracać — powiedział Robin. Położył rękę na głowie Hughiego.
— Ćwicz pisanie. I powiedz tatusiowi, że chciałbym z nim zamienić słowo, dobrze?
— O czym? — spytał Hughie, rysując zamaszyste „H” czerwonym ołówkiem.
— O nawozach — odparł Robin i dotknął ramienia Lyndsay. Przed chwilą wyglądała tak, jakby miała wybuchnąć płaczem.
— Zrobię, co będę mógł.
Nie tak znowu wiele, myślał teraz, otwierając drzwi spiżarni. Zresztą jak mogłoby być inaczej, kiedy nie wie, o co pytać, a Joe prawdopodobnie co odpowiedzieć? Na pozór wszystko szło normalnie. Pola w Dean Place były

uprzątnięte, żywopłoty ponaprawiane, rachunki popłacone. Co do tego ostatniego Robin nie miał wątpliwości — pod pieczę Dilys nie mogło być inaczej. Na mocy niepisanej umowy on i Joe nigdy nie rozmawiali o pieniądzach, wręcz wystrzegali się tego tematu, niemniej sądząc po wyglądzie farmy i wzięwszy pod uwagę fakt, że Dilys prowadziła księgi, należało wykluczyć kłopoty finansowe. Gdyby Caro wciąż żyła, prawdopodobnie instynktownie wyczułaby, co gnębi Joego, gdyby żyła, być może w ogóle nie byłoby problemu. Małomówność i powściągliwość to nasze przekleństwo, doszedł do wniosku Robin i zdumiał się, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy. Przekleństwo. Zupełnie jakby się żyło w okowach. Nagarnął na szufelkę ziemniaków z zakurzonego papierowego worka. Judy śmiała się w kuchni, prawdopodobnie z czegoś, co powiedziała Zoe. Podobała mu się zuchwała bezpośredniość Zoe, naturalność, jak u zwierząt. Albo dzieci. Na przykład Rose dzisiaj po południu: podnieś mnie do góry, postaw mnie na ziemi, żadnego krygowania się, przystosowywania do życzeń innych ludzi. Wrócił do kuchni i wysypał ziemniaki do zlewu.

— Specjalnie dla ciebie — powiedział do Zoe.

— Fajnie — odparła. — I co mam z nimi zrobić?

— Obrać. .

— Na sucho czy na mokro? Robin spojrzał na nią.

— Gdzieś ty się uchowala?

— Dorastałam w Tottenham i jestem typowym dzieckiem karmionym jedzeniem na wynos. Dlatego mam wygląd zagłodzonego żołnierzyka z czasów pierwszej wojny światowej. Jestem poważnie niedożywiona.

— Nie słuchaj jej — wtrąciła Judy. — Może jeść przez cały dzień, jak koń. Robin uśmiechnął się, otworzył szufladę i zaczął szukać skrobaczki do warzyw.

— Proszę bardzo — powiedział, wręczając ją Zoe. Nawet nie wyciągnęła ręki.

— Ale obrzydliwość — stwierdziła. — Wygląda jak narzędzie używane w dziewiętnastym wieku przy przymusowych badaniach prostytutek.

— Zoe!

— Stań wreszcie przy tym zlewie — powiedział Robin — i napełnij go wodą. Zimną.

— Zimną?! — powtórzyła Zoe. — Nie bez powodu zawsze uważałam, że gotowanie to idiotyczna sprawa.

— No, pośpiesz się.

Podeszła do zlewu i włożyła zatyczkę.

— Te wasze ziemniaki zupełnie nie przypominają londyńskich. W Londynie sprzedaje się je na tackach i mają ser w środku. No dobrze — zwróciła się do Robina. — Pokaż mi, jak to się robi.

Judy wkładająca właśnie połówkę cytryny i grudkę masła do wnętrza kurczaka — kochanego masełka, jak zawsze mówiła Caro — podniosła głowę znad stołu i spojrzała na nich. Robin, pochylony nad zlewem z ziemniakiem w jednej, a skrobaczką w drugiej ręce, i Zoe — podparta łokciami na suszarce, obserwująca go z zainteresowaniem dziecka gapiącego się w ekran telewizora. Podpuszczała go czy z nim flirtowała? I dlaczego w jej obecności blakły cienie, rozplywały się, jakby wracało tutaj życie, zacierając wspomnienia? Judy przewróciła kurczaka grzbietem do góry i ułożyła go na brytfance do pieczenia mięsa. Tak jak robiła to Caro. Jak ją tego nauczyła.

— No dobrze — powiedział Robin. Judy usłyszała plusk skrobaczki wpadającej do wody. — Twoja kolej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Targ bydła w Stretton mieścił się przy obwodnicy między fabryką lodów a biurami okręgowego Urzędu Energetycznego. Nie-porzadnie wyglądające domy aukcyjne i parkingi zajmowały dość rozległy obszar. Panowała powszechna opinia, że można tu korzystnie sprzedać na wagę wszelki żywy inwentarz kopytny. Ogromny nowy budynek z arenami aukcyjnymi dla bydła i cieląt stał w jednym końcu placu, nad drugim rozciągał się olbrzymi dach przykrywający zagrody, w których tłoczyły się owce i świnie ściśnięte jak daktyle w paczce. Pomędzy nimi biegł pasaż dla pieszych, z bankami, hurtowniami sprzętu rolniczego, sklepami ogrodniczymi i z artykułami dla domowych pupili. Tu także był „Charolais Diner”, reklamujący się menu wypisanym na wielkim białym byku, który stał przed wejściem, a serwujący jak dzień długi śniadanie w cenie dwóch funtów dziewięćdziesięciu pięciu centów. Robin podjechał land-roverem na parking, starając się zatrzymać jak najbliżej głównego domu aukcyjnego, tuż koło tablicy z cenami: owce: 10,15; krowy i młode cielęta: 10,45; cielęta: 11,15; bydło opasowe i jałówki: 12,00. W przyczepie miał pięć dwutygodniowych byczków. Stały z głowami przy przeciwległej do opuszczanej klapy ścianie, jakby chciały odciąć się od całego tego załadowywania i wyładowywania. Robin z Garethem załadowali je godzinę temu; przytrzymując jedną ręką za prowizoryczne kantary z konopnego powrózka, a drugą za ogony, przymusili je, by wbiegły do przyczepy.

— Nigdy tego nie lubiłem — powiedział Gareth. — Nie lubię patrzeć, jak odjeżdżają.

Robin chrząknął. Też tego nie lubił; nie w dzisiejszych czasach, kiedy nie można było mieć pewności, że pożyją, tuczone, swoje osiemnaście miesięcy, a jeszcze bardziej nie lubił sprzedawać jałówek. Wystawianie krów na aukcji budziło w nim poczucie klęski, tym silniejsze, że jałówki niczemu nie były winne i tym dotkliwsze, im stawał się starszy. Niemniej nie zamierzał wszczynać z Garethem dyskusji na temat etyki hodowcy, ponieważ Gareth zawsze przy takich okazjach przerywał pracę, szukał wzrokiem jakiegokolwiek punktu, o który można by zaczepić wzrok, i zaczynał długo i wytrwale dowodzić swego. Gareth taki już był: nie umiał mówić i pracować jednocześnie, i Robin musiał stale przypominać sobie, że płaci mu jednak za pracę.

— Nie mam zamiaru wracać — oświadczył godzinę temu Garethowi — bez co najmniej siedmiu setek za wszystkie.

Teraz wysiadł z land-rovera i podszedł do przyczepy, żeby zwolnić rygle. Dwóch pracujących na miejscu pastuchów w beretach i płowych kombinezonach zaczęło ustawiać płotki wyznaczające drogę od przyczepy do zagród, w których cielaki czekały, aż stosunkowo niewiele od nich starszy chłopak przepędzi je przez wypełnioną pobrzękiwaniem i pokrzykiwaniem aukcyjną arenę. Jeden z mężczyzn trzymał wiaderko z klejem i drewnianą łopatkę, żeby przykleić etykietkę do każdego małego byczego zadka, który wynurzy się z przyczepy.

— Robin...

Trzymając ręce na klapie, odwrócił głowę i spojrział przez ramię. Zobaczył Joego. Stał w roboczym ubraniu, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie.

— Co ty tu robisz?

— Właściwie nic. Oglądam bydło...

— A po co? — spytał Robin i dodał: — No dalej, pomóż nam z tym.

— Pomyślałem, że może by mi to odpowiadało — powiedział Joe, podtrzymując klapę z drugiej strony. — Mieć jakieś zwierzęta na farmie, może by wniosły trochę życia. Po prostu parę sztuk bydła.

— Ojciec wie o tym?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Tata nie chce nic zmieniać.

— Jeśli to jest zmiana dla samej zmiany...

— No, nie wiem — powiedział Joe. — Nie jestem pewny. Ale wiem, że chciałbym jakiejś zmiany.

Opuścili powoli klapę, tak że utworzyła ukośne zejście i pięć byczków przytuliło się do przeciwległej ściany.

— Biedne małe gnojki.

— Tylko nie zaczynaj, Gareth i tak jest w kiepskim nastroju. Można by pomyśleć, że wystawiam na sprzedaż jego własne dzieci.

Joe obserwował, jak Robin wchodzi do przyczepy i przenosi byczki, jednego po drugim, na skraj prowizorycznej rampy. W ich przypominających skrzydła uszach dyndały plastikowe plakietki identyfikacyjne. Joe przypominał sobie, jak przywiózł tutaj Lyndsay, kiedy byli jeszcze zaręczeni, bo chciał jej pokazać, na czym naprawdę polega bycie farmerem, uzmysłowić, że przepędzanie krów przez podzwaniające bramki aren aukcyjnych i sprzedawanie ich na rzeź do fabryk pakujących mięso w paczuszki po tyle to a

tyle pensów za kilo, jest czymś absolutnie nieuniknionym. Płakała przez całą drogę powrotną do Dean Place, głęboko zmartwiona tym, co zobaczyła, jak i tym, że jej wyobrażenia o gospodarowaniu na farmie legły w gruzach.

— Tam były cielaczki — szlochała w rękaw Caro, którą Joe przywiózł, by ją pocieszyła, spróbowała pogodzić z realiami produkowania jedzenia.

— Wiem. Wiem — powiedziała Caro. — Są tak piękne, że nie powinno ich to spotykać.

— Może nie trzeba było jej tam zabierać — usprawiedliwiał się Joe później. — Niechby miała złudzenie, że farma to tylko wielkie pole owsa. W końcu tyle z tego widzi.

— No... nie wiem — mówiła powoli Caro, a on wciąż pamiętał nieprzeniknione spojrzenie jej brązowych oczu. — Nie wiem. Nigdy nie wiadomo, ile prawdy chcemy poznać.

Bramka zamknęła się za ostatnim byczkiem, który przez nią przeszedł.

Joe stał, patrząc za cielakami z tym uparcie nieobecny wyrazem twarzy, który Robin zauważył już na pogrzebie Caro. Jakby nagiął własny umysł do niewidzenia tego, co widzi, żeby nie być zmuszonym do reakcji. Robin zszedł z pokrytej żdźbłami słomy rampy i położył dłoń na ramieniu Joego.

— Chcesz mi coś powiedzieć? Joe potrząsnął głową.

— Jeśli chcesz popatrzeć na aukcję, pójdę z tobą.

— Powinienem wracać — odparł Joe z westchnieniem. — Sam nie bardzo wiem, co tu robię...

— Oglądasz bydło. To twoje słowa.

— No tak.

— Bo chcesz coś zmienić.

Tym razem Joe nic nie powiedział.

— Ja zresztą też — stwierdził Robin. — Też chcę coś zmienić. Chcę mieć już ten rozdział za sobą.

Joe popatrzył na niego przeciągle, posepnie, nieszczęśliwym wzrokiem.

— Skoro kupienie bydła ma ci pomóc, kup bydło.

— Nie jestem tego całkiem pewien...

— Nie — potwierdził Robin. — Nikt z nas nie jest niczego pewien. Zawsze coś nas spotyka po raz pierwszy. Po raz pierwszy straciłem żonę. — Odwrócił wzrok.

Cisnęło mu się na usta wyznanie, że pragnie tak usilnie powrotu Caro nie dla niej samej, ale żeby zadać jej parę pytań, dotyczących takich rzeczy jak porzucenie, zdrada, zaufanie

— i zażądać odpowiedzi. Ale to nie byłoby fair. Z czymkolwiek Joe się zmagał, było oczywiste, że jest to dla niego wystarczająco ciężkie. Niepotrzebne mu rewelacje o myślach kłębiących się w głowie Robina, o nie rozwiązanych między nim a Caro kwestiach.

— Nie kochałem jej — odezwał się nieoczekiwanie Joe. — To znaczy nie tak... Robin czekał. Lekki podmuch wiatru podrywał słomę z rampy i ciskał mu ją na nogi.

— Ja... — Joe rozłożył ręce, a potem zacisnął je w pięści.

— Teraz, kiedy odeszła, wydaje się, że jakoś to wszystko dzięki niej miało sens... można było mieć nadzieję...

Robin zawahał się. Współczucie dla brata powoli zabarwiało się gniewem. Wyjął kluczyki do samochodu z kieszeni spodni i zaczął nimi kołysać w dłoni.

— Uważaj no — powiedział.

— Ja nigdy...

— Nie — powiedział Robin. — Nie. Nie podejrzewam, żebyś był. Robisz wokół tego za dużo szumu, kapujesz? Zawsze wszystko miałeś podane jak na tacy, więc po prostu daj sobie spokój i nie rób szumu.

Zostawił land-rovera razem z przyczepą na parkingu tuż obok niemal bliźniaczego samochodu, w którym siedział czujnie wyprostowany bursztynowooki owczarek, i skierował się ku arenie aukcyjnej, znajdującej się w wielkim, zbudowanym ze szkła i betonu budynku, przypominającym dworzec autobusowy. Wewnętrzne schody prowadziły do amfiteatralnej widowni, skąd można było obserwować przebieg aukcji. Na ceglanych stopniach amfiteatru stało w tej chwili ze trzydzieści, czterdzieści osób, wspierając się na metalowych poręczach chroniących przed upadkiem — farmerów w różnym wieku, wśród których widać było kilka kobiet ubranych po męsku i grupkę twardych wiejskich dziewcząt w kaloszach do konnej jazdy, z papierosami w rękach, bezustannie odgarniających z twarzy swobodnie rozpuszczone włosy.

Na zamocowanych tuż przy arenie stołkach siedzieli licytujący: paru farmerów, którzy kupowali dla siebie, i ludzi, których przysłała rzeźnia. Tych ostatnich widywało się tutaj we wszystkie targowe dni, zima czy lato, zawsze w tych samych bezkształtnych przeciwdeszczowych ubraniach w kolorze zleżalej słomy. Siadywali z łokciami opartymi o obmurowanie wybiegu, wykonując od czasu do czasu nieznaczny gest ręką, jak przystało na doświadczonych, kompetentnych, twardych bywalców licytacji. Po lewej

stronie areny zaganiano bydło na okratowaną automatyczną wagę, a nad głowami uczestników licytacji pojawiała się na tablicy świetlnej liczba kilogramów, potem zwierzęta przepędzano przez arenę. Spłoszone szczękiem metalowych bramek pędziły niezdarnie przed siebie i wypadały na powrót przez przejścia — kilogramy zakupione, losy przypieczętowane.

— Dzień dobry, Robin — odezwał się ktoś za jego plecami.

— Coś tu sprzedajesz? Fred James.

— Mam tylko cielaki — odpowiedział Robin.

— Nie za dobrze w tym tygodniu — stwierdził Fred, spoteźniony przez grubą watowaną kamizelkę włożoną na warstwy włochatych wełnianych swetrów. — Nie dadzą więcej niż po dziewiętnaście pensów za najlepsze sztuki. — Popatrzył serdecznie na Robina. Od lat krążyły uporczywe plotki na temat dziwaczności Caro Meredith, ale plotki nie plotki, zawsze co żona to żona, a teraz ją stracił. — Jakoś się trzymasz?

Robin kiwnął głową i Fred James skierował wzrok z powrotem na arenę.

— No i mamy tę najlepszą. Czystej rasy angus. To krowa ze stada Jima Voyce'a.

— Będę się zbierał, Fred. — Robin dotknął ramienia Jamesa.

— Zajrzałem tutaj tylko na parę sekund.

— Wszystkiego najlepszego, Robin. — James dotknął czapki.

— Przekaż ojcu ukłony. Ma się dobrze, prawda?

Kiedy znalazł się z powrotem na dworze, spostrzegł, że zaczęło padać — drobny, uporczywy zimny deszczyk. Podniósł kołnierz, klnąc samego siebie, że zostawił czapkę w samochodzie. Po co w ogóle poszedł na aukcję? Kierując się impulsem, żeby doradzić Joemu? Ale przecież nie wierzył, że Joemu mogłoby pomóc kupienie paru sztuk bydła! I dlaczego na litość boską miałby pomagać Joemu, skoro brat dostał wszystko, od razu na starcie... nawet nie musiał się wysilać, żeby prosić. Deszcz wzmagał się powoli, nieubłaganie. Ludzie śpieszyli schronić się pod dachem; ludzie, którzy spędzali życie na pracy w deszczu, znalazłszy się wśród murów, nagle nabierali odmiennych obyczajów. Robin zgarbił się i wcisnął brodę w podniesiony kołnierz. Musi jeszcze kupić pszenicznej słomy, zanim odjedzie, inaczej nie dostanie jej za 25 funtów tona, i to z dostawą.

Judy pólężała w niezbyt wygodnej pozycji na podłodze w saloniku, z głową i ramionami opartymi o fotel, i oglądała sztukę w telewizji. Zoe oświadczyła, że muszą ją obejrzeć, ponieważ asystent kamerzysty jest jej znajomym, a potem spokojnie wyjechała do Birmingham na dwudniowy kurs fotograficzny. Judy oczywiście powiedziała sobie, że nic nie musi oglądać,

skoro Zoe zostawiła ją samą. Może zamiast tego umyć głowę, poczytać książkę albo posprzątać. Niemniej tak się jakoś ułożyło, że przywykła do robienia przez ostatnie tygodnie tego co współlokatorka. Zoe wyraźnie znalazła sposób, żeby organizować jej, Judy, czas.

Sztuka nie była dobra. Akcja działa się w bliżej nieokreślonym mieście na północy, dwie nastolatki uciekały przed policją, powód ich ucieczki był również bliżej nieokreślony, a w całym spektaklu więcej słyszało się sapania aktorek niż dialogu. Ujęcia robiono w półmroku albo wręcz w ciemności i raczej trudno było, patrząc w ekran małego telewizora, docenić umiejętności asystenta kamerzysty. Judy półleżała z brodą przyciśniętą do piersi i próbowała wykrzesać z siebie choć tyle energii, żeby wstać i wyłączyć odbiornik.

Obie nastolatki, dwie bezpłciowo wyglądające dziewczyny, maszerowały właśnie chwiejnym krokiem w ciemnościach wzdłuż szyn kolejowych. Jedna z nich miała fryzurę w stylu Zoe. Zoe co trzy tygodnie strzygła włosy i stosowała ziołową farbę, żeby utrzymać intensywny kolor burgunda, który wydawał się Judy w tej chwili już czymś zupełnie naturalnym. Zoe twierdziła, że w rzeczywistości ma włosy brązowe. Ale nie jest to ciepły, połyskliwy brąz świeżo wyłupanego kasztana, tłumaczyła Judy, tylko zwyczajny nieciekawy brąz opadłych liści. Po obejrzeniu „Kabaretu” z Lizą Minnelli ufarbowała je na czarno, ale czarny był zbyt wyzywający i wyglądała sztucznie. Judy schwyciła palcami pukiel własnych włosów i zbliżyła go do oczu. Według niej ich rudy kolor był sam w sobie wystarczająco sztuczny.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Judy powoli usiadła. Pewnie ten oderwany od ziemi facet z dołu po trochę chleba albo żarówkę, albo jeszcze raz zobaczyć Zoe. W ciągu ostatnich pięciu dni pojawił się trzy razy, uśmiechając się i patrząc zamglonym wzrokiem, ze zwiniętym pięcioletowym banknotem w dłoni, którego zdaniem Judy absolutnie nie zamierzał z niej wypuścić. Wstała, nie śpiesząc się, ściszyła telewizor, nie wyłączając go, podeszła do drzwi i uchyliła je na tyle, na ile pozwalała łańcuch.

Za drzwiami stał młody szczupły mężczyzna w dżinsach i skórzanej marynarce. Nosił okrągłe modne okulary, w dłoniach trzymał zwinięty w stożek ciemny tani papier, w jaki upodobali sobie pakować kwiaty ich sprzedawcy.

— Cześć — powiedział.

— Kim pan jest? — spytała Judy, przyglądając mu się uważnie.

— Oliver. — Podniósł papierowy stożek z kwiatami. — Szukam Zoe.

— Jest w Birmingham.

— Tak?

— Wróci dopiero w piątek.

— Tak?

Judy opuściła spojrzenie na kwiaty i dodała bezlitośnie:

— Do tego czasu całkiem zwiędną.

— Właśnie — przytaknął. — Może byś je wzięła? Judy otworzyła drzwi z łańcucha.

— No cóż. Skoro mają zwiędnąć...

— Dzięki — powiedział Oliver i wszedł niepewnie do maleńkiego przedpokoju. — Nie widziałem jej od trzech tygodni. To znaczy odkąd się tu przeniosła.

— Rzeczywiście chyba nie mogłeś jej zobaczyć. — Uśmiechnęła się do niego. Miał łagodną, miłą twarz i porządne gładkie włosy, jakie widuje się u chłopców śpiewających w chórze. Ollie. — Chcesz kawy?

— Tak, poproszę — powiedział i podał jej kwiaty. — Weź je wreszcie. Czuję się jak krety.

Judy zaprowadziła go do pokoju i wyłączyła telewizor.

— Nie rób tego — zaprotestował Oliver. — Skoro oglądałaś...

— Tylko jednym okiem.

— Chyba wiesz, dlaczego przyszedłem — powiedział zrezygnowanym tonem.

— No...

— Dziewczyny zawsze sobie wszystko mówią.

Judy nalala wody do dzbanka i odwinęła papier, który skrywał kruche gałązki żółtych frezji.

— Przyjemnie pachną.

— Czy ona mnie unika? — zapytał Oliver.

— Może...

— Miałaś na myśli „tak”. Czemu nie powiesz po prostu „tak”?

— Ja nie wiem — odparła Judy. — Powinieneś ją zapytać. To nie moja sprawa.

Oparł się o framugę kuchennych drzwi, tak jak robiła to zawsze Zoe.

— Jak ci na imię?

— Judy.

— Cześć, Judy. Mogę nastawić czajnik? — Przeszedł obok Judy wkładającej pojedynczo każdą łyżkę frezji do dzbanka i wziął czajnik. — Co dalej? Gdzie kawa?

— Tam — pokazała ruchem głowy.

— Zwróciłaś uwagę, że Zoe nie potrafi ugotować nawet wody na herbatę?

— Mój ojciec ją nauczył. Zmusił ją do obrania ziemniaków i podsmażenia bekonu. Usmażyła mu parę plasterków po dojeniu.

— Po dojeniu?

— Jest farmerem.

— A matka?

Serce Judy leciutko zatrzepotało.

— Nie żyje.

— Och, przepraszam, naprawdę przepraszam. — Odwrócił się w maleńkiej kuchni i objął jej ramiona. — Biedactwo. Biedna, biedna Judy.

Trzymała wzrok uparcie wbity w frezje.

— Sześć tygodni temu. Guz mózgu.

— Straszne. Musiałaś przeżyć potwornie ciężkie chwile. — Uścisnął jej ramiona. — Biedna Judy — powtórzył.

Spojrzała wreszcie na niego. Szczere, otwarcie patrzące oczy spotkały się z jej wzrokiem.

— Zoe była bardzo miła...

— Sama wie, jak to jest. Straciła ojca.

— Powiedziała mi, że to ty byłeś wtedy dla niej bardzo miły.

— Tak powiedziała?

Judy oswobodziła się delikatnie z jego objęć, chcąc uratować parujący czajnik.

— Tak.

— Nie ma w tym znowu nic wielkiego — rzekł Oliver. — Nie umarł mi wprawdzie nikt z rodziny, ale mogę sobie wyobrazić, jak się człowiek wtedy czuje. Tak mi się wydaje.

— Większość ludzi jest wystraszona. Zupełnie jakby się zetknęli z zaraźliwą chorobą, która także ich dotknie, jeśli za bardzo się zbliżą — powiedziała Judy. — Chcesz mleka?

— I cukru. Dwie łyżeczki proszę. Judy wręczyła mu kubek.

— Przyjemnie, jeśli ktoś nie jest wystraszony. Jak ty.

— Boję się wysokości i głębin — oświadczył Oliver. — Jak dla mnie mogłoby też nie być pajaków.

Judy poszła za nim do pokoju i ustawiła kwiaty na pustym palenisku między czaplami Zoe.

— Ja jej dałem te czaple — powiedział Oliver. — Pochodzą z Filipin.

— Lubię je. Ona zresztą też.

— Świetnie. — Olivier pociągnął hałaśliwie łyk kawy.

— Cieszę się. Ale coś czuję, że już nic więcej jej nie dam.

Debbie patrzyła przez okno, jak z podwórza wyjeżdża land-rover Robina i skręca na drogę prowadzącą ku szosie. To już czwarty raz dzisiejszego ranka. Policzyła. Tym razem nie wiozł niczego z tyłu samochodu, w każdym razie ona nic nie widziała; żadnych beli siana, żadnego cielaka odwróconego małym kościstym zadkiem do klapy przyczepy. Nie widywało się, żeby ktoś woził zwierzęta w otwartej przyczepie, ale Robin Meredith nie należał do ludzi, którzy by się przejmowali tym, co robili inni. Toteż zapracował sobie w okolicy na opinię nieużytego uparciucha, choć Gareth zżymał się, że to nie fair. Uważał, że Robin jest po prostu małomówny. Debbie rozpyliła błękitną mgiełkę na wielką tafłę szyby — napis na pojemniku zapewniał „zawiera naturalny ocet”

— beznadziejnie zakurzonej, ponieważ stale osiadał na niej kurz z przechodzącego obok gościńca. Miała jeszcze sześć pomniejszych robót domowych do wykonania, zanim wyjdzie do szkoły w Dean Cross, gdzie codziennie musiała wydać pięćdziesiąt siedem obiadów, a potem pozmywać. Velma znalazła jej tę pracę, kiedy sprowadzili się z Garethem do Tideswell, zanim jeszcze urodził się Eddie, teraz czterolatek. Dwoje starszych, Rebeka i Kevin, uczyli się w Dean Cross i bardzo im się nie podobało, że ich mama zjawia się każdego dnia w szkolnej kuchni, ubrana w kombinezon z wzorem w morele, z włosami skrzętnie ukrytymi pod muślinową siatką ozdobioną na czubku głowy morelą. Starali się na nią nie patrzeć, kiedy nakładała na talerze ziemniaczane piure albo zapiekany makaron; pochylali głowy i przesuwali się wraz z kolejką najszybciej jak mogli. Gareth wymyślał im od małych snobów.

Nie był złym człowiekiem, rozmyślała o mężu, zawsze brał jej stronę w sporach z dziećmi, na przykład kiedy Kevin zażądał telewizora do swojej sypialni, a Rebeka przekłucia uszu na dziesiąte urodziny. Był dla niej dobry, nie palił, nie pił, chyba że przy wyjątkowych okazjach, kupował kwiaty na rocznicę ślubu, oddawał wszystko co zarobił, zostawiał sobie ledwie parę funtów... zupełnie jak ojciec Debbie. Stale powtarzał, że Debbie świetnie daje sobie radę z domowymi finansami. No cóż, rzeczywiście dawała sobie radę, tyle że w ten sposób wyrażał uznanie dla jej rozsądku, a nie seksualnej atrakcyjności. Do tej pory była dumna ze swojego rozsądku i dość krytyczna wobec niefrasobliwości Garetha, jeżeli chodziło o pieniądze, ale ostatnio to się zmieniło. To znaczy od śmierci Caro Meredith. Patrząc na jedyne rozświetlone w domu Robina okno w kuchni, uświadomiła sobie nagle, jak kruche jest ludzkie życie, i zaczęła się zastanawiać, choć nigdy przedtem o takich sprawach nie myślała, co będzie, jeśli Gareth umrze i zostawi ją samą z

Rebeką, Kevinem i Eddiem. Cztery lata temu oświadczyła Garethowi, że uprawianie miłości raz w tygodniu zupełnie ją satysfakcjonuje. W sobotnią noc, bo w niedzielę Gareth nie musi wstawać do dojenia. W niedzielę doił Robin. Ale teraz, kiedy samotność Robina manifestowała się tak drastycznie, zupełnie jakby śmierć Caro wyrzuciła go poza nawias normalnego życia, zapragnęła kochać się z Garethem we wtorek albo i w czwartek, jakby uznała, że fizyczna miłość tchnie w męża więcej siły życiowej lub jakby kochanie się było rodzajem polisy na życie.

Przyjrzała się bacznie szybie w poszukiwaniu smug brudu. Nigdy o tym Garethowi nie powiedziała, ale i tak zauważył, i zdaje się, był zdumiony przemianą, która w niej zaszła. „Co się dzieje, Debbie?“, zapytał przedwczoraj, kiedy przytuliła się do niego w środę. Ale w jego głosie brzmiało zadowolenie. Był zadowolony.

Zaczerwieniła się na to wspomnienie. No trudno, nic na to nie poradzi. Tak jak i nie poradzi nic na to, że nie umie mówić. Mówienie o pewnych sprawach jest zbyt trudne, lepiej już zdać się na kwiaty i kartki. Wydała dwadzieścia pięć funtów na wieniec dla Caro. Wieniec z różowych goździków i białych chryzantem został wysłany do domu pogrzebowego razem z szarfą, na której było napisane: „Łączymy się z tobą w żalu, Gareth i Debbie z dziećmi“. Właściwie nie wiedziała, czy Robin widział napis, ale jeśli nawet nie, ona zrobiła, co do niej należało, powiedziała, co miała na sercu — właśnie szarfą i wieńcem. Land-rover pojawił się znów na drodze, zmierzając teraz w kierunku podwórza. Nie było go raptem dziesięć minut. Biedny Robin. Podobno on i Caro od lat sypiali w oddzielnych pokojach, tak mówił Gareth. Na kuchennym stole w Tideswell Velma zostawiła paczuszkę zupy grzybowej w proszku i dwie kielbaski w celofanowym opakowaniu, które sądząc po kształcie, musiały leżeć przygniecione czymś ciężkim w jej torbie z zakupami. Obok jedzenia leżała poranna poczta, którą Robin zawsze otwierał, rozrywając koperty kciukiem, ułożona przez Velmc jak zwykle w schludny stosik — od największej do najmniejszej koperty. Na wierzchu leżał ten najmniejszy i najbardziej niepożądany — krótki list od inspektorów z Urzędu Gospodarki Wodnej zapowiadający, że pojawią się rankiem siedemnastego tegoż miesiąca przy Dean, tuż poniżej granicy gruntów Robina, by oficjalnie zweryfikować ustalenia poprzedniej nie zapowiedzianej inspekcji.

Robin odłożył zupeę grzybową na list od inspektorów Urzędu Gospodarki Wodnej i wyrzucił kielbaski do kosza na śmieci. Otworzył lodówkę. W środku nie czekała go żadna niespodzianka, zatrzasnął więc drzwi z powrotem. Podszedł do okna i pobrękując kluczami w kieszeni, zapatrzył się

na podwórze. Był raczej niespokojny niż głodny, właściwie rozdrażniony — już od tygodnia nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nawet to idiotyczne spotkanie z Joem w Stretton wytrąciło go z równowagi, poruszyło w nim coś nieokreślonego, zupełnie nie mającego związku z żalobą i z Caro. Był pewien, że było to coś, czego Joe mu nie powiedział, a co on powinien wiedzieć i co go bezpośrednio dotyczyło, a ponieważ nie zdołał tego wyciągnąć z brata, brzęczało to w jego głowie natrętnie, jak osa zamknięta w szklanej butelce. Nosiło go; bez przerwy wyjeżdżał z farmy, wracał na farmę — a to do wsi, a to do Dean Place, to znów nad rzekę — w tę i z powrotem niczym wielkie jojo.

— Pracujesz na tyse opony? — zapytał go Harry, chociaż nie był w nastroju do żartów, odkąd ktoś mu doniósł, że widział, jak na aukcji w Stretton Joe plątał się wokół zagród dla bydła. Joe zapytany, czy to prawda, wpadł we wściekłość i wykrzyczał, że gdzie i kiedy chodzi i co ogląda to niczyj zasrany interes tylko jego własny. Harry'ego zaniepokoiło nastawienie syna tak samo jak to, co mógł sobie planować. Dwa lata temu przekonali go wraz z Dilys, że wystarczą dwa podpisy na książeczce czekowej farmy zamiast trzech, skoro to i tak nie oni, lecz Joe dokonuje większości zakupów. A jeśli w głowie Joego zrodziły się jakieś szaleńcze plany co do trzymania bydła? Bóg jeden wiedział, co się ostatnio działo w jego głowie, a zawsze mógł omotać Dilys i na pewno nie odmówiłaby mu podpisu na czeku, gdyby o to poprosił. To właśnie niepokoiło Harry'ego. I na dokładkę jeszcze Robin: nic innego nie robił cały ranek, tylko jeździł w tę i we w tę land-roverem i Harry nie mógł się naprawdę dopatrzeć sensu w żadnej z tych wycieczek.

Robin zdawał sobie sprawę, że Harry się martwi. Kiedy ostatni raz odwiedził rodziców w Dean Place, próbował go pocieszać. Mówił coś, że w końcu wszystko wróci do normy, a Joe zwyczajnie bawi się paroma pomysłami, które mu przyszły do głowy, większość farmerów to przeżywa. Ale Harry tylko chrząknął, nie przestając dłużyć kluczem do nakrętek w starym siewniku, który Joe planował wymienić za dwa lata.

— Każdy z nas to przeżywał — powiedział Robin. — Każdy z nas chciał coś zmienić, poprzeszawiać trochę w życiu.

Tylko nie ojciec, rozmyślał teraz Robin, patrząc na rosnącą w kącie podwórza kępę dzikiego szczawiu, którą codziennie zamierzał opryskać środkiem na chwasty. Ojciec całe życie po prostu gospodarował i nie myślał o robieniu czegoś innego. Ojciec lubił, by sprawy toczyły się bez zmian, nie wymykały spod kontroli, nie przynosiły niespodzianek. Ciekawe, co by było, gdyby ojcu przytrafiło się coś, czemu nie umiałby sprostać, nieznane, które

wpłynęłoby na całe jego życie? Niewzruszenie dalej robiłby swoje, ignorując problem, dopóki by się dało, jak ostryga pokrywająca macią perłową ziarnko piasku, czy też przeciwnie, kompletnie by się załamał?

Jakiś samochód skręcił z szosy w kierunku domu. Taksówka. Robin widział reklamę z podświetlonym numerem telefonu przyczepioną do dachu. Kto mógł przyjechać do niego taksówką, i to w porze lunchu? Velma korzystała czasem z taksówki, ale zawsze było to auto z tym samym kierowcą, astra vauxhall, za której szybą widniał wymalowany na kawałku tektury napis: „Dean Cross Taxi”. Ten akurat samochód musiał przyjechać ze Stretton. Minał główną bramę i zniknął za żywopłotem rosnącym przy podjeździe.

Robin wyszedł z kuchni i powędrował korytarzem wyłożonym płytami do wiktoriańskiej części domu. W holu było jak zwykle ciemnawo, mrok rozjaśniało tylko światło padające z witrażu nad frontowymi drzwiami, przedstawiającego stylizowane tulipany o różowych i czerwonych kwiatach i sztywnych zielonych liściach. Robin zapalił lampę, żeby znaleźć klucz do frontowych drzwi, których nie otwierano od dnia stypy, przechowywany w szufladzie komody wypełnionej starymi mapami i rękawiczkami nie do pary. Światło padło na komodę, zdradzając, w jaki sposób Velma pojmuje robienie porządków domowych: kilka machnięć na chybił trafił ścierką do kurzu i powierzchnia blatu wyglądała, jakby ktoś porobił hieroglify patykiem na piasku.

Robin włożył klucz do zamka, przekręcił i szarpnął drzwi; inaczej nie dałyby się otworzyć. Podjazdem szła Zoe z aparatem fotograficznym i czarnym plecakiem. Wyraźnie zamierzała okrążyć podwórze i pojawić się przy tylnych drzwiach.

— Hej ! — powiedział Robin. — Co ty tutaj robisz?

— O, przepraszam. — Postawiła torbę z aparatem na ziemi. — Nie miałam zamiaru zmuszać cię do otwierania frontowych drzwi. To przez taksjarza. Nie chciał wjeżdżać na podwórko, żeby nie pobrudzić samochodu. Byłam w Birmingham.

— Tak?

— Zobaczyłam przy dworcu autobus do Stretton, no więc pomyślałam...

— Tak?

— Więc pomyślałam — mówiła Zoe swobodnie, zupełnie jakby była pewna, że zostanie ciepło przyjęta — że wpadnę cię odwiedzić. No i jestem. i

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Nie chciałabym się wtrącać — mówiła Dilys — ale może powinnaś wyjechać gdzieś z Joem na mały urlop. Na przykład na ryby.

Siedziała u Lyndsay przy kuchennym stole nad filiżanką herbaty. Podziękowała za placek z bananami, który upiekła synowa. Przez całe życie Dilys jadła przyzwoite ilości dobrego, tradycyjnie przyrządzonego jedzenia, nie poświęcając temu większej uwagi, ale ostatnio zauważyła, że ubrania stały się ciasnawe i kiedy na przykład pochyla się, by podnieść coś z podłogi albo wyciągnąć wtyczkę odkurzacza z kontaktu, jej piersi ściska jakby obręcz. Wielka szkoda. Ciasto wyglądało na niezłe, porządnie wyrosnięte, z rodzynekami — dokładnie tak, jak powinno wyglądać. No ale w końcu kto jak nie Dilys nauczył Lyndsay je robić.

— Byłam kiedyś z Harrym na rybach. Na zachodnim wybrzeżu. Było przepięknie. Dzisiaj pewnie można tam polecieć samolotem z Manchesteru.

— Na pewno nie pojedzie — stwierdziła Lyndsay.

— Dlaczego tak uważasz?

— Nie w głowie mu teraz urlop. Przecież wiesz.

— O niczym nie wiem — zaprzeczyła Dilys ostro. Lyndsay skończyła kroić ciasto, w plasterki dla Hughiego i małe kwadraciki dla Rose, i podała je dzieciom. Dilys zadzwoniła rano z pytaniem, czy Lyndsay nie potrzebuje czegoś ze Stretton, bo ona wybiera się tam po południu. Nie, odpowiedziała Lyndsay, pamiętając, że Dilys zawsze kupuje rzeczy, które według niej powinno się mieć, a nie te, o które ją rzeczywiście proszono. Na co Dilys oświadczyła, że tak czy owak wpadnie w drodze powrotnej zobaczyć dzieci. W rezultacie Lyndsay, która zamierzała zorientować się, jak jest prowadzony odbywający się właśnie w Stretton kurs fryzjerski, spędziła rano na pieczeniu ciasta.

— Gdzie się podziały banany? — spytał Hughie, patrząc na leżący przed nim kawałek placka.

— Zmiksowałam je, dodałam do ciasta i upiekły się razem z nim. Odsunął od siebie talerzyk.

— Powinno być je widać.

— Nie szalej — powiedziała Dilys.

Hughie wstał z krzesła, podniósł pluszową fokę usadowioną na koszyku z jarzynami i wsadził kciuk do ust. Lyndsay wstrzymała oddech.

— No... — powiedziała Dilys do wnuka, siedząc nieporuszenie za stołem — jesteś człowiekiem czy zwierzęciem?

Hughie patrząc jej prosto w twarz, wyciągnął kciuk tylko po to, by odpowiedzieć: — Zwierzakiem — i natychmiast wsadził palec z powrotem do ust.

Dilys spojrzała na Lyndsay. Lyndsay utkwiała wzrok w Rose, która wypychała sobie ciastem policzki jak oszalały chomik.

— Nie słyszałam, żebyś spytał, czy ci wolno wstać — powiedziała Dilys do Hughiego.

Hughie wsunął się za krzesło Lyndsay, by skryć się przed wzrokiem babki. Rose wzięła głęboki oddech i wydmuchnęła powietrze wraz z kawałkiem placka; przeleciał ponad tacą przymocowaną do jej wysokiego krzeselka i wylądował tuż przy filizance Dilys.

— Rose!

— To przez Joego — oświadczyła Lyndsay w przystępie rozpaczy, nie dbając już o nic.

— Co przez Joego? — zapytała Dilys z twarzą ściągniętą gniewem, zeskrobując bananowe ciasto łyżeczką ze stołu.

— Wszyscy są zdenerwowani — Lyndsay przestała się hamować. — Nie widzisz tego? Na wszystkich nas to się odbija. A najgorsze, że nie wiadomo, o co chodzi. Nikt tego nie wie, a już na pewno nie on sam.

Dilys wstała z za stołu. Podeszła do Hughiego, który trzymał wciąż fokę pod pachą i ssał kciuk, i uniosła go. Na moment zawisł nad ziemią w jej ramionach, skamieniały z osłupienia, jak szmaciana kukiełka, a potem wylądował na krześle przed talerzykiem z nietkniętym ciastem. Siedział nieruchomo, sparaliżowany zdumieniem.

— Trudno żeby ktoś wiedział, o co tu chodzi — stwierdziła Dilys — kiedy nie chodzi o nic. Z wyjątkiem tego, że jest przepracowany. Nie dość, że pracuje od rana do wieczora, to jeszcze ma na głowie Harry'ego. Harry nigdy nie umiał przewidywać naprzód. A ty jesteś wyraźnie podminowana, wszyscy to widzimy. Śmierć Caro wytrąciła cię z równowagi, rozumiem, że nie jest ci łatwo. Powinnaś wyjechać. Oboje powinniście wyjechać. Mogę się zająć dziećmi, a Mary pomoże mi wieczorem pokłaść je do łóżek.

Hughie podniósł Pana Fokę do twarzy i ciche, gorące lzy przerażenia zaczęły wsiąkać w miękki plusz.

— To nie moja wina! — krzyczała Lyndsay. — Jeśli jestem zdenerwowana, to wyłącznie przez niego! — Zerwała się i wyciągnęła córeczkę z dziecięcego krzeselka.

Rose, którą zabrano z za stołu wbrew jej woli, natychmiast zaczęła głośno wrzeszczeć.

— Popatrz na siebie — powiedziała Dilys. — Tylko na siebie popatrz. I na te dzieci. W ten sposób na pewno ich dobrze nie wychowasz. — Chciała dodać: „dzieci Joego”, podkreślić ten fakt z dumną zaborczością, ale Lyndsay wydyszała, niemal szlochając:

— Proszę cię, idź już. — Zaczęła energicznie wycierać ściereczką twarz Rose, na co dziecko zaniósło się jeszcze głośniejszym płaczem. — Proszę cię, idź. Nie zniosę tego ani minuty dłużej, nie mam już siły walczyć, słuchać, jak udajesz, że nic się nie dzieje, nie wytrzymam tej rodzinnej konspiracji...

Dilys wstała.

— Zawsze cię wspieraliśmy, kochanie. Od chwili gdy weszłaś do rodziny, zapewniliśmy ci wszystko, o czym kto inny mógłby tylko marzyć. Dom, pomoc przy dzieciach, żadnych obowiązków na farmie...

— Och tak, farma! — wykrzyknęła Lyndsay. — Farma, farma!

— Łau-łau-łau — zawodził Hughie głosem stłumionym pluszową foką. —
Lau-łau-łau!

— Nie ma sensu krzyczeć — oświadczyła Dilys. — Nikt jeszcze nigdy krzykiem niczego nie zwojował. I nie ma co zwać tego na farmę. Ziemia to Meredithowie. Gdzie byśmy teraz byli, gdyby nie ona? — Podeszła do drzwi, przy których zostawiła torebkę i wiklinowy koszyk na zakupy. — Posłuchaj, Lyndsay. Wreszcie mnie posłuchaj. Dobra z ciebie dziewczyna, ale puściłaś to wszystko na żywioł. A to się odbija na dzieciach. I na Joem. Potrzebny mu urlop, a i tobie się przyda. I może jakiś preparat witaminowy. Anemia jest teraz taka powszechna wśród młodych kobiet. Porozmawiam z Joem i zobaczymy. — Włożyła torebkę do koszyka obok zawiniętych w papier drożdży, paczuszek z herbatą i igłami do cerowania. Potem wróciła i pocałowała Hughiego w czubek głowy. — Bądź grzecznym chłopczykiem, nie denerwuj więcej mamy.

— On mnie nie denerwuje — powiedziała Lyndsay z twarzą przytuloną do Rose. — Jest greczny. To... — przerwała.

— Zadzwoń — zapowiedziała Dilys. — Zaparz sobie świeżej herbaty. Pa, pa, Rosie. Pa, skarbie.

Kiedy teściowa wyszła, Lyndsay postawiła Rose na podłodze.

— Lau-łau-łau! — rozdarła się mała na nowo.

— Błagam...

Rose rozważała to przez moment, potem opadła na czworaki i zaczęła żwawo wędrować do koszyka z warzywami. Po dwóch minutach podłogę pokryją toczące się główki cebuli i marchewka, jak zawsze, gdy Lyndsay zaniedbała usunąć z zasięgu rączek córeczki to, co można rozrzucić. Lyndsay

usiadła z powrotem na krześle, oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach. Hughie obserwował ją sponad wilgotnego i ciepłego pluszowego ciała Pana Foki.

— Babcia nas kocha — powiedziała Lyndsay niezbyt pewnym głosem. — Naprawdę. Chce nam pomóc, tylko nie wie jak. Nikt nie wie.

Hughie położył Pana Fokę koło talerzyka z ciastem, ześliznął się z krzesła, podszedł do Lyndsay i oparł się o nią. Wyciągnęła ramię i przytuliła go do siebie.

— Kocham cię — powiedziała.

Czekał. Po minucie czy dwóch zapytał, wyraźnie walcząc ze sobą:

— A Rose?

Główka cebuli uderzyła go w kolano.

— Tak. I Rose też.

Hughie kopnął cebulę. Wprawdzie była jasnobrązowa i gładka, ale z jednego końca sterczały przerażające kosmyki małych korzeni i nie chciał, żeby go dotknęły.

— A tatusia?

— Och, tak. — Westchnęła głęboko. — Tak, tatusia też. Tatuś jest dla mnie wszystkim.

Mac, mąż Mary Corriedale, właśnie kończył swoją zwykłą co-dwutygodniową rundę po cmentarzu w Dean Cross. Kosił trawę dopiero drugi raz w tym roku, wykonując jak zwykle szerokie zamaszyste ruchy i zostawiając krezy wysokich, nie przyciętych pióropuszy po bokach nagrobków. Później, w maju, będą jeszcze z nich sterczały trybule i wysokie łądzygi jaskrów. Pastor życzyłby sobie nieco bardziej precyzyjnego strzyżenia, jak twierdził, takiego, by cmentarz przypominał raczej wypielegnowany ogród niż na pół dziką łąkę. Wszczynał na ten temat dyskusję na corocznym letnim zebraniu rady parafialnej i nieodmiennie mu odpowiadano, że jeśli znajdzie kogoś chętnego do ścinania trawy przez całe lato za darmo, ma wolną rękę. Ponieważ pastora przerażało proszenie o cokolwiek kogokolwiek, z Panem Bogiem włącznie, musiał znosić nie tylko trybule i jaskry, ale i kępy pokrzyw, i chaszczki wierzbówki, no i oczywiście styl pracy Maca Corriedale'a.

Zdaniem Zoe taki właśnie sposób koszenia był uroczy. Podobał jej się lekko zaniedbany wygląd cmentarza, zapach świeżo skoszonej trawy i ziemi, nieregularnie rozrzucone sterczące krecie kopczyki. Wzruszyły ją stare omszałe groby o zatartych niemal zupełnie przez deszcz i powietrze napisach, po których pozostały tylko leciutkie wyżłobienia, możliwe do odcyfrowania wyłącznie o zachodzie słońca, kiedy promienie padały pod odpowiednim

kątem. Nowsze nagrobki były w większości marmurowe, z wypolerowanych czarnych i różowych jak pasta z łososia płyt. Niektóre przypominały otwartą księgę, przed wieloma zacementowano wazy na kwiaty, wyposażone w kratkę, żeby rośliny tkwiły w nich sztywno i prosto. Na tych akurat grobach, zauważyła Zoe, nie pojawiało się słowo „śmierć”. „Odszedł”, głosiły eufemistycznie połyskliwe złote litery, albo: „zasnęła”, albo tylko daty pozwalające domyślać się wydarzeń. Na części grobów widniały krzyże, a na jednym rzeźba anioła z barbarzyńsko utraconą głową, co przydawało jej pogańskości — jakby się patrzyło na Nike z Samotraki. Grób Caro, na który przysłała Zoe, w ogóle nie był oznaczony.

— Nie da rady zrobić nagrobka przed upływem sześciu miesięcy — powiedział Robin.

— Dlaczego nie?

— Bo grób osiada.

— Dlaczego?

— Wieko trumny opada, w miarę jak postępuje rozkład ciała.

— Aha. Ale mogę mimo to pójść na jej grób? — spytała Zoe. Popatrzył na nią, zanim odparł:

— Oczywiście.

Zobaczyła niewysoki kopiec, którego nie zdążyła jeszcze pokryć trawa, nierówny, usypany z ziemi o niejednorodnym kolorze i poznaczony nieregularnie kępami niskich chwastów. Dawno zwiędłe żonkile tkwiły w słoiku stojącym przed plastikową donicą z bratkami o dużych błękitnych kwiatach, która nędznie udawała grecką urnę.

Zoe pochyliła się i dotknęła bratków. To na pewno nie Robin je tutaj zasadził; dla niego kwiaty nie istniały, po prostu ich nie zauważał. Być może to jej teściowa, Dilys, albo ta ładna bratowa, która ma małe dzieci. Zoe widziała ją przedwczoraj, jadąc przez wieś; wyglądała na znękaną. Wspomniała o tym Robinowi, ale w odpowiedzi tylko chrząknął. Czytał właśnie list z Urzędu Gospodarki Wodnej — zdołała dostrzec nagłówek, patrząc mu przez ramię — i zupełnie nie słuchał, co Zoe mówi. Nie zadała sobie trudu, żeby powtórzyć. Dwa dni spędzone pod dachem Robina nauczyły ją, że to próżny wysiłek.

Nie robił sobie specjalnego kłopotu z tego powodu, że chciała zostać. Zoe wrzuciła po prostu plecak i torbę z aparatem fotograficznym do pokoju, który zajmowała, kiedy spędziła w Tideswell weekend z Judy, a potem poszła na podwórze poszukać Garetha. Przygotowywał właśnie szopę dla dwóch mających się cielić krów, wzięła więc widły, by mu pomóc. Zajrzał do nich

jego mały synek, Eddie, i pokazał Zoe kolekcję plastikowych żołnierzyków, które można było zmienić w roboty odkręcając im hełmy.

— Nie dotykaj — ostrzegł ją. — Tylko patrz. Widziałem to w telewizji. Zoe pstryknęła mu oczywiście kilka fotografii. Wszędzie chodziła z aparatem. Miała go ze sobą także teraz i zrobiła sporo ciekawych ujęć kościoła, bramy cmentarnej i nagrobków. Kościół sam w sobie nie był zbyt piękny, ale wystarczająco przysadzisty i stary, by wzbudzić zainteresowanie, poza tym sprawiał wrażenie niezniszczalnego. W przeciwieństwie do grobu Caro, który wyglądał na beznadziejnie zapuszczony. Zupełnie jakby spoczywającą w nim istotę ludzką zapomniano, ponieważ żywi mogli już tylko wykonywać wobec niej czcze gesty, jak ustawienie donicy z bratkami, pomyślała Zoe. Robin powiedział jej, że jego żona pochodziła z Ameryki, z Kalifornii, a teraz leżała na angielskim cmentarzu, który sąsiedował z jednej strony z pastwiskiem dla krów i terenem zabaw wiejskiej szkoły z drugiej, pod szarym angielskim niebem jak pod miękkim szczelnym wiekiem. Podobnie jak jej ojciec, urodzony w Anglii, pochowany w Australii. Tyle że ojca nie pogrzebano. Życzył sobie, żeby jego prochy rozsypano gdzieś o mile na północ od Sydney. Zrobiła to jego przyjaciółka. Napisała do Zoe niesamowicie długi, niekończący się list, w którym opisała, jak to w tym właśnie miejscu spędziła kiedyś z jej ojcem noc pod gołym niebem, pod gwiazdami, chciał więc, by właśnie pod tymi samymi gwiazdami rozsypano jego prochy. Bezczelna hucpiara, pomyślała wtedy Zoe, co za cholerny tupet. Podarła ten list na kawałeczki.

Podeszła do grobu i podniosła słoik z szeleszczącymi zeschniętymi żonkilami. Potem przesunęła stopą plastikową donicę z bratkami na środek kopczyka. Przyjemne kwiaty, bratki. Jakby miały buzie. Tak jak i słoneczniki. Swego czasu miała zamiar pojechać do Włoch albo do Hiszpanii obfotografować te wszystkie kręcące się za słońcem słoneczniki. Pola słoneczników. Ale nie zrobiła tego. Tak jak i wielu innych rzeczy. Spojrzała na smętnie wyglądający słoik. Ale wreszcie trzeba zacząć. Trzeba zacząć robić te wszystkie rzeczy, które by chciała robić, inaczej osiadzie w przypadkowym miejscu i będzie żyła z dnia na dzień, jak chyba żyła Caro, a na pewno jej, Zoe, ojciec, który pracował jako mechanik w warsztacie samochodowym w Sydney, choć był inżynierem, i zadawał się z dziewczyną o połowę od siebie młodszą, żeby nie być całkiem samotnym.

— Do widzenia — powiedziała Zoe do grobu Caro. — Judy przesyła wyrazy miłości.

Joe wrócił do domu po dziewiątej. Lyndsay zrezygnowała z czekania na niego z kolacją, wzięła miseczkę z zupą — pory z ogródka Dilys i szynka — i zasiadła na kanapie przed telewizorem. Włączyła go raczej dla iluzorycznego towarzystwa niż żeby coś oglądać. Zaczęła czytać powieść, którą przysłano zapakowaną w plastikową koszulkę razem z czasopismem dla kobiet; estetycznie wyglądająca książka z białą błyszczącą okładką, na której widniała akwarela w jasnych barwach, przedstawiająca wyidealizowaną wiejską kuchnię z drzwiami otwartymi na ogród pełen strzelistych ostróżek i uli. Fabuła opowiadała historię nieszczęśliwej kobiety, która przeprowadza się z miasta na wieś i tu znajduje spełnienie. I kochanka. No tak, oczywiście, pomyślała Lyndsay z irytacją, i kochanka. Świat z powieści w niczym nie przypominał życia, jakiego Lyndsay doświadczyła na wsi. Karykaturalna pasterska idylla, triumf myślenia życzeniowego, świat śpiewających ptaków i nierzeczywistych postaci farmerów. Coś, czego Lyndsay nie знаła. Lyndsay znała bezlitosną, wymagającą ziemię Dean Place, paskudną pogodę, samotność, troskę, rodzinę i Joego. I jeszcze: nie był to świat, w którym się rozmawiało. Za to w powieści ludzie mówili cały czas: o swoich uczuciach, frustracjach, pragnieniach, tęsknotach. Odślaniali się bez przerwy przed drugimi, popijając chłodne białe wino i zaparzoną w ekspresie kawę. Cóż to takiego, na litość boską, pomyślała Lyndsay z rozdrażnieniem, ciskając książką, jest w tej idiotycznej czarnej kawie?

— Cześć — odezwał się Joe, stając w drzwiach pokoju dziennego. Usiadła prosto.

— Gdzie byłeś?

— Robiłem opryski. Przecież ci mówiłem.

— Ale już po dziewiątej. Od dwóch godzin jest ciemno. Powiedziałam Hughiemu...

— Byłem u mamy.

Lyndsay powoli opuściła nogi na podłogę, odwracając się do niego tyłem.

— Aha. — Wstała i wyłączyła telewizor. — Będiesz jadł kolację? — zapytała, wciąż stojąc tyłem.

— Nie, dziękuję, jadłem u mamy. Lyndsay odwróciła się do niego.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś?

— Mama powiedziała, że chce ze mną porozmawiać i że ty o tym wiesz.

— Ale nie dzisiaj! — wykrzyknęła Lyndsay. — W dodatku mnie nie uprzedziła!

— Lyn...

— Jestem twoją żoną. Dawno przestałam być dzieckiem i twoja matka nie będzie za mnie decydować. Mam z tobą dzieci i jestem twoją żoną. I wyłącznie ze mną powinieneś rozmawiać... !

Joe wszedł do pokoju. Spod rozpiętego na piersi roboczego kombinezonu widać było koszulę w kratkę. Prasowała koszule, które zakładał do roboty na farmie.

Bezsensowna praca, zważywszy, jak wyglądały pod koniec dnia, robiła to jednak, ponieważ chodziło o jego koszule i ponieważ była jego żoną.

— Nie zamierzałem z nią rozmawiać. Chciałem wrócić do domu, ale mnie przyparła do muru. Złapała mnie, jak się znów kłóciłem z tatą o żywopłot i zaczęła rozmowę o urlopie.

Lyndsay podniosła ręce do włosów i zaczęła wyjmować grzebyki.

— Przyszła do mnie w porze lunchu.

— To znaczy, że już od jakiegoś czasu nad tym przemyśliwała.

— To na pewno nie jej sprawa — powiedziała Lyndsay, potrząsając energicznie głową, tak że włosy opadły jej jasną chmurą na twarz.

— Powiedziała, że weźmie do siebie dzieci.

— No tak. Na co Hughie się rozplakał.

— Usiłuje nam pomóc.

Lyndsay zebrała starannie włosy do tyłu i podpięła je grzebykami, najpierw jedną stronę, potem drugą.

— I co ci naopowiadała?

— Nie rozumiem.

— Nie powiedziała, że jestem w dziwnym stanie i lepiej będzie, jak mnie gdzieś na trochę zabierzesz? Ze nie daję sobie rady z dziećmi?

Nic nie odpowiedział.

— Rzeczywiście nie daję sobie rady, tu miała rację. Tylko że nie z dziećmi. Z tobą. I to ty do tego doprowadziłeś.

— Zgodziłem się na te wakacje.

— Wędkowanie w Irlandii?

— Jeśli będziesz chciała...

— Nie wiem, czy będę chciała. Chcę tylko, żebyś ze mną porozmawiał. Zacznieś ze mną rozmawiać, jeżeli pojedziemy do Irlandii?

Popatrzył na nią. Twarz miał ściągniętą zmęczeniem, postarzała, nagle uderzyło ją, że wygląda jak stary człowiek, jak ktoś w wieku Harry'ego.

— Spróbuję — powiedział — ale nie wiem, o co ci chodzi. Nieoczekiwanie wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie, do ubrań pranych przez nią bez końca, woniejących teraz potem, benzyną i chemikaliami, których używał, pracując na tej nienawistnej Lyndsay ziemi. Trzymał ją przez

kilka minut w mocnym uścisku, nieprzyjemnie mocnym, głowę miała uwięzioną pod jego podbródkiem, leciutko uniesionym, jakby patrzył gdzieś przed siebie. Ale miała wrażenie, że zamknął oczy.

— Joe...

Puścił ją równie nieoczekiwanie, jak objął.

— Idź się położyć.

— Ale...

— Chciałbym posłuchać skrótu głównych wiadomości.

— I pogody?

— I pogody.

— Hughie zapytał mnie dzisiaj, czy cię kocham. Odpowiedziałam, że tak.

— Dziękuję ci — powiedział, umknąwszy wzrokiem.

Dilys leżała obok Harry'ego w łóżku, na którym urodzili się Robin i Joe.

Staroświeckim łóżku, z wysokimi oparciami w głowach i nogach, i stalową siatką rozpiętą na metalowej ramie, na której leżały dwa nowe materace ze sprężynami w środku. Siatka skrzypiała lekko, kiedy się człowiek przewracał z boku na bok, zupełnie jakby ostrzyła sobie zęby. Na łóżku leżały prześcieradła, koce i kołdra puchowa, jeszcze od matki Harry'ego, pokryta przez Dilys nabłyszczaną bawełną we wzór w różyczki. Ten sam materiał wisiał w oknach i ozdabiał sztywną firaneczką toaletkę. Dilys kupiła całą belę tej bawełny piętnaście lat temu na jarmarku w Stretton; targowała się ze straganiarzem, aż opuścił do dwóch funtów za jard.

Piętnaście lat temu Joe nie był żonaty. Nie znał jeszcze Lyndsay i prawdę mówiąc, Dilys dziękowała Bogu, kiedy ją wreszcie spotkał. Właściwie nie można było powiedzieć, że Joego ciągnęło do Caro, niemniej był nią w pewien sposób zafascynowany, nawet oczarowany. To z powodu Ameryki, myślała Dilys, coś z tej Ameryki zostało mu we krwi, kiedy wrócił do domu. Został Caro w Tideswell i stała się dla niego symbolem wolności, którą jak sądził, utracił wracając.

Opowiedział Dilys o Ameryce. Siedząc późnym rankiem przy kuchennym stole i popijając kawę — „męska herbatka”, tak zawsze określano ten zwyczaj na farmie ojca Dilys, jeszcze między wojnami — mówił o tym, jak jest wielka, jakie rozległe są tam przestrzenie, jak spora jej część nie została jeszcze ujarzmiona, jak jej rzeki, góry i pustynie uświadamiają człowiekowi, że bynajmniej nie jest panem stworzenia. Dilys nie zniosłaby podobnych wynurzeń od Robina czy Harry'ego, ale Joego słuchała. Joe był jak ona — ambitny, coś go wciąż pchało naprzód, chciał, żeby wszystko szło najlepiej, a nawet to mu nie wystarczało. Ale to nie wszystko. Był w nim jakiś niepokój,

niespełnienie, nieświadomione pragnienie. Przez co łatwo było go zranić. Dlatego Dilys o niego drżała. Jego bezbronność objawiała się w sposobie traktowania farmy — jakby była wrogim żywiołem, a nie zwyczajnie wyzwaniem. Dilys miała nadzieję — och, jak wielką nadzieję — że małżeństwo i ojcostwo przyniosą mu spokój, wyciszą choć część niebezpiecznych emocji, że Joe dopłynie wreszcie do portu, ucieknie sztormom.

Przekreśliła się ostrożnie na drugi bok i stalowa siatka zajęczała pod nią płacziwie. I tak nie obudzi Harry'ego. Harry nie budził się z powodu byle czego. Był zrównoważony, a jego zachowania przewidywalne. Przez całe ich małżeńskie życie nigdy jej nie zaskoczył.

— To pewne, że niczym cię nie zaskoczy — stwierdził ojciec Dilys, kiedy mu powiedziała o zaręczynach. — Jeśli na tym ci właśnie zależy...

Tak, właśnie na tym jej zależało. W tych ponurych, pełnych niepewności przygnębiających latach tuż po wojnie Harry uosabiał bezpieczeństwo — rzecz wtedy niezwykle rzadka — i gwarantował jej, że ona nie pójdzie w ślady matki. W przeciwieństwie do niej zostanie dobrą farmerską żoną i dobrą matką małych farmerów. I tak się stało. Harry jej to umożliwił, a ona wykorzystała szansę.

Chłopcy rośli, podwórko było pełne drobiu, krowa — rasy Jersey — którą trzymali na własne potrzeby, cielna, okna domu błyszcząły wśród pól w promieniach wiosennego słońca i Dilys czuła całym sercem, że wybrała właściwie.

Tylko że teraz było jej trudniej. Harry zestarzał się i trzymał uporczywie swoich przyzwyczajęń. Dobrze znani, łatwi do kierowania chłopcy stali się mężczyznami, którzy mieli własne pokomplikowane życia i nieprzejrzyste osobowości. Nawet gospodarowanie na farmie, kiedyś stanowiące ku zadowoleniu Dilys pasjonujące wyzwanie, teraz obwarowane jak żywoplotem niesamowitym gąszczem biurokratycznych reguł i przepisów, powinności i grzywien, nie było już tym samym. Ziemia sprawiała wrażenie bezbronnej, jak Joe; już nie źródło utrzymania, spokoju, poczucia bezpieczeństwa, ale kapryśna, przerażająca połąć, zarządzana arbitralnie przez dalekie władze zamiast przez samego farmera.

Dilys uniosła głowę i wysunęła spod niej poduszkę, żeby ją wzruszyć. Nie powinna była obwiniać dzisiaj Lyndsay. Nie powinna twierdzić, że to ona denerwuje Joego. Kiedy zobaczyła później syna, wrzeszczącego na Harry'ego w otwartych drzwiach składziku, gdzie trzymali nawozy, zrozumiała, jak bardzo się pomyliła. To nie Lyndsay wina. Ale i nie Joego. Ani Harry'ego.

Próbowali po prostu żyć dalej, przetrwać. Wszyscy, ona też. I Robin. Dilys otworzyła oczy. Właśnie, Robin. Co z tą dziewczyną?

Velma przyszła po południu, przyniosła z powrotem zapiekankę, którą Dilys posłała do Tideswell na kolację, i wiadomość, że ni z gruszki, ni z pietruszki pojawiła się ta dziewczyna, co to ją Judy przywiozła, i najspokojniej siedzi sobie u Robina. Co on z nią robi sam w domu?

Robin, leżąc w łóżku, patrzył przez nie zasłonięte okno na księżyc. Zaczynał się dopiero wypełniać, postrzępione jak łachmany chmury przepływały przezeń, gnane wiatrem, który szarpał pnącą różą rosnącą przy oknie domu; żółtą różą, posadzoną przez Caro dlatego, że jej nazwa kojarzyła jej się z morzem. Może szczęśliwym trafem wiatr przepędzi deszczowe chmury albo chociaż sprawi, że nie będzie długo padało. Robinowi deszcz nie był już do niczego potrzebny. Kukurydzy i trawie przydałoby się teraz trochę ciepła, ustalonej ładnej pogody. Tymczasem jedyne, co się ustaliło ostatnio na dobre, to uporczywa mżawka.

— Pogoda jaskiniowców — powiedziała Zoe przy kolacji.

— Co?

— Nie możesz ich sobie wyobrazić? Stłoczonych w taką pogodę w pieczarach, jaskiniach, norach? Małpie palce, skołtunione włosy, wpatrzeni w mrok. Czekaający na mamuta. Jak myślisz, ilu ludzi mógł wykarmić taki mamut?

— Dużo.

— Setkę?

— Może.

Nabrał pełny widelec mięsa z nerką, przyrządzonego przez Dilys. Zoe jadła chyba tylko ziemniaki. A dzisiaj jeszcze rukiew wodną.

— Skąd wzięłaś rukiew? — zapytał.

— Znad rzeki.

— Nie jedz jej.

— Dlaczego?

— Może na niej być motylca wątrobowa Zoe popatrzyła na swój talerz.

— Ziemniaki w porządku?

— Najzupełniej. Ugotowałaś je? — Tak. Zapamiętałam, jak się to robi. -łodyżki rukwi na brzeg talerza. . To pasożyt, glista. Przesunęła grube

— Nakryłaś do stołu odwrotnie niż trzeba, Widelce kładzie się po lewej.

— Czy to ma znaczenie?

Robin spojrział na nią i uśmiechnął się.

— Żadnego.

— Gareth mówi, że ta krowa jest jałowa. Nie udało się także poprzednio.

— Wiem.

— To nie fair. Chodzi mi o to, że to nie jej wina. Mogę pojechać z tobą na aukcję, kiedy ją tam zabierzesz?

Robin pociągnął długi łyk wody.

— A ja mogę zapytać, jak długo zamierzasz zostać?

— Chcesz, żebym wyjechała? Zawadzam?

— Nie, ale będą gadać. Velma wie, że tu jesteś, Gareth też.

— Myślisz, że twoja matka tego nie pochwali...?

— Na pewno uzna, że to dziwne. Prawie cię nie znam.

— Ale znasz mnie już lepiej niż wczoraj i przedwczoraj

— oświadczyła Zoe rezolutnie. — Jestem po prostu znajomą Judy, której się to miejsce podoba. Uważam je za interesujące. Wyjadę, kiedy tylko będziesz sobie życzył.

Robin odłożył widelec.

— Judy wie, że tu jesteś?

— Nie. Myśli, że siedzę w Birmingham. Zadzwońię do niej. I pójdę odwiedzić twoją matkę. W końcu to, że tu jestem, to żaden sekret. Wyznacz mi jakąś pracę — nadziała ziemniaka na widelec — jeśli twoim zdaniem powinnam zarabiać na pobyt.

— Nic takiego nie pomyślałem.

— To o co chodzi?

— Zastanawiałem się po prostu, dlaczego przyjechałaś. Patrzyła mu prosto w twarz. Jej duże oczy spoglądały jednocześnie otwarcie i badawczo.

— Słuchaj, przecież to naprawdę proste. Chciałam cię znowu zobaczyć. Spodobało mi się tutaj, kiedy byłam z Judy, i ty mi się też spodobałeś. Więc przyjechałam znowu. Proste, nie?

Podobała mi się farma i ty, więc przyjechałam na dłużej. Proste, nie... ? Fakt, proste. Księżyc przez chwilę wisiał na niebie, wyraźnie widoczny, nie przesłonięty chmurami srebrny dysk, jasny i czysty, jeśli nie brać pod uwagę nieco zamazanych brzegów. Robin wyciągnął rękę spod pościeli i energicznie podrapał się po głowie. Dwa pokoje dalej spała Zoe, dziwaczna czerwień jej włosów odcinała się pewnie ciemną plamą na białej poduszce. Spała, bo dla wszystkich Zoe noc jest właśnie po to. Robisz, co chciałabyś zrobić, i nie troszczysz się, czy ktoś cię widzi. Bo i co jest do ukrycia? Życie należy

przeżyć i można to zrobić na wiele, naprawdę wiele sposobów. Żyj i daj życie innym, uważała Zoe. Proste. Nie?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dziewczyny z biura przyjęły ze szczerą ulgą fakt, że Judy ma chłopaka. Dzwonił co dzień, czasem dwa razy dziennie, i Bronwen czy Tessa, odbierając za Judy telefon, jeśli wyszła po kawę lub do łazienki, rzucały w słuchawkę ożywione, pełne entuzjazmu: „Och, cześć, Ollie! Co słyszeć?”. Zostawiały wiadomości na żółtych i różowych karteczkach przyklejonych do biurka: „Dzwonił Ollie! Odezwie się jeszcze raz o 12.30!”, a pod spodem rysowały małe uśmiechnięte buziaki, czasem przesyłały całusy. Rozprawiły o kwiatkach, które jej dawał — zawsze frezje — dopytywały się, co włoży na następną randkę do kina czy winiarni, a co na weekend. Stwierdziły, że Judy chyba jakby odrobinę przytyła, i Bronwen dała jej adres doskonałego klubu z aerobikiem, Tessa zaś zapewniała, że Judy świetnie w czarnym; „naprawdę, nic nie przesadzam”. Jakby istnienie Olliego, którego w ogóle nie znały — był dla nich tylko odrobinę nieśmiałym głosem w telefonie — automatycznie anulowało niewygodny dla obu fakt, że Caro umierając, osierociła Judy.

Co do samej Judy, nie bardzo wiedziała, czy ma rzeczywiście uważać Olivera za swojego chłopaka. Lubiła go — no bo kto by nie lubił kogoś takiego jak on, trzeba by być doprawdy zboczeńcem — doceniała okazywane jej względy, ale było w nim coś takiego, co nie pozwalało jej się do niego naprawdę zbliżyć. Nie tak dawno należał do Zoe, więcej, nie tak dawno Zoe go odrzuciła... Tłumaczył Judy wprawdzie, że był Zoe zafascynowany, pociągała go jej odmienność, ale raczej nie nazwałby tego miłością. Powiedziawszy to, wpatrzył się w Judy, jakby chciał, żeby zrozumiała: z nią to co innego, z nią czuje się swojsko, jak ze wspaniałym kumplem. Odpowiedziała mu spojrzeniem prosto w oczy i pomyślała, że pomimo całej jego otwartości i uroku nadal mu nie ufa. Gdyby tylko Caro przy niej była i mogła mu się przyjrzeć, ocenić jak konia na wybiegu aukcyjnym. Co tylko dowodziło, jak całkowicie Judy była od matki uzależniona, jak łaknęła jej akceptacji, nawet w sprawach miłości.

Oliver często zachęcał ją, by mówiła o Caro. Po filmach, które obejrzel, albo w galeriach, gdy stali przed obrazami, pytał:

— Podobałoby się twojej matce? Lubiła współczesne rzeczy? Moja nie. Zatrzymała się gdzieś na tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Właściwie to rozczulające. Judy podobała się ta gra. Było jej łatwiej wspominać Caro, gdy mówiła o niej w bardziej obiektywny sposób. Już nie myślała o Caro tylko jako o matce, ale jako o człowieku z konkretną osobowością, i to właśnie przynosiło ulgę.

— Czy łatwo jest zadowolić twoją matkę? — spytała kiedyś Olivera. — Spełniasz jej oczekiwania?

— Oj tak — odparł. — Nic łatwiejszego. Uważa, że jesteśmy oboje z siostrą cudowni. Zdumiewające, że potrafimy chodzić i jednocześnie mówić, i to samodzielnie. Po prostu się nami zachwyca.

— Z tego wynika, że raczej się wami nie rozczarowała? Spojrzał na nią i odpowiedział z zastanowieniem:

— Nie, chyba nie.

— To rzadkość...

— Wielka rzadkość.

— Więc właściwie nie możesz jej zawieść?

— Moim zdaniem — ujął jej rękę — powinnaś wreszcie przestać myśleć o tym, że kogoś zawiedziesz.

— Jak Zoe.

— Ona nie myśli ani o sukcesie, ani o klęsce. Zwyczajnie żyje.

Zoe siedziała w Birmingham już ponad tydzień. Jej kurs, poświęcony perspektywie w fotografii, trwał raptem dwa dni, a jej nie było aż dziesięć, z czego dziewięć Oliver kręcił się wokół Judy. Zoe przysłała Judy czarno-białą pocztówkę z rzędem słupów ciągnących się przez puste wrzosowisko, na której napisała: „Tęsknię odrobinę. Zadzwoń. Kurs nudny, ludzie mili”. Pod tym rzędem serduszek wielkich na pół cala i ogromne „Z”. Wniosek sam się narzucał: pojechała gdzieś z tymi miłymi ludźmi z kursu. Judy ustawiła pocztówkę na obramowaniu kominka, tuż nad drewnianymi czaplami, z których jedną Oliver przystroił czapką baseballową. Ofiarował się, że pomoże odnowić salonik.

— Naprawdę bym chciał. Przysięgam. Nie jestem dobry w tapetowaniu, prawdę mówiąc, kładę klej po obu stronach tapety, ale za to wyczyniam cuda z pędzlem. Sama zobaczysz.

— Powinnaś chyba poczekać na powrót Zoe.

— Niby dlaczego?

— No, ona też tu mieszka.

— Ale ty więcej. Nawet nie wiesz, gdzie ona jest w tej chwili, prawda?

— Nie — przyznała Judy, patrząc na czaple. — Ale nie potrzebuję tego wiedzieć. To nie moja sprawa. A zresztą ma zadzwonić.

I zadzwoniła. Jedenastego dnia, do biura. Judy pracowała nad spisem telefonów i adresów wszelkiego rodzaju konserwatorów, nawet tych od politur czy złocen, który to spis miał się ukazać w lipcowym numerze pod zachęcającym tytułem: „Pięciogwiazdkowe usługi naprawcze”, i kiedy telefon

zabrząca, była pewna, że to któraś z dwóch dziewczyn od malarstwa sztalugowego — miały się zastanowić i dać odpowiedź, czy będą w stanie przyjąć jakieś nowe zlecenia — tymczasem to była Zoe.

— Cześć — powiedziała Judy w popłochu, po części wynikającym ze zdumienia, a po części z faktu, że Oliver należał teraz do niej. — Gdzie jesteś?

— W Tideswell.

— Gdzie?

— W Tideswell. Już od piątku.

— A co ty tam do diabła robisz?

— Siedzę sobie — odparła Zoe.

— Ale mi nic nie powiedziałaś... nic mi nie mówiłaś...

— No bo po co? Mieszkasz sobie. Zatelefonuję i powiem ci, jak będę wracać.

— Słuchaj no — powiedziała Judy ze złością i niedowierzaniem. — W co ty pogrywasz? Nie możesz mieszkać u mojego ojca...

— Jemu to nie przeszkadza. A zresztą prawie go nie widuję.

— Dlaczego tam pojechałaś?

— Chciałam. Mówiłam ci, że mi się tu spodobało. Zobaczyłam autobus z tablicą „Stretton”, więc po prostu wsiadłam.

— Zoe...

— Co?

— Nie robi się czegoś takiego, nie powinnaś ot tak sobie jechać do mojego domu...

— Widziałam się z twoją babcią. Miewa się dobrze. Powiedziała, że nie mam prawa się narzucać Robinowi, ale przecież tego nie robię. Sama wiesz, że to niemożliwe. Że na to by nie pozwolił. Dzwonię, bo prawdopodobnie wrócę po weekendzie.

— Jesteś mi winna za czynsz — powiedziała Judy mściwie. — Siedemdziesiąt trzy funty razy dwa.

— W porządku.

— Jest tam tata?

— Nie. Wyszedł o szóstej. Mam go przypilnować, żeby do ciebie zadzwonił?

— Nie — powiedziała Judy z naciskiem. — Nie. To mój ojciec i to ja zadzwonię, kiedy mi się spodoba.

— Judy, uspokój się. Po prostu się uspokój, dobrze? Nie chcę ci niczego odebrać. Jestem tu, przyglądam się, to wszystko.

— Co najmniej dziwne...

— Ani trochę — zaprzeczyła Zoe. — Dziwny jest twój stosunek do tego wszystkiego. Zobaczymy się w poniedziałek. No, może we wtorek.

Judy usłyszała odgłos odkładania słuchawki na widełki telefonu w Tideswell, w kuchni w Tideswell; telefonu stojącego pod plakatem z mostem Złote Wrota, który ona, Judy, dała Caro siedem lat temu, kiedy miała zaledwie szesnaście lat. Caro kazała go oprawić w ramy z pomalowanego na ciemnozielono drewna, a teraz stała pod nim Zoe, patrzyła na niego, dotykała telefonu, dotykała stołu i krzesel, łyżek, kubków i talerzy, buszując swobodnie po kuchni, którą Judy tak dobrze знаła. Judy wyjęła czarny mazak z kubka, w którym trzymała ołówki, i narysowała na kawałku papieru groteskowy kształt. Dodała oczy, ogromne uszy, duże zapuszczone zęby i wystrzępione jak u niegdysiejszego skazańca włosy. Rzuciła mazak na biurko i sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić — nigdy tego przedtem nie robiła — do galerii, w której pracował Oliver. Właścicielem był jego przyjaciel, specjalizowali się we współczesnej litografii i drzeworytnictwie.

— Olivera? — odezwał się rzeczowy głos po tamtej stronie.

— Olivera Masona? Przykro mi, wyszedł na lunch.

— Doprawdy nie wiem, co ty sobie wyobrażasz? — Velma płukała ściereczki do kurzu. — Ze niby jaka jest tutaj twoja rola?

— Wszyscy powtarzają to samo pytanie — powiedziała Zoe. Velma wyciągnęła ociekające wodą ściereczki z miski i zaczęła je wyzymać.

— Właściwie nie ma tutaj z ciebie żadnego pożytku...

— Nie — przyznała Zoe — ale nie sprawiam również żadnego kłopotu. No, i ma towarzystwo.

— Nigdy mu nie było potrzebne — oświadczyła Velma. — To samotnik, zawsze taki był.

— O tym trudno wyrokować — odparła Zoe, nie zwracając uwagi na ton Velmy. — Chyba że wnioskujeś ze sposobu, w jaki rozmawia z ludźmi. Jakby się zwracał do psa czy coś w tym rodzaju. Milo, ale jednak z dystansem.

— No — Velma strzepywała ścierki i wieszala je na grzejniku

— mam nadzieję, że ty trzymasz dystans. Tylko tyle. — Spojrzała na zegar. — Za dziesięć minut powinien przyjść na obiad.

— Za parę dni wracam do Londynu — zapowiedziała Zoe. Velma odchrząknęła.

— Zostawiam w spiżarni paszteciki. Nie było sensu kupować dla dwojga, skoro jesteś taka przesadna co do mięsa.

— Jadam tylko pawie i łabędzie — oświadczyła Zoe. — Tego typu rzeczy. Chcesz, żebym ci zrobiła zdjęcie?

Velma spojrzała z osłupieniem. Obciągnęła tunikę z żółtego akrylu, jakby chroniąc się przed wścibskim okiem kamery.

— A na diabła? Po co miałabym dawać sobie zrobić zdjęcie? Kiedy wyszła, Zoe otworzyła wielką lodówkę i wyjęła z niej dużą kostkę żółtego sera, który podobno stanowił podstawę jadłospisu Robina, i torebkę pomidorów. Kupiła je w wiejskim sklepiku za poradą Debbie, która się tam na nią natknęła, gdy przyglądała się bezradnie kartonowym pudłom z kapustą i marchewką.

— Powiedział: pomidory — relacjonowała Zoe Debbie. — Ale ile? Dwa? Dwadzieścia? Jeśli mam ochotę na pomidory, kupuję jednego i zjadam go. Problem pomidorów dla Robina pozbawił pewności siebie także Debbie. Podobnie jak widok tej dziwacznej dziewczyny o palcach i uszach przeładowanych srebrnymi kółkami i czerwonych włosach, nie jak to zamierzyła natura, ale w kolorze buraka. Gareth twierdził, że nie ma między nią a Robinem nic intrygującego, dla Debbie jednak samo to, że Zoe pojawiła się i nie została natychmiast odesłana, było wystarczająco intrygujące, bez dodatkowych atrakcji. W dodatku ta dziewczyna w ogóle nie była seksowna. Debbie obejrzała ją sobie dyskretnie. Chuda, płaska jak deska, nie było w niej nic ładnego, zupełnie niekobieca.

— Wzięłabym sześć — zawyrokowała Debbie, patrząc na pomidory. — I dwa funty sera, Gareth twierdzi, że je niemal wyłącznie ser.

Zoe położyła na stole ser w nawoskowanym papierze, w którym go kupiła, i pomidory w brązowej papierowej torebce. Przyjrzała się jednemu i drugiemu, podniosła torebkę i wysypała pomidory do zlewu. Puściła wodę, żeby je wypłukać, tak silnym strumieniem, że opryskała sobie ubranie. Zakręciła kran, wyjęła pomidory ze zlewu i ułożyła je na stole w maleńki kopczyk. Ładnie wyglądały z okrągłymi kroplami wody ściekającymi po jędrnych błyszczących skórkach. Przy dwóch sterczały jeszcze zielone kępki łądyżek. Pomyślała, że warto byłoby zrobić zdjęcie.

W drzwiach prowadzących na podwórze pojawił się Robin, w kombinezonie roboczym i skarpetkach. Niósł gazetę, dwustu-mililitrową niebieską plastikową butelkę z zawiesiną przeciwko pasożytom i pistolet z dozownikiem. Rzucił butelkę i pistolet obok sera i pomidorów.

— Zostało mi jedenaście — powiedział — kiedy zabrakło tych cholernych końcówek.

— Na co to jest? — zapytała Zoe, patrząc na pistolet.

— Robactwo — odparł Robin. — Nie powinno się rozłazić. Trzeba to było zrobić przed zimą, ale... — urwał. Przez moment czekał, czy Zoe powie: „Ale Caro była zbyt chora?”. Zamiast tego poinformowała go:

— Velma zostawiła paszteciki.

Robin odpiął napy kombinezonu i zaczął się z niego uwalniać.

— Dzięki. Zadowolę się chlebem i serem.

— Dzwoniłam do Judy. Robin chrząknął.

— Pożyczyłam rower od Garetha i pojechałam do Dean Place. Twoja mama dała mi jeszcze ciepłą bułeczkę z rodzynekami.

Robin spojrzał na nią, a potem cisnął kombinezon w kąt, a domowa kotka, jakby na hasło „paszteciki”, przysiadła na nim w oczekiwaniu.

Zoe położyła na stole pokrojony na kromki bochenek chleba w plastikowym opakowaniu, talerz i nóż. Robin przeszedł obok niej, umył ręce w zlewie i spryskał sobie wodą twarz i włosy. Skoro Dilys dała Zoe bułeczkę, musiała ją zaprosić do środka, nie przyjęła jej na schodach, jak przyjmowała włóczęgów czy biednych, trochę niespełna rozumu chłopaków, którzy roznosili nędznie wyglądające ściereczki do kurzu czy kiepsko zrobione szczypczyki do bielizny. Dawniej Dilys miała swoich ulubionych włóczęgów, którzy odwiedzali ją regularnie raz na rok, jak Cyganie, i dla których zbierała stare ubrania i buty Harry'ego, częstowała ich także gorącym posiłkiem w składziku na paszę dla drobiu. Ale nie teraz.

— Porobiło się paskudnie — mówiła teraz. — Teraz już nie zaryzykuję i nie wpuszczę ich za próg.

Robin wrócił do stołu i usiadł.

— Widziałas tatę?

— Tak. Słyszał, że ci się dwie krowy ocielily, i uważa, że trochę przypóźno. Twierdzi, że powinieneś załatwić to w styczniu.

— Tata zawsze lubi przyczepiać łatki — Robin wyjął z opakowania kromkę chleba. Po chwili dodał: — Wszystko w tym roku jest spóźnione.

Zoe podała mu kawałek sera nabity na ostrze noża.

— Z powodu Caro.

— Spodziewałem się, że to powiesz, ale pięć minut temu.

— Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć. — Pochyliła się ku niemu. — Byłeś na jej grobie?

— Nie.

— Dlaczego? Może byś poszedł ze mną?

Rzucił jej szybkie spojrzenie. Nie była podekscytowana, minę miała raczej rzeczową.

— Mężczyźni — powiedziała Zoe bez sarkazmu w głosie. — Mężczyźni. Wydaje wam się, że wszystko jest w porządku, więc po co się dopytywać, czy naprawdę jest. Próbowałeś kiedykolwiek postawić się w sytuacji Caro, zrozumieć, co ona czuje? Odłożył z powrotem na talerz chleb z serem, który podnosił właśnie do ust.

— Nie umiałem. Próbowałem, ale nic mi z tego nie wyszło. Poza tym co ci do tego.

— Stale o niej myślę — przyznała Zoe otwarcie. — Wyobrażam sobie, jaka była i jak się jej tutaj żyło.

— Tego nikt nie wie — powiedział Robin bez specjalnego nacisku. Na moment zapadła cisza. Zoe wzięła pomidora i ugryzła go.

— Nie byłabym pewna — odezwała się po chwili.

Robin wstał, podszedł do zlewu, zdjął z suszarki dwa kubki i nalał do nich wody. Postawił jeden przed Zoe.

— Jeszcze się nie pożegnałeś — powiedziała Zoe. — A to właśnie należy zrobić, kiedy się kogoś straci. Inaczej trudno żyć dalej. Na przykład te groby na cmentarzu. Udawanie, że ludzie, którzy w nich leżą, zasnęli. Cóż, nie zasnęli. Umarli i nigdy już ich z nami nie będzie.

Robin wciąż stał koło stołu z kubkiem pełnym wody w ręku.

— Czasami tylko udawanie, że to nie koniec, pozwala znieść to, że ktoś cię zostawił.

— Tak się czujesz?

— Nie wiem.

— Wiesz. Myślę, że dobrze wiesz. Tak jak i wiesz, czy czujesz się w tej chwili zażenowany. Dlaczego nie chcesz o tym porozmawiać?

— To nie w moim stylu — odparł niemal nieśmiało.

— Ale chciałbyś ją zapytać o różne rzeczy?

— Może. — Opróżnił kubek dwoma łykami i odstawił go na stół.

— Chciałam swojego ojca wypytać o wszystko. Dlaczego nas zostawił, dlaczego pojechał do Australii, dlaczego tam został, czy tego żałował. Byłam wściekła, że umarł, zanim się zdecydowałam. Upiekło mu się... rozumiesz?

— Może to nie tak wygląda — powiedział Robin powoli. — Może nie dałaś mu szansy.

Zoe wstała.

— Sami sobie stwarzamy szansę, nie uważasz? Jeżeli rzeczywiście chcemy. I wiesz, co jeszcze?

— Co?

— Wścieka mnie, że chciałam go o to zapytać, ale prawda jest taka, że bardzo chciałam. Mianowicie: czy mnie kocha. — Spojrzała na Robina. — Czy ty też chciałeś o to zapytać Caro?

Plastikowa butelka i pistolet leżały tam, gdzie je rzucił. Przeszedł obok Zoe, wziął obie rzeczy, a potem skierował się w kąt kuchni, żeby wyciągnąć kombinezon spod kotki. „Zawsze żałowałem, że mnie nie kochała”, rosła myśl w pogrążonym w letargu mózgu, jak nagły rozbłysk światła, nieoczekiwany, ale oczywisty.

— Zobaczmy się później — powiedział. — Gdzieś około siódmej. Muszę jechać do Stretton po końcówki.

— Na razie — rzuciła Zoe.

— Na razie — odparł, nie patrząc na nią.

Na jednej ścianie pokoju Oliver wymalował wielki jasnoszary kwadrat, a na przeciwnej, nad kominkiem i czaplami, tej samej wielkości kwadrat ciemnoniebieski.

— Patrz na nie stale — powiedział. — Zobaczysz, który ci się będzie podobał. A może żaden.

Spotkał się z nią po pracy, razem przyjechali do Judy, gdzie wypił trzy puszki dietetycznej coca-coli i wymalował oba kwadraty, a potem pojechał zjeść kolację z ojcem.

— Muszę. W zasadzie nigdy nie przyjeżdża do Londynu. Kiedy wyszedł, Judy zrobiła sobie kilka tostów i usiadła z nimi przed niebieskim kwadratem. Piękny kolor nieba w lecie nocą. Nigdy nie miała pomalowanego na niebiesko pokoju. Niebieski w Tideswell był przewidziany dla dojami, bo miał podobno odstraszać muchy. Caro uznawała barwy żółte, zielone, czerwone i różowe jak wnętrze melona — kolory dojrzałych owoców i warzyw, słoneczne kolory, jak mówiła. Niebieski nie był według niej taki, nawet jeśli niebo i morze bywały niebieskie. Twierdziła, że błękit służy tylko wydobyciu kontrastu; na przykład woda w basenach jest przeraźliwie błękitna, nieprzyjemnie sztuczna po to, by podkreślić, że nie wyznaczyła jej tu miejsca natura, ale że została uwięziona w wielkich prostokątach i kwadratach wyłącznie dla zabawy. Podobnie rzecz się ma z moją gazetą, pomyślała Judy: strona za stroną wypełnione przedmiotami, meblami, materiałami gromadzonymi przez ludzi skwapliwie i często przypadkowo, niekoniecznie z oczywistego i zrozumiałego powodu, że są piękne albo użyteczne.

Ciemnoniebieskie ściany nie były użyteczne. Patrząc na śmiały, wyrazisty kwadrat namalowany przez Olivera, Judy zaczęła się zastanawiać, jak mogła wątpić w to, że niebieski jest piękny.

— A jeżeli to się okaże pomyłką? — zapytała go.

— To pomaluję je na nowo. Poza tym nie może być mowy o pomyłce. Przestań wreszcie myśleć o pomyłkach. To eksperyment. Całe życie jest eksperymentem. Bo jak inaczej dowiedziałabyś się, czy coś ma dla ciebie sens czy nie?

Judy wstała i wyniosła talerz po tostach do kuchni. Przez moment myślała, że Oliver zabierze ją ze sobą, by poznała ojca. Nie zrobił tego i nie wiedziała, czy bardziej się cieszy czy żałuje. Gdyby ją poprosił, postawiłby ją w niezręcznej sytuacji, a ponieważ nie poprosił, czuła się — co za niekonsekwencja! — lekko rozczarowana.

Podeszła do okna i spojrzała na małe ciemne podwórze i ustawione na nim trzy pojemniki na śmieci, na leżący obok nich stary zlew, w którym tkwiło połamane plastikowe wiadro i jaskarawozielony wentylator, niszczący od wilgoci. Oliver jest dla mnie taki miły, pomyślała Judy, taki miły... Właściwie dlaczego?

Z maleńkiego przedpokoju doszedł ją odgłos wkładania klucza do zamka.

— Cześć! — krzyknęła Zoe, zatraskując za sobą drzwi frontowe.

— Cześć — odpowiedziała Judy, stając w drzwiach kuchni. Wyglądała dokładnie tak jak w momencie wyjazdu: ciężkie trzewiki, czarna skórzana kurtka narzucona na czarny podkoszulek, dzinsy przecięte w poprzek na kolanach, tak że widać było skórę. Rzuciła plecak i torbę z aparatem na podłogę.

— Zajął mi to cały dzień. Cały boży dzień. Wszędzie roboty drogowe. — Spojrzała na Judy. — Przyjechałam ze Stretton autobusem. Gareth mnie do niego wsadził.

— Aha.

Zoe rozejrzała się po pokoju. Pokazała na niebieski kwadrat na ścianie nad kominkiem.

— Niezłe.

— Oliver go namalował — powiedziała Judy z premedytacją.

— Ollie?

— Tak.

— Świetnie — powiedziała Zoe swobodnie. Włożyła rękę do kieszeni kurtki i wyciągnęła garść banknotów. Podała je Judy. — Sto czterdzieści sześć funtów, które jestem ci winna.

— Nieważne...

— Judy, to moja część i jestem ci to winna. Bierz. Poza tym...

— Poza tym co?

— Powiedziałam: świetnie. Dotyczyło to Olliego i mówiłam serio.

Judy powoli wyciągnęła rękę, wzięła pieniądze, nie patrząc na nie, i schowała do kieszeni.

— W dzień po twoim wyjeździe przyszedł do ciebie z kwiatami — zaczęła opowiadać, żeby wyjaśnić sprawę. — A potem... cóż, czasami tak się zdarza.

— Wiem — stwierdziła Zoe. — Samo idzie. Naprawdę się cieszę. On lubi się opiekować ludźmi.

— Uważasz, że trzeba się mną opiekować?

Zoe pochyliła się i rozwiązała sznurek ściągający plecak.

— Tak. Jak i całą twoją rodziną. Wszyscy tego potrzebujecie.

— Moja rodzina składa się z twardych ludzi — oświadczyła Judy wyraźnie i z naciskiem.

Zoe wyszperała w plecaku cienką plastikową siatkę zawierającą coś lekkiego i bryłowatego. Podała ją Judy.

— Skoro tak twierdzisz. To dla ciebie. Od twojej babci.

— Co to takiego?

— Bułeczki.

— Babcia dała ci dla mnie bułeczki?

— Sama się zaofiarowałam.

Judy wzięła siatkę i położyła ją na najbliższym krześle.

— Wkurzyło mnie, że pojechałaś do Tideswell.

— Przecież nie chciałaś jechać. — Zoe, przykucnięta przy plecaku, spojrzała na nią.

— Mogłabym...

— Przestań być tak cholernie dziecinna — przerwała Zoe. — To mili ludzie. Nie widzisz tego? Nie ich wina, że nie rozumieli twojej matki. Brakuje im jej. Chcieli, żeby była jedną z nich, ale im się nie udało. Mimo to brakuje im jej.

— Jak na to wszystko wpadłaś?

— Po prostu nad tym myślałam. Obserwowałam. Być może jako autsajder jestem w stanie wyraźniej to dostrzec.

Judy przysiadła na brzegu krzesła, na które rzuciła torbę z bułeczkami od Dilys.

„Autsajder” — słowo, którego lubiła używać Caro. Brzmiało tajemniczo i wspaniale jak inne jej ulubione określenie: „nomada”. Wpoila też w Judy przekonanie, że nie należeć do plemienia, nie być skępowanym odziedziczonymi po przodkach przesadami — to coś cennego. „Poeci są autsajderami”, powtarzała. „Muszą być”. Zostać zaadoptowanym, wynikało ze słów Caro, to po trosze jak należeć do bandy niezwykłych, godnych zazdrości wędrowców, idących przez życie z oczyma pełnymi pięknych wizji. Zoe

określiła siebie przed chwilą jako autsajdera. Judy nie podobało się, że Zoe miałyby być częścią świata Caro; świata, do którego matka w subtelny, pełen wdzięku sposób włączyła i ją, Judy.

— Dlaczego nie obchodzi cię ta sprawa z Oliverem? — zapytała, nie zdoławszy ukryć goryczy w głosie.

— Dlaczego? — powtórzyła Zoe, a Judy popatrzyła wyczekująco. — Dlaczego miałoby mnie to obejść? Nie jestem w nim zakochana. Lubię go, bo to miły chłopak. Dlaczego miałoby mnie martwić, że jesteście razem?

— Po co się wybrałaś do Tideswell? — drażyła Judy. — Co tam robiłaś?

— Nic. — Zoe patrzyła na nią tymi swoimi wielkimi, otwartymi oczyma. — Jadłam, spałam, robiłam zdjęcia, pomagałam troszeczkę Garethowi, rozmawiałam z ludźmi.

— Z ojcem też rozmawiałaś?

— Masz brudne myśli. — Zoe wstała i zarzuciła sobie plecak na jedno ramię. — Odejście twojej matki wpłynęło równie źle na twojego ojca, jak na ciebie. Tyle tylko że on tego tak bardzo nie okazuje.

— On jej nie kochał! — wrzasnęła Judy. — Nigdy jej nie kochał! Nawet jej nie znał!

— A i owszem, kochał. — Zoe przesunęła się odrobinę w bok i zabrała z podłogi aparat. — Tym się akurat nie różnicie.

— Wszystkim się różnimy!

— Problem polega na tym — Zoe jakby nie usłyszała wykrzyknika Judy — że ona go nie kochała. I to go boli.

— Bo nie mogła! — krzyknęła Judy. — Jak mogłaby go kochać? Zoe zastygła na moment, wpatrzona w leżący pod jej stopami wytarty złocistożółty dywan, który zostawił tu poprzedni lokator, a potem bez słowa odwróciła się i weszła do swojej sypialni.

Rano Robin zdecydował, że wypuści krowy. Zrobiła się ładna pogoda, trawa nie była wprawdzie zachwycająca, ale i tak lepsza niż się tego jeszcze tydzień czy dwa temu spodziewał, poza tym będą mogli z Garethem zrobić coś wreszcie w oborze. Powiększyć niektóre zagrody, ponaprawiać szkody, które może mimowolnie wyrządzić w parę sekund swoim cielskiem krowa, żywe sześćset kilogramów rasy Holstein.

Gareth powiedział mu, że pięć krów się ochwaciło. Robin pamiętał ze swoich chłopięcych lat, że po Dean Cross chodził emerytowany generał, stary żołnierz ze starej dobrej szkoły. Słyszał go kiedyś wrzeszczącego: „Armia? Armia? Wspaniała sprawa, gdyby nie żołnierze i te ich cholerne nogi!”. Zupełnie to samo można by powiedzieć o hodowli i krowach. Krowom

zawsze dokuczają nogi. Z powodu krowich nóg przemysł mleczarski traci ponad trzydzieści milionów funtów rocznie — krasule doznają obrażeń, bo dieta jest zbyt bogata albo zbyt uboga, bo stoją w gnoju, bo kopią w zagrody albo w siebie nawzajem, bo ranią się o uszkodzone elementy boksów, bo nie wiadomo co. Tylko w zeszłym miesiącu Robin zapłacił sześćset funtów weterynarzowi, głównie za leczenie obrażeń nóg — wrzody, zapalenia, dermatozy, pokrywające się skorupą rany, które przysparzają tyle cierpień biednym krówskom. Teraz jeszcze ochwat. — Nie trzeba było im dawać tego jęczmienia — zawyrokował Gareth. Robin, pochylony nad przednią nogą dyszącej ciepło nad nim krowy, nie odpowiedział. Nie odzywał się przez dziesięć minut, a potem polecił po prostu Garethowi, żeby zainstalował urządzenie do kąpieli nóg w drzwiach do dojami. Później mogą zacząć wypędzać krowy na dwór.

Kuchnia wydawała się dziwnie cicha bez Zoe, chociaż dziewczyna nie robiła przecież wiele szumu, nie należała do gadatliwych. Zostawiła dzisiaj rano na stole karteczkę z podziękowaniami, że pozwolił jej zostać, „za to, że mogłam sobie po prostu mieszkać”. Nie miał nic przeciwko temu. Nawet mu się to podobało — w każdym razie o tyle, o ile ostatnio w ogóle mu się cokolwiek podobało — a to dlatego, że o nic go nie wypytywała i czasami rozumiała, choć nic jej nie wyjaśniał. Miał wrażenie, że nie szanowała go za to, iż nazywa się Robin Meredith i jest farmerem, ale za to, że jest mężczyzną, człowiekiem, który ma prawo do bólu, radości, do prywatności. W pewnym momencie ku swemu zdumieniu zrozumiał, że Caro by ją polubiła. Poczułaby do niej sympatię, bo dziewczyna nie była wścibska, bo nikogo nie chciała przerabiać. Dlaczego on nie mógł być taki, dlaczego koniecznie chciał...

Wstał od stołu, jak zwykle zasłanego papierami i broszurami, i odsunął talerz ze zjedzoną do połowy zapiekanką z kielbasą, którą podesłała Dilys. Pójdzie do obory, zdecyduje, popatrzy na krowy, zdrowe i chore, poobserwuje je, pocieszy się ich widokiem. Domowa kotka usiadła grzecznie na stercie gazet i przyglądała się, jak wkłada buty i kurtkę, i uprzejmie, nie okazując oznak zniecierpliwienia czekała, żeby wreszcie wyszedł. Podrapał ją po główce i pokazał na stół.

— Nie będzie ci smakowała cebula — powiedział.

W oborze, co bardzo lubił, było mroczno i cicho, jeśli nie liczyć szelestów i postękiwań krów, które się jeszcze nie ułożyły.

Przesunął dłonią po jednej czy dwóch, a potem obejrzał przednie nogi z oporzędzonymi kopytami; naskrobał się dzisiaj racic, żeby je oczyścić.

— Grzeczna dziewczynka — powiedział. — Wszystko w porządku, mała? Grzeczne dziewczuszki.

Krowy przesuwają się, postękiwały, uderzały o deski zagród. Ale żadna go nie kopnęła. Od lat żadna go nie kopnęła, przytrafiło mu to się tylko na początku, kiedy jeszcze nie wiedział, co krowy zniosą, a czego nie. Pamiętał swoje zdumienie, kiedy odkrył, jak bardzo potrafią być okrutne wobec siebie, że potrafią kopać chore albo słabsze. Mimo to je kochał. Nauczył się je kochać. Nie były jak drób czy świnię, do których hodowca podchodzi wyłącznie praktycznie. Dawały się kochać, wciąż się czuło, że są związane z człowiekiem.

Chodził powoli między zagrodami, a krowy, przyzwyczajone do niego tak jak do siebie nawzajem, zupełnie nie zwracały na to uwagi. Stojąca w głębi jednej z zagród jego ulubienica, która rodziła silne, zdrowe cielęta tak łatwo, jakby znosiła jajka, odwróciła łeb i wlepiła w niego spokojne oczy — zupełnie jakby się go tu spodziewała, jakby stanowił znajomy, niezauważalny element jej świata. Potem podniosła łeb, natychmiast o nim zapominając.

Na zewnątrz Gareth, przeżywający swój mały triumf z powodu kwestii jęczmienia w paszy, sprzątał ze szczególną starannością podwórze. Pokryty wyżłobieniami beton został wyszorowany do czysta, podobnie jak koryta na paszę i kanał, który wykopali i wylali cementem razem z Robinem trzy lata temu, żeby utworzyć w przejściu z dojami miejsce, gdzie odbywała się kąpiel krowich nóg. W powiewającym lekkim wietrze trzepotały i pobrzękiwały rozmaite rzeczy: bramki, kraty, arkusze blachy ocynkowanej i plastiku — efekty całych lat naprawiania, łatania, ulepszenia. Noc była piękna, a wiatr dawał nadzieję, że przepędzi zbierające się chmury. Robin przeszedł przez podwórze i stanął przy ścianie. Położył na niej dłoń i rozejrzał się wkoło. Rozciągające się przed nim pola, w ciemnościach pozornie zwarte, nie poprzegradzane rzędami żywopłotów, spadały ku rzece. Woda odcinała się wyraźnie widoczną połyskującą wstęgą od granicy pól, a czerń ziemi za rzeką stapiała się z czernią ciemności aż po linię horyzontu. Robin stał w owiewającym go wietrze, oparty o mur, i patrzył.

Kiedy dziesięć minut później ruszył na drugą stronę podwórza, uświadomił sobie, że w domu dzwoni telefon. Nie wiadomo dlaczego zyskał nagłą pewnością, że brzęczy tak natarczywie już od dłuższego czasu, i zaczął biec. Otworzył kuchenne drzwi i wbiegł niezręcznie w roboczych butach do środka. Kotka siedziała na stole przy wyczyszczonym niemal całym talerzu. Na widok Robina przerwała robioną z wdziękiem staranną toaletę i zaczęła go uważnie obserwować.

Złapał słuchawkę.

— Halo? Tideswell, halo?

— Robin?

— Tak, Lyndsay, tak...

— Musisz przyjechać, Robin, potrzebuję cię — powiedziała Lyndsay. —

Natychmiast. — Podniosła głos niemal do krzyku. — Joe zrobił coś strasznego!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Znalazł go stary pies Harry'ego. Co wieczór około dziewiątej trzydzieści Harry miał zwyczaj obchodzić z silną latarką podwórze i budynki. Towarzyszył mu powolny stary spaniel. Kiedyś był bardzo żwawy — chyba najlepszy pies myśliwski, jakiego miał Harry — ale teraz artretyzm osłabił mu tylne łapy i spowolnił chód, a na soczewki oczu nachodziła katarakta. Ale węch miał równie dobry jak przedtem. Człapał niezgrabnie za Harrym w czasie jego cowieczornych obchodów, z nosem tuż przy ziemi i nic nie uchodziło jego uwagi.

Pies zatrzymał się przy składzie na nawozy, wielkiej otwartej szopie, pokrytej dachem z blachy falistej. Leżały tu pięć-setkilogramowe worki z białego grubego plastiku, poukładane w kolumny nieco wyższe od mężczyzny, między którymi pozostawiono wąskie przejścia. Spaniel zastygł z opuszczoną głową koło jednego z takich przejść, wyraźnie czymś zaintrygowany.

— No chodź, staruszkule — powiedział Harry, przystając jakieś cztery metry od niego.

Spaniel nie zareagował na wezwanie. Musiał nim ovladnąć jakiś przemożny impuls, ponieważ mimo zniedołężnienia i wieku zaczął węszyć zażarcie, jak w czasach gdy spełniał tak pożyteczną rolę na polach. Nagle zaskomlał cicho, dziwnie, zarazem podekscytowany i przestraszony, i rzucił się z impetem pomiędzy białe worki, zmierzając prosto ku tyłowi szopy. Harry poszedł za nim.

— No co, ty zuchu, co tam masz.

Pies ujadł wściekle na coś w ciemnościach. Harry podniósł latarkę i skierował strumień światła w głąb połyskującego korytarza z białych worków. Przy końcu rzędu zobaczył bryłowaty, przerażający kształt, który nie do końca opadł na ziemię z braku miejsca. Zrobił chwiejnie krok naprzód i zmusił się do skierowania latarki wprost na ów kształt. Światło padło na wykręcone ciało podpartego na ramionach Joego w roboczym ubraniu, na leżącą przed nim starą strzelbę, z której strzelił sobie w usta.

— Doktor Nichols już jest — powiedziała Dilys. — Policja w drodze. Siedziała przy kuchennym stole pod jaskrawo świecącą lampą, sztywno wyprostowana. Naprzeciwko niej siedział na swoim zwykłym miejscu Harry. Oczy miał zamknięte. Między nimi, z głową skrytą w ramionach, niemal leżała na stole Lyndsay; włosy zasłaniały jej twarz. Robin stanął za matką i objął ją ramionami. Nie odsunęła go, ale i nie rozluźniła się ani trochę.

— Jednym strzałem, tak mówi doktor Nichols. Tylko jednym. Wziął broń ojca.

— Nie była zamknięta na klucz — powiedział szeptem Harry, nie otwierając oczu.

— Nie zamknąłem jej. Miałem zamiar użyć jej rano na wrony.

Robin okrążył stół i położył rękę na dłoni ojca. Harry złapał ją kurczowo.

— Nie zamknąłem jej.

— To nie twoja wina — powiedział Robin głośno, chrapliwie. — Znalazłby gdzieś broń. Twoja była po prostu pod ręką.

Po twarzy Harry'ego popłynęły łzy. Rozchylił powieki i wpatrzył się badawczo w Robina, a potem otworzył usta i przygryzł palec wskazujący; jego mokre od łez oczy rozszerzyły się z wściekłości i przerażenia.

— To nie twoja wina, tato. Niczyja. Nawet Joego.

— Moja. — Głos Lyndsay brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka, jakby nie mógł się przebić przez chmurę włosów.

— Nie — zaprzeczył Robin.

Usiadła, ale głowę miała nadal zwieszoną i wpatrywała się w porysowany blat stołu między jej ramionami.

— Nie rozumiałam — powiedziała — jakie to było ciężkie dla niego. Widziałam tylko, jakie to ciężkie dla mnie.

Robin zostawił ojca i przykucnął przy krześle Lyndsay.

— To było ciężkie dla ciebie. Dla nas wszystkich, ale szczególnie dla ciebie.

Odwróciła się, objęła go za szyję i opadła na niego bezradnie całym ciężarem.

Podtrzymując ją, wstał z trudem; z bezwładnego ciała biła rozpacz.

— Kochałam go. Ponad wszystko na świecie.

Z gardła Dilys wydobył się cichy dźwięk, siedziała nieruchomo, w tej samej pozycji co przedtem.

— Wiem — powiedział Robin. — On też wiedział.

— Nie — zaprzeczyła. — Nie. Nie umiałam do niego dotrzeć. Nie słuchał mnie, a ja nie próbowałam wciąż na nowo. Nie próbowałam mu pomóc, był taki samotny, coraz bardziej samotny, nie mógł już znieść tego bólu i wiedział, że nie mogę mu pomóc, bo nie jestem dość silna, wiedział, że wybrał nieodpowiednią osobę, która w końcu go zawiedzie, pozwoli, żeby był samotny... o Boże, Boże, Boże... — Lyndsay obwisała w ramionach Robina, zanosząc się płaczem. — Co ja zrobiłam!

Robin spojrzał na matkę. Dilys kiwnęła głową i wstała.

— Brandy. Nastawię też czajnik.

— Kep go znalazł — odezwał się Harry. Oczy miał znów zamknięte, kołysał głową w tę i z powrotem na oparciu krzesła. — Stary Kep. Myślałem, że to szczury, że pogonił za szczurami...

— Nie pomyślałam — szlochała Lyndsay. — Nie pomyślałam! Nie przyszedł na kolację, ale to się często zdarzało. Oglądałam telewizję... Oglądałam sobie telewizję, kiedy Dilys zadzwoniła. Nienawidzę siebie, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę...

Dilys postawiła na stole napełnioną do połowy płaską butelkę z brandy i kilka małych kieliszków ze złotą obwódką i dzikimi kaczkami na ściankach.

— Herbata zaraz będzie.

Robin delikatnie posadził Lyndsay na krześle. Wyciągnął rękę, nalał brandy do dwóch kieliszków i podsunął jeden ojcu.

— Wypij to.

Ręce Lyndsay drżały tak mocno, jakby były obdarzone własnym życiem, niezależnym od niej samej. Robin pochylił się, objął ją i podniósł kieliszek do jej ust.

— Upij łyżeczek. To cię uspokoi. Lyndsay przełknęła i zakasłała.

— Nie chcę bez niego żyć. Nie mogę, nie mogę... Robin ponownie uniósł kieliszek.

— Wypij.

Posłuchała, a potem odsunęła jego ramię, uniosła dłonie i zakryła twarz. Harry nachylił się do Robina i powiedział nalegająco:

— Powinienem zamknąć tę broń na klucz. Powinienem.

— Przecież nigdy tego nie robiliśmy, tato — mówił łagodnie Robin. — Powinno się tak robić, ale nigdy nie zamykaliśmy broni na klucz. Wątpię, czy broń Joego jest w tej chwili zamknięta.

— Mylisz się — odezwała się Dilys z drugiego kąta kuchni, nalewając wrzącą wodę do imbryka. — Całkowicie się mylisz. Joe robił wszystko jak należy. Zawsze.

Robin wyciągnął ramiona i uściskał jednocześnie Lyndsay i ojca, a potem podszedł do matki. Objął ją i przytulił do siebie.

— Wiem — powiedział. — Wiem. Spojrzała na niego płonącymi oczyma.

— Nic nie wiecie. — Przykryła imbryk pokrywką. — Nigdy nic nie rozumieliście.

Robin czekał, wciąż obejmując wyprostowane nieugięte plecy matki. Zerknął do tyłu i zobaczył, że Harry wyciąga rękę i chwyta dłoń Lyndsay w nadgarstku. Nie spojrzała na niego, siedziała dalej z twarzą skrytą w dłoniach, jakby pozostała jej już tylko ciemność.

Usłyszeli podjeżdżające pod dom samochody i dwie pary jaskrawo świecących świateł omiotły podwórze. Dilys wyswobodziła się z ramion Robina.

— Są — powiedziała. — Policja.

Judy nie mogła zasnąć po telefonie Robina. Leżała samotnie, bojąc się zamknąć oczy, przerażona upiornymi obrazami, które wciskały jej się pod powieki, ledwie je przymknęła.

— Jak? — zapytała Robina, pełna odrazy do samej siebie, porażona wieścią. — W jaki sposób... ?

— Wsadził sobie lufę śrutówki taty w usta. Śrut przebił mu czaszkę i utkwiał w worku z nawozem, o który się oparł. Policjanci... policjanci powiedzieli, że nie wszedł zbyt głęboko, bo Joe miał twardą czaszkę...

Robin zaproponował, że przyjedzie po nią do Londynu.

— Przyjadę i zabiorę cię. Nie powinnaś być sama.

— Przecież jest Zoe...

— To dobrze — stwierdził Robin.

— Tato...

— Tak?

— Dlaczego? — Judy zaczęła płakać, szlochając podniosła głos do krzyku.

— Dlaczego?! Dlaczego?!

— Nie wiem. Mogę się tylko domyślać.

— A co z Lyndsay? Z dziećmi?

— Niezbyt dobrze. Dostała jakieś środki uspokajające. Mary Corriedale opiekuje się dziećmi.

— Co to się wyrabia? — zawodziła Judy. — Co to się wyrabia? Najpierw mama, teraz Joe...

— Tak... tak się po prostu dzieje... Czasami... — Głos Robina brzmiał niewyraźnie ze zmęczenia. — Przypadek. I ludzie. Jesteśmy różni. Niektórzy z nas jakoś dają sobie radę ze światem, inni... — Nagle zapytał niespokojnie:

— Na pewno nie chcesz, żebym przyjechał?

— Nie.

— Zadzwoń jutro.

— Dobrze.

— Judy?

— Tak?

— Przykro mi, że to zawsze ja do ciebie dzwonię z takimi wiadomościami. Przykro mi, że to właśnie ja.

Oliver zaproponował, że z nią zostanie. Zrobił jej herbaty, usiłował wmusić chociaż trochę jedzenia, a potem powiedział, że zostanie, może Judy poczuje się różnie. Ale ona wiedziała, że nie zniesie dzisiaj nikogo, nawet Olivera; nie zniesie uprzejmości, czułości, współczucia, bo te pojęcia należały do innego świata — nierealnego po tym, co Joe sobie zrobił, co im wszystkim zrobił. Przerazenie, gwałt — to nie były słowa, które by oddawały to, co zrobił. Miotają nim ból i rozpacz dla Judy niewyobrażalne. Mimo całej jej mizერი: niepokoju i żalosnej nienawiści do siebie samej, nigdy — wiedziała to — nie doznała rozpacz takiej jak rozpacz Joego. Znała gorycz rozczarowania, wątpienia, wątpiwości; on znosił ciężar braku nadziei — teraz i w przyszłości; perspektywa, która złamała mu serce i ducha.

Postanowił więc z tym skończyć. Jak łatwo dokonać tego aktu rolnikom, rozmyślała Judy, kiedy już uznają, że dalsze życie nie ma sensu. Tyle samotnych godzin, tyle ciągnących się dni sam na sam z ziemią, a w przypadku Joego — bez żadnej żywej istoty; żadnych krów, świń, owiec, domagających się swego, hałasujących, zależnych od niego. I jeszcze te stopy specyfików i trucizn, butelek, worków i woreczków, flakonów na szkodniki i choroby — płynny i pylisty oręż destrukcji. I broń. Judy pamiętała z dzieciństwa strzelbę Harry'ego, która wisiała na dwóch hakach tak wkręconych w ścianę kuchni tuż przy drzwiach, żeby można ją było wieszać złamaną. Broń na szkodniki: szczury, wrony, króliki; broń na ptactwo: gołębie i bażanty; broń dla zaspokojenia odwiecznej, instynktownej potrzeby ochrony siebie, ziemi, rodziny, życia — teraz zwrócona w geście buntowniczej niezależności przeciwko ustanowionym przez ludzi normom zachowania, przeciwko sobie.

Klamka w drzwiach sypialni Judy poruszyła się. Zoe uchyliła drzwi.

— Nie śpisz? — zapytała szeptem.

— Nie.

Zoe wśliznęła się do środka. Miała na sobie za duży podkoszulek i była boso.

— To straszne — powiedziała, a Judy poczuła lekki nacisk jej szczupłego ciała, gdy usiadła w nogach łóżka. — To naprawdę straszne.

— Stale o tym myślę, wyobrażam sobie...

— Ja też.

— Tak gwałtownie...

— Śmierć jest gwałtem — powiedziała Zoe. — Musi być taki moment, gdy czują to nawet ci, którzy umierają we śnie. Ale jego była straszna.

— Nie umiem sobie wyobrazić, co czuł...

Zoe podciągnęła kolana pod brodę i nasunęła na nie podkoszulek, tak że jej sylwetka była teraz dla Judy bezkształtną bryłą rysującą się w przebijającym przez zasłony świetle ulicznej latarni.

— Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy tego wiedziały. — Zoe zamilkła na chwilę, a potem zapytała Judy: — Wierzysz w Boga?

— Nie.

— Ja też nie.

— Ani mój ojciec — dodała Judy. — On zresztą myśli, że jeśli nawet jest coś czy ktoś tam, na górze, staje przeciwko niemu, nie za nim. Gdybyś znalazła się z nim w kościele, zobaczyłabyś, jak mu spieszno wyjść.

Zoe oparła głowę na kolanach.

— Czy Joe będzie miał pogrzeb?

— Nie wiem. Przypuszczam, że tak. Babcia i dziadek na pewno tego chcą.

— Biedni.

— Dla babci słońce wschodziło, kiedy Joe się budził. Sama zobaczysz.

— Nie pojedę na pogrzeb — powiedziała Zoe. Judy czekała w milczeniu.

— Nie znałam Joego. Byłabym jak ci wszyscy ludzie, którzy przystają, żeby się gapić na wypadek samochodowy.

— Nie chcę jechać sama...

— Weź Olivera.

— On nikogo nie zna...

— Ale zna ciebie.

Judy usiadła powoli, podpierając się na ramionach.

— To boli, Zoe. To bardzo boli.

Zoe patrzyła na nią i nawet w mrocznym pokoju Judy widziała, jak jej błyszczą oczy.

— To żałoba, Judy, znowu żałoba. Rozmyślałam o tym w łóżku, jak próbowałam wymazać z mózgu Joego. I doszłam do wniosku, że jest jeszcze jedna rzecz, która mieści się w żałobie: zmiana. Żałoba zmienia twoje życie i ludzi w twoim życiu. Przystawia wszystko, choć tego nie chciałaś. A to boli. To zmiana, której nie chcesz, jest tak bolesna.

Hughie siedział zamknięty w sypialni na swojej wielkiej wypchanej poliestrem poduszce, oparty o Pana Fokę, oczy miał przymknięte, kciuk w ustach. Był ubrany w pidżamę, anorak i czerwono-czarną czapkę do baseballu, którą Lyndsay dostała na stacji benzynowej w Dean Cross razem z kuponami na benzynę. Wołałaby zamiast tego dwa kubki, które także dołączano do kuponów w ramach promocji, bo pomyślała, że Joe mógłby je zabierać ze sobą na pole i nie byłoby jej szkoda, gdyby się zbiły, ale akurat

ich zabrakło i musiała zgodzić się na czapkę. Hughie ze swej strony narobił niezłego zamieszania, błagając i jęcząc jak dwuletnie dziecko, świadom, że matka w końcu ulegnie, by uniknąć sceny.

Nie chciał, żeby go Mary Corriedale ubrała rano, sam też nie zamierzał tego zrobić. Przygotowała mu dżinsy, koszulę w kratkę, zielony podkoszulek, skarpetki i nowe adidasy na rzepy. Ledwo się odwróciła, wepchnął ubrania za grzejnik. Widział wystający zza niego kawałek dżinsów, ramiączko podkoszulka i ciemną kulkę skarpetek. Adidasy zostawił na podłodze, ponieważ były nowe, ale przykrył je szlafrokiem, żeby nie patrzeć na nie.

Mama leżała w łóżku w swoim pokoju, zasłony były zaciągnięte. Dużo czasu spędzała w łóżku, odkąd tatusia z nimi nie było, czasem wstawała ubrana w nocną koszulę, siedziała w kuchni i patrzyła przed siebie nieruchomo albo płakała. Jeśli Hughie chciał się do niej przytulić, natychmiast zaczynała płakać. Jeśli tylko na nią patrzył, siedziała i też patrzyła, ale nie na niego, tylko na przykład na butelkę z mlekiem albo w jedno miejsce na ścianie. Powiedziała Hughiemu, że tata umarł i już nie wróci.

— Co to znaczy: umarł? — zapytał Hughie.

— Ze nie żyje. Nie będzie już więcej oddychał ani chodził. To jest tak, jakby ktoś zasnął i więcej się nie obudził.

— Czy on został zabity? — dopytywał się Hughie, myśląc o tych wszystkich chrząszczach, wijach i stonogach, które porozgniatł w ogrodzie w przystępie paniki, żeby wreszcie przestały pełzać i wić się.

— Tak.

Hughie przypomniał sobie scenę, którą obejrzał w telewizji, zanim Lyndsay rzuciła się wyłączyć odbiornik.

— Siekierą?

— Nie. W wypadku.

— Co to znaczy w wypadku?

— Wypadek to pomyłka. Coś, co nie powinno się wydarzyć. Taka pomyłka, która wyrządza szkodę, jak na przykład wypadnięcie z okna czy katastrofa samochodowa. Hughie położył sobie Pana Fokę na głowie.

— Mogę go zobaczyć?

— Nie, kochanie, chyba nie. Hughie pomyślał, że jej głos brzmi jakoś dziwnie.

— Dlaczego nie?

— Bo od nas odszedł. Kiedy ktoś umiera, odchodzi, i nie ma go już z nami dłużej.

— To gdzie jest?

— W niebie — odpowiedziała niepewnie Lyndsay.

Hughie poddał się. W przedszkolu w Dean Cross, gdzie spędzał trzy przedpołudnia w tygodniu, rozmawiali na temat nieba przed gwiazdką i robili dla mam anioły ze skrzydłami wystrzyganymi z papieru. Anioły żyły w raju, a raj był gdzieś w niebie. I były w nim aeroplany, miał nadzieję Hughie. A teraz jeszcze tatuś, powiedziała mama. Zdaje się, że nie umiała mu lepiej wytłumaczyć ani jak tatuś dostał się tam, na górę, ani dlaczego nie zejdzie na dół.

To drugie było jedyną rzeczą, o której ostatnio myślał. Doszedł do wniosku, że musi przyczaić się gdzieś nieruchomo, z Panem Foką i kciukiem w ustach, bo kiedy się znowu poruszy, świat będzie taki sam jak przedtem. Z tatusiem na swoim miejscu. Wcisnął mocno baseballową czapkę na głowę, dopóki nie uznał, że on i Pan Foka są dostatecznie bezpieczni pod jej daszkiem. Nie wiedział, jak długo będzie musiał tak trwać, ale to nie było ważne. Zajmie to tyle czasu, ile potrzeba.

Lyndsay wzięła Rose ze sobą do łóżka, żeby Mary Corriedale mogła posprzątać w kuchni i coś ugotować. Lyndsay powiedziała wprawdzie, że niepotrzebnie, bo nie jest głodna, ale Mary odparła, że doktor Nichols kazał, by zjadła chociaż trochę zupy i może kawałek ryby, jeśli zdoła. Nie zdoła. Jedyne, co nie sprawiało jej ostatnio trudności, to łykanie przepisanych przez niego proszków, po których zapadała w sen jak w głęboki czarny tunel.

Rose też trudno było jej znieść. Powtarzała sobie, że to tylko dziecko, a mimo to naturalną żywość córeczki odbierała jak całkowity brak serca. Rose miotała się właśnie na czworakach po łóżku i pokrzykując grzmociła w poduszki. Lyndsay nie mogła jej zostawić i pójść do Hughiego; obawiała się, że natychmiast stanie się coś nieodwołalnie destruktywnego. Nie mogła też wziąć Hughiego do łóżka, bo obecność Rose byłaby dla niego koszmarem jeszcze większym niż zwykle. Lyndsay rozumiała już bardzo wiele rzeczy, Hughie, niewolny od strachu, może przerażenia, zaczynał rozumieć, Rose nie poznała jeszcze niczego i to właśnie czyniło ją straszną.

Lyndsay wiedziała, że Hughie siedzi zamknięty w swoim pokoju, próbując dokonać czegoś magicznego, i serce jej krwawiło. Serce nie przestawało jej teraz krwawić, czuła to. Czuła, jak wyciekają z niego ciemne gorące krople i wysychają w niej, tak jak czasem wysycha w orzechu jego jądro.

— Żałoba przypomina podróżowanie — powiedział doktor Nichols, a na jego młodej wąskiej twarzy malowała się powaga. — Kiedy już się ją

skończy, a zapewniam panią, że któregoś dnia to nastąpi, człowiek znajduje się w zupełnie innym punkcie.

Lyndsay patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nie było żadnego stałego punktu — i to też bolało — trwała zawieszona w nicości, a skoro Joe umarł, pozostanie tam na zawsze. Doktor Nichols był bardzo grzeczny, nie rozmawiał z nią protekcjonalnie, jak z kimś o osłabionej zdolności do myślenia, ale przecież mimo całej uprzejmości i szacunku, jaki jej okazywał, nie mogła mu powiedzieć, że Joe był dla niej wszystkim, że nigdy nie przestanie go uwielbiać. I potrzebować. Tym bardziej nie mogła powiedzieć doktorowi Nicholsowi, jaka myśl niedawno zaczęła ją prześladować; ohydna myśl, która choć Lyndsay tego nie chciała, zagnieździła się w jej mózgu i rozrastała jak huba: gdyby Joe żył, jego fatalistyczne nastawienie odbiłoby się w końcu na dzieciach, zniszczyłoby je. A wtedy Lyndsay musiałaby wybierać — on czy dzieci.

Harry stał w miejscu, gdzie umarł Joe. Policjanci zabrali worek z nawozem, na którym spoczywała głowa Joego, a Harry powiedział, że resztę uprzątnie sam. Chciał tego. Nie było wiele do roboty: parę plam krwi na sąsiednich workach i ślady wyżłobione przez obcasy w kurzu podłogi. Popłakiwał cicho podczas pracy, ale chciał być tutaj, w tej wąskiej przestrzeni, gdzie Joe był po raz ostatni.

— Przepraszam, mój chłopcze — powtarzał w pustkę. — Przepraszam, przepraszam...

Policjanci zabrali także strzelbę. Miał nadzieję, że nigdy więcej jej nie zobaczy. W domu była jeszcze jedna, wystarczy na szczury i króliki. Ta, z której uczył synów strzelać. Obaj okazali się pojętnymi uczniami. Gdyby Harry miał z ręką na sercu wybrać lepszego, musiałby wskazać Robina; trafiał celniej i nie gorączkował się. Ale Joe strzelał w lepszym stylu. Harry z przyjemnością patrzył, jak syn trzyma broń: jakby nie było naturalniejszej rzeczy na świecie. Śmiercionośne narzędzie wyglądało w jego rękach na niewinny, nawet piękny przedmiot.

Harry położył dłonie na workach, przy których leżał Joe, a potem przycisnął do nich czoło. Chciał być tutaj, nigdzie indziej; nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o miejscu gdzie znalazł syna.

— O nic się nie kłopotz, tato — powiedział Robin. — Nie musisz nic robić. Zajmę się tym, co najpilniejsze.

Pojechał teraz traktorem na dwunastoakrowe pole, które Joe obsiał grochem.

Przeznaczył pod groch w tym roku aż pięćdziesiąt akrów, posiał też więcej jęczmienia niż zazwyczaj i sporo lnu, którego niebieskie kwiatki tak

bardzo lubiła Lyndsay. Harry widział ją tylko dwa razy od śmierci Joego. Zaszedł do niej kierowany impulsem, którego nie umiałby wytłumaczyć, i język stanął mu kołkiem w gardle, nie był w stanie porozmawiać nawet z dziećmi. Lyndsay wyglądała jak zjawą nie z tego świata i odniósł wrażenie, że rzeczywiście nie zależy jej na tym świecie. Biedna dziewczyna, rozmyślał Harry, biedna mała. Wdowa, choć nie ma nawet trzydziestki. Wyglądała przy boku Joego jak dziecko, o tyle od niego drobniejsza i młodsza, tak od niego zależna. Joe nie powinien tego robić, pomyślał Harry, gdy patrzył, jak Lyndsay przygotowuje kanapkę dla Rose niesamowicie powolnymi, pełnymi znużenia ruchami. Nie powinien zostawiać ich samych, trzy kruche łupinki na bezmiarze oceanu. Ale on, Harry, nie powinien zostawiać nie zamkniętej broni.

Czuł, że ta myśl nie opuszcza Dilys. Od momentu gdy wydarzył się ten wypadek, jak to określała, czuł, że obwinia jego. Życie toczyło się pozornie niemal tym samym trybem co dawniej, ale choć żadne z nich nie miało ochoty rozmawiać, Harry czuł, że został przez Dilys wyklęty jako mąż i jako ojciec Joego. A przecież właśnie Joe zawsze ich łączył. Przez ponad czterdzieści lat zadowolenie z Joego, troska o niego budowały więź między nimi, przynajmniej w tym jednym wypadku mogli czuć się jednością. Teraz jednak wyglądało na to, że Dilys nie chce mieć koło siebie Harry'ego, nie chce z nim dzielić ani żałoby, ani wspomnień. Leżąc bezsennie w nocy obok Dilys miał świadomość, że ona także czuwa, a jej umysł zaprzęta ta sama myśl, co jego. Gdyby jednak odezwał się do niej, powiedziałaaby pewnie: „Lepiej się prześpij, Harry. Ani się obejrzysz, a będzie szósta”, zostawiając go na pastwę żalu i samotności i nie pozwalając dzielić jej żalu i samotności. Harry nigdy przedtem nie poznał prawdziwego smutku. W ciągu ostatnich dni raz czy dwa przemknęło mu przez myśl, czy to go nie zabije, i nie był przerażony. Wiedział, że byłby zadowolony, gdyby śmierć rzeczywiście przyszła, i to szybko.

Podniósł głowę i spojrzał na dach szopy, zrobiony z blachy falistej. Joe wymienił jesienią kilka arkuszy, inne aż się o to prosiły, pocętkowane dziurami jak liść kapusty nadgryziony przez gąsienice. Krople deszczu spływały przez otwory na worki z nawozem, znacząc je rdzawymi kropkami. Trzeba dopilnować, żeby Robin się tym zajął. I zatkanymi rowami melioracyjnymi, Joe nigdy nie mógł się za to zabrać. „Tak, tak”, powtarzał tydzień po tygodniu, kiedy Harry mu o tym przypominał, i zawsze wynikało coś pilniejszego. Jak ta obora, którą szykował dla bydła — pomysł, do którego nieoczekiwanie przyłgął całym sercem. Spędzał całe dni przy tej

robocie. Czteryście funtów, wyliczył sobie, będzie musiał zapłacić za krowę o jakiej takiej wadze, może więcej. A chciał mieć dwadzieścia, rasy Hereford i Limousin. Harry sprzeciwiał się temu od początku. Nie awanturował się, ale był nieprzejednanie uparty; starczo, zawzięcie uparty. Robiło mu się niedobrze, kiedy pomyślał, jak bardzo. I to o co? O dwadzieścia sztuk bydła. Tylko tyle chciał Joe. Zamierzał wszystko robić sam, nie prosił o nic więcej jak o zgodę na zainwestowanie trochę pieniędzy. Harry oparł się o worki i zamknął oczy. Nie zniesie tego. Nie zniesie, że tak się zachował w całej tej historii z bydłem. Nie pogodzi się z faktem, że teraz, kiedy Joe to zrobił, już nigdy nie zdoła tego naprawić. Dilys postawiła przed pastorem ciasto z wiśniami. Już po raz trzeci od chwili wypadku składała jej wizytę i widziała, że wciąż nie ma zielonego pojęcia, co powinien powiedzieć. Nie wiadomo dlaczego uważał, że Dilys dręczy problem grzeszności samobójstwa. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego o tym mówi.

— Co pastor ma na myśli, mówiąc o grzechu? — spytała.

— O jakim grzechu może być tutaj mowa? Joe miał ten wypadek, bo został do takiego stanu doprowadzony. Człowiek, który został do czegoś doprowadzony, staje się ofiarą. Ofiary są niewinne.

Pastor zastanowił się, czy wdawać się w rozważania na temat różnic między niewinnością a bezradnością, ale dał sobie spokój. Zajął się ciastem z wiśniami i prawieniem Dilys komplementów. Zachowuje się nadzwyczajnie, wszyscy to mówią, żyjąc dalej tak, jakby się nic nie zdarzyło; nie zamyka się w samotności, chodzi do wioski po zakupy, piecze ciasto...

— Modlę się za ciebie. Codziennie. Także za Harry'ego, za Joego i jego rodzinę.

Dilys wprawdzie nie zachnęła się wyraźnie, ale jej mina wyraźnie dawała do zrozumienia, że w życiu nie słyszała o czymś bardziej nieskutecznym.

Przypominała w tym momencie pastorowi starą kobietę z Dean Cross, która umierała na zapalenie płuc w szpitalu w Stretton. Gdy ją odwiedził i powiedział, tak jak teraz Dilys, że się za nią modli, oświadczyła: „Modlitwa? Modlitwa? Przydaje się jak umarłemu kadzidło”.

— Gdybyś chciała porozmawiać — powiedział do Dilys

— zawsze możesz do mnie zadzwonić. O każdej porze. Popatrzyła na niego.

— Smutek jest czymś naturalnym — dodał wpatrzony w filiżankę z herbatą — ale też może przerazić, przybierając formy, których byśmy nie chcieli. A Bóg...

— Nie — przerwała mu Dilys. — Tylko nie o nim. Pastor westchnął.
— Bardzo jesteś odważna. Nie możesz jednak polegać tylko na tym, że jesteś silna.
— Nie? — zapytała. — Nie mogę? — Wstała, dając mu do zrozumienia, że uważa wizytę za skończoną. — Tak się składa, pastorze, że tylko to mi pozostało. — Po czym zabrała jego filiżankę i zaniósła ją do zlewu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W dzień pogrzebu Joego poranek wstał czysty jak kryształ. Nawet Robin, który oceniał pogodę wyłącznie bezlitosnym okiem praktyka, czuł niejasno, że jest coś niezamierzenie okrutnego w jasności tego ranka, jakby jego blask podkreślał, że w niczyjej śmierci nie powinno być nic mrocznego, co by trzeba ukrywać.

Robin przypatrywał się sobie, choć niespecjalnie uważnie, goląc się przed lustrem w łazience. Używał staroświecko brzytwy, a zeszkrobana rankiem ciemna szczecina zarostu pojawiała się znowu przed wieczorem. Caro, gdy jeszcze darzyła go jakim takim zainteresowaniem, prosiła zawsze, by ogolił się po raz drugi. Przebudził się dzisiaj o czwartej rano, niespokojny przed dniem, który go czekał, i na myśl o tych dniach, które minęły, i jak je znieśli inni: Lyndsay, rodzice, biedny mały Hughie. Co on sam czuł, właściwie nie wiedział, poza tym że dręczyło go uczucie nierealności świata — miejsca i przedmioty, na które patrzył, nagle zyskały inny wymiar, stały mu się obce. Nikt go nie zapytał, co czuje. Ale też od nikogo tego nie oczekiwał. Wszyscy milcząco założyli — a w gruncie rzeczy sam to założył — że bolesne sprawy, które należało załatwić przez ostatnie dni, powinien załatwić właśnie on: zidentyfikować ciało Joego; udzielić policji niezbędnych do protokołu informacji na temat okoliczności śmierci i potwierdzić, że nie było w nich nic podejrzanego; zgodzić się z ich tezą, że umysł Joego, skłonny do pograżania się w ciemności i chaosie, stracił delikatną równowagę, w jakiej trwał do tej pory, i zawiódł. Mierziło go to. Spekulacje na temat charakteru Joego, choć przecież uczciwość kazała mu je potwierdzać, napełniały go odrazą. Odbierał to jako koszmarną nielojalność, czuł się, jakby pozbawiał brata prawa do zabrania własnych tajemnic ze sobą do grobu. Ale ktoś przez to musiał przejść, było to nieuniknione jak sekcja i test na obecność alkoholu i narkotyków we krwi, jak wszczęte przez koronera ze Stretton śledztwo na temat przyczyn śmierci, jak identyfikacja zwłok, poprzedzająca kremację ciała — zgodnie z życzeniem Joego, które wyraził w obecności Judy i Robina podczas pogrzebu Caro. „Spalony, a popioły rozrzucone. Koniecznie rozrzucone. Do rzeki. Nie po cholernej farmie”.

Czy Joe już wtedy myślał o śmierci? Stał nad grobem Caro i wiedział, choć może nawet jeszcze sobie tego nie uświadamiał w myślach, że wraz z nią znika dla niego ostatni cień nadziei? W tę męczącą noc, poprzedzającą pogrzeb Joego, Robin nie mógł się uwolnić od myśli, że podczas gdy on pokładał w Caro coraz mniej i mniej nadziei, Joe odwrotnie — coraz więcej i

więcej. I pewnie nic na to nie mógł poradzić, jak i na to, że nie dawał sobie rady sam ze sobą. Jediną możliwością, aby pomóc samemu sobie, zobaczył w broni taty... i na to też nie mógł nic poradzić. W kostnicy wyglądał wreszcie na człowieka, który znalazł spokój, właściwie ulgę. Robin spróbował to wytłumaczyć Lyndsay, chcąc uśmierzyć choć trochę jej ból, i kiedy już powiedział swoje, natychmiast tego pożałował. Jak ktoś, kto doszedł trochę za późno do wniosku, że zawiódł męża, mógł znaleźć pocieszenie w fakcie, że śmierć przyniosła mu ulgę?

Dreńczony tym wszystkim leżał w niespokojnym półśnie, dopóki o czwartej rano nie zadzwonił budzik. Wstał, zrobił sobie herbaty, załatwił trochę papierkowej roboty (brał do ręki wyłącznie formularze z nadrukiem: ostatnie ponaglenie) i mimo to pojawił się w oborze przed Garethem, z czego ten bynajmniej nie był zadowolony. Gareth nie lubił wstawać z łóżka piętnaście po piątej, jeśli nie musiał; nie lubił też pracować z Robinem, o ile nie wynikało coś nagłego. Robin wykonywał wszystko nieco inaczej, wnosił też od razu inną atmosferę do obory. Krowy to czuły i natychmiast wykorzystywały: waliły kopytami w zagrody, domagając się wypuszczenia na podwórze, przepychały się i potraçały nawzajem.

Poza tym Gareth nie spał dobrze, ponieważ ledwie znaleźli się w łóżku, Debbie wybuchnęła płaczem i wydusiła z siebie między westchnieniami i szlochami, że według niej powinni wyjechać z Tideswell.

— Co znaczy: wyjechać? — Gareth, który wchodził właśnie do łóżka, zastygł z kolanem uniesionym do góry.

— Powinniśmy stąd uciekać — powiedziała Debbie, kołysząc się jak ktoś, kogo opanował potężny ból. — Musisz znaleźć inną pracę.

— Oszalałaś? O czym ty gadasz? Rozum ci odebrało czy co?

— To przeklęte miejsce. Z całą pewnością. Najpierw Caro, teraz Joe. Gareth... przecież to samobójstwo. Nie mogę przestać o tym myśleć, stale mi to chodzi po głowie. Nie możemy zostać, nie możemy. Z powodu dzieci. Nad tym miejscem ciąży jakieś przekleństwo, tak jakby nas ktoś wyłapywał, jedno po drugim...

Gareth wszedł ostatecznie do łóżka i ułożył się płasko pod kołdrą.

— Chyba się za dużo naoglądałaś filmów dzieci na wideo.

— Mówię poważnie! Poważnie! Poważnie! — krzyczała Debbie. Spojrzył na nią. Nie przypominała jego Debbie z tymi otwartymi szeroko ustami, raczej jakieś dzikie zwierzę. Odchylił kołdrę po jej stronie łóżka i poklepał prześcieradło.

— Chodź tutaj — powiedział. — Chodź, przytul się do mnie. I przestań wymyślać niestworzone historie.

Płakała jeszcze długo, mówiła coś niewyraźnie wśród szlochów o Lyndsay, Caro, samotności, konieczności borykania się z życiem, chociaż człowiek nie ma na to siły. Kiedy wreszcie zasnęła ciężkim snem, z wilgotną twarzą opartą na jego ramieniu, leżał rozbudzony, wpatrując się w ciemność i wsłuchując w ciszę nocy, nagle nie przyjazną, lecz groźną, jakby czaiły się w niej straszliwe siły, które tylko czekają, by dać poznać swoją moc. Dzwonek budzika wyrwał go ze snu tak głębokiego, że z trudem wrócił do przytomności. Debbie nie przebudziła się, leżała z twarzą wtuloną w poduszkę, gałki jej oczu poruszały się lekko pod powiekami.

A teraz jeszcze ten Robin w oborze.

— Coś się objawiło? — spytał Robina.

— Nie — odparł. — Tylko ja.

— Mogłeś mi powiedzieć, że załatwisz poranne dojenie, mogłeś, nie?

— Sam o tym nie wiedziałem — rzekł Robin, nie patrząc na niego. Gareth zszedł ciężko po betonowych stopniach do kanału. Mechaniczna dojarka pobrzękiwała i postukiwała głucho — monotonne dźwięki przerywane odgłosami pacnięć gnoju.

— Co z nią? — zapytał Robin, kiedy zakładając końcówkę dojarki wziął w rękę wymię krowy. — Straciła jeden cycek?

— Tak — powiedział Gareth nachmurzony. — Miesiąc temu. Ale jest w porządku. Daje, ile trzeba, z trzech.

Robin poklepał krowę.

— Poczciwa staruszka. Zawsze staje na tym samym miejscu. Zawsze czwarta. — Spojrzał na Garetha. — Zostawiam cię samego. Pójdę się ogolić.

Gareth się nie odezwał. Robin wyszedł po betonowych stopniach z kanału i przystanął na chwilę z ręką na starej metalowej poręczy.

— Gareth — zaczął niepewnie — będziesz dzisiaj? Z Debbie?

— Raczej tak.

— Nie musicie — Robin przerwał, a po chwili dodał niezręcznie: — Jeżeli... może to dla was za trudne... więc nie musicie...

Gareth odwrócił się i stuknął palcem w guzik na panelu sterowniczym, żeby uruchomić automat do podawania paszy.

— Będziemy — stwierdził, a potem rzucił niegrzecznie: — Co jeszcze wymyśliłeś? Nic takiego, pomyślał Robin, pocierając brodę, chciałem ci tylko tego oszczędzić. Druga śmierć w rodzinie w ciągu tak niewielu miesięcy, inna niż

tamta; śmierć, o której się nie rozmawia, której nie towarzyszy pomruk współczucia, jest tylko nieskończona liczba pytań do zadania.

— Dlaczego? — powtarzała Judy niemal cały wieczór, nim zasiedli do kolacji. — Dlaczego? Wiem, że nie ma sensu pytać, ale nie mogę się powstrzymać. Dlaczego akurat tak? Dlaczego w ten sposób? Dlaczego nie pomyślał o Lyndsay i dzieciach? Judy znowu przywiozła ze sobą gościa, tym razem mężczyznę, wysokiego, dobrze ułożonego chłopaka w okularach, który zwracał się do Robina „panie Meredith” i sprzątał talerze ze stołu, nawet gdy go o to nie proszono. Robina zdumiał nieco jego widok, ale szybko zrozumiał, dlaczego Judy go ze sobą przywiozła. A w każdym razie dlaczego chciała w ogóle kogokolwiek przywieźć. Zastanawiał się krótko, z jakiego powodu nie zabrała Zoe, ale nie zapytał, a i ona nic na ten temat nie powiedziała. Nikt nie wspomniał o Zoe. Kiedy przyszła pora kłaść się spać, Judy zaprowadziła Olivera do tego samego pokoju, w którym spała Zoe, i parę minut później Robin natknął się na niego na podeście schodów. Niósł ręcznik i szczoteczkę do zębów. Był bez okularów i Robin pomyślał, że jego oczy przypominają nieco oczy zółwia.

Robin zanurzył brzytwę w umywalce pełnej gorącej wody i zamieszał nią, żeby oczyścić ostrze z piany i włosów. W sypialni wisiał na drzwiach szafy wyczyszczony przez Velmc jego jedyny czarny garnitur. Wypucowała mu też czarne buty i przygotowała białą koszulę. Nie zrobiła nic takiego z okazji pogrzebu Caro, bo też było to co innego. Caro nie mieściła się w uznawanym przez nią porządku rzeczy, Joe — przeciwnie. Od dzieciństwa był częścią jej świata, duży, złocistowłosy, przystojny, pożądany — postać z romansu, nawet w kombinezonie roboczym. Mieszając brzytwą w gęstniejącej od piany i włosów wodzie, Robin zastanawiał się, czy Velma złamie swoje zasady co do pogrzebów i przyjdzie dzisiaj. Nie by uszanować czyjaś śmierć, nie z szacunku i współczucia, wymogów dobrego wychowania czy czego tam, ale dlatego że chodziło o Joego.

Dilys stała sztywno w pierwszej ławce kościoła w Dean Cross między Lyndsay i Harrym. Przy końcu ławki stał Robin, a za nim, z tyłu, Judy i ten młody człowiek, którego przywiozła. Sprawiał wrażenie młodego człowieka na miejscu, ale według Dilys nie powinno go tu być, zdecydowanie nie. To nie była okazja dla obcych. Była to natomiast okazja do zademonstrowania siły, solidarności i odpowiedniego zachowania rodziny. Okazja, by pozbawić świat możliwości uzalania się nad Meredithami. Mieli Joego, teraz go stracili, ale to, że do nich należał i tak ich wyróżniało. Ta niezaprzeczalna prawda powinna znaleźć

odbicie we wszystkim: w dobrze wyszczotkowanych włosach, w należycie odprawionych przez rodzinę modlach, we wzorowo zorganizowanym poczęstunku, który czekał na żałobników w Dean Place, w mnóstwie kanapek przystrojonych pietruszką i rzodkiewkami, które nacięto tak, by przypominały róże i tradycyjnie ochroniono przed muchami kopułami z muślinu.

Ogarnęła wzrokiem ławkę. Robin wyglądał prawie zadowolająco — no, włosy miał zdecydowanie za długie — i trzymał się jak należy; odziedziczył dobrą postawę po ojcu Dilys. Harry, w wyczyszczonych, odświeżonych nakrochmalonych rzeczach stał skurczony, jakby nie w swoim ubraniu, jakby miał je po starszym bracie. Włożył posłusznie wszystko, co mu kazała, ale widać było, że garnitur go uwiera, i fizycznie, i psychicznie. Ostrzygła mu w kuchni włosy, sprawdziła, czy ma czyste paznokcie. Poddał się tej inspekcji jak posłuszne dziecko, ale nie patrzył na nią; spoglądał w przestrzeń mętym, oderwanym od rzeczywistości wzrokiem.

Skierowała oczy z powrotem na ołtarz i wielką trumnę z jasnego dębowego drewna, przystrojoną liliami od Lyndsay. Dilys chciała położyć kwiaty z jej własnego ogrodu w Dean Place, który Joe tak dobrze znał, ale Lyndsay nieoczekiwanie obudziła się z odrętwienia i stanowczo odmówiła.

— Nie — powiedziała; oczy jej błyszczały. — Był moim mężem. Ojcem moich dzieci. Tylko nasze kwiaty. Od Hughiego, Rose i ode mnie.

Dilys wolała nie patrzeć na Lyndsay, chociaż niemal czuła jej prawe ramię tuż przy sobie. Wiedziała, co zobaczy i że jej się to nie spodoba. Zobaczy jasne włosy podpięte jak zawsze po bokach grzebykami i opadające z tyłu luźno na dół, choć powinny zostać schludnie zaplecione we francuski warkocz, i długi ciemnozielony płaszcz — zieleń na pogrzeb! — który synowa uparła się włożyć, ponieważ był to ostatni prezent od Joego, kupiony jej na gwiazdkę. Mógł sobie być, pomyślała Dilys, ale to naprawdę niewłaściwe, absolutnie niewłaściwe. Płaszcz miał czarny welwetowy kołnierz i mankiety, ciemnozłote guziki. Nie był to płaszcz odpowiedni na pogrzeb, nawet nie zwykły wiosenny płaszcz. Denerwująco, prowokująco niewłaściwy wybór na dzisiejszy dzień.

— Módlmy się — powiedział pastor.

Kościół natychmiast wypełnił się poskrzypywaniem i szuraniem, parafianie zaczęli klękać. Sporo ich się zgromadziło, zauważyła Dilys, naprawdę sporo, o wiele więcej niż na pogrzebie Caro. Przyszła chyba cała wieś, także Gareth z Debbie, nawet Velma i wielu różnych rolników z okolicy, wśród nich przewodniczący Okręgowego Związku Rolników i główny licytator ze Stretton. Dilys oparła czoło na obleczonych rękawiczkami dłoniach i

zamknęła oczy. Miała nadzieję, że nie zabraknie kanapek. Kiedy wróca z strettońskiego krematorium — nie będzie tej całej sentymentalnej ceremonii pogrzebowej, jakiej zażyczyła sobie Caro — powinna chyba wyjąć z zamrażalnika trochę kiełbasek w cieście i rozmrozić w piekarniku. Robin zajmie się napojami — Harry nigdy nie umiał ich odpowiednio serwować — a ten młody człowiek od Judy może mu w tym pomóc. Skoro pokrzyżowano jej plany przystrojenia trumny kwiatami z ogrodu, Dilys udekorowała nimi stół w jadalni. Kwiaty z ogrodu Joego, z jego domu, miejsca, do którego należał.

— Na wieki wieków amen — zakończył pastor.

— Amen — powiedziała Dilys głośno. — Amen.

Na stole leżał wykrochmalony biały obrus, stały w srebrnej wazie kwiaty, obok najlepsze rżnięte szkło Dilys, równiutki rząddek butelek i talerzyków, duże talerze z nienagannie wyglądającymi kanapkami: okrojone ze skórki trójkąciki białego i razowego chleba. W każdym talerzu wbita do jednej z kanapek pałeczka do mieszania koktajli, z przyczepioną do niej wyciętą z białego papieru małą chorągiewką i wykaligrafowanym starannie przez Dilys napisem: łosoś z ogórkiem, szynka z musztardą, ser śmietankowy z selerem. Krzesła zostały ustawione pod ścianami, okna wypucowane, turecki dywan wyszczotkowany tak, że włosie sterczało, a kolory jaśniały.

— Otwórz sherry — powiedziała Dilys do Robina.

— Może poczekam, aż ludzie zaczną się schodzić?

— Nie, zrób to zaraz. Niech na nich czeka.

Jest bardzo blada, pomyślała Judy, jak zresztą my wszyscy. Judy stała z Oliverem przy oknie widokowym i była mu w głębi serca wdzięczna. Nie wziął jej za rękę w czasie mszy, ale raz czy dwa dotknął lekko jej dłoni, aby jej dodać pewności, przypomnieć, że stoi obok. Zachowuje się nadzwyczajnie, myślała, przyjmuje rzeczy, jakie są, po prostu jest obok, nie narzucając się, uprzejmie stoi przy niej w staroświeckim, przeładowanym meblami pokoju, razem z milczącymi nietowarzyskimi dziadkami i ojcem. Sytuacja była tym bardziej niezręczna, że nie było z nimi Lyndsay. Wymówiła się od przyjęcia. Powiedziała, że musi wracać do dzieci. Rzeczywiście powinna być przy nich, zwłaszcza Hughie tego potrzebował, niemniej jej nieobecność odbierali jak coś w rodzaju oświadczenia, akt odseparowania się od nich.

— Jest pastor — powiedziała Dilys, patrząc ponad ramieniem Judy na podjazd. — Jak zwykle pierwszy.

Patrzyli na niego wszyscy, jak wysiada z samochodu, powoli, ze znużeniem, a potem po drugiej stronie auta pojawiła się jego żona i popatrzyła z niejasną obawą na dom.

— Och! — W głosie Dilys brzmiał cień zdumionej wdzięczności. — Przyjechała! No, to już naprawdę coś.

Robin wyszedł do holu, w którym stały otworem rzadko używane frontowe drzwi, podparte odlaną z żelaza figurką wyprężonego lwa, którą w dzieciństwie uwielbiał. Pastor z żoną powoli zmierzali ku domowi.

— Dobrze, że państwo przyszli — powiedział Robin, a jego ręka powędrowała automatycznie do gardła, by poluznić węzeł krawata. — Dużo osób jedzie za państwem?

Zona pastora spojrzała na niego. Kiedyś była piękną kobietą, ale w pewnym momencie, jakby doszedłszy do wniosku, że to przywilej, z którego nie ma żadnego pożytku, zaniedbała się, pozwoliła swojej urodzie zblaknąć, jak blaknie i szarzeje koktajlowa suknia zapomniana w szafie, ponieważ nie ma się w niej gdzie pokazać.

— Nikogo nie widziałam. — Przeniosła wzrok z Robina na męża, jakby on patrzył z innego miejsca i mógł kogoś zobaczyć. — A ty?

— Nie...

— Nikt nie przyjedzie? — zapytał Robin. — Nikt za państwem nie jechał ze wsi?

— No... bo... zrobiła się mała luka — powiedział pastor ostrożnie. — Luka w czasie, gdy byliście w krematorium. Myślę, że właśnie wtedy większość odjechała, sporo osób na pewno musiało wrócić do pracy... no, po przerwie na lunch...

— Rozumiem — powiedział Robin powoli. Spojrzał na żonę pastora. — Ale przecież wszyscy wiedzieli, było ogłoszone... Wiedzieli, że mama ich tu oczekuje...

— urwał.

Pastor patrzył na niego.

— Nie wiem, jak to ująć, zupełnie nie wiem... — Po chwili dodał łagodnym tonem:

— Nie jest to taki pogrzeb jak wszystkie. Wyzwała... wyzwała lęk.

Robin stał przez chwilę, rozmyślając nad tym, co usłyszał.

— Mimo to zapraszam do środka — powiedział w końcu.

— Proszę wejść, a ja powiem matce.

Kiwnęli oboje głowami i poszli za Robinem po lśniącej podłodze do jadalni.

— Ach — powiedziała Dilys, wręczając żonie pastora kieliszek sherry i talerzyk ze złożoną trójkątnie papierową serwetką — proszę się częstować, po prostu proszę się częstować. W pokoju panowała nienaturalna cisza.

— Mamo... — zaczął Robin.

Dilys odwróciła się od pastora i jego żony.

— Tak?

Robin zrobił dwa kroki do przodu i objął Dilys ramieniem. Po chwili cofnął rękę.

— Mamo, nie sądzę, by przyszło wiele osób. Nie pomyśleliśmy, ile czasu zabierze nam pójście do krematorium. Ludzie musieli wrócić do pracy. Nie pomyśleliśmy o tym.

Dilys rzuciła mu płomiennie ciężkie spojrzenie. Wzięła drugi kieliszek i talerzyk i podała pastorowi.

— Nonsens — oświadczyła.

— Nikt nie przyszedł — opowiadał Robin. — To znaczy prawie nikt. Pięć czy sześć osób. Mama spodziewała się pięćdziesięciu.

Siedział na brzegu kanapy w saloniku u Lyndsay, nadal w pogrzebowym ubraniu, z rozluźnionym krawatem, łokcie wsparł na kolanach. Lyndsay poczęstowała go whisky, trzymał szklaneczkę w obu dłoniach, wpatrzony w dywan.

— Biedna Dilys — powiedziała Lyndsay.

— Nie przyjęła tego do wiadomości, po prostu nie zaakceptowała. Siedzieliśmy do czwartej, cały czas czekając. — Uniósł szklaneczkę i upił łyczek. — To Judy wreszcie zdobyła się na odwagę. „Babciu — powiedziała — nikt już nie przyjdzie. Posprzątajmy, nie ma sensu czekać”. Potem wstała i zaczęła wynosić wszystko do kuchni. Mama nie odzywała się ani nie próbowała jej przeszkodzić. Siedziała, a my przechodziliśmy koło niej z talerzami i zastawą. Z tym jedzeniem dla całej wsi.

— A Harry?

Robin znowu opuścił wzrok na dywan.

— Wyszedł. Tam gdzie zwykle. Do... do składu na nawozy.

— Tam gdzie znalazł Joego.

— Tak.

— Wciąż się zastanawiam, co bym zrobiła, gdybym go znalazła. Czasami...

Czasami zazdroszczę Harry'emu, że to on go znalazł.

Robin podniósł głowę.

— Nie myśl tak.

— Dlaczego nie zastrzelił się tutaj? Dlaczego nie zrobił tego we własnym domu, w naszym domu, gdzie było jego miejsce?

— Może właśnie dlatego — odpowiedział Robin, nieznacznie wzruszając ramionami.

Lyndsay pochyliła się i postawiła kubek po herbacie na dywanie koło swoich stóp.
— Czuję się... och, Robin, czuję się tak podle, tak mi żal, że nie umiałam sobie poradzić...

— Może to właśnie on nie umiał sobie poradzić — powiedział wolno Robin. — Może miał dosyć borykania się z farmerskim losem, ale wiedział, że nie ma dla niego innej drogi. Możesz nienawidzić tej ziemi, a i tak jej nie opuścisz. — Przerwał na chwilę, a potem dodał jeszcze wolniej: — Wydaje mi się, że rolnikom często przychodzi do głowy myśl o samobójstwie.

— Robin! — wykrzyknęła, wpatrując się w niego.

— Niewielu z nas ma się do kogo zwrócić. — Patrzył na whisky i na swoje palce, rozpląszczone i bursztynowe z drugiej strony szklaneczki. — A w końcu dochodzimy do wniosku, że nie możemy polegać na sobie. Człowiek zaczyna uważać, że cokolwiek zrobi, i tak obraca się to na złe. Podejmujesz decyzję, przyskasz, pogoda się zmienia, a ty straciłeś tylko czas i pieniądze. Zaczynasz czuć, że los jest przeciwko tobie. Zaczynasz przeczuwać, że los to ziemia.

— Rozumiem to — odparł z westchnieniem — ale tak nie czuję. W każdym razie nieczęsto. Jestem z innego gatunku niż Joe.

— Ale myślisz tak o ziemi, o rolnictwie?

— Chyba tak — westchnął znowu.

— Czy ty mi usiłujesz powiedzieć, że Joe był jak lawina, która musi spaść?

— Może.

— O Jezu...

— Ale nie tylko. Usiłuję ci uzmysłowić, że to nie była twoja wina.

— Jestem jego żoną i nic a nic dla niego nie zrobiłam...

— Nie było takiej rzeczy, którą byś mogła zrobić, Lyndsay. Nikt by nie mógł. Doszedł do punktu, kiedy nikt mu nie mógł pomóc. Nawet on sobie.

— Zawsze jest taki ktoś, kto może pomóc!

— Nie wierzę w to — Robin patrzył na nią. — Co więcej, pomimo bólu, jaki zgotował tobie i rodzinie, nie sądzę, żeby zrobił rzecz definitywnie złą. Ostatecznie każdy z nas ma swoje życie. To chyba jedyne, co zostało nam dane jako bezsprzecznie nasze własne. Nie jesteśmy winni naszego życia nikomu innemu. Drzwi pokoju jadalnego uchyliły się odrobinę.

— Hughie? — spytała Lyndsay.

W szparze pojawiła się pluszowa foka. Ręka w pidżamie pokiwała nią.

Ty tak czujesz? — spytała.

— Hughie — powiedziała Lyndsay. — Chcesz wejść?

— Kto tam jest? — dopytywał się Hughie, stojąc za drzwiami. Głos miał odrobinę zniekształcony przez kciuk, który trzymał w ustach.

— To ja, Robin.

— Och!

— Przecież mnie znasz.

— Gdzie tata?

Lyndsay wstała i podeszła do na pół otwartych drzwi. Patrząc na stojącego za nimi synka ubranego w pidżamę i czerwono--czarną czapkę baseballową, powiedziała:

— Wiesz, gdzie jest tata. Tata umarł i poszedł do nieba.

— Ale ja nie chcę.

Lyndsay pochyliła się i podniosła go.

— Nie, kochanie, nikt z nas tego nie chce. — Głos jej drżał. Przytuliła twarz do szyi synka, tuż przy miękkiej czerwonej taśmie wykańczającej pidżamę. — Musimy to jakoś znieść, Hughie. Musimy się z tym jakoś pogodzić.

— Przyprowadź go tu — powiedział Hughie. — Przyprowadź.

Robin wstał. Odstawił szklaneczkę z whisky na telewizor i podeszedł do Lyndsay i Hughiego.

— Chodź no tutaj do mnie, kochany. Nie uściskałbyś starego wuja? Hughie potrząsnął głową.

— Nie? To bardzo żałuję.

Powoli, nie przestając ssać palca, Hughie przekrzywił głowę i spojrzał na Robina.

Cały czas przebierał palcami drugiej ręki po pluszowym boku Pana Foki. Robin wyciągnął rękę. Hughie skinął na zgodę głową i został zaprowadzony na kanapę.

— Coś się zmieniło — powiedział Robin, sadzając chłopczyka naprzeciwko siebie.

— Z tego właśnie powodu czujesz strach. Nikt nie lubi zmian.

Hughie oparł się o Robina i jego twarz skrył daszek czapki baseballowej.

— Ale w końcu się przyzwyczaisz. Tak jak się przyzwyczaiłeś chodzić do przedszkola. Jak się przyzwyczaiłeś, że jest z wami Rose.

Hughie wyjął palec z ust tylko po to, żeby wyraźnie było słychać jego zaprzeczenie.

— Nie przyzwyczaiłem się — oświadczył i włożył palec z powrotem do buzi.

— Musisz po prostu poczekać — powiedział Robin, obejmując go. — Tylko to nam wszystkim zostało. Musimy czekać, aż się przyzwyczaimy, aż to, że twojego tatusia z nami nie ma, stanie się dla nas normalne. Musimy czekać, aż zacniemy czuć się lepiej.

Hughie wyjął kciuk i przytulił twarz do Robina, wbijając mu daszek czapki w pierś. Siedział tak, cichutki i bardzo napięty, a Robin nie ruszał się, czekał. W pewnym momencie podniósł oczy i napotkał spojrzenie Lyndsay.

— Biedny mały. Kochany biedny mały. — Objął dłońmi głowę Hughiego. — Musisz poczekać.

Tego wieczoru przed pójściem spać Lyndsay zdjęła powłoczki z poduszek Joego i odłożyła je do prania, a poduszki wsunęła do bieliźniarki. Obiecała sobie, że właśnie tak zrobi w dniu pogrzebu męża. Potem położyła się do łóżka i postanowiła, że poczeka pół godziny, zanim weźmie jedną z tabletek, które przepisał jej doktor Nichols. Po piętnastu minutach wstała, wyjęła poduszki i powłoczki, położyła się z powrotem i płakała, tuląc je do siebie.

Po jakimś czasie ułożyła poduszki na swoim miejscu i poszła do łazienki. Drzwi do pokoi dzieci były pootwierane. Rose leżała na plecach, pogrążona we śnie, tłuste ramionko wyrzuciła ponad głowę. Hughie, wciąż w czapce baseballowej na głowie, leżał zwinięty na kołdrze ściągniętej na podłogę. Lyndsay owinęła go kołdrą i podłożyła pod plecy poduszkę, żeby mu było wygodniej. Robin zaprowadził go w końcu do sypialni, a Hughie tym razem nie protestował. Przeciwnie, był tak uległy i w domu, gdy Robin wychodził, panowała taka cisza, że Lyndsay przez chwilę nie mogła sobie uzmysłowić źródła dobiegającego ich wrzasku. To Rose przypominała jej, że można doznawać na tym świecie jeszcze innych emocji oprócz miazdzącego uczucia bólu i żalu.

Lyndsay unikała widoku swojego odbicia w lustrze nad umywalką. Doszła do wniosku, że przez tydzień lub dwa oszczędzi sobie tropienia oznak bólu na własnej nieprzyjemnie zmienionej twarzy. W szafce, której drzwiczki tworzyło lustro, stały obok jej kremów i toników przybory do golenia Joego i pastylki na niestrawność w granatowej plastikowej butelce. Joe ssał je niemal przez cały dzień, codziennie, odkąd go znała.

— Nie powinieneś poradzić się lekarza? — spytała kiedyś. — Powiedzieć mu, że stale to odczuwasz?

— Nie — odparł. — Wszystko w porządku. Zupełnie o tym nie myślę. To nic nie znaczy.

Lyndsay wyszła na korytarz. To nic nie znaczy, mówił zawsze Joe, a skoro tak, wszystko było w porządku. Oparła się o ścianę pokrytą przez Joego

tapetą, którą sama wybrała — bukietki stokrotek na kremowym połyskliwym tle — nagle zdruzgotana. Nie przez terażniejszość czy przyszłość, nawet nie przez samobójstwo Joego, ale przez przeszłość; przez to, jak niewiele rozumiała i że nie można już tego zmienić, nieważne że wreszcie zrozumiała... Za dużo tego dla niej było, za dużo... i zdaje się, że tylko dzięki niezrozumieniu mogła to wszystko znosić. Opadła na podłogę tam, gdzie stała, z plecami wciąż przyciśniętymi do ściany, skórę ud drażnił przez cienką bawełnianą koszulę nocną szorstki dywan — tani dywan, ku niezadowoleniu Dilys. Zamknęła oczy, wsłuchując się w ciszę brzęczącą jej w uszach. Zdawało jej się, czy ta cisza narastała?

Judy i Oliver czekali na Robina w kuchni. Zrobili sobie kawy i siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, czasem na krótko dotykając swoich rąk. Oliver wziął ze sobą sweter i teraz rzucił go na zaściełające stół papiery. Kotka zwinęła się na nim w kłębek, ale patrzyła czujnie, kiedy każą jej zejść.

— Myślałem, że już będziecie w łóżkach — powiedział Robin, zdejmując z szyi luźno zawiązany czarny krawat, który nosił w ten sposób przez cały wieczór, i odkładając go na stół.

— Czekaliśmy na ciebie — powiedziała Judy.

— Byłem u Lyndsay...

— Aha.

— Próbowałem jej wytłumaczyć, że nie powinna się obwiniać.

— Jesteś głodny? — zapytała Judy. Potrząsnął głową.

— Kawy? — zaproponował Oliver.

— Nie, dziękuję. Wypiłem u Lyndsay whisky i czuję się pod psem.

— Byłeś dobry dla Lyndsay — powiedziała niepewnie Judy.

— I dla babci. Robin odchrząknął.

— Biedna staruszka...

— Czy ciężko ci było, że babcia traktowała Joego inaczej?

— Po co to roztrząsać — powiedział Robin. — Jest jak jest. Było. Rozdzwonił się telefon.

— Mam odebrać? — spytał Oliver. Wstał i poprawił okulary na nosie, jakby lepiej widzieć znaczyło także lepiej słyszeć. — Halo? — Słuchał przez parę sekund, a potem podał słuchawkę Robinowi.

— To do pana. Pańska matka. Robin przytknął słuchawkę do ucha.

— Mamo? Wszystko w porządku?

Kiedy słuchał, Oliver stanął za krzesłem Judy i położył jej delikatnie dłonie na ramionach.

— Powinieneś tu przyjść. — Głos Dilys brzmiał wyraźnie w słuchawce. — I to natychmiast. Nie mogę znaleźć twojego ojca.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

O trzy metry od Zoe w wielkiej pozłacanej klatce pozował do zdjęć kwartet smyczkowy. W jego skład wchodziły cztery młode kobiety, a klatka była ich znakiem rozpoznawczym, ponieważ nazwały się „Ptaszki w klatce”. Miały grać w Albert Hall, specjalizowały się w muzyce weneckiego baroku i nosiły pseudorenesansowe suknie uszyte z ciężkich ciemnych atłasów i brokatu, co także miało stanowić ich znak rozpoznawczy. Fotografowano je do plakatów i programów, a że modne stało się portretowanie muzyków i solistów upozowanych na zdobywców serc, poddały się tej modzie i starały wyglądać jak najbardziej seksownie. Epatowały włosami, odsłaniały zęby w uśmiechach, robiły przy fotografowaniu tyle szumu, na ile tylko fotografik im pozwolił.

Ten akurat wyraźnie to uwielbiał. Zoe nigdy przedtem z nim nie pracowała, ale natychmiast przypięła mu łatkę pozera, choćby z powodu wykonanych na zamówienie kowbojskich butów z jaszczurczej skóry. Mówił do niej „kochanie”, jakby znali się całe życie i wykonali razem co najmniej tysiąc zdjęć, ale ani razu nie spojrzął jej w oczy. Robiła, co jej kazał, ustawiała statywy i złociste tarcze reflektorów, mierzyła natężenie światła, ale nie wdawała się z nim w rozmowy. Jedna z dziewczyn, szczupła altowiolistka o prostych, sztywnych, opadających jak czarna kurtyna włosach, złapała spojrzenie Zoe i puściła do niej oko.

Studio przy obskurnej High Holborn było utrzymane konsekwentnie w bieli: ściany, sufit, podłoga, długie białe story, zasuwane, żeby uwypuklić krzywizny. Cztery dziewczyny w kručzej pozłacanej klatce wyglądały jak zawieszona w przestrzeni, jakby klatka znajdowała się gdzieś poza rzeczywistym światem, w jakiejś odległej fantastycznej krainie. Zoe musiała wejść do klatki, ułożyć fałdy ich sukni tak, by cienie i załamania wyszły jak najostrzej, a atłas odbijał jak najwięcej światła. I wyraźnie odczuła, że wewnątrz panuje swoista atmosfera, bynajmniej nie iluzoryczna. Dziewczyny chyba bardzo sprytnie wybrały tę swoją klatkę; dodawała im tajemniczości, umacniała ich pozycję. Zoe, przykucnąwszy z dużym lekkim reflektorem, spojrzała na dziewczynę z altówką i uśmiechnęła się.

— Zwróćcie do mnie twarze — powiedział fotograf — ale patrzcie w bok. Dopiero kiedy powiem „teraz”, spójrzcie szybko prosto na mnie, dokładnie na mnie. Dajcie z siebie aparatowi to, co w was najlepsze.

Dlaczego akurat tutaj jesteśmy, pomyślała Zoe, dając z siebie wszystko co najlepsze tym czterem dziewczynom w maskaradowych strojach, podczas gdy

na zewnątrz są do sfotografowania sprzedawcy gazet i biletów na loterię, faceci grzebiący w koszach na śmieci, ludzie patrzący w okna biur i liczący godziny do lunchu, do końca pracy...

— Teraz! — wrzasnął fotograf.

...dzieci w szkołach, ludzie wsiadający do wind i samolotów, podnoszący słuchawki telefonów, a my się tu chrzanimy z tym całym blichtrzem i butami z jaszczurczej skóry...

— Fantastycznie — powiedział fotograf — fantastycznie. Byłyście świetne, dziewczyny. Ale potrzebuję jeszcze jednego ujęcia. Twarze do obiektywu, oczy patrzają odrobinę w lewo, usta leciuteńko rozchylone... Swobodnie, swobodnie te usta, żeby było widać odrobinę zębów, błyszczące ząbki.

...Gareth czyści teraz prawdopodobnie zagrody w oborze, Robin jest gdzieś na farmie, Velma opryskuje kuchnię odświeżaczem powietrza, jej ulubionym, sosnowym...

— Trzymaj to porządnie w górze, kochanie, dobrze? — powiedział fotograf do Zoe, a jego głos brzmiał już nieco inaczej. — Tak jak przedtem. Nie, kochanie, nie. Mówię: tak jak przedtem. No, słoneczka, teraz chciałbym widzieć wasze altówki i skrzypce między kolanami, nogi rozchylone. Pokażcie trochę nóg spod sukienek, no dalej, słoneczka.

Założę się, rozmyślała Zoe, nachylając reflektor tak, by oświetlał ciepłym światłem twarze dziewcząt od dołu, że nikt z tej ferajny nigdy w życiu nie dotknął krowy. Założę się, że w ogóle nigdy nie pomyśleli o krowie. Założę się, że wlewają mleczko do kawy i nawet im przez głowę nie przejdzie, skąd ono się bierze, jak żyje taka krowa, kto się nią opiekuje. Chciałabym, żeby teraz, zaraz weszła tutaj krowa, zwyczajnie weszła i stanęła sobie, ciekawe, co by zrobili, ciekawe jakie głupie mieliby miny. Krowa nigdy nie wygląda głupio, po prostu jest krową...

— Kochanie — powiedział fotograf — nie potrafisz się skoncentrować? Mogłabyś poświęcić nam nieco swojej cennej uwagi?

Zoe spojrzała na niego. Dziewczyny w klatce, które trzymały między rozchylonymi nogami instrumenty, spojrzały na Zoe.

— Może byś miała ochotę zdradzić nam, gdzie to błędziłaś myślami, co, kochanie?

— zapytał, wietrząc okazję do okazania przewagi nad nią. — Może nam powiesz, o czym to tak intensywnie myślisz?

— O krowach — odparła Zoe, nawet nie mrugnawszy okiem.

Już w domu, jedząc bagietkę nadziewaną sałatką wprost z długiej wąskiej torebki, w której ją kupiła, Zoe zdecydowała, że weźmie jeszcze jedną

trzydniową robotę z tej samej agencji, a potem pojedzie do Tideswell. Trzy dni pracy plus to, co zarobiła w ciągu tego tygodnia, wystarczy na opłacenie czynszu i na bilet. Matkę zawsze złościł niefrasobliwy stosunek Zoe do pieniędzy, nie znosiła jej krótkowzroczności, myślenia wyłącznie o zaspokojeniu bieżących potrzeb. Namawiała Zoe do oszczędzania, które by jej zapewniło poczucie finansowego bezpieczeństwa, nawet gdyby miało ono oznaczać kilkaset funtów.

— Ale po co? — pytała Zoe. — Na co mam je odkładać? Jutro mogę już nie żyć. Matka odkładała na rzeczy: na zmywarke, wideo z możliwością nagrywania, wysuwane jeden spod drugiego koktajlowe stoliki, kuchenkę mikrofalową.

— Po prostu je masz, są twoje — mówiła matka, mając na myśli to, że posiadanie rzeczy stanowi swoistą obronę przed niepewnością, dowód istnienia w świecie, w którym na każdym kroku groził niebyt.

— Ale ja ich nie potrzebuję — odpowiadała Zoe. — Nie chcę posiadać, wolę mieć swobodę poruszania się po świecie. Może należę do wędrowców — zakończyła ostatnią tego rodzaju rozmowę z matką. — Do nomadów.

„Nomada” — nowe słowo, nowa idea. Robin go użył, mówiąc o niej, Zoe.

Powiedział, że pochodziło ze słownika Caro, że uważała się za kogoś takiego, osobę, która w pewnym sensie zawsze będzie w podróży, nigdy i nigdzie nie osiadzie, choćby na pozór tak było. Zoe spodobała się ta idea, przetrawiała ją w umyśle, rozważała, zwłaszcza przy grobie Caro. Fascynowała ją. Dlaczego ze wszystkich ludzi właśnie nomada miałby znaleźć ostateczną ucieczkę w czymś tak określonym i przypisanym konkretnemu miejscu jak dwa metry ziemi nad głową? Wydało jej się to znaczącą sprzecznością w osobowości Caro, ale zaraz potem doszła do wniosku, że sprzeczność mieszka w każdym, męczy wszystkich, i że nie można się po ludziach spodziewać niczego więcej ponad to, co sami chcą z siebie akurat w konkretnym momencie dać. Wystarczy popatrzeć na Judy, tak głośno i ostro krytykującą swoje dzieciństwo w Tideswell, a jednocześnie zazdrosną i obrażoną, gdy ona okazała zainteresowanie farmą i Robinem. Wystarczy popatrzeć na nią samą, Zoe, mieszczycha z krwi i kości, znającą tylko pejzaż i prawa miejskich ulic, nagle zafascynowaną czymś zupełnie przeciwnym: niezmiennością, zakorzenieniem wsi, gdzie pogoda i pory roku grają rolę bogów. Złych bogów, pomyślała Zoe, podnosząc z kolan plasterki ogórka; bogów, którzy nie pomagają człowiekowi, poddają go próbie. Śmierć Joego ją na to naprowadziła i ostatnio sporo na ten temat myślała. I o Robinie. Był mniej

więcej w wieku jej ojca, gdyby ojciec żył, tylko że Robin nie sprawiał wrażenia niczyjego ojca. Być może z tego prostego powodu, że nie był naturalnym ojcem Judy, został nim na drodze prawnej, i nigdy nie łączyły go z żadnym dzieckiem więzy krwi, tak jak jej ojca, jak Joego. Dlatego Robin był nieco inny. Nie to, że nietknięty przez życie, ale wciąż niespełniony, jak niektórzy młodzi ludzie mający jeszcze tyle ważnych rzeczy do zrobienia — ze sobą, ze swoim życiem. I czy nie to właśnie wpływało na pewną niekonwencjonalność poczynań Robina, czy nie to dodawało mu atrakcyjności, czy nie dlatego właśnie czuło się, że są w nim jeszcze... no, może nie spore, ale że jednak drzemią w nim pewne możliwości? Ojcowie to jedno, a mężczyźni w ich wieku nie będący ojcami to coś zupełnie innego.

Zoe rozdzieliła nie dojedzoną część bagietki, wyjęła plasterki pokrojonych warzyw, zawinęła je w liść sałaty i wepchnęła sobie wilgotny pakiecik do ust. Czy Robin zazdrościł bratu dzieci? Zwłaszcza Hughiego, jeśli się pomyśli o tradycjonalizmie farmerów i o tym, jaka jest według nich rola dziewcząt... A jeżeli tak, rozmyślała Zoe, żując zawzięcie, to czy po prostu żył z tą zazdrością, nie zastanawiając się zbyt, tak jak nie zastanawiał się chodząc, dojąc krowy, robiąc kiszonki? Wstała i zgniotła w ręce papierową torebkę. Deszcz okruchów spadł na dywan i wytarte noski jej butów. Może nikt go o to nigdy nie pytał. Może w tym dziwnym świecie, gdzie rządziła praktyczność i konieczność, w ogóle nie dyskutowało się nad niczym, co nie miało bezpośredniego wpływu na farmę. Może, myślała Zoe, maszerując do kuchennego kranu z zimną wodą i wgniatając po drodze okruchy w dywan, nikt mu nigdy nie uświadomił, że to normalna rzecz coś odczuwać, że wszyscy czujemy i nie powinno to nikogo niepokoić. A skoro tak, może najwyższy czas, żeby mu to ktoś uświadomił.

Na szafce przy łóżku Harry'ego stały w szklance z antyseptycznym roztworem jego zęby. Harry leżał na boku i wpatrywał się w okno. Widział długą ceglana ścianę skrzydła szpitala w Stretton, poprzedzielaną w równych odstępach czystymi oknami, i czubki posadzonych w równym rzędzie czereśni, które wyznaczały granicę parkingu dla samochodów odwiedzających. Dalej widać było szarą wieżę towarzystwa pożyczkowego i wiktoriańską iglicę kościoła Maryi Dziewicy z ozdobnymi ornamentami w narożach i pseudogotyckimi kwiatonami, jeszcze dalej dachy i fragmenty ścian i wreszcie mrugające światła stadionu sportowego. Brzydki widok, jeśli nie liczyć drzew czereśniowych. Nie podobał się Harry'emu. Nie lubił patrzeć na cegły i zaprawę murarską. Chciał się znaleźć z powrotem w domu. Skoro już musi leżeć w łóżku — a wcale nie rozumiał dlaczego, jest przecież tylko,

na litość boską, zmęczony! — niech to będzie jego własne łóżko z widokiem na niebo i drzewa, na dziesięcioakrowe pole, które Joe zdecydował pozostawić w tym roku odłogiem, i na którym gniazdowały kuropatwy.

Poza tym nie jest przecież chory. Obserwacja, oświadczyli, zatrzymują go na obserwacji. I co tu było do obserwowania? Nic, o czym by im nie mógł powiedzieć, gdyby go zapytali, ale nie pytali, a sam nie będzie się przecież tutaj z niczym wyrywał. Kiedy wyszedł tego wieczoru po pogrzebie, nic nie zamierzał, w ogóle nie myślał, chciał być po prostu na polu, gdzie razem pracowali, gdzie pozostała jakaś część Joego — tego był pewien, to naprawdę czuł. Spał, gdy Robin go znalazł, normalnie spał, zwinięty jak dziecko pod osłoną żywopłotu. Niewiele z tego zapamiętał, tylko to, jak oni wszyscy byli na niego źli, zwłaszcza Dilys za poplamione błotem ubranie i rozdarcia na marynarce. Siedział na swoim zwykłym miejscu w kuchni, a oni krzyczeli. Patrzył na nich, jakby ich nie znał, i nagle uświadomił sobie, że to nieważne, bo zaraz nadejdzie Joe i wyjaśni im, dlaczego on, Harry, leżał o dziesiątej wieczorem w najlepszym ubraniu pod żywopłotem i dlaczego miał zamknięte oczy.

Teraz, w szpitalu, kiedy patrzył na chorągiewkę przymocowaną do iglicy kościoła, wiedział, że Joe nie przyjdzie. Przyszła Dilys, przyszedł Robin, ale Joe nie przyszedł. Harry doszedł do wniosku, że cały czas to wiedział, ale nie przyjmował tego do wiadomości, jak nie przyjmuje się do wiadomości, że któregoś dnia trzeba będzie umrzeć. Rzecz w tym, że Joe nie powinien umrzeć. Joe był synem Harry'ego, a synowie nie umierają przed ojcami; ojcowie nie muszą żyć bez synów. Harry nie będzie się zastanawiał nad straszliwą samotnością życia bez Joego, nie będzie temu poświęcał uwagi, skieruje ją na drzewa czereśniowe i szary biurowiec. Przynajmniej może zwrócić przeciwko nim nienawiść. Za to że nie są tym widokiem, co potrzeba, tym, na który chciałby patrzeć. Już za samo to, że przynależą do miasta, a nie do wsi, można by je znienawidzić. Ale przede wszystkim nienawidził ich za to, że wciąż są, podczas gdy Joego nie ma.

— Masz pięć lat? — zapytał Eddie.

Siedział przy stole w Tideswell w podkoszulku z napisem „Zawsze Batman” i daszku przeciwsłonecznym z zielonego przezroczystego plastiku.

Hughie nie odpowiedział. Wpatrywał się w talerz, który postawiła przed nim matka Eddiego, Debbie. Leżała na nim kupka frytek i zimna kiełbaska, przypominająca palec umarłego.

— Hughie? — ponagliła go łagodnie Lyndsay.

— Trzy — syknął Hughie. Ścisnął mocniej Pana Fokę, którego trzymał na kolanach pod stołem.

Eddie wywrócił oczami.

— Trzy? Trzy? Nie pamiętam, ile lat temu tyle miałem.

— Rok — powiedziała Debbie.

— Skończę pięć w lipcu. Trzynastego lipca. — Eddie pstryknął w daszek, podsuwając go do góry. — Nie zapominaj o tym.

— Nie zwracaj na niego uwagi — powiedziała Debbie do Lyndsay. — To prawdopodobnie przez tę różnicę wieku. Kevin i Rebeka są od niego o tyle starsi.

— Mam piłkę futbolową — pochwalił się Eddie. — Gary Lineker mi ją podpisał. A ty co masz?

— Kij do krykieta — wyszeptał Hughie.

— Do krykieta? Do krykieta? Tylko gówniarze w to grają.

— Dość tego — powiedziała Debbie.

Obawiała się tego spotkania, ale całkiem przestała się denerwować, gdy zobaczyła Lyndsay, kruchą, bezbronną, wymęczoną. Jak ktoś chory, powiedziała później do Garetha, kim należy się zaopiekować. Niemniej gdy Robin poprosił ją, by przyszła na farmę, ponieważ Lyndsay powinna wyjść wreszcie z domu, potrzebuje jakiejś odmiany, Debbie odniosła się do tego dość sceptycznie.

— O czym ja mam rozmawiać? — pytała Garetha. — Jak się zachować? Jest w końcu szwagierką szefa, co ja mam jej do powiedzenia? Poza tym... przecież nie mogę rozmawiać o nim, prawda?

— Weź Eddiego — doradził Gareth. — Gada jak najęty... — przerwał. Chciał powiedzieć: „chłopak Joego”, ale powiedział:

— Dzieci będą miały towarzystwo, zwłaszcza chłopiec.

— Co tam masz? — dopytywał się Eddie, pokazując kielbaską na Hughiego. — Co trzymasz na kolanach?

Hughie schylił nisko głowę.

— To Pan Foka — wyjaśniła Lyndsay. — Jego towarzysz. Masz coś takiego?

— Skąd! — prychnął Eddie pogardliwie.

— A Panda? — wtrąciła się Debbie. — A Różowa Pantera?

Eddie spojrział na nią wściekłym wzrokiem. Odłożył kielbaskę, wstał i poprawił dzinsy na chudych biodrach.

— Idę do domu.

— Idź.

— Zamierzam się zobaczyć z tatusiem.

Debbie zdrętwiała, nie mogła podnieść oczu na Lyndsay.

— Mój tata prowadzi traktor — powiedział Eddie z emfazą.

— Dość tego! — krzyknęła ostro Debbie. — Dosyć! Idź do domu! Natychmiast, zanim ci przyłożę...

Najpierw trzasnęły drzwi w kuchni, potem prowadzące na podwórze.

— Przepraszam — wyszeptała Debbie.

— Nie zdawał sobie sprawy — powiedziała Lyndsay. — Jak miałby sobie zdawać?

— Mimo to nie powinien czegoś takiego mówić, nie powinien...

— To naprawdę nieważne. Zachowywał się normalnie. Dobrze nam robi przebywanie z zachowującymi się normalnie ludźmi, potrzebujemy tego. —

Pochyliła się nad Hughiem.

— Nie jesz frytek? Wziął jedną, maleńką.

— Nie jesteśmy miłymi gośćmi. Bardzo uprzejmie z twojej strony, że tu przyszałaś.

Robin... — urwała, a potem dokończyła pośpiesznie: — Nikt nie wie, co z nami zrobić. Sami nie wiemy

— dorzuciła już niemal szeptem.

Debbie czekała, zacisnąwszy ręce na kolanach. Zachciało jej się znowu płakać, czuła szloch wzbierający w gardle ostro, nieprzyjemnie. Chciała powiedzieć, że zrobi wszystko, by im pomóc, ale nie dowierzała własnemu opanowaniu, bała się, że gdy otworzy usta, łzy polecą jej same i w końcu będą płakać wszyscy troje.

Potrząsnęła bezradnie głową i splotła palce rąk tak mocno, że kostki jej pobieleły.

— Weź jeszcze jedną — powiedziała Lyndsay do Hughiego. Wybrał jeszcze mniejszą niż poprzednio. — Zostawiliśmy dzisiaj Rose z Mary. Czasami lubimy pobyć tylko we dwoje, prawda, Hughie?

— Rebeka okazywała dziką zazdrość, kiedy Kevin się urodził — powiedziała niepewnie Debbie. — Nie mogłam ich ani na chwilę zostawić samych. Raz go dopadła. Ze szczypcami do poprawiania drewna na kominku.

— Rose jest troszeczkę hałaśliwa... Prawda, Hughie? Czasami potrzeba nam trochę spokoju i ciszy. Jest jeszcze co prawda malutka...

Debbie rozplotła ręce i pochyliła się lekko do przodu.

— Mogę ci pomóc się nią zajmować. Pracuję w szkole tylko w czasie wydawania obiadów. Naprawdę mogę pomóc. Gdybyś chciała, wystarczy, jeśli zadzwonisz.

— Dziękuję — powiedziała Lyndsay. — Jesteś naprawdę miła. Dziękuję.

— Spojrzała na Debbie spod oka. — Nie wiem, co mam ze sobą zrobić? Może jakaś praca? Sama nie wiem. Na razie nie jestem w stanie myśleć...

— Oczywiście.

— Doktor Nichols twierdzi, że jestem w szoku. Twierdzi, że również... że to, co się zdarzyło z ojcem Joego, również jest wynikiem szoku.

— Jak on się miewa?

— Wciąż w szpitalu — odparła Lyndsay. — Puszczą go do domu, jeśli zaczniesz jeść. Jak dotąd nie chce. — Głos jej zadrżał. — Trudno go o to winić. Żadne z nas nie ma ochoty jeść. Jakby nie było po co.

Debbie nagle przypomniała sobie o herbacie dla Garetha. Zerknęła na zegar.

— Bardzo cię przepraszam, ale...

— Oczywiście — powiedziała Lyndsay. — Oczywiście, skoro musisz iść.

— Podniosła się bardzo powoli. — My tu posprzątamy, prawda, Hughie? Posprzątamy, a potem będziemy czekać na wujka Robina.

— Mówiłam to na serio. O małej. Chętnie ci pomogę... Lyndsay położyła rękę na głowie Hughiego. Skulił się i przycisnął Pana Fokę do buzi.

— Dziękuję — powiedziała. — Będę pamiętać.

— Odprowadź Hughiego do domu — powiedział Robin. Był w marynarce, poluzowany krawat zwisał mu na szyi pod rozpiętym kołnierzykiem. Lyndsay przerwała powolne wycieranie talerzy po dzieciach. Domowa kotka przysiadła na stercie gazet, Hughie usiadł obok niej i przyglądał się im, ssąc kciuk.

— Dlaczego?

— Jest jeszcze Mary?

— Tak, ale...

— Chcę, żebyś za pół godziny była z powrotem. Musimy coś razem zrobić.

— Co?

Robin zerknął na Hughiego.

— Wyjdźmy na chwilę na podwórze — powiedział do Lyndsay. — Chcę ci coś pokazać.

— Poczekasz tutaj? — zapytała Lyndsay Hughiego. — Tylko minutkę, razem z kotką.

Nie odezwał się.

— Nie będzie mnie dosłownie sekundę. Wracam za sekundę. Nigdzie się nie ruszaj.

Poszła za Robinem na podwórze. Niedaleko drzwi stał podniszczony pikap, którego Caro używała czasem zamiast landrovera. Tylne siedzenie było złożone, żeby uzyskać maksymalnie dużo miejsca, i Lyndsay zauważyła zwinięty sznur, stare gazety, zwój drutu i pusty pojemnik po gazie. A także małe, schludne pudełko z kartonu.

Robin podszedł do tylnych drzwi samochodu i uniósł je. Przysunął do siebie pudełko i otworzył je. W środku zobaczyła duży kwadratowy pojemnik z brązowego plastiku z zakreślaną przykrywką, przypominający puszkę rozpuszczalnej kawy.

— Byłem w krematorium w Stretton po południu — powiedział Robin. Wskazał krótkim gestem na krawat. — Jak widzisz.

Lyndsay utkwiała wzrok w pojemniku. Robin wyjął go z pudełka i wyciągnął w kierunku bratowej.

— Popioły Joego. Przełknęła ślinę.

— Nie całość, oczywiście — mówił Robin. — Byłyby... — urwał i spojrzał na Lyndsay. — Musimy je rozrzucić. Tak jak chciał. Uważam, że powinniśmy zrobić to razem, chyba że... chyba że wolisz sama.

Potrząsnęła głową. Oczy jej zwilgotniały. Robin włożył pojemnik z powrotem do pudełka. Wyprostował się i położył ręce na ramionach Lyndsay.

— Tego właśnie chciał. Sam słyszałem. Musimy to zrobić. Nie zostawię go... ich... w samochodzie. — Już miał zamiar powiedzieć, że przywiezienie prochów Joego ze Stretton okazało się czymś niewiarygodnie trudnym, jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie musiał zrobić w ciągu ostatnich trudnych miesięcy, ale tylko powtórzył: — Odprowadź Hughiego do domu, do Mary. Spotkamy się za pół godziny nad rzeką.

Zdjął ręce z jej ramion. Podniosła na niego wzrok i zobaczył, że ma ochotę uciec. Podniósł karcąco palec i Lyndsay wzdrygnęła się.

— Posłuchaj — powiedział gniewnie, nie hamując się. — Masz to zrobić. Przestań myśleć o sobie i zrób to, do licha.

Stała przed nim i czekała. Zaparkowała jakieś pięćdziesiąt jardów od rzeki i zeszła na brzeg. Zatrzymała się przy wierzbie, którą Judy jako dziecko uwielbiała. Drzewo rosło niemal poziomo nad rzeką i Judy bawiła się, siadając na nim okrakiem, jak w siodle.

— Z Hughiem wszystko w porządku?

— Chyba tak. To znaczy o tyle, o ile ostatnio w ogóle z nim w porządku. Czasami żałuję, że jest taki cichy, taki grzeczny. Żałuję, że nie wrzeszczy, przynajmniej bym wiedziała, co myśli.

Robin chrząknął. Trzymał pojemnik z prochami Joego w zagięciu ramienia. Lyndsay utkwiała oczy w brązowym plastiku.

— Nie musimy poprosić twojej matki?

— Nie, chyba że ty chcesz...

— Nie chcę — powiedziała. — Wiem, że nie powinnam czegoś takiego mówić, ale nie chcę.

— Nie ma „powinnam”, „nie powinnam”. Jest jak jest. Przynajmniej w tej chwili to obowiązuje.

Wziął pojemnik w dłoń i delikatnie odkręcił pokrywkę. Podał ją Lyndsay. Wciąż był w krawacie, zauważyła, ciemnoczerwonym krawacie w drobny regularny rzucik, bardzo konwencjonalnym.

Miał ich co najwyżej trzy lub cztery, tak samo jak Joe, który miał wyłącznie podarowane mu przez nią z myślą o przyjęciach niepoważne jedwabne krawaty w wyrazisty wzór i jeden własny, czarny. Było coś dziwnego w widoku Robina w krawacie tu, nad rzeką, coś wzruszającego. Spojrzała z obawą na otwarty pojemnik. Robin podsunął go do niej bliżej.

— Są bardzo delikatne w dotyku — powiedział. — Bardziej niż popiół z drewna.

Włóż rękę. Włóż rękę i weź trochę.

— Nie mogę...

— Możesz. Musisz...

Włożyła rękę w szyjkę pojemnika. Rzeczywiście delikatne, niemal jedwabiste. Jej palce zagłębiały się w popioły, w...

— To nie jest Joe — powiedział Robin. — Nawet tak nie myśl. To nie on.

— To musi być...

— No to daj mu wreszcie odejść! — krzyknął nieoczekiwanie Robin. — Rzuć go do rzeki i pozwól mu odejść!

Wyszarpnęła dłoń z pojemnika i białoszary pióropusz wysypał się z niej powoli, rozwiewając się nad wodą niby dym.

— Jeszcze — powiedział Robin.

Zanurzyła dłoń ponownie i zatoczyła ramieniem łuk nad rzeką, a potem znowu i znowu, patrząc, jak smugi popiołów mieszają się ze sobą i opadają w wodę. Chyba krzyczała. Widziała, że Robin wkłada rękę do pojemnika, wyciąga zawartość pełną garścią, przykłęka, opiera pojemnik na ziemi i przechyla tak, że niemal dotykał wody, a popioły wysypują się bezgłośnie szybką cienką stróżką i znikają na zawsze. Słyszała poprzez własny krzyk, jak Robin coś mamrocze.

— Co ty mówisz? Odwrócił się.

— Po prostu „do widzenia”.

Lyndsay pochylila się i uniosła pojemnik. Był w połowie pełny. Ukłękła obok Robina na podmokłej, zabłoconej trawie. Pochyliła się i reszta prochów wysypała się gładko w wodę, natychmiast w niej znikając.

— Właśnie — powiedział Robin. — O to chodziło. Wstał, a za nim Lyndsay. Na moment zastygli obok siebie, wpatrzeni w

lekko brunatne od mułu wody rzeki jakich wiele, pełnej otoczków i kleni, rzeki, do której wsypali prochy Joego, bo tego właśnie sobie życzył. A potem Lyndsay zwróciła się ku Robinowi i objęła ramionami jego szyję.

Objął ją również, ale odgadła jego zdumienie po sztywności ramion. Przytuliła się do niego mocniej.

— Obejmij mnie.

— Właśnie obejmuję.

— Nie tak.

Czuło się go inaczej niż Joego, był tak samo wysoki, ale bardziej żyłasty, nie tak mocno zbudowany. Przekręciła głowę, oparła ją na jego ramieniu i przesunęła ręce na jego plecy.

— Wiedział, że go potrzebuje — powiedziała — a jednak mnie zostawił. Wiedział, że będę się obwiniać i pozwolił na to. Wiedział, że nie umiem żyć sama, wiedział to. Polegałam na nim. — Przyłgnęła do Robina. — Nie możesz mnie zawieść, Robin, nie możesz.

Poczuła, jak jego ramiona wiotczeją.

— Nie — powiedziała.

— Mówisz to wszystko do niewłaściwej osoby...

— Co to znaczy? — Podniosła głowę i patrząc na niego, spytała po raz drugi: — Co to znaczy: do niewłaściwej osoby?

— Jestem jego bratem — tłumaczył się niezręcznie — A zresztą...

— Co zresztą?

— Nic nie wiem o... miłości.

— Nonsens! — wykrzyknęła. — Absolutny nonsens! Wszyscy ją znają! To jedyne, co znają wszyscy!

Poruszyła nieoczekiwanie głową i pocałowała go w usta. Zaskakująco mocno i przez moment poczuł jej język na wargach. Opuścił ramiona, drżał lekko.

— Czas iść do domu...

— Nie! — krzyknęła.

— Musisz wracać do dzieci.

— Co ty o tym wiesz? Co wiesz o dzieciach? Go musze, czego nie muszę? Co ty do cholery wiesz?!

Złapał ją za ramię.

— Nic — powiedział. — Przecież ci mówiłem. Nigdy nie twierdziłem, że coś wiem.

Lyndsay zaczęła płakać.

— Przepraszam, przepraszam — powtarzała. Nagle wszystko z niej uszło. — Nie powinnam...

Objął ją znowu.

— Żadnego „powinnam”, żadnego „nie powinnam”, to też ci powiedziałem.

— Zabiję kogoś — szlochała. — Ktoś mi za to jednak zapłaci. Zaczął delikatnie popychać ją w stronę samochodu.

— Robin?

— Tak?

— Przepraszam za to wszystko, przepraszam, że w ten sposób dałam upust...

— Nieważne.

— Sama nie wiem, co czuję. Ani co myśleć. W ogóle nie wiem. — Zatrzymała się i odwróciła do niego twarzą. Lekkie powiewy wieczornego wiatru rozwiewały jej włosy jasną chmurą wokół głowy. — Mimo wszystko nie zawiedziesz mnie, Robin? Spojrzał na nią.

— Pomożesz mi dojść ze sobą do ładu, poukładać wszystko, zdecydować, co robić, dokąd pójść? Nie zostawisz mnie, żebym sama musiała walczyć z... z... no więc... z twoimi rodzicami? Wezmiesz mnie w obronę?

Westchnął. Obawa ścisnęła mu pierś zimną obręczą.

— Oczywiście — powiedział.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dilys stała w pokoju Joego, w którym spędził całe swoje życie, dopóki nie poślubił sześć lat temu Lyndsay i nie wyprowadził się. Pokój był trochę dziwaczny w kształcie, przypominał literę „L”, bo za ścianą mieściło się pomieszczenie gospodarcze, w którym stał bojler, niemniej Joe go lubił, ponieważ widziało się w nim różne rzeczy w zależności od tego, gdzie się stało. Tu odrabiał lekcje, przechowywał kolekcję modeli samolotów, tu przeszedł odrę i ospę wietrzną. Od pomalowanej kremową emulsyjną farbą ściany odcinały się czarne ramki fotografii szkolnej drużyny rug-by, w której grał Joe. Szkoła w Stretton przez całe dziesięciolecie nie miała lepszego scrum-halfa. Dilys do tej pory przechowywała w szufladzie wielkiej komody stojącej między oknami wyprany i doprowadzony do porządku strój do gry. Są takie rzeczy, które koniecznie powinno się zachować; zbyt wiele się z nimi łączy, by je wyrzucać.

Dilys przychodziła do pokoju Joego codziennie, czasami dwa razy dziennie. Brała ze sobą ściereczkę do kurzu i zbierała nią kręcące się koło szyb okiennych ospałe muchy, przecierała małe lusterko, nieodmiennie z uczuciem lekkiej dumy, że trzeba je było zawiesić aż tak wysoko, wygładzała kapę na łóżku, jakby podczas jej nieobecności ktokolwiek mógł na niej leżeć i ją zmiąć. Pozwalała sobie być tutaj pięć, no, najwyżej dziesięć minut, a potem zatrzymywała się jeszcze na sekundę w drzwiach i stała po prostu nieruchomo, patrząc na pokój, zanim ostatecznie zamknęła za sobą drzwi.

Dzisiaj, kiedy przystanęła przy łóżku, doszły ją niewyraźne głosy z kuchni. Ludzie z agencji. Robin wynajął ich na czas pobytu Harry'ego w szpitalu, no i poza tym ktoś musiał pracować, dopóki nie zostanie postanowione co dalej. Byli dość mili, chociaż jeden z nich na dobrą sprawę nie umiał wiele więcej niż prowadzić traktor, a ponieważ przemierzali jednak kawałek drogi, by się stawić w Dean Cross — na godziny pracy, myślała Dilys pogardliwie, godziny pracy: od ósmej do czwartej trzydzieści! — Dilys pozwalała im zjeść lunch w kuchni. Mogła zresztą dzięki temu mieć na nich oko i dopilnować, czy rzeczywiście robią, co im Robin kazał, czy nie zaniedbują się w pracy. Nie zniosłaby, żeby ktoś leniuchował na ziemi, którą z takim pietyzmem uprawiał Joe.

Ku własnemu zmieszaniu z trudem zносиła również myśl o powrocie Harry'ego ze szpitala. Codziennie, gdy najęci robotnicy pojechali już do domów, doprowadzała się do porządku i jechała do szpitala w Stretton, gdzie spędzała godzinę, siedząc przy łóżku Harry'ego. Przywoziła trochę owoców,

domowe biskwity i butelkę zaprawionej słodem wody z cytryną, jakieś gazety, lokalne i ogólnokrajowe, a także tygodnik rolniczy, który Harry prenumerował, i notowania z giełdy w Stretton. Wstrząsała lemoniadę w butelce i zaczynała czytać gazety, potem relacjonowała mu, co się zdarzyło na farmie, obierała jabłko lub banana i próbowała go zmusić do zjedzenia paru kawałków. Kiedy minęła godzina, zwijała gazety, wkładała obierzyny z owoców do plastikowej torebki, pochylała się i całowała Harry'ego w czoło.

— Teraz spróbuj się przespać — mówiła. — Ale zjedz kolację. Musisz zjeść kolację, postaraj się. Jutro znowu przyjdę.

Potem wychodziła i odszukawszy na parkingu samochód, wracała do Dean Place z uczuciem niesamowitej ulgi, że oto zakończyła konwersację z kimś, kto przestał mówić jej językiem.

Zarazem jednak nie podobało jej się to, że Harry leży w szpitalu. Nie podobało jej się, że pobyt tutaj zdecydowanie go postarzył, uczynił bezradnym, pogłębił. Doktor Nichols powiedział, że to szok wygnał go z domu w wieczór pogrzebu Joego. Żałoba może wywołać szok, może działać traumatyzująco albo zachwiać normalnym funkcjonowaniem organizmu, powiedział. Dilys to rozumiała, mimo to nie była w stanie wykrzesać z siebie cieplejszych uczuć dla Harry'ego. Wyjaśnienia lekarza raczej jeszcze wzmogły niejasne, a zarazem niemożliwe do zwalczenia przekonanie, że Harry ją zdradził, zawiódł tam, gdzie wymagała — o czym wiedział, doskonale wiedział! — absolutnej lojalności. Właściwie zawarli w tej sprawie umowę, niepisaną umowę: że Joe jest centrum ich świata, w nim pokładają wszelką nadzieję, z nim łączą wszystkie plany. Joe związał ich ze sobą jak nikt i nic innego, i Dilys miała nadzieję, że Harry rozumiał to tak samo dobrze jak ona. A co zrobił? Zostawił broń na wierzchu. Pracował z Joem całymimi dniami, miesiącami, latami i na pewno widział, jak się rzeczy mają, a jednak nie zamknął broni na klucz. Mogła mu wybaczyć uparte zwalczanie postępowych ciągów Joego, gotowość do wszczynania z synem awantur, pomniejszania osiągnięć, w które tamten wkładał całe serce — ale nie tę strzelbę. Stało to między nimi i Dilys w głębi ducha dziękowała Bogu za szpital w Stretton i za to, że Harry uporczywie odmawiał jedzenia. Właściwie ptaszek by nie wyżył na tym, co on zjadał... Zupełnie nie wiedziała, jak będzie z nim żyła, jeśli go odeślą do domu.

— Psze pani! — usłyszała męski głos z dołu.

Dilys wyszła z pokoju Joego, zamknęła drzwi i przystanęła na podeście. U stóp schodów stał młodszy mężczyzna, ten o rudawych włosach, który

powiedział Dilys, że mieszka z żoną i dwojgiem dzieci w komunalnym mieszkaniu teściów w dość odległej części Stretton.

— To ja już pójdę — powiedział. Spojrzała w dół.

— Pójdę gdzie? — zapytała.

— Obiecałem żonie, że zabiorę jej matkę do szpitala na badania kontrolne.

— Ma pan być tutaj do wpół do piątej — powiedziała Dilys. — Przecież pan o tym wie.

— Przepraszam... — Podrapał się po głowie. — Przykro mi z tego powodu.

— Czy pan Meredith o tym wie? Powiedział pan mojemu synowi?

— Całkiem wyleciało mi z głowy. — Przestąpił z nogi na nogę. — Mogłaby pani coś mu przekazać? Ze broną źle działa.

— Przecież jest nowa.

— No to w porządku, nie? — powiedział. — Jest na gwarancji. Oparła rękę na poręczu. Nagle poczuła się zmęczona, gorzej, nawet jakby przerażona.

— Niech pan idzie — powiedziała.

— Mogę się rano spóźnić. Będę coś koło dziewiątej... Dilys odwróciła głowę.

— No to do zobaczenia jutro — rzucił.

Poszedł, dudniąc nogami w skarpetkach, do kuchni. Poczekała, aż ucichną jego kroki i wyjdzie na podwórze. Usłyszała, jak nawołuje tego drugiego, głośno, z ożywieniem, zupełnie się nie krępując. Zeszła powoli do kuchni. Nie zostawili specjalnego bałaganu, ale krzesła stały krzywo, odsunięte od stołu, a na stole leżała zwinięta w kulkę folia śniadaniowa i ogryzek jabłka. Wyciągnęła ramię i oparła się o framugę drzwi. Stary pies Harry'ego uniósł głowę znad koszyka i zaczął węszyć. Szukał Harry'ego. Zamknęła oczy. Stary, ślepy i głuchy szukał tego, kogo potrzebował i na kogo czekał, choć go przecież tu nie było. Tak jak ja, pomyślała Dilys. Poczula, że cisza panująca w kuchni osacza ją, dławi. Tak jak ja.

— Dobrze się czujesz? — spytała Bronwen, przechodząc obok biurka Judy z mango w jednej ręce i plastikową filiżanką z kawą w drugiej. — Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

— Bo trochę jestem...

— Chcesz mango?

— Nie, dziękuję.

— Powinnaś wziąć urlop — powiedziała Bronwen. — Potrzebujesz odpoczynku. Jadę z przyjaciółmi do Formentery, wynajmujemy całą willę. Na pewno będzie to udana impreza.

Judy popatrzyła na ekran komputera. „Trend tej jesieni — napisała — to urządzenie wnętrza na wzór dziecięcych. Oczyma duszy widzimy pokój zabaw. Wyobraźcie sobie pasiaste tkaniny i malowane farbą meble. Wiejskie samodiały i szmaciane chodniki. Wyobraźcie sobie konia na biegunach”. Idiotyzm, pomyślała Judy, idiotyzm, idiotyzm! Pstryknęła myszą, żeby wykasować tekst. „Czy chcesz na pewno — zapytał uprzejmie komputer — skasować tekst?”.

— Chcę! — niemal wrzasnęła Judy.

Bronwen, która kroiliła mango plastikowym nożem, podniosła głowę znad biurka i spojrzała na nią.

— Przepraszam — powiedziała Judy. — Po prostu napisałam kompletną bzdurę, to wszystko.

— Czy ty mnie w ogóle słyszałaś? — spytała Bronwen. — Słyszałaś, co mówiłam na temat wakacji? — Uniosła do góry kawałek mango i krople gęstego żółtego soku pociekły jej po nadgarstku. — Jezu, zawsze zapominam, że takie rzeczy można jeść tylko w wannie.

— Wzięłam już tyle wolnego. Tak dużo, i to ostatnio... — usprawiedliwiała się Judy.

— Ale chodziło o rodzinę, nie o wakacje. Nie mogą cię ukarać za... no, za...

— Śmierć krewnych — dopowiedziała Judy.

Bronwen otworzyła łokciem szufladę biurka i wyjęła pognieciony pakiecik chusteczek higienicznych.

— Chcesz gdzieś wyjechać z Olliem?

— Nie wiem. Nie pytałam go. I tak ostatnio tyle dla mnie zrobił, cały czas mnie wspierał...

Bronwen wbiła zęby w połówkę mango i odgryzła spory kawałek miększu.

— Na pewno sam tego chciał. A może w takim razie Zoe?

— Tylko nie ona.

— Myślałam, że jest wspaniała. — Bronwen odgryzła następny kawałek. Judy wspomniała listę słów na temat żałoby na zielonym papierze, nocne rozmowy, nie narzucającą się obecność, akceptację bez osądu...

— No... była.

Bronwen wrzuciła skórkę mango do kosza na śmieci. Upadła z miękkim plaśnięciem.

— Coś się stało?

Judy zawahała się. Spojrzała na fotografię Tideswell; zdjęcie słonecznej łąki z pasącymi się jałówkami i postaci, która mogła być Robinem, ale nie

musiała, bo do tej pory nie miało to znaczenia. Teraz chciałyby mieć pewność, że stojący przy stodole mężczyzna to Robin. Przyjrzała się zdjęciu wnikliwiej. Za wysoki na Garetha, ale ma zbyt jasne włosy jak na Robina. Gareth miał włosy brązowe, mysi brąz, jasny jak słaba herbata. Być może przy stodole nie stał ani Gareth, ani Robin, tylko Joe. Judy wyciągnęła rękę i zagięła końce fotografii tak, że padające światło, odbijając się, zamazywało obraz. Jeśli to był Joe, zdecydowanie nie chciała na niego patrzeć.

— No więc? — Bronwen skończyła drugą połówkę mango i siedziała oblizując palce. Wkładała je jeden po drugim do ust i właściwie było to odstręczające.

— Ona... No więc, ona nachodzi moją rodzinę...

— Co to znaczy?

Judy pochyliła głowę nad biurkiem i skryła twarz w dłoniach przed wzrokiem Bronwen.

— Chciała pojechać i posiedzieć trochę na farmie, żeby zobaczyć, jak tam wygląda życie. Więc ją wzięłam ze sobą. A potem pojechała tam sama, na własną rękę po raz drugi, nic mi nawet nie mówiąc. A teraz znowu.

— No, no — skomentowała Bronwen.

— Tyle że tym razem mnie poinformowała — przyznała Judy, usiłując grać fair. — Nie chciała jechać ze mną na pogrzeb wujka, bo uznała, że to będzie niewłaściwe. A wczoraj ruszyła tam znowu. Autobusem.

Bronwen siedziała z wyciągniętymi przed siebie rękami.

— Przedziwne — stwierdziła, akcentując pierwszą sylabę.

— Nie mogę się uwolnić od myśli, że chce coś dla siebie zagarnąć. Ale zaprzeczyła. Twierdzi, że po prostu bardzo jej się tam podoba. — Judy zamilkła. To, co Zoe powiedziała wczoraj rano, zanim wyszła na dworzec autobusowy, brzmiało nieco inaczej: „Nie ja powinnam odpowiadać na ten zarzut, Judy, raczej ty. Zawsze mówiłaś, że nie znosisz tego miejsca, że twoja rodzina cię tłamsi. Mnie się tam podoba i nie czuję się stłamszona. Nie odbieram ci niczego, co do ciebie należy. W ogóle niczego nie chcę nikomu odbierać. Zamierzam tam po prostu mieszkać. Jeśli twój tata powie, że mam się wynosić, wyjadę”. — Czegoś w tym wszystkim nie dopowiedziała — wydusiła wreszcie Judy i zakończyła: — Wszystko wygląda pięknie, dopóki ona mówi, ale naprawdę to nie trzyma się kupy.

Bronwen nie była w stanie dłużej okazywać zainteresowania. Wstała, trzymając sztywno przed sobą ręce z rozczapierzonymi palcami.

— Muszę się umyć. Unurzałam się po pachy. Przynieść ci kawy?

Judy spojrzała na pusty ekran komputera. Do dwunastej miała zanieść kierownikowi działu wstępną wersję notatki na około pięćset słów.

— Nie, dziękuję.

— Mogłabyś odbierać telefony do mnie? Nie będzie mnie dosłownie chwilę.

Judy skinęła głową. Wyciągnęła rękę i odwróciła fotografię Tideswell do góry nogami. Nie widziała już ani domu, ani krów, ani mężczyzny stojącego przy stodole. „To nie był mój dom — powiedziała kiedyś do Zoe z irytacją — tylko miejsce, gdzie spędziłam dzieciństwo”. No więc, pomyślała Judy, dotykając myszy, prawda czy fałsz?

Broń Robina leżała na kuchennym stole. Miała złamaną lufę, a wokół walały się rozsypane naboje; wyjął je z kieszeni i po prostu rzucił na stół. Zoe nigdy dotąd nie widziała na własne oczy strzelby, a już na pewno nie z taką długą lufą i drewnianą kolbą obłożoną metalowymi grawerowanymi płytkami. To było coś zupełnie innego niż strzelby w kinie, bardziej staroświeckie, elegantsze, pasujące do wsi. Zoe dotykała jej bez przerwy. Robin powiedział, że zamierza ją wyczyścić, kiedy już się upora z problemem nadwyżki bakterii w mleku. Wygląda na to, że jest naprawdę wysoka, objaśniał Zoe, dochodzi do dwudziestu. Musi gdzieś iść, sprawdzić paszę. Nie bardzo wiedziała, o czym mówi. Czasami kiedy używał farmerskiego żargonu, pytała go, o co mu chodzi, ale tym razem zrezygnowała. Przyglądała się leżącej na stole strzelbie i zastanawiała, czy z takiej samej zastrzelił się Joe.

Robin użył jej ostatniej nocy, aby odstraszyć borsuki. Są oczywiście pod ochroną, wyjaśniał, dzięki zrodzonemu w miastach złemu prawu, którego pomysłodawcy nie muszą znosić jego skutków. Borsuki są w porządku, powiedział, ale na dystans.

— To brudne zwierzęta, podchodzą nocami pod dom i zanieczyszczają pastwiska.

Poza tym przenoszą tuberkulozę. Nie chcę ich widzieć koło swojego stada.

Nie patrzył na Zoe, kiedy to mówił. Prawdę mówiąc, nie spojrzał na nią od trzech godzin, od chwili kiedy przyjechał na farmę i zastał ją w oborze z Garethem, który kończył właśnie dojenie.

— Wróciłaś? — zapytał zupełnie jak przedtem Gareth.

— Tak.

Nie uśmiechnął się. Powiedział tylko:

— Właściwie przydałaby się nam jeszcze jedna para rąk. Ale skierował tę uwagę raczej do Garetha niż do niej. Gareth nie był tak rozmowny jak zazwyczaj, wyglądał starzej i twarz miał surowszą, jakby w jego głowie

kłębiły się przykre, dręczące myśli. Powiedział jej, że nie ma pojęcia, co się wydarzy, co przyszłość przyniesie, jaka będzie decyzja Robina co do Dean Place. Starszy pan, mówił Gareth zwijając w pętlę wąż dojarki, żeby zrobić przejście krowie, wciąż leży w szpitalu. A jeśli nie będzie mógł dalej pracować? Nie jest tak bardzo stary, ale co będzie, jeśli to wszystko go pognębiło, wyprało z energii? Robin nie da rady prowadzić obu gospodarstw. Poza tym nie znosi uprawiania roli. — Nie ma zupełnie do tego serca. — Gareth klepnął krowę, żeby ją zmusić do wejścia w przegrodę. — Co innego bydło. Zajmowanie się ziemią to coś zupełnie innego niż zajmowanie się bydłem.

Zoe miała na końcu języka pytanie, czy Gareth myślał o tym, żeby odejść. Ale coś ją powstrzymało. Atmosfera tutaj wyraźnie się zmieniła, nie czuło się już tej zasiedziałości, pewności. Jakby przyszłość nie rysowała się pewnie i prosto jak przedtem. Nastrój niepewności udzielił się także Zoe, nie miała już ochoty zadawać pytań, ledwie jej przyszły do głowy, wspinać się i przykucnąć, żeby sfotografować, idąc za nastrojem chwili, spokojne bydło, które nie zwracało na nią większej uwagi niż na muchę lądującą na ścianie. Wróciła do kuchni i krążyła po niej niezręcznie i niespokojnie. Poprzednio po prostu tutaj była, egzystowała i czerpała przyjemność z naturalnej łatwości, z jaką jej to przychodziło. Teraz krążąc wokół stołu, na którym leżała broń Robina, czuła, że wpada w nastrój jak ze złej dziecięcej bajki, gdzie siły rządzące pogodą i ziemią są zdolne zrywać dachy z domów, rozwałać jednym podmuchem ściany, tylko tak dla kaprysu, żeby popatrzeć, jak ludzie w środku rozbiegają się bezładnie w panice.

Podeszła do zlewu poszukać czegoś, z czego można by się napić wody. W środku stał talerz po lunchu Robina, nóż i kubek. Wyglądały według Zoe jak świadectwo przeraźliwej samotności, mówiły raczej o egzystowaniu niż o życiu. Podniosła kubek i wypłukała pod kranem, a potem napełniła wodą i wypila ją duszkiem. Miała lekki metaliczny posmak. Zoe ponownie opłukała kubek, wymyła talerz i nóż i odstawiła je na suszarkę. Wzięła pieczołowicie złożoną w schludny kwadrat szmatkę, którą Velma zawsze tutaj zostawiała, żeby była pod ręką, i wytarła do połysku zlew i kran. Nigdy w życiu nie trudziła się dotąd podobnymi czynnościami i zdumiało ją, jakiego blasku nabrały chromowane powierzchnie. Pochyliła się i spojrzała na swoje zniekształcone odbicie w kranie. Miała olbrzymie oczy i szeroki nos, kresczkę ust, szczątkowy podbródek i szyję. Przechyliła głowę i pokazała język. Przesłonił niemal całe jej odbicie, jak wilgotny różowy balon, wielki i szkaradny.

Za jej plecami zabrzączał telefon. Robin miał automatyczną sekretarkę, ale często zapominał ją włączyć. Zoe czekała. Dwa dzwonki, trzy, cztery, pięć. Nie włączył. Przeszła przez kuchnię i podniosła słuchawkę.

— Tideswell, słucham.

— Kto tam? — zapytała ostro Dilys.

— Zoe.

Chwila przerwy, a potem:

— Zoe? Co ty tam robisz?

— Po prostu przyjechałam.

— Można by się spodziewać po tobie — powiedziała Dilys. — nieco więcej taktu, zwłaszcza przy takiej okazji. Można by się spodziewać wycucia, że nie należy przyjeżdżać w takim momencie. Gdzie Robin?

— Sprawdza jakieś komórki w mleku czy coś takiego. Wyjechał dokądś...

— Chciałabym mu zostawić wiadomość, co z jego kolacją.

— Mogę mu ją przywieźć. Na chwilę znowu zapadła cisza.

— To nie takie ważne — powiedziała Dilys. — W tej chwili nieważne.

Porozmawiam z nim później.

Zoe przycisnęła słuchawkę do ucha.

— Podjadę i wezmę ją ze sobą. Przywiozę mu ją. Pożyczę rower od Garetha.

— Zaraz wychodzę — zapowiedziała Dilys. — Jadę do szpitala.

— Już?

— Za pół godziny.

— Nie zajmie mi to tyle. Będę za dziesięć minut.

— No dobrze — zgodziła się Dilys niepewnie. — No dobrze. To tylko porcja zapiekanki.

— Dziesięć minut — powtórzyła Zoe. — Już jadę.

Odłożyła słuchawkę i wybiegła na podwórze. Gareth skończył dojenie i stał nad kanałem, kierując syczący strumień wody z węża na przegrody dla krów. Zoe podeszła jak najbliżej i osłoniła usta zwiniętymi dłońmi, żeby lepiej było słyszeć, co krzyczy.

— Mogę wziąć twój rower?! Chcę pojechać do Dean Place!

— Na jak długo?

— Pół godziny!

Skinął głową, nie patrząc na nią. Woda z węża rozpryskiwała się na betonie.

— Stoi w składzie na paszę, za traktorem. Nie rozwal mi przerzutki.

Pobiegła do składu, mijając po drodze zbiornik na mleko. Nigdzie nie dostrzegła Robina. Stary, mocno nadwreżony rower Garetha stał oparty o worki z paszą kukurydzianą. Zoe złapała kierownicę i wyprowadziła go na podwórze. W sekundę usiadła na siodelku, przerzuciwszy prawą nogę ponad ramą owiniętą przez Garetha fluorescencyjną taśmą, żeby lepiej go było widać w nocy.

Dobrze było tak znowu jechać. Zoe nie siedziała na rowerze od lat, no, nie licząc małej przerwy podczas poprzedniej wizyty w Tideswell, kiedy również pożyczyła go od Garetha. Dawał jej poczucie wolności i zarazem współuczestnictwa, a żywopłoty z czarnego bzu, w których właśnie zaczynały się rozwijać płaskie pospolite kremowe kwiatki, nabierały zupełnie innego wyglądu przy tej prędkości. Pochyliła głowę przed naporem powietrza i pedałowała z dziką zawziętością, jakby miała do spełnienia misję, jakby od niej zależało coś niesłychanie ważnego. Zoe — posłaniec.

Dilys czekała przy kuchennym oknie. Zobaczyła Zoe wjeżdżającą pędem na podwórze i zatrzymującą gwałtownym szarpnięciem rower, jakby to był galopujący kucyk. Wyglądała dokładnie tak, jak Dilys ją zapamiętała, dokładnie tak samo niepokojąco, cała w czerni i te krótkie jak u chłopaka włosy. To niestosowne, pomyślała Dilys, żeby dziewczyna odsłaniała w ten sposób szyję, to sprawia wrażenie czegoś dziwnie nieprzyzwoitego, jakby była obnażona. Zoe oparła rower o donicę z geranium i biegiem dopadła drzwi.

— Nie ma aż takiego pośpiechu — powiedziała Dilys, otwierając. — W końcu to nie sprawa życia i śmierci.

— Nie chciałam, żebyś się przeze mnie spóźniła — wydyszała Zoe.

— Nie spóźnię się.

Weszła do kuchni, a Zoe za nią. Na stole stał talerz schludnie owinięty folią aluminiową, a obok niego plastikowe pudełko.

— Zapakowałam wystarczająco na dwoje. — Dilys pokazała na naczynia. — I trochę sałatki.

— Dziękuję.

Dilys wyglądała nieszczególnie. Zoe zapamiętała pewną siebie kobietę z charakterem, tryskającą zdrowiem i stanowczą. Teraz ledwie przypominała dawną siebie, a jej starannie uczesane włosy, porządne ubranie i schludna kuchnia zdawały się szydzić z destrukcji, która wszędzie tu się wkradała.

— Wspomniałaś, że masz zamiar jechać do szpitala, tak? — zapytała Zoe. Dilys wzięła do ręki ściereczkę do zmywania naczyń, rozwinęła ją, a potem złożyła z powrotem.

— Tak.

— Jak on się czuje?

— Niedobrze.

Zoe pomyślała, że głos Dilys brzmi dziwnie, zupełnie jakby mówiła o czymś, z czego jest zadowolona.

— Nie mogą go zmusić do jedzenia. Nie chce jeść. — Dilys odłożyła ściereczkę na swoje miejsce, dokładnie pośrodku obrzeżenia staroświeckiego białego zlewu. — Wczoraj dawali mu kroplówkę.

— Och...

— Nie mogą go puścić do domu. — W jej głosie znowu zabrzmiała ta nuta dziwnego triumfu. — Nie wróci, dopóki nie przestaną mu dawać kroplówek. Zoe spojrzała na nią. Już przedtem, kiedy Dilys odkładała ściereczkę, zauważyła, jak jej drżą ręce.

— Może pojedę z tobą do szpitala?

— Co? — Dilys spojrzała na nią rozszerzonymi oczyma.

— Czy mogę pojechać z tobą do szpitala w odwiedziny?

— powtórzyła Zoe. — Nie umiem prowadzić, ale w końcu jakieś ze mnie towarzystwo.

— Ależ ja cię nie znam — powiedziała Dilys.

— Ależ tak — zaprzeczyła Zoe. — Przynajmniej odrobinę. Dilys podeszła do stołu i przestawiła talerz, a potem pudełko.

— To... to nie byłoby właściwe.

— Dlaczego nie? Będzie ci łatwiej wyjść ze szpitala do domu, jeśli i ja tam pojedę.

— Och, to nie problem — powiedziała Dilys nieco za szybko.

— Całkiem łatwo wychodzi mi się do domu.

— Wiem — rzekła Zoe.

Dilys przestała wpatrywać się w swoje ręce przestawiające naczynia na stole i podniosła wzrok na Zoe.

— Nigdy nie wiadomo — ciągnęła Zoe — co człowieka wystraszy, prawda? To uczucie wkrada się podstępnie, kiedy się tego najmniej spodziewa, i nagle jest się przerażonym.

Dilys milczała.

— Zawiozę jedzenie do Tideswell na bagażniku, a ty mogłabyś wyruszyć za mną samochodem. Potem pojechałybyśmy razem. — Przerwała na moment. — Bardzo chciałabym pojechać — dodała. — Bardzo.

Dilys dotknęła folii, w którą był zawinięty talerz. Odwróciła oczy od twarzy Zoe.

— Zabierz ten rower na farmę, ale jedzenie zawiozę sama autem. Nie chcę, żeby mi się zapiekanka rozsypała, jak będzie podskakiwać na bagażniku.

Zoe uśmiechnęła się szeroko.

— Dobrze. — Poszła do drzwi. Dilys stała wpatrzona niewi-dzącym okiem w stół.

— Dziesięć minut, tak? — powiedziała na odchodnym do Dilys.

Harry'emu zupełnie nie przeszkadzała kroplówka. Przypominała mu dojarnic Robina z tymi wszystkimi tubami i wężami, tylko że tam wylewało się z nich mleko, a tu wlewali w niego glukozę, jak powiedzieli, i witaminy czy tam coś. Niewiele go to obchodziło, prawdę mówiąc. Nigdy nie zawracał sobie głowy witaminami, jeszcze jedną nowinką wynalezioną wyłącznie dlatego, że w czasie wojny brakowało jedzenia. Nie mówiło się o żadnych witaminach w dzieciństwie Harry'ego, wtedy były świnie, chleb, ser, ziemniaki, kapusta.

Kiedy Harry był dzieckiem, poznawało się dzień tygodnia i porę dnia po tym, co się akurat jadło. A kiedy on czy siostra zachorowali, matka warzyła jedną z tych jej mikstur: pokrzywa, szczaw, mięta i takie tam. Harry leżał, patrząc na delikatną maszynę, do której go wczepili, i rozmyślał o kuchni matki. Ale by była teraz na niego wściekła. Cały czas by myślała, ile to będzie kosztować, ile wyda.

— Harry... — Dilys stała w nogach łóżka; zawsze tak stawała i żeby ją zobaczyć, musiał mrużyć oczy. — Dzień dobry, mój drogi.

— Dzień dobry — odpowiedział.

— Przeprowadziłam ci gościa. Pamiętasz Zoe, znajomą Judy? Harry przymknął jedno oko i zmrużył jeszcze bardziej drugie. Dilys

odsunęła się z pola widzenia, a w jej miejsce pojawiła się Zoe. Uśmiechała się.

— Spotkaliśmy się przy żywopłocie, pamiętasz? Przycinałeś go, a ja z Judy przyniosłyśmy ci herbatę.

Harry skinął głową i nagle uświadomił sobie, że nie włożył do ust protezy.

— Pytałam, czy mogę przyjść — powiedziała Zoe. — Poprosiłam Dilys, żeby mi pozwoliła przyjść.

Obeszła łóżko, stanęła po przeciwnej stronie niż Dilys, i popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Chcesz swoje zęby?

Wpatrując się w nią, skinął głową. Pamiętał dziwaczne włosy, ale zapomniał o oczach, dużych jak oczy krów, tylko nie patrzących łagodnie, lecz bystro i przenikliwie.

Dilys podała mu protezę w chusteczce higienicznej. Podniósł dłoń, by się zasłonić, i wsunął ją sobie do ust. Niezbyt zrećnie, bo ruchy ograniczała mu kroplówka.

— Mieszkaś u Robina?

— Tak.

— Judy też przyjechała?

— Nie — odparła Zoe. — Musiała zostać w pracy. Ale przesyła ci całusy.

— Przysiadła na brzegu łóżka. — Każe mi opowiedzieć, jak się miewasz.

— Pielęgniarki to się nie spodoba — odezwała się Dilys. — Nie lubią, jak się siada na łóżku.

Zoe spojrzała na nią, nie przestając się uśmiechać.

— No to poczekam, aż mnie wyrzuci. — Wróciła wzrokiem do Harry'ego.

— Co mam powiedzieć Judy? Ze jak się czujesz?

— Komu chcesz dokuczyć? — zapytała Zoe. — Jak wszyscy mają mieć lepszy humor, skoro nie chcesz jeść?

Dilys przyniosła sobie szare plastikowe krzesło i usiadła na nim, odchylając się do tyłu. Zupełnie, uznał Harry, jakby odcinała się od odpowiedzi.

— To nie twoja sprawa — powiedziała karcąco do Zoe.

— Nie moja.

— Niczyja — rozstrzygnął Harry. — Niczyj interes, co ja robię. Już nie.

— Oprócz ludzi, których obchodzisz. Sprawiasz im ból, odmawiając jedzenia.

Nieoczekiwanie na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Zawsze byłem jak cierń. Całe życie.

— To tak jak ja — powiedziała Zoe.

Nagle w tej zniszczonej starej twarzy zobaczyła Robina; te same rysy, ten sam skąpy uśmiech, skryty wyraz oczu. Harry nie był wysoki, prawdę mówiąc, wydawał się zbyt niski jak na ojca dwóch tak wybujałych synów. Głowę miał jednak dużą, jakby należała do sporo większego od niego mężczyzny, i przepełnioną teraz furą myśli, pomyślała Zoe, których nie mógł

Jestem zmęczony, Bo nie jesz. Nie mam ochoty.

znieść i niestety również odegnąć. Zerknęła na siedzącą po drugiej stronie łóżka Dilys. To samo jej dotyczyło. Siedziała w ten charakterystyczny dla niej sztywny sposób na szarym plastikowym krześle, pochłonięta całkowicie myślami, tak jak Harry, Robin czy ta ładna dziewczyna, u której Zoe była na herbachie, wdowa po Joem.

— Wiesz co? — spytała Harry'ego, splatając ręce na kolanach. Harry przyglądał jej się w milczeniu.

— Ponieważ nie jesz, umrzesz w końcu. Tego właśnie chcesz? Oczy Harry'ego patrzyły niepewnie.

— Nie możesz się zdecydować? Otworzył lekko usta i zamknął je z powrotem.

— No dobrze, to ja zdecyduję za ciebie — oświadczyła Zoe. — Dopóki śmierć nas nie dopadnie, żyjemy. Nie masz więc wyjścia, musisz żyć. — Spojrzała znowu na Dilys. — Prawda?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lyndsay siedziała na leżaku w ogrodzie w domu rodziców, położonym na obrzeżach Stretton. Słońce zaszło, ale ponieważ i tak jego późnowiosenne promienie nie grzały zbyt mocno, matka zostawiła Lyndsay koc i kardigan, termos kawy i jakieś czasopismo. Zupełnie jakby Lyndsay była chora.

Ojciec zbudował ten dom trzydzieści lat temu, na kawałku ziemi, gdzie kiedyś rósł sad. Wycięto go, a wielki dom, który tu stał, zburzono, by zyskać tereny dla klubu tenisowego. Brat i siostra Lyndsay, oboje od niej starsi, zostali członkami klubu i w rezultacie siostra wyszła za mąż za swojego partnera, z którym grywała w miksta. Przeprowadziła się do męża do Droitwich, urodziła dwoje dzieci, a teraz pracowała jako dyrektor kadr w spółce produkującej urządzenia dla ogrodnictwa. Brat był księgowym. Matka Lyndsay prowadziła księgi w firmie budowlanej ojca i zawsze podkreślała, że to po niej syn odziedziczył głowę do liczb.

Nikt się natomiast nie wypowiadał na temat tego, co odziedziczyła Lyndsay. Przypominała babkę, ładną, macierzyńską kobietę o bladej cerze, ale nie była tak utalentowana jak ona. Babka malowała akwarele i zajmowała się haftem, a Lyndsay, choć miała zręczne ręce, nie ciągnęło ani do pędzla, ani do igły. Traktowana jak typowe najmłodsze dziecko w rodzinie — rozpaskudzana, jak mawiali pobłaźliwie brat z siostrą — tak też się zachowywała. Jej fotografie z rozmaitych okresów dzieciństwa nadal stały porozstawiane w salonie rodziców, największy zbiór na półkach nad grzejnikami. Wprowadzały ją teraz w lekkie zażenowanie te wizerunki wystrojonego w odświeżone sukienki dziecka, w białych skarpetkach, z masą wstążek we włosach. Nie dziwiła się, że złościło to siostrę.

Wszyscy okazali ulgę i zdumienie, kiedy przyprowadziła do domu Joego. Zaczynała, nie wkładając w to zresztą najmniejszego wysiłku, wyrabiać sobie pozycję jako kosmetyczka: po szkole średniej ukończyła dwuletni kurs specjalistyczny, a potem czekała, aż ojciec zdecyduje się kupić jej salon kosmetyczny. Wtedy właśnie poznała na stacji benzynowej Joego. Tankowała samochód matki, kiedy zawiódł mechanizm blokujący w wężu dystrybutora i benzyna poląła się strugą, rozpryskując się na jej ubraniu i butach. Zaczęła krzyczeć i Joe, który napełniał ropą bak ciężarówki, przybiegł na ratunek. Jeszcze przez kilka dni była przesiąknięta tym okropnym zapachem, ale Joe powiedział — w końcu coś takiego powiedział — że dla niego benzyna pachnie jak najpiękniejsze perfumy świata.

Po trzech tygodniach poprosił, żeby za niego wyszła. Powiedziała „tak”, zanim jeszcze skończył mówić, i wtedy zdała sobie sprawę, że właściwie czekała na to od momentu, gdy wyrwał z jej sztywnych dłoni gumowy wąż i wepchnął go do dystrybutora. Dla rodziców był wymarzonym kandydatem do ręki ich córki: starszy, zrównoważony, przystojny, niebiedny. Mógł, ku ich uldze i wdzięczności, przejąć opiekę nad Lyndsay. Patrząc z uśmiechem na porozstawiane wszędzie bezładnie fotografie, zapewnił, że nie pozwoli, by sobie zniszczyła pracą rączki. Uwierzyli mu bez zastrzeżeń.

A teraz byli wstrząśnięci. Nigdy w życiu nie zetknęli się z czymś tak niecywilizowanym jak to, co zrobił Joe. Nigdy nawet coś podobnego nie przyszłoby im do głowy. Zaprosili Lyndsay do siebie na parę dni, ponieważ była ich córką, no i były jeszcze dzieci, ale wszystko to nie wyglądało dobrze, naprawdę nie. Było w tym coś obrażającego ludzkie uczucia, coś tak ostatecznego, że stracili zdolność osądu. Powitali Lyndsay serdecznie, ale zarazem z ostrożnością, jakby czyn Joego ją skaził. A potem traktowali jak osobę chorą: śniadanie do łóżka, herbatki z kieliszeczkami słodkiego sherry, leżakowanie pod pledem w szkocką kratę w ogródku.

Ojciec, teraz już na emeryturze, miał wiele cierpliwości dla dzieci. Z domu dochodził jego śpiew; zabawiał Rose, śpiewając stare wojskowe piosenki. Rose to uwielbiała. Rose uwielbiała wrzawę wokół siebie: muzykę, warkot motocykli, ujadanie psów, rugby w telewizji. Hughie być może też by posłuchał, ale nie przepadał za krzykiem do wtóru śpiewu, co Rose lubiła. Zmoczył się w nocy dwa razy z rzędu i matka Lyndsay położyła, wprawdzie bez słowa, ale wystarczająco demonstracyjnie, gumowe prześcieradło na materac.

— To przez pomyłkę — tłumaczył babce. Za nic nie powiedziała by „przepraszam”.

— Przez pomyłkę.

Bez przerwy powtarzał Lyndsay, że czeka, kiedy wrócą do domu.

— Tęsknisz za kolegami?

— Nie.

— Więc dlaczego chcesz wrócić do domu?

Przekręcił fokę do góry nogami i spojrzał na Lyndsay spod ogona pluszowego zwierzaka.

— Bo tam mieszkam — wyjaśnił cierpliwym tonem.

A ja gdzie mieszkam? — zastanawiała się Lyndsay, patrząc na czyste, blade niebo.

Też tam? Błądziła spojrzeniem po niebie, jej wzrok opadł powoli na wysoki wiecznie zielony żywopłot, który chronił przed wzrokiem ciekawskich tereny kortów tenisowych, a potem na dom rodziców. Schludny,

solidny, przyzwoicie wyglądający dom z cegły. Bo tu z pewnością już nie mieszkam. Już nie.

Otworzyły się drzwi balkonowe w salonie i wyszła matka Lyndsay, utykając z lekka; cierpiała na artretyzm, na co się jednak nigdy nie skarżyła, wręcz nigdy na ten temat nie rozmawiała. Niosła lekkie składane ogrodowe krzesło. Lyndsay poprawiła się na leżaku, starając się wyglądać nieco bardziej na osobę pozbieraną, nieco mniej na ofiarę. Matka rozłożyła krzesło, sprawdziła, czy stoi pewnie, i usiadła.

— No, wreszcie. — Spojrzała na Lyndsay. — Ciepło ci, kochanie? Lyndsay skinęła głową.

— Tata śpiewa dzieciom, słyszysz? Rose uwielbia tę piosenkę, kochane dziecko.

— Uwielbia wszystko, co wystarczająco głośne.

Sylwia Walsh opuściła wzrok na swoje dłonie; ładne, dobrze utrzymane, podobnie jak dłonie Lyndsay. Jeśli nie zajmowała się akurat robotami domowymi, ozdabiał je zaręczynowy pierścionek — dwa szafiry, trzy rauciki — i drugi, подарowany przez męża na ich srebrne wesele, — Chyba powinniśmy trochę porozmawiać, kochanie. O twojej przyszłości. Oczywiście ja i tata zrobimy co tylko można, żeby ci pomóc. Lyndsay nasunęła koc na dłonie, tak by matka nie widziała, kiedy je zaciśnie.

— To znaczy?

— No więc... — zaczęła Sylwia. — Jaka właściwie jest twoja pozycja? Czy możesz tam zostać? Na farmie?

— Oczywiście, że mogę — oświadczyła Lyndsay bez namysłu. — Przecież to mój dom.

Sylwia poprawiła na sobie kardigan, tak by jego poły leżały symetrycznie na jej piersi.

— Ale sprawy mają się teraz nieco inaczej, kochanie. Nie zechcesz przecież pracować na farmie, prawda? Być może Meredithom będzie potrzebny twój dom, na przykład dla robotnika...

— Nikt nie wspomniał o czymś takim...

— Ależ oczywiście, że nie, tego się po nich nie spodziewam. Zresztą zdaje się, mają tam niezłe urwanie głowy z tym wszystkim... i jeszcze twój teść w szpitalu. Ale w końcu będą musieli pomyśleć... Czy Robin już o tym nie myśli?

— Joe — powiedziała Lyndsay z premedytacją, wiedząc, że matka wzdrygnie się na dźwięk jego imienia — posiadał pewną część farmy. Nawet większą niż ojciec.

Przechodzi to na mnie, nie sądzisz?

Sylwia spojrzała na nią wymownie.

— Chyba nie będziesz chciała udziałów w farmie, kochanie? Lyndsay westchnęła.

— Rzeczywiście. Chyba nie będę chciała.

— Myślę, że nie możesz tam zostać. — Sylwia oparła się o krzesło. — Nie teraz, kiedy... No, w każdym razie musisz się jakoś ułożyć z teściami, prawda?

Lyndsay spuściła wzrok, a potem powiedziała bardzo cicho, jakby to była wyjątkowa nielojalność:

— Nienawidzę tej farmy.

— Tata i ja jesteśmy ciekawi, co powiesz na nasz plan — mówiła Sylwia ostrożnie.

— To oczywiście tylko propozycja, ale może powinnaś ją przemyśleć.

Lyndsay wyjęła dłonie spod koca i splotła je na brzuchu.

— Zastanawialiśmy się, czy nie chciałabyś wystartować z tego samego punktu, co siedem lat temu. Co byś powiedziała na powrót do Stretton i jakiś niewielki salon kosmetyczny? Tata mógłby się rozejrzeć za czymś odpowiednim. Może nawet mogłabyś na razie prowadzić go tylko przez część dnia, dzieci są jeszcze takie małe — urwała i po chwili dodała, starając się nadać głosowi życzliwe brzmienie: —

Oboje uważamy, że przydałaby ci się kompletna zmiana trybu życia.

Lyndsay przycisnęła dłonie do brzucha. Był wklęsły, niemal zapadnięty. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu była taka szczupła.

— To nie będzie żadna zmiana — oświadczyła. — Po prostu cofnięcie się do punktu wyjścia.

— Jeśli nie brać pod uwagę, że teraz masz dzieci... Hughiego i Rose. Poza tym już nigdy nie wrócisz do punktu wyjścia, ponieważ... ponieważ byłaś mężatką.

Lyndsay odwróciła głowę. Zdarzały się jej takie chwile — całkiem nieoczekiwane i niechciane — że dosłownie bliska była szaleństwa z tęsknoty za Joem. Małżeństwo, och Boże święty, małżeństwo, małżeństwo...

— Przemyśl to jednak — powiedziała Sylwia. — Wyobrażam sobie, jak ciężko ci podjąć jakąkolwiek decyzję, ale w końcu będziesz musiała. Trzeba żyć dalej.

— A gdybym nie chciała? Gdybym po prostu nie miała ochoty na to jutro?

Sylwia wstała, ułożyła raz jeszcze poły kardiganu i poprawiła spódnicę w talii, podciągając ją nieznacznymi ruchami — gest tak dobrze znany Lyndsay...

— Nie wolno ci tak myśleć. Nie teraz, kiedy masz dzieci. Jak się ma dzieci, człowiek nie może sobie pozwolić, żeby coś takiego w ogóle mu przyszło do głowy.

— Patrzę się na ciebie — powiedział Eddie do Zoe. Przykucnął przed nią z czerwonym plastikowym pistoletem na wodę. Zoe, zamknawszy oczy, siedziała po turecku na ziemi, oparta plecami o mur ogradzający podwórze. Gareth właśnie udzielił jej pierwszej lekcji jazdy na starym traktorze z pługiem do zdrapywania gnoju i nie okazała się pojętną uczennicą.

— Na pewno mogę się patrzeć dłużej niż ty — powiedział Eddie. — Zacząłem się już w ciebie wpatrywać.

Zoe otworzyła oczy. Zobaczyła niemal tuż przy swojej twarzy chłopca; rysy napięte z wysiłku, by nie mrugnąć, małe niebiesko-szare oczy.

— A to po co? Nie poruszył się.

— Po co się we mnie wpatrujesz?

— Będę się wpatrywał, aż się przestraszysz.

— Nie tak łatwo mnie przestraszyć — powiedziała Zoe i odpowiedziała mu spojrzeniem. Miał piegowatą wąską twarz o drobnych rysach. Pokazała mu język, ale nie dał się sprowokować. — To nudne — oświadczyła.

Przybliżył się jeszcze bardziej. Pachniał odrobinę nieświeżo i zarazem mlekiem, jak dziecko. Przypominał nieco Garetha, ale odziedziczył po Debbie drobne kości, co kojarzyło się Zoe raczej z miejskimi dziećmi, przemykającymi się i kluczącymi wśród domów we wrzaskliwych gromadach. Myślała, że to całkiem normalne i zgodne z naturą dorastać wśród murów, chodników, klatek schodowych i ograniczonych przestrzeni, zatłoczonych przez innych ludzi. Dopiero tutaj zrozumiała, że można dorastać inaczej. Judy właśnie tutaj się wychowała. Znała powietrze, pola, kamieniste drogi, rzekę. I samotność. I nienawidziła tego. Zoe pochyliła się i popchnęła lekko chłopczyka.

— Przestań.

Zakołysał się na piętach, ale utrzymał równowagę. Już prawie dotykali się nosami.

— Ale zgaga z ciebie — powiedziała Zoe. — Nie czas, żebyś poszedł do szkoły?

Usłyszeli nadjeżdżający samochód i na podwórzu pojawił się land-rover. Zatrzymał się tam, gdzie Robin go zwykle zatrzymywał, w pobliżu kuchennych drzwi. Zoe podniosła wzrok i spojrzała na niego.

— Wygrałem! — krzyknął Eddie. — Wygrałem, wygrałem! Jestem lepszy w patrzeniu!

Zoe wstała, szorując plecami po ścianie. Robin wysiadł z auta i poszedł otworzyć tylne drzwi. Zoe ruszyła w tamtym kierunku. Eddie siknął za nią dwukrotnie wodą z pistoletu, ale nie starał się trafić w plecy. Zoe zajrzała do land-rovera i zobaczyła jakieś bele.

— Co to jest?

— Słoma z jęczmienia. — Robin podniósł najbliższą belę za plastikowe taśmy i pokazał jej ruchem głowy, żeby zrobiła to samo. — Trzeba to ułożyć w składzie, przy kukurydzy.

— Do czego to? — spytała podnosząc następną z kolei belę.

— Dla cielaków. Kupuję je w tym roku na chów, aż będą się same mogły cielić. Poszedł w kierunku stodoły, stawiając wielkie kroki. Zoe za nim, a na końcu Eddie, podbijając kolanem plastikowy pistolet na wodę.

— Nie wystarczy ci twoich własnych cieląt?

— Za dużo byczków.

— A nie można tego przewidzieć? Chodzi mi o to, czy inseminując krowę nie można przewidzieć, co urodzi.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo tak daleko nasza wiedza jeszcze nie sięga. Bo kupując bycze nasienie, kupuje się kota w worku. Bo na trzydzieści porcji, za które zapłaciłem po dwadzieścia dwa funty, tylko z dwóch nie urodziły się byki. Bo za każdą jałówkę zdolną do rodzenia musiałbym dać siedem setek. — Odwrócił się do niej, wciąż trzymając belę w ręku.

— Siedem setek. Za każdą. Wystarczy? Wystarczy ci? Koniec tych cholernych pytań?

— Przepraszam — powiedziała, kładąc swoją belę na ziemi.

— Może byś tak podniosła ją z powrotem, co? — wrzeszczał Robin. — Przestań wreszcie trajkotać! Jakbym nie miał nic do roboty, tylko odpowiadać na pytania. Co, jesteś jakąś kretyńską dziennikarką? Przysięgam ci, że cokolwiek robię, to w jakimś celu, nie dla kawału!

Zoe znowu przystanąła i odłożyła swoją belę. Kątem oka zobaczyła drobną figurkę Eddiego, który umykał w poszukiwaniu schronienia, byle dalej od kłopotów.

Spojrzała na swoje ramiona wystające z czarnego podkoszulka bez

rękawów i nieoczekiwanie wydały jej się bardzo dziwne: białe, chude, nierzeczywiste. Z trudem przełknęła ślinę.

— Przepraszam — powtórzyła. — Ja tylko pytałam. Robin chrząknął i zniknął w mroku składu. Poszła za nim i ustawiła swoją belę dokładnie przy jego.

— Sama dokończę — powiedziała, nie patrząc na niego. — Sama rozładuję land-rovera.

Przez chwilę nic nie mówił. Zrobił krok czy dwa do przodu.

— W porządku.

Kiedy już go rozładowała, usiadła za kierownicą i zapatrzyła się na deskę rozdzielczą. Leżało nad nią pełno ulotek, opakowań po batonach, zgniecionych kartoników po sokach, pokwitowań z parkingu i mały czerwony notesik z nagryzmołonym napisem „Prowadzenie cieląt”. Siedzenie obok i podłoga nie wyglądały lepiej, zaśmiecone słomą, skrawkami papieru i tłustymi od oleju szmatami. Na oparciu fotela pasażera leżał ciśnięty niefrasobliwie stary niebieski sweter z dżerseju, prawdopodobnie Robina. Zoe ściągnęła sweter i zwinąwszy sobie jak kota na kolanach, zaczęła go uklepywać.

Wyciągnęła rękę i dotknęła stacyjki. Nawet odważyła się lekko — ale nie do końca — przekręcić kluczyk. Gdyby tylko umiała prowadzić, mogłaby pojechać do Dean Place i przywieźć kolację. Kryzys, nie kryzys, Dilys przygotowywała kolacje, piekła biskwity i ciastka dla Harry'ego, które jak Zoe podejrzewała, oddawał pielęgniarce. Nawet zaofiarowała się, że nauczy Zoe gotować.

— Gotować?

— Cóż, pewnego dnia będziesz musiała się nauczyć.

— No, ale po co?

— Bo to potrzebne do życia — odparła Dilys. — Tobie samej i tym, o których będziesz dbać. Umiesz zrobić generalne porządki?

— Nic o tym nie wiem — uśmiechnęła się Zoe.

— A wyprasować koszulę? Zoe potrząsnęła przecząco głową.

— Uważasz, jak sądzę, że kobiety nie powinny już zajmować się prowadzeniem domu.

— Nie...

— Ze liczy się tylko kariera i tak dalej.

— Nie robię tego, bo nie muszę — stwierdziła Zoe. — Nauczę się, jak mi to będzie potrzebne.

Dilys stała w czasie tej rozmowy przy zlewie, płucząc pod bieżącą wodą ciemnozielone różyczki brokułów. Oderwała od nich oczy i popatrzyła przez okno, a potem powiedziała zupełnie innym niż do tej pory tonem:

— Może będę potrzebować pomocy, kiedy Harry wróci do domu. Może nie dam sobie rady bez dodatkowej pary rąk.

— Rozumiem — odezwała się Zoe po chwili. Zeskoczyła z krawędzi stołu, na którym się usadowiła. — To zupełnie zmienia sytuację. Gdyby miała ci się przydać moja umiejętność prasowania, nauczę się prasować.

Dwa dni potem Dilys nauczyła ją robić jajecznicę. Całkiem przyjemne, rozmyślała Zoe. Żeby tylko nie trzeba było myć tej patelni. Natychmiast człowiek zaczyna rozumieć, i to bardzo dobrze, dlaczego wymyślono kanapki albo hamburgery w pudełkach na wynos. Teraz patrzyła na sweter Robina, leżący na jej kolanach. Wbiły się w niego źdźbła słomy, miał wystrzepione mankiety i wyszarpaną dziurę. Podniosła go do twarzy. Pachniał wełną — kurzem i wełną. Było jej przykro, gdy Robin wrzeszczał. Nie przestraszyła się, było jej tylko zwyczajnie przykro, że go do tego doprowadziła. Nie chciała go doprowadzać do krzyku, wprost przeciwnie. Uniosła sweter i potrząsnęła nim, jak to robiła Dilys, gdy strzepywała uprane sztuki bielizny, zanim powiesiła je na sznurku. Potem złożyła sweter i odwiesiła na oparcie fotela pasażera, na swoje miejsce.

Na jakie miejsce, zmitygowała się nagle, co za swoje miejsce? Co ja robię?

— Co ona tutaj robi? — zapytała Debbie, stawiając przed Garethem kubek z herbatą.

Dzieci siedziały z jedzeniem przed telewizorem. Debbie zwykle tego nie pochwalala, ale na dzisiaj miała dosyć dzieci.

Niewiele ją obchodziło, gdzie jedzą, a nawet czy w ogóle jedzą, zwłaszcza Eddie. Natknął się w łazience na butelkę z wybielaczem, którą zostawiła tam przez niedopatrzenie, i to jeszcze z nie-dociśniętą nakrętką. Oczywiście napełnił wybielaczem pistolet i zaczął psikać na zasłony w swojej sypialni, które Debbie uszyła sześć miesięcy temu z ciemnoniebieskiej bawełny drukowanej w aeroplany. Tak go zafascynował efekt, że wrócił do łazienki napełnić pistolet ponownie i wtedy Debbie zorientowała się, co się dzieje.

— Nie wiem — odpowiedział Gareth i pochylił się nad talerzem. — Dzisiaj po południu uczyłem ją jeździć na traktorze.

— Tylko nie zaczynaj...

— Nie poszło jej za dobrze.

— Nie o tym mówię.

Garethabrał pełen widelec frytek i puścił do niej oko.

— Nie w moim typie. Wygląda jak chłopak.

— Tak? — Debbie usiadła naprzeciwko niego i nalała sobie herbaty. — A co z Robinem?

— Co co z Robinem?

— No, z nią i z Robinem. Gareth wzruszył ramionami.

— Nic, z tego co wiem. Zrugał ją dzisiaj po południu. W ogóle go nie obchodzi, kto tu jest, a kogo nie ma. Nie zwraca na to uwagi.

— Ale ja zwracam.

— Tak? I kto jeszcze?

— Velma — powiedziała Debbie. — I pół wsi.

— I chcesz na pewno coś z tym zrobić? — Gareth nalał sobie szczerze sosu pomidorowego na talerz.

— Dobrze wiesz co. Chcę, żebyśmy wyjechali. Gareth westchnął.

— Myślałem, że z tym skończyliśmy. Zdawało mi się, że masz zamiar pomóc Lyndsay przy dziecku.

— Chce zostać u matki.

— Wróci. *MY*

— Gareth, to przecież nie o to chodzi. Wszystko się zmieniło. Nic już nie jest tak jak przedtem.

Gareth upił łyk herbaty.

— Posłuchaj — powiedział. — Mam dobrą pracę. Nie przejmuję się szefem, dom mamy przyzwoity, dzieciakom dobrze idzie w szkole, ty masz pracę, jesteśmy tu na swoim miejscu.

— Już się tutaj tak nie czuję. Wciąż czekam, że się coś stanie. Uważam, że jeśli zostaniemy, coś się na pewno stanie.

— Było paskudnie. Po prostu paskudny okres i tyle...

— Nie — zaprzeczyła Debbie z naciskiem. — Nie. Wszystko się zmieniło. Nigdy więcej nie będzie tak samo.

Spojrzał na nią. Lubił, kiedy miała te swoje jasne włosy rozpuszczone, ale dziś ściągnęła je do tyłu, co wyostrzyło rysy jej twarzy, dodało lat. Wciąż była przystojna, naprawdę niezła, ale się zmieniła. Nie tylko ciało, myślał, ale i umysł, i nastawienie do życia. Dziesięć lat temu by się tak nie zachowywała. Ale dziesięć lat temu właściwie nie mieli dzieci; była Rebeka, szaleńczo uwielbiana i traktowana trochę jak lalka do przebierania w maleńkie ubranka. Teraz się martwiła. Przy trojgu dzieciach nauczyła się martwić. Zmieniły ją, nie tylko zewnętrznie. Wyciągnął rękę przez stół.

— Możemy poczekać?

— O co ci chodzi?

— Możemy trochę poczekać, zanim zaczniemy się nad tym zastanawiać poważnie? Chociaż parę tygodni?

Popatrzyła na jego rękę. Nagle odkryła, że zawsze starała się odsuwać od siebie zbyt szczegółowe wyobrażenia o tym, co te ręce robiły.

— Dopóki coś jeszcze się nie stanie...

— Może.

Westchnęła. Uniosła kubek i zajrzała do niego.

— No dobrze.

Zoe postanowiła nic nie mówić, gdy Robin wróci wieczorem do domu. Nie będzie się dąsać ani też zaznaczać swojej obecności. Po prostu będzie. Kiedy trzasnęły kuchenne drzwi, a potem niemal natychmiast rozległ się pomruk telewizora, siedziała w sypialni na górze i przycinała paznokcie połamane przy noszeniu bel słomy. Nieważne, i tak były za długie. Zapуściła je tylko dlatego, żeby podkreślić, że przestała je wreszcie ogryzać.

Zeszła do kuchni i zobaczyła Robina. Stał na jednej nodze, już do połowy rozebrany z kombinezonu. Patrzył w telewizor, ale odwrócił się lekko, gdy się pojawiła.

— Cześć — odpowiedziała.

Wysupłał nogę z kombinezonu i pochylił się, by go zabrać z podłogi.

— Przepraszam — powiedział przez ramię — że tak się na ciebie wydarłem.

— To nie ma znaczenia — rzekła Zoe. — Zadałam zbyt dużo pytań i w niewłaściwym czasie. — Skierowała się do piekarnika, gdzie zostawiła, zgodnie z instrukcjami Dilys, dwa pieczone ziemniaki i potrawkę. — Chyba lepiej będzie, jak wrócę do Londynu. Nie myślałam, że będę zawadzać, ale widzę, że będę.

— Otworzyła drzwiczki piecyka i ostrożnie sięgnęła do środka.

— Chcesz, żebym sobie pojechała?

Zapadła cisza. Usłyszała, jak Robin odsuwa krzesło, siada i wkłada buty.

— W poniedziałek zaczynamy z kiszonką. Od świtu do nocy. Każda para rąk się przyda. Jakakolwiek pomoc...

Zoe wyprostowała się, zatrzasnąwszy drzwi piecyka.

— Nie sądzę, żebym była bardzo pomocna.

— Nie — powiedział i po raz pierwszy odkąd przyjechała, spojrzał jej prosto w oczy. — Ale możesz być — uśmiechnął się.

— Gareth powiedział ci o traktorze?

Cześć.

— Nie, ale mogę sobie to wyobrazić. Następnym razem pójdzie ci lepiej. Oparła się o piecyk.

— Nie musisz być taki delikatny. Przyjechałam nieproszona i nie trzeba mnie będzie prosić, żebym wyjechała. Po prostu chcę, żebyś postawił sprawę uczciwie.

— Nie usiłowałam być delikatny. — Wstał i przechylił się nad stołem, żeby wyłączyć telewizor.

— Ale ja bym chciała być. Chciałabym ci pomóc. Chciałabym, żebyś poczuł się lepiej.

Usiadł z powrotem, bokiem do niej, i zaczął przetrząsać leżące na stole papiery.

— Miałbym dla ciebie zajęcie. Coś zupełnie innego niż to, co robiłaś do tej pory... Ci od gospodarki wodnej obłożyli mnie właśnie grzywną. Tysiąc dwieście funtów i mam ulepszyć w ciągu sześciu miesięcy rozprawdanie gnojowicy. Bo inaczej będziemy zmuszeni... Wezwanie do sądu i tak dalej. — Potargał sobie włosy. — Czasami myślę... — urwał.

— To zniechęcające — powiedziała Zoe. — Tak? Kompletnie zniechęcające.

— Nie mam pojęcia, dlaczego to wszystko na nas spada. — Głos Robina ledwie było słyhać. — Jakby ktoś odkręcił kurek i teraz już nie można tego powstrzymać... Ja nie mogę...

Zoe wyprostowała się. Przeszła cichutko przez kuchnię i stanęła za krzesłem Robina, niemal go dotykając.

— Zdaje się — powiedziała niezwykle rzeczowym tonem — że co do ciebie, to przez lata nie odkręcałeś kurka.

Rzucił jej ostre spojrzenie. Minę miała zupełnie naturalną, taką jak zawsze.

— Kiedy się ostatnio kochałeś? — zapytała. Uniósł brwi i osłupiały wyznał szczerze:

— W zeszłym roku.

— Gdzie?

— Po przedstawieniu u Smithfielda. W Londynie.

— Z prostytutką?

— Nie. — Ku własnemu zdziwieniu nie przerywał tej rozmowy. — Z dziewczyną z ministerstwa. Departament Rybołówstwa, o ile dobrze pamiętam.

Przesunęła się powoli, a potem usadowiła na kolanach Robina i objęła go za szyję. Nie poruszył się.

— No to wreszcie mogłabym się na coś przydać.

Omial się nie roześmiał. Objął ją niepewnie ramionami. Drżał.

— Dlaczego...

— Bo chcę — odpowiedziała z twarzą tuż przy jego twarzy.

— Ty nie?

— Jestem stary. Stary. Dużo dla ciebie za stary. Mógłbym być twoim ojcem i...

— Ico?

— To nienormalne, ot co.

— Dla ciebie?

— Nie, głuptasie, nie...

— To pozwól, że sama będę decydować, co dla mnie normalne, a co nie. W każdym razie na pewno nie chodzenie do łóżka z chłopakami. Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Zdaje się, że drzysz...

— To oczywiste — powiedział, obejmując ją mocniej i przyciskając policzek do jej twarzy. Cholera, pomyślał, powinienem się ogolić...

— Ciężkie życie, co? — zapytała Zoe. — Ciężkie miałeś życie przez te wszystkie lata...

— To nie jej wina.

— I nie twoja.

Zanurzyła ręce w jego włosach.

— To wariactwo — bronił się.

— Nie większe niż osobne sypialnie — stwierdziła pogodnie.

— Nie chciałbym wyjść na obłęsnego starucha.

— Powiem ci, czy wyszedłeś.

— Cholera — powiedział Robin — cholera... — Pochylił głowę i skrył twarz na kościstym młodym ramieniu w swetrze z szarej wełny. Łzy, grube, gorące, niechciane, ciekły niepowstrzymanie z jego oczu. — Przepraszam — zaszlochał. — Przepraszam, Zoe, przepraszam...

Nie odzywała się. Siedziała mu po prostu na kolanach, czuła ucisk jego ramion, wciąż trzymając go za szyję i czekała. W końcu wstała, oddała kawał papierowego ręcznika drukowanego w małe grzybki, który Velma kupiła we wsi, i wręczyła mu.

— Proszę.

Energicznie wydmuchał nos.

— Nic nie mów — powiedziała. — Bo i nie ma nic do powiedzenia. Znowu wyczyścił nos. Poczekala, aż się z tym upora i znowu usiadła mu na kolanach.

— Na czym skończyliśmy?

— Boże, nie wiem — zaśmiał się cicho i objął ją.
— Masz czerwony nos — oświadczyła, przyglądając mu się.
Skinął głową i zamknął oczy. Liznęła go w nos, a potem pocałowała długo i delikatnie w usta.
— Na szczęście akurat nie twoim nosem jestem najbardziej zainteresowana.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na podwórzu Dean Place wjechała karetka i zatrzymała się tuż przy geranium Dilys. W środku, obok kierowcy w nieskazitelnie wyprasowanej bladoniebieskiej koszuli, siedział sanitariusz w szpitalnym stroju, a na wózku Harry. Był ubrany w rzeczy, które wczoraj zawiozła mu Dilys, ale na nogach miał kapcie. Nie wiedziała dlaczego, niemniej wydało jej się to szczególnie obraźliwe. Dała im przecież także nieskazitelnie wyczyszczone juchtowe buty. Dlaczego mu ich nie założyli?

— Dzień dobry, kochanie — powiedziała, stając przy końcu kłapy, którą wysunęli z tylnych drzwi karetki. Harry wydał jej się niezwykle mały, jak nigdy dotąd.

— No to jesteśmy — zwrócił się sanitariusz do Harry'ego, zwalniając hamulec przy wózku. — Gotowy na przejażdżkę?

Potrzebne im wolne łóżko, tak powiedzieli Dilys w szpitalu w Stretton. Harry przestał tracić na wadze, a nawet przybyło mu funt czy dwa i będzie dalej przybywać, jak się zacznie ruszać. Nie jest wskazane, żeby dłużej leżał w łóżku, najwyższy czas wrócić do domu.

— To dobrze, prawda? Przyjdę, gdy go będą przywozić — obiecała Zoe Dilys. — Będę, kiedy przyjedzie ambulans.

Ale jej nie było, a duma nie pozwalała Dilys zadzwonić do Tideswell i zapytać dlaczego.

— Będiesz potrzebowała pomocy — mówiła Zoe. — Ktoś ci będzie musiał pomóc wyjąć go z wózka.

Rzeczywiście. Naprawdę potrzebowała pomocy. Nie fizycznej, pomyślała, chociaż wzdragając się przyznać do tego. Przy Zoe mogłaby nie myśleć, iż będzie się musiała pogodzić z tym, że Harry z powrotem jest w domu; Harry, nie Joe. Sądziła, że Zoe to zrozumiała. Dziwna rzecz z tą Zoe. Ostatnia osoba, z którą Dilys chciałaby mieć do czynienia w normalnym stanie ducha, ale było w niej coś takiego, co akurat w tym momencie odpowiadało Dilys, zaspokajało jej potrzeby, koło męczarnię zrodzoną z poczucia własnej bezradności.

Wózek zjechał po kłapie na podwórzu.

— W kuchni jest ktoś, kto nie może się na ciebie doczekać

— powiedziała Dilys. Położyła mu dłoń na ramieniu, ale nie zdobyła się na pocałunek. Na pewno nie na oczach dwóch obcych mężczyzn.

We wzroku Harry'ego zobaczyła iskierkę szaleńczej nadziei, która natychmiast zgasła.

— Kep? — zapytał. — Stary Kep?

Kiwnęła głową, a sanitariusz poprowadził wózek do otwartych drzwi kuchennych.

— Myślałam, że Zoe przyjdzie. Mówiła, że przyjdzie.

— Pytali mnie w szpitalu, czy to moja wnuczka — powiedział Harry.

— Jest w porządku. — Dilys przytrzymała drzwi przy ścianie, żeby łatwiej było przejechać z wózkiem.

— Mamy przepisaną dietę — odezwał się sanitariusz — i zostawimy balkonik.

— Nie potrzebuję żadnego balkonika — zaprotestował Harry

— Mam laski. Stare laski mojego dziadka. Zamierzam używać właśnie ich.

— Balkonik jest bardziej stabilny — mężczyzna mrugnął do Dilys.

— Nie muszę się tym przejmować — oświadczył Harry.

— I nie życzę sobie dłużej traktowania z góry.

Kep poderwał się niezdarnie z posłania i podszedł do Harry'ego, oszalały z ulgi, kręcąc zadkiem i popiskując.

— No tak, tak, psisko. — Harry pogłaskał go po głowie.

— W porządku, staruchu, w porządku.

Pielęgniarka wyjął schludnie złożone arkusiki papieru z kieszeni i położył je na kuchennym stole.

— Tu są formularze.

— Co za formularze?

— Prośba o wypożyczenie wózka i chodzika. To własność szpitala.

— Może je pan od razu zabrać — powiedziała Dilys. — Nie potrzebujemy tego.

Niech mu pan pomoże usiąść na krześle za stołem i proszę zabrać to urządzenie.

Mężczyzna popatrzył na nią.

— Wie pani... byłoby lepiej, gdyby przez jakieś dziesięć dni...

— Nie, dziękuję. — Ogarnęło ją nagle przerażenie, że odrzuca ich propozycję, ale przecież musiała to zrobić. Gdyby Zoe tu była, Dilys nie poczułaby najłżejszego niepokoju. — Weźcie to z powrotem. Poradzimy sobie. — Spojrzała na Harry'ego.

— Ma siedemdziesiąt jeden lat, nie sto.

Sanitariusz wzruszył ramionami i zabrał wszystkie papiery z wyjątkiem bładozielonego arkusika, zadrukowanego równymi słupkami.

— W takim razie zostawiam pani tylko jego dietę.

— Jestem żoną rolnika — powiedziała Dilys. — Myśli pan, że nie mam pojęcia o składnikach odżywczych?

Mężczyzna westchnął i powiedział z lekkim rozdrażnieniem:

— Jak pani uważa, proszę pani. — Wychodząc poklepał Harry'ego po ramieniu. Stał przy wejściu i zawołał na kierowcę.

— Potrzebujesz tego? — zapytała Dilys, pokazując na wózek, a kiedy Harry potrząsnął głową, dodała: — Laski na ciebie czekają. Zoe je wyczyściła. Laski twojego ojca, z tarniny i z rączką z rogu jelenia.

Obaj mężczyźni weszli do kuchni.

— No dobrze — odezwał się kierowca. — Zawsze nieugięci i niezależni, prawda, panie dziedzicu? Które to pańskie krzesło? To? Świetnie, dziedzicu, więc powinien pan je zająć.

Dilys obserwowała, jak się nachylają i z wprawą przenoszą Harry'ego z wózka na jego stałe miejsce u szczytu stołu, na krzesło z rzeźbionym oparciem. Wyglądał przy nich tak krucho, jakby był zrobiony z trzciny albo z drewna balsy — lekki i łamliwy.

— Na pewno sobie pani poradzi? — dopytywał się kierowca. — Kąpiel, pójdzie do toalety i tak dalej?

— Sam sobie poradzi — oświadczyła Dilys. — Wrócił do domu i od razu będzie mu lepiej.

— Lepiej to niech mu pani popuści chociaż dzień albo dwa. I lepiej to niech sobie pani zorganizuje pomoc, chociaż na początku...

— Mam kogoś do pomocy — zapewniła Dilys. — Nie mogła przyjść dziś rano, ale mam pomoc.

— Dobrze — rzekł kierowca. — O to właśnie chodzi. — Pomachał Harry'emu. — Trzymaj się, dziedzicu. Niech pan na siebie uważa.

Sanitariusz wciąż patrzył na Dilys, wyraźnie zaprzętała jego myśli.

— Na pewno pani tego chce? Skinęła stanowczo głową.

— Dziękuję, że go przywieźliście. Uśmiechnęli się obydwaj.

— To nasza zwykła praca — powiedział kierowca. — Nie ma sprawy. Wyszli na podwórze i po chwili rozległ się łomot podnoszonej klapy, zamknęły się tylne drzwi karetki, potem drzwi po stronie pasażera i kierowcy i silnik zaczął pracować.

— Już ich nie ma — powiedział Harry. — Odjeżdżają. Siedział oparty na krześle, dłonie splótł na podołku. Dilys nie mogła się przemóc, żeby na niego spojrzeć. Karetka ruszyła wolno przez podwórze, zakreśliła przy starym składziku paszy dla drobiu, tam gdzie wszyscy zakreślali, i odjechała, a warkot silnika nikł powoli, tłumiony najpierw przez rosnący po obu stronach drogi żywopłot, a potem przez odległość.

Żadne z nich się nie poruszyło. W kuchni było niesamowicie cicho, tylko stary Kep posapywał u stóp Harry'ego.

— Lyndsay wróciła? — zapytał Harry, patrząc na Dilys.

— Nie.

— Są dzisiaj ludzie? Ci z agencji.

— Nie. Robin ich zwolnił. Próbuje kogoś znaleźć.

— Niedobrze — rzekł Harry. — Niedobrze. W przyszłym tygodniu powinno się zacząć silosowanie. — Dilys nie odpowiedziała, a on nie spuszczał z niej wzroku. — Czyli nie ma nikogo? — Jego dłonie poruszyły się nieznacznie na podłożu. — Tylko ja i ty?

Velma zostawiła rower oparty o płot koło tylnych drzwi, jak zwykle. Podłożyła pod pedał cegłę i okręciła siodełko starą plastikową torbą z supermarketu, na wypadek gdyby zaczęło padać. Caro, a potem Robin powtarzali jej bez końca, że są dziesiątki miejsc, w których mogłaby zostawić rower pod osłoną dachu, ale jak w przypadku elektryczności, Velma wolała zrobić po swojemu i zostawiała rower pod gołym niebem, w jednym i tym samym miejscu, z siodełkiem otulonym plastikową torbą. Wyjęła z przymocowanego do bagażnika kosza inną torbę z kupionymi na prośbę Robina płatkami śniadaniowymi, kartonem soku, bochenkiem chleba i słoikiem marmolady. Chleb był biały, już pokrojony, a sok i marmolada najtańsze, jakie znalazła w wiejskim sklepie. Velma nie dałaby złamanego grosza za ich jakość, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Robin i tak nie zauważył, a wszystko było za dobre dla tej dziewczyny, tej przyjaciółki Judy. Kiedy Velma ustawiała rower, zerknęła na okna sypialni Zoe i zobaczyła, że zasłony są wciąż zaciągnięte. Dziewiąta rano, a ona w łóżku. W czwartek. Co innego niedziela, w niedzielę wylegiwanie się jeszcze można usprawiedliwić. Ale nie w czwartek. Velma otworzyła kuchenne drzwi. Tylko nie myśl o niedzieli, lepiej nie myśl o niedzieli, ostrzegła samą siebie. Dzień, kiedy mąż z synem i zięciem do południa pałętali się po domu niezbyt kompletnie ubrani, a potem wychodzili do pubu i wracali na chwiejnych nogach, żeby zaleć, pochrapując, w dużym pokoju. Dzień, kiedy miała na karku córkę i synową, obie utyskujące i zadymiające dom papierosami. Cisnęła torbę z zakupami na stół w kuchni. Niedziela stała się dla niej chyba najgorszym dniem tygodnia.

Na sekretarce mrugało czerwone światełko, a na wyświetlaczu ciekłokrystalicznym liczba trzy informowała, ile zostawiono wiadomości. Velma zastanowiła się, czyby ich nie odsłuchać, ale zdecydowała, że nie. Jak panienka raczy wreszcie zjawić się na dole, może to sama zrobić. Jedną z niewielu rzeczy, którą — poza mąceniem powietrza — powinna umieć. Debbie twierdzi, że przydaje się w Dean Place, ale ona, Velma, szczerze w to wątpi. Nigdy nie spotkała bardziej bezużytecznego stworzenia, z wyjątkiem

Patsy, żony jej Kevina, która spędza życie na jęczeniu o dywan na zamówienie czy o wakacje na Ibizie. Kevin musi przyjść do domu, jeśli go najdzie ochota na solidny posiłek, bo Patsy umie tylko otwierać opakowania z gotowymi daniami. Patsy i Zoe, doszła do wniosku Velma, patrząc zrezygnowanym wzrokiem na zlew, są z tego samego gatunku, i nie ma co tracić czasu na rozmyślanie o nich. Bo jeśli się nawet nie ma ochoty na umycie naczyń po zapiekance, to chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żeby je zalać wodą, zanim resztki jedzenia zaskorupieją? No, przynajmniej zapiekanka zniknęła. Robin zdobył się wreszcie na zjedzenie czegoś porządnego, bo ona przecież takich rzeczy nie jada. Żywi się świństwami, jak Patsy. Nie ma co marnować dobrego jedzenia na kogoś takiego jak Zoe.

Velma puściła gorącą wodę do zlewu i spróbowała, jak każdego ranka, nadać chociaż pozory porządku chaotycznie rozrzuconym po stole papierom.

— Poukładaj to po prostu na kupki — radziła jej Caro. — Od razu poczujesz się lepiej. Jakbyś miała cały bałagan pod kontrolą.

Chciała tego czy nie, Velma wspominała Caro niemal co dzień. To wynikało chyba z atmosfery domu, w którym Caro przeżyła tyle lat. Kobiety wyciskają swoje piętno na domach, nawet jeśli tych domów nie lubią, a Caro nie lubiła Tideswell. Tak czy owak musiała tu jakoś żyć. Ale dla Velmy była zagadką. Przyjemnie się dla niej pracowało, zawsze uważająca, ale nie całkiem swoja, coś w niej pozostało obcego. Nigdy tu nie przynależała. Nawet gdyby nie miała tego guza i dożyła sędziwego wieku, nie przynależałaby naprawdę do tego miejsca. Co innego Joe. On tu zawsze i całkowicie przynależał. Ile razy o nim myślała, tyle razy chciało jej się płakać aż do bólu. Dołała płynu do mycia naczyń do gorącej wody w zlewie i spieniła go szczotką do mycia butelek. Postanowiła, że zostawi tak naczynia, niech się odmoczą, a tymczasem pójdzie na górę i posprząta trochę w łazience. Z rumorem, może to wreszcie obudzi tę nieszczęsną dziewczuchę. Zresztą Robin zostawiał co rano po sobie mały chlewik w łazience, można by pomyśleć, że znosił do niej połowę rzeczy z domu. Kiedy Caro żyła, wyglądało to zupełnie inaczej, no ale była Amerykanką, a Amerykanie przywiązują wielką wagę do higieny i do wyglądu łazienki. Velma wiedziała to ze zdjęć w czasopiśmie i z telewizji.

Zabrała spod zlewu ściereczki i pojemniki ze środkami do czyszczenia w sprayu i zaczęła powoli pokonywać schody. Na jednym stopniu leżał but. Wstrętny, ciężki but Zoe. Velma podniosła go, a potem odstawiła z powrotem. Niech go sobie sama zabierze. Weszła wreszcie na podest. Drzwi wszystkich sypialni były pootwierane, oprócz sypialni Zoe i tej, która należała do Caro.

Robin nie posłał po siebie, Velma widziała z podestu nogi łóżka ze zmiętą pościelą w nieładzie i zwisającą na podłogę kołdrę. Zwykle zadawał sobie przynajmniej tyle trudu, by je trochę wygładzić. Może dzisiaj szczególnie się śpieszył, bo musi znaleźć kogoś na miejsce tych facetów, których wyrzucił z Dean Place. Pomyślała, że zanim zacznie w łazience, uładzi trochę tutaj. Robin ma w końcu ostatnio sporo na głowie. Położyła pojemniki i ścierki na podłodze przy drzwiach sypialni i weszła do środka. Nie wszystkie okna były odsłonięte, to najbliższej łóżka wciąż miało zaciągnięte zasłony. Velma spojrzała na łóżko. Nie tylko nie było posłane, ale także zajęte. Leżała w nim głęboko uśpiona Zoe, odwrócona do Velmy plecami, z ciemnoczerwoną głową wciśniętą w poduszkę. Słońce padało przez wschodnie okna i ogrzewało pokój, więc Zoe zsunęła z siebie kołdrę, nie całkiem, ale wystarczająco, by objawić Velmie swą kompletną nagość.

— Przyszedłem zobaczyć, jak się miewacie — powiedział Robin. Siedział w salonie rodziców Lyndsay tak jak zwykle — na brzeżku fotela, z łokciami opartymi o kolana — ale wyglądał inaczej niż zwykle. Lyndsay nie umiałaby tego dokładnie określić, w każdym razie sprawiał wrażenie mniej zmęczonego, już nie tak pochłoniętego dręczącymi myślami.

— Dobrze — powiedziała.

Hughie przysiadł przy niej na podłodze. Miał na głowie swoją czapkę do baseballu, a na nogach buty, które dostał od dziadka. Porządne buty dla mężczyzny, z brązowego zamszu, z mosiężnymi dziurkami na sznurowadła. Hughie nie mógł się im nadziwić. Jego nogi wyglądały w nich zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Rose wyjmowała książki z biblioteczki, gwałtownie i pośpiesznie, przeczuwając, że robi rzecz zakazaną. Podekscytowana przyjemnością płynącą z tego poczucia, uciszyła się wreszcie na chwilę.

— Kiedy wracasz? Hughie oderwał wzrok od butów.

— Niedługo — powiedziała Lyndsay.

— Musimy o wielu rzeczach porozmawiać. Trzeba sporo spraw uporządkować.

Tata wrócił dzisiaj rano do domu.

— Och! — Lyndsay utkwiała oczy w kolanach. — Nie jestem pewna, czy zostanę...

— Gdzie?

— W Dean Place.

— Nie zostaniesz? — Robin pochylił się ku niej.

— Jeszcze nie wiem. To na razie tylko taki pomysł... moich rodziców. Żeby... żeby rozpocząć nowe życie. To znaczy ja.

— Lyndsay, masz pięćdziesiąt dwa procent udziałów w tej farmie. Udziały Joego należą do ciebie.

— Ja... nie jestem pewna, czy ich chcę.

Robin wstał i podszedł po grubym dywanie w dyskretny wzór do kanapy, na której siedziała Lyndsay. Zajął miejsce obok niej.

— Nie możesz w ten sposób do tego podchodzić. Spojrzała na niego z ukosa.

— Po prostu nie możesz tak wcześnie podejmować decyzji w takiej sprawie. W pewnym sensie to zresztą nie jest nawet twoja decyzja. — Spojrzał na Hughiego. — Lyndsay, masz jego i Rose. Farmy... — urwał. — Farm nie prowadzi się tak jak innych przedsiębiorstw. Właściwie nie należą do nas, nie w taki sposób, żeby móc się ich pozbywać. Tak naprawdę to sposób na życie.

— I śmierć — wyszeptała Lyndsay. Przesunęła się lekko na kanapie, tak że siedziała na pół odwrócona do Robina. — Nie sądzę, żebym temu podołała.

— Czemu?

— Nie dam rady wziąć tego na siebie. Nie poradzę sobie z twoimi rodzicami.

— Przecież mówiłem — w głosie Robina był cień znużenia — że ci pomogę.

— Pomożesz? Naprawdę staniesz przy mnie?

— A jak myślisz, po co bym przyjeżdżał do Stretton? Po co miałbym robić taki kawał drogi, kiedy mam tysiące rozmaitych rzeczy na głowie, i to na wczoraj, jak nie po to, aby ci udowodnić, że mówiłem na serio?

— To zmienia postać rzeczy. Mimo to nie wiem...

— A ja wiem — przerwał jej Robin — że nie sprzedasz tych udziałów.

— Mógłbyś je kupić ty.

— Nie mógłbym. I nie chciałbym. Nie chcę uprawiać ziemi. Wstał, a za nim z ociąganiem podniosła się Lyndsay. Za ich plecami Hughie wdrapał się na kanapę i rozciągnął w miejscu, gdzie przed chwilą siedzieli.

— Ale ty musisz wrócić do domu — powiedział Robin. — Musisz.

— Właśnie — odezwał się Hughie. — I to szybko. Jutro albo pojutrze.

— Chyba będę mogła — Lyndsay patrzyła na Robina. — Chyba będę mogła, skoro wiem, że mi pomożesz.

— Przecież powiedziałem...

— Tak. Ale byłam wtedy w takim stanie, że powiedziałabyś wszystko, byle mnie uspokoić. Dzisiaj to co innego. Dziś ci wierzę. Cieszę się, że przyszedłeś.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Podniosła rękę i zatrzymała go na chwilę.

— Zoe wciąż jeszcze jest w Tideswell?

— Tak — odparł, nieco spięty.

— Bardzo dokuczliwa?

— Nie. — Jego głos brzmiał nieco dziwnie, jakby trochę powściągliwie. — Jest w całkiem niezłych stosunkach z mamą.

— Słyszałam.

Robin odstepił o krok, chcąc się uwolnić.

— Zadzwoń do mnie. Ze wracasz do domu.

— Dobrze.

Spojrzał na Hughiego leżącego na kanapie.

— Dopilnuj, żeby się nie rozmyśliła, co, stary?

W składziku przy dojam, gdzie Robin trzymał lekarstwa i sprzęt do pielęgnacji kopyt, Gareth testował pistolet do pigulek. Nie używał go od prawie roku, ale Robin zostawił instrukcje, żeby zaaplikować krowom środek odrobaczający, zanim wyprowadzi się je na pastwiska. W składziku panował bałagan, stało tu pół tuzina białych, schludnie wyglądających pudełek z pigułkami. Robin nigdy niczego nie wyrzucał i Gareth był pewien, że w tym chaosie gdzieś na półkach tkwią pewnie takie same, dawno przeterminowane pigułki. Uderzył pistoletem we wnętrze dłoni. Przydałaby mu się para dodatkowych rąk do wtłaczania lekarstwa w oporne gardła. Może Zoe by pomogła. Zapytają, kiedy pójdzie na poranną herbatę.

— Stało się! — rozległ się głos Velmy od progu.

Gareth odwrócił się. Przystanąła w drzwiach, była w swoim zwykłym stroju, legginsach i dżersejowej tunice.

— Co się znowu objawiło? — zapytał Gareth.

— No — głos Velmy brzmiał, jakby jej brakowało tchu — poszłam na górę sprzątnąć i posłać łóżko Robina i kto tam był? Ona.

— Zoe? — Twarz Garetha pojaśniała.

— W jego łóżku — potwierdziła Velma. — W łóżku Robina. Śpiąca i nagusieńka jak ją Pan Bóg stworzył.

— Z Robinem? — dopytywał się Gareth z uśmiechem.

— Ani się poruszyła. Nawet jej powieka nie drgnęła. Wiedziałam! — mówiła porywczo. — Wiedziałam, że to się stanie! Od dawna to czułam. Za kogo ona się uważa?

— Jest młoda — Gareth czuł się dziwnie poruszony tą nowiną. — Chętna. Velma parsknęła.

— Chętna, zgoda. Od początku chciała go złapać. Gareth wsunął pistolet do kieszeni kombinezonu.

— To zabawa dla dwojga...

— Wy, faceci...!

— Daj mu spokój, dobrze? Daj mu święty spokój ! — Gareth podszedł do Velmy i zbliżył do niej twarz. — Przyjechaliśmy tu z Debbie, kiedy Kevin był niemowlakiem, osiem lat temu, i mogę ci tylko powiedzieć, że już wtedy Caro miała oddzielną sypialnię. Osiem lat temu. Niewykluczone, że sypiali osobno na długo przedtem, może bardzo długo. Cierpliwie to znosił... A słyszałaś kiedyś o nim tutaj jakieś plotki? Choćby jedną? Przez tyle lat!

Velma popatrzyła na niego, a potem wzięła głęboki oddech.

— No, to teraz usłyszają.

— Nie od ciebie, Velmo Simms...

— A i owszem, to moja sprawa. Pracuję tutaj. Dbałam o niego i o ten dom, zanim ty się tu zjawieś. — Wycelowała w Garetha palec. — Nie zrozum mnie źle. Nie mam nic przeciwko temu, żeby Robin się z kimś związał. Przeciwnie, podobałoby mi się to. Chciałabym znowu widzieć kobietę w tym domu, chciałabym, żeby ktoś dbał o niego. Ale nie tę małą dziwkę. I któż to taki? Zwyczajne byle co, Judy wytrzasnęła ją gdzieś w Londynie. Wiedziałam, że będzie z nią kłopot. Od samiuteńkiego początku wiedziałam. I miałam rację. Wystrychnie Robina na dudka, sam się przekonasz.

Przekonasz się, czy nie miałam racji...

Gareth odwrócił się od niej i zaczął grzebać wśród zakurzonych butelek i pudełek na półkach. Przyszło mu do głowy, czyby nie powiedzieć Velmie, że Zoe nie sprawiała kłopotu, nie prowadziła żadnej gry i łatwiej było posądzić o przewrotność ją, Velmę, czy kogokolwiek innego w Dean Cross, Debbie nie wyłączając, niż Zoe. Ale takie gadanie nic by nie dało. Odparowałyby, że sam ma na nią chrapkę i nie myliłaby się tak bardzo. Kiedy się patrzyło na Zoe, nie robiła szczególnego wrażenia. A jednak było w niej coś niezwykle pociągającego, jakaś aura wolności, odrobina ekscentryczności. Raz czy dwa uderzyła Garetha myśl, że nawet gdyby Zoe się z kimś związała, pozostałaby dalej na swój sposób wolna, nie czepiałaby się kurczowo partnera, nie mnożyła żądań...

— Zostaw ich w spokoju — powiedział. — Niech sobie będą razem. Ona nie robi nikomu krzywdy, a on zasługuje na chwilę wytchnienia. — Umilkł, a potem dodał nieoczekiwanie dla samego siebie: — Prawdopodobnie dzięki niej zaczniesz się śmiać.

— Śmiać? — zapytała Velma. — Śmiać? A co ma do tego śmiech?

— Dużo — odparł Gareth i nagle przemknęły mu przez głowę obrazy domowych dyskusji, płaczących błagań Debbie, żeby znalazł nową pracę, żeby wyjechali z Tideswell, unikając, jak to z coraz większym przekonaniem określała, kłątwy. — Dużo! — podniósł głos do krzyku. — Cholernie dużo, ty stara wścibska krowo! W drodze powrotnej do Dean Place Rose zasnęła na dzieciennym foteliku w samochodzie. Lyndsay widziała ją we wstecznym lusterku, zaróżowioną od ciepła i snu, okolona jasnymi lokami głowa podskakiwała i przekręcała się bezwładnie, a ramionka zwisały po bokach fotelika jak u szmacianej lalki. Jedno z nich muskało Hughiego, ilekroć samochód zakręcił, a ponieważ siedział przypięty w foteliku, nie mógł tego uniknąć. Lyndsay spostrzegła, że wcisnął się w kąt siedzenia, jak najdalej od Rose, byle tylko go nie dotknęła. Nawet gdy spała, emanowała z niej pewnością siebie i chyba obrażało to Hughiego.

Rodziców Lyndsay wyraźnie zdumiała jej nagła decyzja powrotu do domu. Byli wręcz zaszokowani, jakby zachowała się niegrzecznie i niewdzięcznie po wszystkim, co zrobili dla niej i dla dzieci.

— Ale my mieliśmy iść popływać — powiedział ojciec Lyndsay patrząc na Hughiego. — Prawda?

— Innym razem — odparła i wyjaśniła, że wizyta Robina uświadomiła jej, jak utrudnia życie rodzinie Joego. Są pewne decyzje, które muszą podjąć, a nie można tego zrobić bez niej. Ojciec zapytał, ile są warte udziały Joego w gospodarstwie, a ona odpowiedziała, że według Robina dużo.

— Przecież nie są właścicielami gruntu. — Ojciec dalej miał wątpliwości.

Rzeczywiście nie byli i ona też tego nie rozumiała. Robin w ogóle powiedział wiele rzeczy, których nie rozumiała. Na przykład, że powinien dysponować kapitałem co najmniej miliona funtów, żeby gospodarować tak, jak gospodaruje, ale nie dysponuje, i z tego powodu tonie w długach, i nie stać go na wykupienie udziałów Joego. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nic jej ta suma nie mówiła. Miliony były czymś abstrakcyjnym, zwłaszcza dla kogoś żyjącego tak skromnie, wręcz nędznie, w porównaniu ze stylem życia tych, którzy je mieli. Doszła do wniosku, że w rolnictwie pieniądze nie idą na żonę i dzieci, tylko na ziemię, maszyny, budynki, bydło, a i tak w rezultacie to wszystko należy do banku. Ale rozumiała czy nie, Robin wpoił w nią przekonanie, że trzeba wrócić i zdecydować coś wreszcie. Bo miało się to odbić na Hughiem. Na Hughiem i Rose.

— Spisz? — zapytała synka.

— Nie.

— Cieszysz się, że wracamy?

Skinął głową. Chciał zapytać, czy tatuś będzie w domu, ale po namyśle zrezygnował, ponieważ mama zawsze odpowiadała „nie będzie” i zwyczajnie nie miał ochoty po raz setny tego usłyszeć. Pomachał Panem Foką.

— On też się cieszy.

— Będiesz mógł się pobawić z kolegami jutro rano.

— Zobaczymy — odpowiedział.

— Może Mary u nas będzie. Może przyjechała, żeby nas powitać. Hughie wyjrzał przez okno. Pola i pola, czasem owce. U babci Sylwii nie było owiec, a kiedy biegał po ogrodzie, musiał uważać. Strasznie trudno było latać samolotowi po tym ogrodzie.

— Wreszcie — powiedziała Lyndsay. — Kościół i sklep. Bezwładne ramię Rose dotknęło lekko boku Hughiego.

— Och! — wykrzyknął jej prosto w twarz, żeby ją obudzić. Powoli otworzyła oczy i spojrzała na niego, otrząsając się z resztek snu. Jej twarz miała ten sam wyraz co zawsze, kiedy na nią patrzył: niezwyklego spokoju i zdecydowania. Przeciągnęła dłonią po buzi, rozplaszczając nos i wydała krótki okrzyk.

— Dom! Dom! — podchwyciła Lyndsay, źle ją zrozumiałwszy. Samochód skręcił z szosy na drogę prowadzącą do Dean Place. Za polem po prawej stronie Hughie zobaczył dom, taki jak zwykle, jaki będzie zawsze.

— Tam! Tam! — krzyczała Rose szarpiąc paski fotelika.

— Jeszcze chwileczkę...

Mary rozwiesiła pranie. Lyndsay dostrzegła prześcieradła, parę ręczników i rząd żółtych ściereczek. Jak to uprzejmie z jej strony, jak uprzejmie, przecież przychodziła tylko popilnować dzieci, kiedy ona i Joe wychodzili gdzieś od wielkiego święta... Lyndsay przygryzła wargę i zmieniła bieg na niższy, żeby zjechać ku domowi i zaparkować tam, gdzie parkowała przez lata, czasami kilka razy dziennie, wracając ze wsi, od rodziców Joego, z Tideswell, po odwiezieniu Hughiego do przedszkola, z supermarketu, po wizycie u Caro w szpitalu; wyjeżdżała i wracała, wyjeżdżała i wracała... A teraz wracała w takich okolicznościach i było jej tak trudno, że przez moment nie miała siły wysiąść z samochodu.

— Puść! — wrzeszczała Rose.

— Wypuść ją — powiedział Hughie, odwracając twarz. — Wreszcie ją wypuść...

Lyndsay wysiadła powoli z auta i podeszła do tylnych drzwi, żeby odpiąć córeczkę. Rose, oddychając ciężko, rzucała się w foteliku i kopała, walcząc, by ją postawiono na ziemi; walcząc o odzyskanie niezależności.

— Ostrożnie — powiedziała Lyndsay. — Poczekaj... — Oparła sobie Rose na biodrze i włożyła klucz do zamka kuchennych drzwi. Tuż za drzwiami była niewielka wnęka, którą zaprojektowali z Joem tak starannie, na buty, płaszcze, wędki... Wciąż stały w niej stare buty Joego. Twierdził, że przemakają przy podszwach i tamtego dnia włożył nowe. Zabrali go w nich na posterunek, potem do kostnicy i zniknęły razem z nim tam, dokąd Lyndsay pójść za mężem nie mogła. Otworzyła drzwi do kuchni. Lśniła czystością. Postawiła Rose na podłodze i wróciła po Hughiego.

— Foka cię lubi — zapewnił.

— To świetnie, bo ja go też lubię. — Odpięła pasy i postawiła synka na ziemi. — Pędź do domu.

Uniósł twarz i zaczął węszyć jak małe zwierzątko, które rozpoznaje znajome zapachy. Patrzyła, jak biegnie drobiąc do domu, nagle odzyskawszy pewność siebie. Usłyszała dzwonek telefonu. Schyliła się, zabrała torebkę z samochodu, wpadła pędem do kuchni i przeskoczyła przez Rose, żeby dopaść telefonu, zanim umilknie.

— Halo? — rzuciła w słuchawkę. — Dean Place. Halo? Rose przestała wyrzucać ziemniaki z koszyka na warzywa i spojrzała w górę, przeczuwając nieskończone możliwości kryjące się w aparacie telefonicznym.

— Och, Velma — powiedziała Lyndsay. — Tak, tak. Dopiero co weszłam, dosłownie przed sekundą...

Rose włożyła ziemniaka do ust, zmarszczyła się i wyjęła go z powrotem. Wokół jej warg została smużka ziemi.

— Och, Boże — jęknęła Lyndsay. — O mój Boże...

Rose rzuciła ziemniaka i poczołgała na czworakach do drzwi pokoju.

— Boże, Boże, Boże! — wykrzykiwała, uderzając tłustymi rączkami o podłogę. — Boże, Boże!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

udy siedziała z butelką wody mineralnej w ręce na ławce w parku St James. Na drugim końcu ławki spał wynędzniały mężczyzna w zniszczonym ubraniu. Judy zdecydowała, że natychmiast wstanie i odejdzie, gdyby się przebudził i zdradził ochotę na pogawędkę. Nie przysłała do parku gawędzić. Przysłała pomyśleć.

Przed sobą miała dwie wierzby zamiatające trawę długimi delikatnymi gałęzmi, a za nimi mogła dostrzec słaby błysk lustra wody. Znała ten widok doskonale, bo do St James było piętnaście minut spacerem od obrzeży Soho, gdzie pracowała.

Przychodziła tu często odetchnąć świeżym powietrzem i popatrzeć na zieleń. Kiedy przyjechała do Londynu, z początku starannie unikała parków, jakby chcąc zaprzeczyć wszelkim związkom z wsią, ale stopniowo, niemal bezwiednie, zaczęła w nich bywać i patrzeć na drzewa. Teraz znała St James jak własną kieszeń, wiedziała, na których ławkach najlepiej jej się siedzi, i rozpoznawała stałych bywalców parku. Ale dzisiaj, siedząc na jednej z ulubionych ławek — na tej, którą lubiła najbardziej, spał wyciągnięty jak długi chłopak z ogromnym czerwonym plecakiem — stwierdziła, że jakkolwiek dobrze znane, nic nie wygląda znajomo. Zupełnie, pomyślała, jakbym patrzyła na to wszystko po raz pierwszy.

Odkręciła nakrętkę butelki i pociągnęła łyk wody mineralnej. Była za ciepła, przez co sprawiała wrażenie niezbyt świeżej. Wczoraj wieczorem zadzwoniła Lyndsay. Zadzwoniła w osobliwym nastroju, może nie bliska łez, ale podminowana, wręcz zdenerwowana, po to, by powiedzieć, że Zoe zaczęła sypiać z Robinem i Velma nakryła ją w jego łóżku o dziewiątej rano całkiem goluteńką.

W głosie Lyndsay brzmiała obraza i Judy, chociaż wiadomość wzbudziła w niej silne emocje, ze zdziwieniem pomyślała, że ciotka mówi jak skrzywdzona małżonka.

— Jak ona śmiała! — wykrzykiwała Lyndsay. — Jak śmiała! Przyjechała nieproszona i zawłaszczyła go sobie!

Judy odłożyła słuchawkę w dość dziwnym nastroju. Nie wiedziała, czy jest zła, obrażona czy po prostu wstrząśnięta. Nie mogła rozstrzygnąć, czy czuje się przez Zoe wykorzystana czy zdradzona. Przez dłuższy czas nie była w stanie rozpoznać swoich uczuć, jedno natomiast nie ulegało wątpliwości: przez cały czas zakładała, że coś takiego się wydarzy, i trochę na to właśnie czekała.

Próbowała porozmawiać z Oliverem, ale kiedy do niego zatelefonowała, okazało się, że wyszedł z galerii na obiad z klientem i jeszcze nie wrócił. Nie była całkiem pewna, co chce mu powiedzieć, niemniej czuła pilną potrzebę podzielenia się z nim wieścią, choćby tylko po to, żeby się przekonać, czy zareaguje podobnie jak ona. Gdy wreszcie około północy udało jej się z nim porozmawiać, zapytał bezceremonialnie:

— No więc co z tego? A czego się spodziewałaś?

— Ależ to mój ojciec...

— I moja była dziewczyna — powiedział spokojnie. I właściwie na tym zakończyli temat. Albo nie było o czym rozmawiać,

albo przeciwnie — mogliby powiedzieć zbyt wiele. W każdym razie sporo zostało jej do przemyślenia i dręczyła się przez pół nocy, aż w końcu doszło do tego, że poszła do pokoju Zoe i stała tam, wpatrując się przenikliwym, niemal dzikim wzrokiem w kilka rzeczy zostawionych przez nią — nawet nie osobistych — jakby w nich mogła znaleźć wskazówkę co do motywów działania tamtej.

Bo przecież nie był to seks. Nie mógł być. W życiu Zoe, w świecie Zoe nie nadawano mu wielkiego znaczenia; po prostu go zażywałaś, jeśli miałaś ochotę. Po prostu. Ale Robin? Judy wprowadzało w zakłopotanie myślenie o Robinie jako mężczyźnie, który mógł prowadzić życie seksualne; nawet w tej chwili mógł się kochać z Zoe w Tideswell. Judy zawsze starannie unikała myśli o życiu seksualnym rodziców — oddzielne sypialnie były faktem, a sympatia Judy kierowała się ku Caro, bo Caro podświadomie o to zabiegała — podkreślając dyskretnie swoją odmienność, dziwność, zgodę na skażenie popolitością ludzi, wśród których przyszło jej osiąść. Ze złością na siebie i wstydem Judy przyznała teraz, że Caro tak nią o władnęła, iż nigdy nie zadała sobie trudu, by spojrzeć na to z punktu widzenia Robina. Bardziej jeszcze rozdrażniło ją, że Zoe dostrzegła to, czego ona nie chciała dostrzec, i dopuściła do swojej wyobraźni to, przed czym ona tak się wzdragała. Zoe zachciało się czegoś, więc na swój zwykły bezpośredni sposób zwyczajnie po to sięgnęła. A jednak nie było to ani takie proste, ani aż tak egoistyczne. Zoe kierowała się współczuciem, doszła Judy do wniosku, przyciskając bezwiednie kciukami boki butelki, tak że plastik odskakiwał z głuchym odgłosem. Nie paraliżowała jej ani obecność Caro, ani wspomnienia o niej, więc dostrzegła, jaka naprawdę jest sytuacja Robina, i zdobył jej współczucie. Zoe widziała mężczyznę, całkiem równego faceta, mającego poważny kłopot delikatnej natury. Więc zjawiała się, żeby mu pomóc i w rezultacie dostać to,

czego chciała. Ale w ten sposób — miała taki zamiar czy nie — wzbudziła w Judy zazdrość.

Na giełdzie w Stretton młody licytator, który zwykle prowadził aukcje cieląt, powiedział Robinowi, że rynek wykazuje tendencję zniżkową. Zajął do przyczepy, w której czekało na wyładunek siedem byczków i dwie jałówki.

— Friesians gdzieś około stu dwudziestu. Masz Belgian Blue? Idą nieco lepiej. W zeszłym tygodniu średnio po dwie i pół setki. Zawsze jest ruch w cenach, kiedy krowy wychodzą latem na pastwiska.

— Chcę dostać za swoje sto czterdzieści — powiedział Robin. — Minimum.

Licytator uśmiechnął się. Był to wesoły, bystry człowiek, a kiedy nie zajmował się sprzedażą krów, dokonywał szacunkowych wycen gospodarstw, budynków i poczynionych inwestycji. Robin widział go na pogrzebie Joego. Stał obok szefa licytatorów płodów rolnych i wyglądał bardzo godnie w ciemnym garniturze i krawacie Kooperatywy Farmerów z Mid-Mercia.

— Jak się czuje twój staruszek? — zapytał Robina.

— Wraca do siebie, ale powoli. Bardzo powoli.

— Da radę dalej gospodarować?

— Nie wiem — odparł Robin z westchnieniem. — Naprawdę nie mam pojęcia. Na razie żyjemy dniem bieżącym, ale nie mogę go ponaglać...

— A co u ciebie?

Robin odwrócił wzrok, by go nie zdradził nagły błysk w oczach.

— Z tego co mówią, całkiem nieźle. — W głosie licytatora lekka kpina mieszała się z zazdrosnym podziwem.

— Człowiek nie może tu nawet westchnąć, żeby w dziesiątej wsi nie było słyhać — powiedział Robin.

— Ale miałeś farta... Cholerne farta. Człowiek ugania się całe życie, żeby zdobyć jakąś spódnicę, a tobie coś takiego samo wpada w ramiona. Fart? Raczej nieprzyzwoitość. — Kiedy Robin zamamrotał coś w odpowiedzi, licytator trzepnął go lekko w ramię notesem, który trzymał w ręku. — To z zazdrości. O mało się nią nie udławię, chyba zzieleniałem.

Odszedł, pogwizdując, do budynku aukcyjnego, a Robin zwolnił sworznie na tyle przyczepy i opuścił klapę. Krowy patrzyły na niego ponuro przez przegrodę z listew. Jedna z nich od chwili narodzin była chorowita; słabe ciele, niemrawa jałówka, a teraz patrząca ponuro krowa o kiepskich płucach, z wiecznie zatkanymi nozdrzami. Nie powinien był trzymać jej tak długo, ale trudno nie dać zwierzęciu, które się chowa, jeszcze jednej szansy — człowiek łudzi się, że kolejna porcja kosztownych antybiotyków postawi je na nogi.

Wreszcie weterynarz przypieczętował jej los, stwierdzając, że musi iść na rzeź, dopóki to jeszcze możliwe, dopóki nie powali jej coś na dobre i nie straci wszelkiej wartości.

— To się nazywa minimalizowanie strat — zakończył weterynarz.

— Wiem — powiedział Robin. — Całe życie nic innego nie robię. Wyłączywszy tę jedną rzecz, którą robi teraz. Może lepiej nie wywoływać wilka z lasu i nie myśleć o tym. Robin przywykł do bezustannych kłopotów, ale wydawało się, że teraz dostał premię, prezent, wręcz nagrodę za niestrudzoną wytrwałość i pokorny upór. Tego poranka, kiedy Zoe pierwszy raz znalazła się w jego łóżku, obudził się o świcie i leżał jakiś czas, przyglądając się jej z zadowoleniem, ulgą i zdumieniem. Przekonywał sam siebie wciąż na nowo, że rzeczywiście obok niego śpi dziewczyna, ciepła, żywa, naga, że spędziła z nim całą noc, a kiedy obudziło się w nim poniewczasie nieco bezsensowne poczucie, że robią coś nieprzyzwoitego, i zapytał, czy nie powinna wrócić do swojej sypialni, zdecydowanie odmówiła.

— Niby dlaczego? — zapytała. — Dlaczego miałbyś to ukrywać?

Potem zasnęła, łatwo i szybko, jakby sypiała tu przez lata. Kiedy zadzwonił budzik, rzucił się jak oparzony, w obawie że ją obudzi, ale nawet się nie poruszyła. Podparł się na łokciu i pochylił nad nią, by spojrzeć na jej twarz.

— Nieźle — powiedziała, gdy skończyli się kochać. — Naprawdę nieźle. — I uśmiechnęła się.

Cień tego uśmiechu przylgnał do jej rysów i Robin wciąż go widział, nawet po siedmiu godzinach. Pocałował ją w ucho ozdobione wianuszkami srebrnych kółek i wysuwając się ostrożnie z pościeli, pomyślał, że nawet w najśmielszych marzeniach, przenigdy by nie roił, że coś podobnego mu się przydarzy: uśpiona młoda dziewczyna w jego własnym łóżku o poranku, w środku tygodnia.

Ale się zdarzyło. Tej, następnej i kolejnych nocy. Dalej trzymała swoje nieliczne czarne ubrania u siebie w pokoju, ale sypiała u niego. Sprawiała wrażenie zadomowionej na dobre w jego sypialni, wychodziła ziewając z łazienki, owinięta wilgotnym ręcznikiem, wzruszała jego poduszki, przytulała się do niego, mościła jak najwygodniej w łóżku, gawędząc ze spokojem.

— Velma jest we wściekłym humorze — powiedział do Zoe wczorajszej nocy.

Siedziała z wyciągniętą nogą w wannie i oglądała paznokcie, sprawdzając czy nie są za długie.

— Nie wmawiaj mi, że się tego nie spodziewałeś. W końcu rozsiewam miejską zarazę, nie? Jestem jak trucizna. Deprawuję cię.

— Bez wątplenia — powiedział, uśmiechając się do siebie w lustrze nad urny walką.
— Chyba już zaczęła o nas rozpowiadać. Gareth jakby nabrał dla mnie respektu, a Debbie unika mojego wzroku. Nie wiem, jak mama...
— Co mama? — Zoe zanurzyła nogę w wodzie i wyciągnęła drugą. — I cała reszta?
— Każdy ma jakieś zdanie na ten temat — stwierdził Robin.
— I dadzą nam to odczuć.
— Obchodzi cię to?
— Nie ze względu na mnie...
— Na mnie?
— Ty — Robin odwrócił się do niej i cmoknął ją w czubek głowy — umiesz się sama o siebie zatroszczyć.
— Fakt. Więc o kogo tak się martwisz?
— Nie to, że się martwię...
— Słuchaj, nikogo nie krzywdzimy — powiedziała Zoe. — Nikt nikogo nikomu nie odebrał. Nie ma żadnych dzieci.
— Ty jesteś dzieckiem.
Stała w wannie i wyciągnęła rękę po ręcznik.
— Jestem stara jak Matuzalem. Nie musisz się martwić tym, co myślą inni. To ich problem. Nie jesteś odpowiedzialny za ich zahamowania.
Robin owinał ją ręcznikiem i wyciągnął z wanny.
— Powiedziałam, że wyjadę, kiedy tylko będziesz chciał. Wciąż jestem na to gotowa.
— Nic takiego ci nie powiem, bo nie chcę.
— Świetnie. — Stała, czekając, żeby ją wytarł. — To załatwia sprawę. Powiem to Velmie, jeśli chcesz. Nie będę się przejmować tym, co jej powiedzieć, a w ogóle to nawet ją lubię. Ma prawo do wygłaszania własnych opinii, jak my do swoich, ale nie powinna się spodziewać, że przyjmujemy jej punkt widzenia, nawet gdyby umiała go uzasadnić, w co mocno wątpię.
— Zamilknij wreszcie. — Pocałował ją w ramię. Spojrzała na niego.
— Po prostu z tobą rozmawiam.
— O Velmie. A ja nie chcę o niej rozmawiać.
— Sam zacząłeś.
Rzucił ręcznik i przytulił ją.
— Ale zmęczył mnie ten temat.
— Posłuchaj — powiedziała Zoe, ujmując dłońmi jego twarz.
— Myślę, że sąsiedzi gadali o tobie już od lat. A po tym, co się wydarzyło, i po pogrzebach, prawdopodobnie gadali jeszcze więcej. Teraz jestem ja i

dopiero mają o czym gadać. A ty nie musisz słuchać. To twoje życie, Robin. Może po raz pierwszy żyjesz wreszcie dla siebie, więc dlaczego nie miałbyś tego pokosztować?

Czy o to właśnie chodziło licytatorowi, gdy mówił tak jowialnie o zazdrości? Czy kiedy mówił o diabelnym farcie, miał na myśli, że Robin nie tylko robi coś wyłącznie dla siebie, ale i nie ograniczają go żadne zobowiązania? Robin nie był przyzwyczajony do wolności. Do niezależności tak, ale niezależność oznacza samodzielne podejmowanie zobowiązań, narzuca dobrowolne ograniczenia i w rezultacie niesie ze sobą ciężar konsekwencji podejmowanych decyzji i wyborów. Wszedł po opuszczonej klapie i spojrzał na czekające zwierzęta; spędzały życie czekając: na to, co ktoś z nimi zrobi, na czyjeś decyzje, na następną zagrodę, przyczepę, pastwisko. Może tak właśnie żył przez lata, czekając, reagując, zaciskając zęby, dążąc. Bezrefleksyjnie posłuszny własnemu losowi. Jeden z cielaków zaszeleścił słomą pod kopytami i spojrzał na Robina; dwutygodniowe stworzenie, splecione sztucznie, bez dobierania się pary, obwąchiwania, dotykania, krycia. Robin popatrzył na niego ze szczerym współczuciem.

— Biedny mały gnojek — powiedział głośno.

— Sama sobie możesz posprzątać. Najwyższy zresztą czas, żebyś się nauczyła. — Velma rzuciła kupkę ściereczek na kuchenny stół, żeby podkreślić wagę wypowiedzianych właśnie słów. — Odkurzacze pod schodami, śmieciarze przyjeżdżają w piątki.

— W porządku — rzekła Zoe, patrząc na ściereczki. Na pewno Dilys poinstruuje ją, co się z tym robi. Albo Debbie.

— Robin może podrzucić mi pieniądze, kiedy będzie w pobliżu. Jest mi dłużny za dwa tygodnie.

— Powiem mu. — Zoe podniosła ściereczki i położyła je z powrotem trochę dalej, jakby zaznaczając, że przyjęła na siebie odpowiedzialność. — Masz inną pracę?

— Oczywiście.

— Gdzieś w pobliżu, czy będziesz musiała jeździć do Stret-ton?

— Nie twój interes.

— Oczywiście. Po prostu nie chciałabym, żebyś była stratna. Nie musisz odchodzić.

— Ach, nie? — Oczy Velmy rozszerzyły się z oburzenia. — Nie?

— Nie — powtórzyła Zoe. — Robin też tego nie chce. Nikt tego nie chce. Przecież nic się nie zmieniło.

— Bezczelna to ty jesteś, i to cholernie! Żeby mieć czelność mówić coś takiego!

— Nie mam zamiaru wyjść za Robina. Tylko tu mieszkam. A on ma się lepiej, widzisz to, prawda? — tłumaczyła Zoe. — Nawet jeśli nie możesz mnie znieść, musisz przyznać, że on ma się lepiej.

Velma podeszła do drzwi, gdzie wisiał jej anorak. Miała go ze sobą zawsze, zimą czy latem, bo jak twierdziła, było jej zimno, gdy jechała na rowerze, czuła chłodek nawet w najgorętszy dzień.

— Odchodzę. Nie mam zamiaru ani chwili dłużej tego znosić. Zoe wstała zza stołu.

— Powiem Robinowi o pieniądzech.

Velma szarpała się z anorakiem. Twarz miała odwróconą, ale sądząc po tej gwałtownej szamotaninie, Zoe doszła do wniosku, że jest bliska łez.

— Żałuję — odezwała się — naprawdę żałuję, że chcesz odejść... Velma wyszarpnęła triumfalnym gestem ramię z rękawa anoraka.

— A ja się cieszę, że stąd odchodzę! — wrzasnęła. — Wynoszę się! Nie będę miała z tym nic wspólnego!

Zaszeleściły plastikowe torby, drzwi się otworzyły i ostatecznie zatrzasnęły z łoskotem. Zoe popatrzyła na stół. Obok ściereczek leżała poczta dla Robina — poukładane zwyczajem Velmy według wielkości listy — i ostatni lunch przez nią przygotowany, demonstracyjnie obliczony na jedną osobę: jajko osmażane po szkocku i parę marynowanych cebulek. Zoe podniosła talerz. Jedzenie wyglądało tak wstrętne, że nie miała pojęcia, kto mógłby to zjeść. Odwinęła osłaniającą posiłek folię i potraktowała ją jak rękawiczkę ochronną, ujęła przez nią cebulki i wyrzuciła do kosza na śmieci. Potem znalazła nóż, pokroiła jajko na kawałki i wyniosła je do opuszczonego ogródka, który kiedyś założyła, Caro, a w którym teraz bujnie rozrosły się chwasty, i rozsypała dla ptaków.

— Gdzie tata? — spytał Robin.

— Na dworze. Z jednym z tych nowych. Nie ma wielkiego pojęcia o gospodarce, ale jest chętny do nauki. Jęczmień nie wygląda za dobrze.

— Wiem.

Dilys sporo straciła na wadze. Siedziała przy kuchennym stole obłożona rachunkami, jak zwykle w ostatnim tygodniu miesiąca, i Robin spojrzawszy na jej ręce błędzące wśród papierów, zauważył, że pierścionek i obrączka latają jej na palcu, wydając cichutkie dźwięki, jak dwie stykające się z brzękiem monety.

— Trzeba pomyśleć o kimś do pomocy na stałe, mamó. — Ponieważ nie odpowiadała, usiadł na krześle naprzeciwko niej i oparł łokcie o stół. — Musimy się zebrać i porozmawiać, mamó, skoro Lyndsay wróciła. Wszyscy

— Ty tu nie masz udziałów — powiedziała Dilys, nie patrząc na niego.

— Nie, ale jestem twoim synem. I właściwie teraz prowadzę to gospodarstwo tak samo jak swoje.

— My je poprowadzimy. Jak do tej pory.

— Nie, mamó — powiedział Robin łagodnie. — Na pewno nie jak do tej pory. Przecież wiesz.

— Tata coraz lepiej się czuje. Wczoraj wyszedł na cztery godziny.

— Ale wiele nie robi, prawda? Nie jest w stanie... — urwał. „Nie ma już do tego serca, tak jak i ty”, chciał powiedzieć, ale zatrzymał to dla siebie.

— Będziesz miał to swoje spotkanie — zapewniła go Dilys. — Chociaż to nic nie zmieni. No bo jakim cudem? Co Lyndsay może zrobić?

— Trzeba ją zapytać. Jest udziałowcem. Ma udziały Joego. Dilys spojrzała na niego przelotnie.

— Zdenerwowałaś ją.

Nie odzywał się, czekał.

— Bóg jeden wie, czego oczekiwała — mówiła dalej Dilys — ale nieźle ją zdenerwowałaś.

— Oczekiwała, że jej pomogę. I wie, że tak będzie.

— A Zoe?

— Co Zoe?

— Co tak denerwuje Lyndsay w Zoe?

— Przecież wiesz, mamó. Przestań udawać.

— Nie udaję. Spodziewałam się, że do tego dojdzie. — Uśmiechnęła się lekko do Robina. — To dobra dziewczyna. Nigdy bym nie przypuszczała, że powiem coś podobnego, ale to naprawdę dobra dziewczyna. Ma tyle cierpliwości do twojego ojca... jak święta. Lyndsay nic o tym nie wie oczywiście. Ani Judy.

— Jeszcze nie rozmawiałem z Judy.

Dilys wzięła do ręki kilka faktur i spięła je razem.

— Kobiety nie lubią być pomijane. Są przyzwyczajone do obecności mężczyzn w ich życiu, lubią mieć ich koło siebie.

— Nie przychodzę tu, bo... bo...

— Bo masz romans z Zoe.

— Mam.

razem.

— Lyndsay widzi to po swojemu. Także Judy. Czy Velma. Była u mnie, nieźle wpięklona. Rzuciła u ciebie pracę dziś rano.

— Cholerna baba...

— Nikt nie lubi, gdy się go lekceważy...

— Zoe nikogo nie lekceważy.

— Nie musiała. Nawet przez chwilę. Wystarczy, że się przeniosła do twojej sypialni.

— Mamo, co cię natchnęło, że odnosisz się do tego tak filozoficznie? Myślałem, że dostanę niezłą reprimendę za Zoe.

Dilys podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Jestem zmęczona, synu.

— No tak.

— Wszystko się zmieniło, straciło smak. Brakuje tu życia.

— Jej dłonie trzymające rachunki drżały lekko. — Musimy wykorzystać jak najlepiej to, co nam zostało. Zrobić, co tylko się da. To dotyczy także Lyndsay. I ciebie.

Robin wstał i podszedł do niej blisko.

— Przyślij mi po południu Zoe — powiedziała Dilys. — Nie obędę się tu dzisiaj bez niej, zwłaszcza że skończyły się rozgrywki w krykieta w telewizji. Ojciec wróci zmęczony... — Podniosła na niego wzrok i dodała z lekkim uśmiechem: —

Oczywiście jeśli twoja nowa gospodyni znajdzie wolną chwilę...

Zoe nie było w domu i kuchnia sprawiała wrażenie opuszczonej, mimo nieporządnie odsuniętych od stołu krzeseł i sterty naczyń stojących w chwiejnej równowadze na suszarce.

„Jestem z Garethem”, głosiła leżąca na stole notatka. „Wrócimy chyba później.

Weterynarz przyjdzie o wpół do czwartej. Velma odeszła. Przykro mi z tego powodu”. Trzy całusy pod spodem i wielkie fosforyzujące „Z”. Robin spojrzał na sekretarkę. Trzy wiadomości: jedna od sprzedawcy pasz, druga od specjalisty zajmującego się możliwościami przekwalifikowania gospodarstw rolnych, którego prosił o kontakt, i trzecia od Judy.

— Muszę z tobą porozmawiać — usłyszał pełen emocji głos córki z taśmy. — Chcę porozmawiać, kiedy nikt nie będzie słuchał. Sama dobrze nie wiem, ale chyba mi ciebie żal. Po prostu nie wiem. Zadzwoń do mnie, dobrze? Dziś wieczorem.

Robin westchnął. Współczuła mu, tak? Z jakiego konkretnie powodu? Z powodu tego, co znosił, czy tego, co sama kazała mu przez tak długi czas znosić? Usiadł przy stole i wziął do ręki karteczkę od Zoe. Całusy i „Z” były

co najmniej na dwa centymetry wielkie, a Judy czuła dla niego litość. Litość! Dobry Boże!

— A lituj się, jak chcesz — powiedział do wspomnienia o Judy zakłętego w kuchni.

— Lituj się, ile wlezie. Nie zabronię ci. Powiem ci tylko, że najlepsze, najmiłsze i najpożyteczniejsze, co mogłabyś zrobić, to pierwszy raz w życiu zaakceptować mnie. Zaaceptować, bez tego wiecznego cholernego osądzania.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ojciec wręczył Lyndsay małą listę z adresami czterech posesji w Stretton, w których można by było otworzyć na parterze niewielki salon kosmetyczny, a piętro przeznaczyć na mieszkanie. Jeden z tych domów miał spory balkon, a inny mały ogródek z drewnianym płotem — kwadracik nędznej trawy obramowany wymęczonymi kwiatami — i krzew bzu. Oboje rodzice zapewnili Lyndsay, że nie musi się martwić o fundusze na najpotrzebniejsze wydatki, pomogą jej, dopóki nie wycofa swoich pieniędzy z Dean Place. Będą także szczęśliwi, zajmując się dziećmi, podczas gdy Lyndsay będzie pracowała. Ojciec dodał, że dom z ogródkiem jest w doskonałym stanie, a poza tym jego rozliczne kontakty z czasów, kiedy działał w branży budowlanej, niewątpliwie przydadzą się Lyndsay.

— Jak dzieci zapragną pobawić się w większym ogrodzie, zawsze mogą przyjść do naszego, prawda? — powiedziała Sylwia.

Lyndsay uśmiechnęła się leciutko i skinęła głową. Ogród matki zajmował może jedną czwartą akra, spłachetek ziemi za domem, wciśnięty między inne budynki. Stała teraz na piętrze domu, który wyszukał ojciec: w dole ulica i mikroskopijny ogródek, po bokach dwa inne segmenty, jeden wysunięty nawisającą groźnie ceglana ścianą z dwoma małymi oknami przesłoniętymi żaluzjami z plastiku. Wszystko zbyt blisko, jakby się człowiek miał udusić. Wyobraziła sobie, że układa dzieci do snu w małych sypialenkach, a potem zasiada samotnie w niewielkim saloniku i włącza telewizor, żeby mieć towarzystwo na weekendowe wieczory, jak to często robiła w czasie ostatnich miesięcy małżeństwa z Joem.

— Dobrze osadzone. — Ojciec klepnął dłonią framugę okna.

— Solidne. Niezła robota.

— Trochę za mały — powiedziała Lyndsay niezdecydowanie.

— Musi ci się taki wydawać, kochanie — wyjaśnił łagodnie Roy Walsh. — Do tej pory mieszkałaś na farmie, więc po prostu musi. Trudno oczekiwać widoku szesnastu akrów owsa pośrodku Stretton. To przyjemny mały domek. Solidnie zbudowany. Doskonała lokalizacja, tuż przy głównej ulicy.

Lindsay zaczęła mówić coś ni w pięć, ni w dziewięć, że Joe nigdy nie uprawiał owsa, i zaraz zamilkła. Podeszła do ściany i dotknęła jej w miejscu, gdzie tapeta odstawała na złączeniu, odsłaniając zieloną emulsyjną farbę pod spodem.

— Czy to w porządku wobec dzieci? — zapytała. — Zabrać je ze wsi i kazać żyć tutaj?

— Oczywiście, że tak. Skoro ich matka jest z nimi, wszystko jest w porządku. Masz stąd do nas dziesięć minut i park w pobliżu. Doprawdy, większość dzieci nie może liczyć na coś takiego.

— Popatrzył na córkę. Jego poważna, miła twarz zachmurzyła się nieco, jak zawsze kiedy na nią patrzył i uświadamiał sobie, jaka jest bezbronna, niepraktyczna, nie pasująca do dzisiejszych czasów, kiedy to kobiety nie tylko z powodzeniem kierują swoim życiem, ale i życiem wszystkich, którzy od nich zależą. Nie umiała się w tym znaleźć, nie było w niej nic z nowoczesnej kobiety. Ale przecież jakoś żyła, miała mężczyznę, który się nią opiekował... Tylko że odszedł i zostawił ją, by sama stawiała czoło światu.

— Nie cofniesz czasu, kochanie. Nie możesz udawać, że dalej jesteś żoną, bo nie jesteś. Zostałaś wdową. Z dwojgiem małych dzieci i masz jakieś trzydzieści lat pracy przed sobą.

Zaczęła odginać paznokciem sztywny brzeg odstającej tapety— Sama powiedziałaś — naciskał Roy Walsh — że spotkanie w Dean Place nie bardzo się udało.

— Rzeczywiście nie — potwierdziła. — Chcieli, żebym została w naszym domu na farmie, bo wtedy rodzina mogłaby ją dalej mieć. Chcieli, żebym została ich współniczką.

— A ty tego nie chcesz. Milczała.

— Lyndsay — powiedział Roy. — Jeśli nie chcesz zostać na farmie, musisz się wziąć za coś innego. Czy ty tego nie widzisz?

Odwróciła się od niego i podeszła do okna po zostawionym przez poprzedniego właściciela brudnym dywanem w kwiaty. Na chodniku stały dwie dziewczyny z dziećmi w spacerowych wózkach i oparte o pojemnik na śmieci, paliły papierosy. Obok kroczył powolutku stary mężczyzna, ciągnąc za sobą wózek na zakupy, i przechodziła pośpiesznie kobieta w średnim wieku w stroju sprzedawczyni. Na ulicy panował ruch: samochody osobowe, pikapy, posłańcy na motocyklach. Przez ostatnie sześć lat, wyglądając przez okno, mogła zobaczyć najwyżej listonosza i Rose w dzieciennym wózku, a ruch samochodowy ograniczał się do land-rovera Joego, jej własnego auta i wozu dostawcy ryb, który przyjeżdżał raz w tygodniu. Czasami mierziło ją to; mierziła ją pustka i monotonia połyskliwych pól. Ale nie myślała o zamianie na coś takiego; do głowy jej nie przyszło, że alternatywą dla wiejskiego opustoszałego krajobrazu jest właśnie to.

— Pytałem cię o coś, kochanie — powiedział Roy cierpliwie.

— Boję się zmiany.

— Już się zdarzyła i nikt na to nic nie poradzi...

— Robin mógł — rzuciła gniewnie, choć przyrzekła sobie, że nawet nie wymówi jego imienia.

— Robin?

— Namawiał mnie, żebym wróciła — powiedziała szybko — a teraz przez niego nie mogę zostać.

Roy czekał na dalszy ciąg. Robin zawsze wydawał mu się miłym człowiekiem, spokojniejszym, może mniej przyjacielskim niż Joe, ale przecież bardzo miłym.

— A to czemu? — zapytał w końcu.

— Nie potrafię wyjaśnić. — Lyndsay podniosła ręce do grzebyków. — Po prostu mnie zawiódł.

— Chodzi ci o to, że wziął stronę rodziców podczas rozmowy? Potrząsnęła przecząco głową. Bo w gruncie rzeczy nie wziął. Powiedział tylko, że teraz, kiedy ich główny zarządca i wół roboczy odszedł, trzeba się zastanowić nad ich przyszłością, muszą coś zrobić ze swoim życiem, choć nigdy nie dopuszczali do siebie myśli o zmianie.

— Trudniejsze to dla nich niż dla kogokolwiek z nas — powiedział Robin. Jego głos brzmiał uprzejmie, ale stanowczo.

— Są za starzy na zmiany. Trudno mówić, że mają przyszłość przed sobą, ale życie tak.

— Ale mają siebie! — wykrzyknęła Lyndsay.

— Myślisz, że właśnie na tym im obojgu zależy? — spytał Robin, nie patrząc na nią.

— Na pewno się nimi zaopiekuje — powiedział teraz Roy, mając na myśli Robina.

— Tylko on im został. Tak jak ja i mama zaopiekujemy się tobą. Ty masz rodzinę, oni syna.

— Robin ma dziewczynę — powiedziała Lyndsay bez sensu.

— Mogłaby być jego córką.

— Tak? No, no. Ale dla niego to dobrze, że ma towarzystwo.

Tylko że dla mnie niedobrze, pomyślała Lyndsay z wściekłością, zdradził mnie, zastąpił kim innym. Wsunęła grzebyki z powrotem we włosy.

— Odniosłam wrażenie, że się mną nie przejmuje, nie stawia w mojej sytuacji, nie koncentruje na moich problemach. To wszystko.

— Ale ty się musisz na nich skoncentrować, prawda, kochanie? Musisz wziąć na siebie odpowiedzialność, nawet jeśli ci się to nie podoba. Musisz wykonać następny krok. — Podeszedł ociężale do drzwi i zakolysał nimi, sprawdzając, czy podłoga jest równa. — Chcą osiemdziesiąt osiem tysięcy i założę się, że zbiję cenę do osiemdziesięciu dwóch, trzech. Trochę zmian na

dole, odnowimy górę i można występować o pozwolenie na działalność usługową. — Spojrzał na nią już nie po ojcowsku, ale zupełnie jakby dyskutował warunki oferty handlowej: — No, kochanie, co ty na to?

Oliver wiozł kolejny papierowy stożek z frezjami i butelkę nowozelandzkiego chardonnay. Siedział w autobusie jadącym do mieszkania Judy przy Fulham Road, trzymając wino między kolanami, kwiaty wetknął za butelkę, żeby się nie połamały. Pocił się troszeczkę. Nie było szczególnie gorąco, mimo to jego palce ześlizgiwały się z plastikowej torby, w którą włożył wino. Doszedł do wniosku, że jest jednak trochę zdenerwowany.

Powodem było to, co miał powiedzieć Judy. Zbierał się na odwagę przez cały tydzień. Chciał, by zabrzmiało to możliwie delikatnie, ale jednocześnie był zdecydowany powiedzieć to tak, żeby nie pozostawić jej cienia wątpliwości. Zamierzał powiedzieć, że ją kocha, jest nią naprawdę zainteresowany, wzbudza w nim ciepłe, opiekuńcze uczucia i wyjaśnić — poczuł, jak plastikowa torebka przykleja mu się do rąk — że nie może jednak pozostawać z nią w stałym, opartym na seksualnej więzi związku. Nie ma nikogo innego, zamierzał powiedzieć, i gotów jej to przysiąc. Po prostu nie znajduje w sobie dość siły, żeby kochać kogoś, kto go permanentnie dołuje i pobudza do roztrząsania osobistych problemów, które ma każdy. To znaczy owszem, może kochać, ale żyć — nie.

Zgadza się, że Judy została pokrzywdzona przez życie, ale nie aż tak ciężko, jak to przedstawia. Nie jest łatwo człowiekowi porzuconemu przez matkę, ale jeśli ta matka naprawdę cię nie chce i nigdy ani przez moment nawet nie pożałowała, że cię porzuciła, to po co z osłim uporem udawać, że twoje życie byłoby lepsze, gdybyś z nią pozostał? Chyba że koniecznie pragnie się pozostać nieszczęśliwym. Oliver widział zdjęcie rodzonej matki Judy i pocztówki pełne południowoafrykańskich kwiatów o ognistych barwach, przysyłane jej na urodziny; jedno i drugie wyglądało według niego na powierzchowne i krzykliwe. Caro nie była powierzchowną efekciarą i miała jeszcze jedną przewagę nad matką Judy: chciała ją mieć tak obłudnie, jak tamta nie chciała. Poza tym Oliverowi spodobał się ojciec Judy. Uskarżała się na niego straszliwie, zwłaszcza na to, jak traktował Caro, ale nic z tego nie pasowało Oliverowi do człowieka, którego poznał w czasie pogrzebu jej wujka. Kiedy wracali do Londynu, Oliver nagle zrozumiał, że uporczywie niezmienny stosunek Judy do ojca to jeszcze jedna wymówka — przed uporządkowaniem pewnych spraw, pogodzeniem się z faktami albo zwyczajnie przyjęciem swego losu, tak jak przyjmują go inni ludzie. A jego

zmęczyły te wieczne wymówki Judy, powtarzał sobie, przyciskając opuszki palców do stożka z frezjami.

Autobus zatrzymał się tuż przy stacji metra Fulham Broadway i Oliver wysiadł, przytrzymując wino i kwiaty. Do mieszkania

Judy było stąd dwanaście minut spacerem, wystarczająco dużo czasu, żeby raz jeszcze przypomnieć sobie, co ma powiedzieć. Nie chciałby zbyt podkreślać jej defetystycznego nastawienia ani innych niedostatków, doprawdy nie; chce po prostu ją zmusić do przemyślenia paru spraw. Zachwiać schematycznym wizerunkiem samej siebie, przy jakim uparcie trwała, sprawić, by wreszcie zrozumiała, że jeśli będzie tak uporczywie siebie żałować, nikt — a już zwłaszcza ludzie, których chciała mieć wokół siebie i potrzebowała — jej nie pożałuje, i to właśnie z tego powodu...

— Z tego powodu nie chcę się z tobą więcej widywać — planował jej powiedzieć.

— Nie mogę się z tobą ot, tak tylko spotykać. Nie chcę się z tobą widzieć, dopóki nie będziesz mi miała czegoś do zaoferowania.

Przełknął ślinę. Papier, w który były zawinięte frezje, zwilgotniał od jego dłoni.

Matka prawdopodobnie byłaby rozczulona, gdyby wiedziała, co zamierzał zrobić, pochwaliłaby go, że jest taki odważny i przestrzega pewnych zasad... Sęk w tym, pomyślał, przystając na chodniku i zadzierając głowę, by spojrzeć na stojący naprzeciwko budynek, w okna saloniku Judy, że myliłaby się. Co do tych obydwu rzeczy.

Zoe stała w sypialni Caro i rozglądała się wokół. Przyniosła ze sobą posłusznie suchą, jak zalecała Dilys, i mokrą, za radą Debbie, ściereczkę do kurzu. Położyła obie na parapecie. Potem poszła na środek pokoju, bliżej łóżka Caro, i spróbowała wyczuć jej osobowość, przyglądając się rzeczom, usiłując uchwycić atmosferę sypialni. Zdecydowała, że nie jest to ani tak interesujące, ani tak skłaniające do przemyśleń miejsce jak jej grób. Przyszła tutaj, by się przekonać, czy rzeczywiście zdoła coś wyczuć w tym pokoju. Dwa dni temu zastała Dilys w sypialni Joego i Dilys bez jakiegokolwiek skrepowania przyznała, że przychodzi tu codziennie, dla siebie samej. Zoe zaczęła się zastanawiać, czy ludzie, którzy stracili kogoś bardzo kochanego, robią tak dlatego, że sypialnia jest najbardziej intymnym z domowych pomieszczeń i właśnie tu zostaje najczęściej po utraconej osobie. I być może dlatego zostawia się często sypialnie nietknięte po czyjejś śmierci, że zachowały się w nich wspomnienia, delikatne jak pajęczyna i jak pajęczynę łatwo je zniszczyć.

— Dlaczego nie używasz pokoju Caro? — zapytała niedawno Robina. Siedział w kuchni w okularach, pochłonięty czasopismem dla mleczarzy.

— Za wcześnie.

— Dla ciebie, to masz na myśli? Wciąż czujesz, jakby tam była? Opuścił gazetę i Zoe zobaczyła zdjęcie żółtego cielaka z białą strzałką na łbie, ocierającego się głową o płot.

— Za wcześnie dla niej — powiedział. — Tak długo był to jej pokój.

— Ale ona już nie żyje.

Rzucił jej szybkie spojrzenie sponad okularów i podniósł magazyn.

— To niekoniecznie zamyka wszystkie sprawy.

— Dla tego, kto umarł, tak — upierała się.

— Słuchaj no, nie chcę nic zmieniać w tym pokoju. Nie chce o tym myśleć. I bez tego mam o czym myśleć.

Zoe zaczęła układać talerze.

— O farmie...

— Aha.

— Nie o ludziach.

— Nie, jeżeli nic z tego nie wynika.

— Dlaczego nie?

— Bo — powiedział smutnym głosem — jest zbyt wiele rzeczy, których nie mogę zmienić. Dotyczy to zwłaszcza przeszłości.

Przeszłość rządziła w tym pokoju przez całe lata, w gruncie rzeczy od momentu, gdy Caro przeniosła się tutaj z sypialni Robina. Judy miała wtedy trzy lata. Powiedział jej to zupełnie spokojnie. Dwadzieścia lat w oddzielnych sypialniach; prawie całe życie Zoe. Położyła ręce na oparciu w nogach łóżka Caro. O czym Caro rozmyślała, leżąc tu samotnie? Co myślała, jeśli w ogóle myślała o Robinie, także leżącym samotnie po drugiej stronie podestu? Robinie, który zaakceptował jej decyzję, bo nie miał innego wyjścia, i dlatego, że ją jednak na początku kochał. Ale co ona kochała? Co naprawdę kochała? Może Judy? Judy i ten pokój z amerykańską patchworkową kołdrą, i myśl o kawałku ziemi, w którym ją pochowają, a którego nikt jej nie odbierze? Ale nie Robina, z pewnością nie Robina. Widocznie akurat jego nie mogła pokochać, chociaż może próbowała. Tylu było ludzi w życiu Zoe, których starała się pokochać albo polubić i nie dała rady. Nie wystarczało chcieć. Musiało być coś jeszcze, jakaś więź, iskra, żeby naprawdę poczuć zainteresowanie. Takie jakie ona poczuła dla Robina i — miała nadzieję — on dla niej. Podeszła do okna i wzięła z parapetu obie ściereczki. Velma poinformowała ją, że co tydzień odświeża pokój Caro, sugerując, że Zoe powinna też to robić. Ale czy był sens w sprzątaniu miejsca, do którego nikt nie zaglądał, a Robin nawet nie chciał o nim myśleć? Żadnego, absolutnie

żadnego, zdecydowała Zoe. Zrobiła taneczny krok w kierunku drzwi, potem drugi, powiewając ściereczkami. Nie można zmienić przeszłości, jak powiedział Robin, a więc należy ją pozostawić samej sobie. Zoe, robiąc piruety i powiewając ściereczkami, zmierzała do wyjścia.

— Do widzenia — powiedziała. — Pa, pa — i zatrasnęła za sobą drzwi.

— Musimy wreszcie coś z tym zrobić — powiedziała Dilys. Harry nie patrzył na nią. Stał oparty o pień starej sykomorzy przy końcu piętnastoakrowego pola, które Joe obsiał lnem, i pił herbatę, którą mu przyniosła. Od lat nie zdobyła się na to, żeby brnąć te pół mili po miedzy od miejsca, gdzie kończyła się polna droga. Widział dach jej samochodu, połyskujący w słońcu, a dalej łąny grochu i jęczmienia, ciągnące się do granic Tideswell, i odległe pola upstrzone grubymi czarnymi torbami z plastiku, gdzie Robin z Garethem robili kiszonki. W tym roku robili to sami, dzień po dniu, od rana do wieczora. Do tej pory zawsze pomagał im Joe, tak jak Robin pomagał w Dean Place przy żniwach.

Dilys przysiadła na wielkim starym kamieniu wystającym z żywopłotu przy sykomorze. Był tu zawsze i miało się wrażenie, że dla kogoś kiedyś coś znaczył.

— Nie ma co udawać — powiedziała — że długo tak pociągniemy.

— Damy radę. — Harry pochylił twarz nad kubkiem z herbatą. — Jakoś sobie poradzimy.

Dilys pochyliła się i strzepnęła nasionko trawy ze spódnicy.

— Nie damy, przecież wiesz. Nie odzywał się.

— Jeszcze miesiąc, dwa, i będziemy mieli straty. Nie mamy dość pieniędzy na wynajmowanie ludzi, na płacenie rachunków. Nigdy dotąd nie musieliśmy płacić ludziom. Nie za to, że ich zatrudniamy.

— Nie ma z nich żadnego pożytku — stwierdził Harry. — Z tych chłopaków. Człowiek nie jest w stanie ich niczego nauczyć.

— A my — powiedziała Dilys — nie jesteśmy w stanie nauczyć się niczego nowego.

Spojrzał na nią z ukosa. Odkręcała znowu termos z herbatą, powoli, ale przecież nie z trudem.

— Trzeba coś z tym wreszcie zrobić — powtórzyła. — Uświadomić sobie, że nie będziemy mogli żyć jak dotąd, jeśli nie zaakceptujemy nowego. Kłopot polega na tym, że już nie możemy żyć po staremu, to skończone, i nie ma sensu się oszukiwać, że jest inaczej. — Wyciągnęła ku niemu termos, a on podał jej w milczeniu kubek.

— Joe to wszystko ciągnął. Nawet sobie w pełni

z tego nie zdawaliśmy sprawy. Pracował bez przerwy, włożył w te pola całe swoje życie. Bez niego nie damy rady. Nie ma co próbować. Harry pociągnął łyk herbaty i powiedział uparcie:

— Jest jeszcze Robin.

— To nie to samo, dobrze wiesz. Ma swoją farmę i swoje kłopoty. Był dla nas dobry jak anioł od tego wypadku z Joem, ale przecież nie zdziała cudu, nie zrobi więcej niż jest w stanie zrobić jeden człowiek, nawet gdyby pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Harry odstawił kubek. Narastało w nim coś mrocznego, niedobrego, czego sam się obawiał.

— Kiedy wróciłem z wojny — powiedział — uważałem, że już nigdy nic gorszego mnie nie spotka. Uważałem, że wystarczy jak na jedno życie.

Dilys podparła się rękami na kamieniu.

— Musimy opuścić farmę. Harry milczał.

— Nie podoba mi się, że to ja, ale któreś z nas musi to powiedzieć. Już dłużej nie damy rady. Nie starczy nam sił ani chęci, a na Lyndsay nie ma co liczyć. Trudno zresztą byłoby prosić ją o pomoc, wręcz nie powinniśmy. A poza nią nie ma nikogo, do kogo można by się z tym zwrócić.

Harry zapatrzył się w milczeniu na krajobraz, który mógłby opisać nawet z zamkniętymi oczami — każde drzewko, pasmo żywopłotu, skibę ziemi. Nie było to prześliczne miejsce, nie jak ta przepiękna farma w Herefordshire, którą widzieli z Dilys podczas krótkiej wycieczki po górach Walii, ale poznawał je każdym znojnym dniem tu spędzonym; znał je jak samego siebie, jak swoje pięć palców.

„Wywłaszczony” — zabrzmiało mu w głowie i pomyślał, że to słowo już nigdy nie opuści jego mózgu. Zamknął oczy i zapytał:

— Dokąd mielibyśmy pójść? Usłyszał, jak Dilys wzdycha.

— Może Stretton — powiedziała. — Jakiś parterowy domek w Stretton. Debbie otworzyła Tygodnik Farmera na stronie z ogłoszeniami o pracy.

Potrzebny pastuch — przeczytała — stado 70 krów, nowoczesna obora i dojarnia, mieszkanie zapewnione, Mid-Surrey. Pod spodem widniało: Atrakcyjna pensja, dom z 3 sypialniami, centralne ogrzewanie — dla odpowiedzialnego pastucha; stado 160 Friesian/Holstein, doświadczenie i samodzielność preferowane. Essex.

Zakreśliła obydwie, a potem jeszcze jedno, z Oxfordshire, w którym wymagano umiejętności pielęgnowania kopyt. Gareth znał się na tym. Miał wszelkie kwalifikacje, o które chodziło w tych ogłoszeniach. Jedną z dobrych stron pracy w Tideswell była możliwość

wszechstronnego nauczania się zawodu; Gareth umiał zrobić z krowami wszystko. Nie musi się już dłużej uczyć. I nie musi już dłużej pracować dla Robina Mereditha. Okazał mu wiele lojalności w czasie choroby Caro i po jej śmierci, a potem po śmierci Joego. W końcu nie należeli do rodziny, Gareth był tylko najemnym pracownikiem, i jest przecież jakaś granica lojalności, jakiej można oczekiwać po wynajętym pracowniku. Jeśli zostanie w Tideswell, wsiąknie tu na dobre; nigdy nie obejmie większego stada, lepszej obory z bardziej zaawansowaną technologią produkcji, zautomatyzowanym oczyszczaniem. Zagrzebie się tutaj, coraz bardziej pograżając w rutynie, a ona i dzieci utkną razem z nim tylko dlatego, że jest taki uparty i brak mu inicjatywy.

Debbie podniosła się z za stołu, podeszła do zlewu i napełniła wodą czajnik. Przestała błagać Garetha, żeby opuścili Tideswell, bo ona instynktownie przeczuwa, że wydarzy się coś złego. Doszła do wniosku, że nic w ten sposób nie zwojuje. Powiedział jej, że jest przeraźliwie zabobonna, a on nienawidzi zabobonu. Ilekroć przyłapał ją na czytaniu horoskopów, wydierał jej gazetę z rąk, i wreszcie uznała, że musi zmienić taktykę. Nie wspominać o własnych obawach, położyć nacisk na przyszłość Garetha, a zatem i na przyszłość Rebeki, Kevina i Eddiego. Praca w Tideswell dobra jest dla samotnego młodego mężczyzny, który dopiero zaczyna, przekonywała, ale przecież nie dla człowieka doświadczonego, ojca trojga dzieci. Była na tyle przezorna, że nie podnosiła kwestii wątpliwej przyszłości obydwu farm Meredithów ani nie wspominała o planowanej ucieczce Lyndsay do Stretton. A już szczególnie starannie unikała wszelkiej wzmianki o Zoe.

Drzwi kuchenne zostały otwarte z dziwną ostrożnością, charakterystyczną dla Eddiego, i syn wśliznął się do środka.

— No, jesteś — powiedziała Debbie.

Eddie położył na stole dużą kopertę, usztywnioną na jednym końcu kartonem.

— Co tam masz?

— Zdjęcia — odparł syn. Przewiązał sobie głowę szmatką, jak hippis opaską.

— Co za zdjęcia?

— Moje. Zoe je zrobiła. — Otworzył kopertę i wytrząsnął na stół kilka czarno-białych fotografii.

— Dała ci je? — Debbie zerknęła na zdjęcia.

— Tak.

— Masz za nie zapłacić?

— Nie potrzebuję — odpowiedział. — Zwyczajnie mi je dała. — Klapnął ciężko na krzesło i pochylił się, dysząc, nad Tygodnikiem Farmera. — O kurczę! Wzięłaś i porysowałaś tę książkę. Nie rysuje się po książkach — pouczył ją z triumfem.

— To nie książka — powiedziała Debbie — tylko czasopismo. — Podniosła jedno ze zdjęć. Syn stał w półotwartej furtce i spoglądał przez ramię prosto w oko obiektywu. Coś wspaniałego. Cały Eddie. Debbie byłaby zachwycona fotografią, gdyby nie zrobiła jej Zoe.

— Nie powinienesz być ich przyjać.

Nie słuchał. Bazgrał zostawionym przez matkę mazakiem po ogłoszeniach o pracy dla świniarzy i pomocników pastucha.

— Tata je odda. Dam mu je rano, żeby odniósł. Eddie postawił grubą kropkę, a potem drugą.

— Krowie placki — powiedział szyderczo. Debbie wyrwała mu mazak z ręki.

— Ty mały wstrętny chuliganie. Gdzie się podziewałeś przez całe popołudnie?

— Najwyższy czas, żebyś poszedł do szkoły — oświadczyła Debbie. — Przyda ci się trochę dyscypliny. Najwyższy czas... — urwała.

Eddie podniósł na nią oczy. Coś w tonie matki mówiło mu, że zaraz usłyszy rzecz wartą słuchania, ważną dla niego. Skupił na niej spojrzenie, starając się jej jednak za bardzo nie przyglądać, tak by dokończyła to, co chciała powiedzieć.

Debbie przekrzywiła głowę. Co jej szkodzi? Eddie ma zaledwie pięć lat, a jej dobrze zrobi, jeśli da upust uczuciom. Nie zniweczy swoich planów, jeżeli powie synkowi.

— Najwyższy czas, żebyśmy się stąd ruszyli — dokończyła.

Robin był porządnie zmęczony. Przycisnął plecy do siedzenia land-rovera i dosłownie usłyszał, jak trzeszcza mu kości i poskrzypują mięśnie, protestując przeciwko nadmiernemu wysiłkowi — godzina po godzinie, dzień po dniu, bez wytchnienia przy kosiarce, którą powinien wymienić na nową jakieś cztery, pięć lat temu. Przerwali o zmierzchu. Robin odesłał Garetha do domu, a sam poszedł wziąć prysznic i napić się herbaty przygotowanej przez Zoe. Kiedy jej powiedział, że musi pojechać do Dean Place, zobaczyć, co tam słyhać, odparła jak zwykle:

— W porządku.

Nigdzie.

Nigdy nie usłyszał od niej innej odpowiedzi. Czasami nie było jej, kiedy wracał do domu, ale przeważnie zastawał ją rysującą przy kuchennym stole albo zajmującą się od niechcienia gospodarstwem — nowo odkryta umiejętność, wykorzystywana w dość ekscentryczny sposób. Wcale nie wyglądało na to, że na niego czeka; wiodła swoje własne życie, wiedząc, że w pewnym momencie i tak musi znowu wkroczyć w jego. Nauczyła się prowadzić traktor i obsługiwać dojarkę i przydawała im się na farmie, ale Robin nie pozwalał się jej zbliżyć do paszy. Nie pozwalał zresztą na to nawet Garethowi. Zbyt wiele od tego zależało.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. W oddali, w oświetlonym oknie kuchni Dean Place, stała Dilys i machała do niego ręką. Nigdy przedtem tego nie robiła i dlatego Robinowi wydało się, że gest ten podkreśla jeszcze, jak bardzo — czego nie chciał — matka się zmieniła. Złagodniała ostatnio tak, że wyprowadzało go to z równowagi; bał się całkowitej bezradności, takiej, z jaką zwróciła się do niego Lyndsay. Wyjeżdżając z podwórza na drogę prowadzącą do Dean Place, pomyślał, że chyba nie zniesie już niczyjej więcej od siebie zależności.

Kiedy usiadł wreszcie razem z rodzicami przy stole, pod ostro świecącą nagą żarówką, zrozumiał, że ich zależność od innych nie jest czymś, czego można by uniknąć. Powoli, jakby recytując wyuczoną lekcję, Dilys poinformowała go, że zamierzają zaprzestać uprawiania ziemi. Sami nie dadzą rady, na wynajęcie robotników ich nie stać. Wyprowadzą się, kiedy tylko właściciel znajdzie nowego dzierżawcę, nawet przed upływem wymaganych umową sześciu miesięcy, jeżeli to się okaże możliwe. Zaczną od razu rozglądać za czymś odpowiednim w Stretton, jakimś niekło-potliwym w utrzymaniu domem, ale z ogródkiem, tak żeby Harry mógł uprawiać warzywa. Być może ojciec Lyndsay pomoże im w poszukiwaniach. — Nigdy bym nie pomyślał — powiedział Harry — że do czegoś takiego dojdzie. — No tak — przytaknął Robin.

— Myślałem, że umrę we własnym łóżku.

— Ależ Harry — zachnęła się Dilys, ale nie było nagany w jej głosie. Żyjemy jak dawniej, pomyślał Robin ze znużeniem, bo nie mamy właściwie wyboru. Co innego można zrobić? Ale nic nie jest pewne jak dawniej; niczego nie można założyć, niczego przyjąć za oczywiste. Za kilka miesięcy kształt naszego życia, tryb pracy na farmie zmienią się całkowicie. Mama i tata odejdą, Lyndsay odeszła, ja zostaję i robię dalej to, co według mnie należy zrobić. Dawniej byłem tego pewien... zapomniałem już kiedy.

Wjechał przez bramę na podwórze Tideswell. Drobne ćmy tańczyły w światłach land-rovera. Świeciło się w oknie kuchni i łazience na pierwszym piętrze i nagle przypomniał sobie z ukłuciem bólu pierwsze tygodnie, potem miesiące po śmierci Caro —jak to było wracać do pustego ciemnego domu, w którym mógł się cieszyć tylko towarzystwem cichej, spokojnej kotki. Sztywno wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi i oparł się o nie na moment, usiłując się jakoś pozbierać. Podeszedł powoli do kuchennych drzwi, otworzył je i wszedł do domu.

Przy kuchence stała Zoe, trzymając obiema rękami kubek.

— Cześć — powiedziała z uśmiechem. Oderwała jedną rękę od kubka i pokazała na stół, przy którym siedział Gareth, obco wyglądający w zwykłej koszuli i z porządnie, gładko uczesanymi włosami. Wstał na widok Robina.

— Czeka prawie od godziny — wyjaśniła Zoe. — Myślałam, że wrócisz szybciej. Robin spojrzał na Garetha.

— Przepraszam, że przychodzę tak późno, i to bez zapowiedzi. Ale pomyślałem sobie... — urwał, a potem dokończył z wyraźną trudnością: — Pomyślałem, że powinienem zamienić z tobą słowo.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

— Nie — powiedział Hughie.

— Połóż się, Hughie. — Lyndsay położyła dłoń na ramieniu synka. — Pora na sen, czas wreszcie zasnąć.

Nie poruszył się. Siedział w czapce do baseballu, sztywno wyprostowany, na łóżku w najmniejszej sypialni w domu babci. Zawieźli go dzisiaj w miejsce, w którym być nie chciał, pokazali jakiś pokój i powiedzieli, że to będzie jego pokój. Nie, zaprotestował, nie potrzebuję go, mam już swój pokój, we własnym domu, a w nim dużą wypchaną poduszkę do siedzenia. Własny pokój i własne łóżko. Ten pokój, co mu pokazali w domu, w którym był dzisiaj z babcią Sylwią, miał być niby jego, tylko że także i Rose. Musiało tak być, bo poza tym była tam tylko jeszcze jedna sypialnia, dla mamy. Hughie rozumiał doskonale, dlaczego Lyndsay nie chce Rose u siebie w pokoju, co nie znaczyło, że rozumie, dlaczego spodziewali się, że jemu to będzie odpowiadać. Nie odpowiadało. Nie będzie tam spał. I nie będzie spał razem z Rose. W ogóle nigdzie nie będzie spał, chyba że go zawiozą z powrotem w miejsce, gdzie można spać — do własnego domu.

— Nie — powtórzył.

— Proszę cię — wyszeptła Lyndsay. Nie śmiała mówić głośno w obawie, że rodzice usłyszą.

Matka zawsze powtarzała, że Lyndsay nie panuje nad Rose, ale teraz najwyraźniej doszła do wniosku, że nad Hughiem także nie, a to oznaczało — nie do wiary, ale na to wygląda, skonstatowała Sylwia — że jej córka nie jest w stanie samodzielnie wychowywać dzieci.

— Jeśli położę się razem z tobą — powiedziała Lyndsay — czy też się położysz?

— Nie — odparł Hughie, przyciskając do siebie Pana Fokę.

— Będiesz strasznie zmęczony, jeżeli się nie wyśpisz...

— Spać w domu — powiedział dziecinnie.

— To niemożliwe.

Nie odezwał się. Przekonał się, że nie należy się odzywać, kiedy mama zaczyna mówić głupstwa, bez żadnego sensu, co jej się zdarzało, odkąd nie było tatusia. Trzeba przeczekać. Hughie zrobił się ostatnio bardzo dobry w przeczekiwaniu. Wujek Robin powiedział kiedyś, że musiał często to robić dla dobrego samopoczucia, i Hughie też mógł. W każdym razie dopóki wszystko było jak zawsze i mieszkali u siebie w domu razem z Panem Foką; dopóki Lyndsay nie zaczęła go wpychać do samochodu, zapowiadając z ożywieniem,

które nie brzmiało dla niego szczerze, że pojedą odwiedzić babcię Sylwię. Nie chciał odwiedzać babci Sylwii; nie chciał odwiedzać żadnych babć. Zmęczyło go to przerzucanie nim z miejsca na miejsce niczym paczki, zmęczyły go wieczne instrukcje. Rose wrzeszczała, kiedy kazano jej robić rzeczy, na których robienie nie miała ochoty. Hughie nie będzie wrzeszczał. Nie będzie robił tego, co Rose. W ogóle nic nie będzie robił. Ani jeździł tam, gdzie nie chce być... chyba że nic na to nie poradzi. Zerknął na swoje lewe ramię. Wciąż leżała na nim dłoń Lyndsay. Widział pierścionek z błękitnym kamieniem i drugi, tylko ze złota, który dostaje się w momencie ślubu, tak powiedziała. Zastanowił się przelotnie, od kogo dostaje się taki pierścionek, a potem odwrócił błyskawicznym ruchem głowę i ugryzł Lyndsay z całej siły w rękę.

Bronwen zaręczyła się. Wszyscy z działu tłoczyli się wokół niej podekscytowani, podziwiając pierścionek zaręczynowy — wzór wiktoriański, perły i granaty — i popijając białe musujące wino z papierowych kubków.

— Powiedział, że miał zamiar oświadczyć się podczas naszego urlopu — opowiadała Bronwen — ale nie wytrzymał. Po prostu nie mógł już dłużej czekać. Tak więc będziemy mieli dwa miesiące miodowe, jeden przed ślubem i drugi po. — Postaraj się to w pełni wykorzystać — radził redaktor odpowiedzialny. — To najpiękniejszy okres, potem trzeba wrócić do rzeczywistości. Rozkoszuj się tym. Tessa nie spuszczała oczu z Judy. Trudno byłoby powiedzieć, że Judy źle wygląda. Podziwiała pierścionek Bronwen jak wszyscy i jak wszyscy popijała z kartonowego kubeczka wino. Ale Tessa doskonale wiedziała, że Oliver przestał telefonować. Pocieszanie Judy po śmierci matki było niezręczne, trudno to było znieść i wyrazić. Co innego teraz, kiedy Oliver ją porzucił. To wychodziło Tessie świetnie, to był jej teren, na tym się znała. Toteż czekała, obserwując bacznie, czy Judy jest jeszcze w stanie znieść triumf Bronwen, gotowa na wygłoszenie z siostrzaną serdecznością wszystkich pokrzepiających i bagatelizujących uwag, jakie Judy miałyby ochotę usłyszeć. Ona sama miała od trzech tygodni nowego chłopaka — mógł ujść, chociaż był od niej nieco młodszy i zaczynał łysieć — ale przedtem przez ostatnie dziesięć miesięcy nie było przy niej nikogo. Pamiętała ten bolesny okres i nie mogła się dłużej powstrzymać od okazania Judy współczucia. Pochyliła się nad biurkiem i zapytała, dotykając jej ramienia:

— Wszystko w porządku?

Judy spojrzała na nią i kiwnęła głową. Nieźle wygląda, pomyślała Tessa, z tymi dłuższymi włosami. Judy miała imponujące włosy, gęste i lśniące, bez sensu byłoby je przycinać na krótko, jak nosiła się połowa redakcji, przeciwnie, dobrze wyglądały nieco dłuższe, sprawiały wrażenie nieujarzmionych.

— Zastanawiałam się tylko...

— Wszystko w porządku.

— Chcesz porozmawiać? Judy pociągnęła łyk z kubka.

— Właściwie nie ma nic do powiedzenia. Nawet chyba nie byłam w nim zakochana, zwyczajnie go lubiłam. Zresztą trudno go nie lubić, ale nie był... no więc, nie było...

— W tym namiętności — dopowiedziała Tessa. — Wielkiej namiętności.

— No tak.

— Ale jednak nikomu nie jest przyjemnie zostać porzuconym.

— Załatwił to w bardzo miły sposób — powiedziała Judy ku swemu zdziwieniu. — Było nawet zabawnie. Zresztą specjalnie mnie nie zaskoczył.

— Na pewno cię to jednak ubodło, musiało... Judy uśmiechnęła się lekko.

— Przykro mi, że cię muszę rozczarować, ale nie. A już na pewno nie straszliwie. Tessa nie dała się tak łatwo pozbawić możliwości okazania współczucia.

— I to tak krótko po śmierci twojej matki... — wypaliła. Judy wyjęła ze swojego kubka ołówki i pieczołowicie ustawiła go na sztorc.

— Oliver zachowywał się wspaniale. Dzięki niemu zaczęłam o niej mówić, myśleć jak o człowieku z określoną osobowością, nie tylko matczyną. — Przewróciła ołówki. — Dzięki niemu przemyślałam wiele rzeczy.

— A nie masz ochoty go zabić? — zapytała Tessa. — Zniszczyć mu samochodu, zrujnować kariery albo pociąć wszystkich spodni w kroku?

— Ubawi cię to, ale nie. Nawet mnie samej wydawało się, że tak będzie, ale nie. Jest parę osób, które chętnie bym zabiła, na pewno jednak nie Olivera.

Tessa rozejrzała się wokół z miną osoby wtajemniczonej.

— Rozumiem, że zaczęłabyś tutaj...

— Zastanawiam się, czy nie odejść — powiedziała Judy.

— Co takiego?

— Jeszcze nie jestem pewna, ale myślę o tym. Nie wiem, po co tutaj przychodzę, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Nie wiem, co tutaj robię.

Tessa opróżniła kubeczek i zgmiotła go w dłoń.

— Praca jak praca, nie? Płacą dobrze, warunki pracy nieźle, ludzie tacy sobie, ale czego można oczekiwać po takiej gazecie. Ale ty jesteś w tym

dobra. Dużo lepsza niż Bronwen czy ja. Tylko nie oczekuj, że ci to będę powtarzała. Masz o wiele więcej od nas pomysłów.

— Przeważnie bezużytecznych — oświadczyła Judy. — Nie mogę się uwolnić od myśli, że całe to pismo jest bezużyteczne.

Tessa wrzuciła zgrabnym łukiem zgnieciony papierowy kubeczek do stojącego przy biurku kosza na śmieci.

— Tylko mi nie mów, że odezwało się w tobie poczucie sprawiedliwości społecznej i w konsekwencji zamierzasz zostać aktywistką Greenpeace...

— Nie aż tak — powiedziała Judy. — Ale i nie tak jak tutaj. Życie polegające na zabijaniu czasu.

Robiło się nudno. Co innego mająca wiele uroku konwersacja na temat złamanego serca, a co innego kompletnie z uroku wyzuta dyskusja nad sensem życia. Tessa ziewnęła dyskretnie.

— Daj mi znać, jak się zdecydujesz. — Tessa podeszła powoli do biurka Bronwen, wokół którego wciąż stała stłoczona grupka ludzi, usadowiła się na jego brzegu i zapytała, czy Bronwen zamierza przyjąć po ślubie nazwisko męża.

Niewielka firma budowlana, z którą Roy Walsh miał dobre stosunki, dokonała dla Lyndsay szacunkowego wyliczenia kosztów przeróbki parteru na gabinet kosmetyczny. Przewidziano recepcję, dwie kabiny i osobne pomieszczenie na łóżko opalające. Koszty przeróbki nie były zdaniem Roya wygórowane, to raczej wyposażenie miało pochłonąć sporo pieniędzy. Łóżko opalające, dwa fotele kosmetyczne, a zwłaszcza ten elektryczny wynalazek do masażu odchudzającego, z tymi przyssawkami, panelem kontrolnym i pętlami przewodów w pastelowych osłonkach. Roy chciał, żeby Lyndsay z nim usiadła i przekalkulowała to wszystko. Mogliby się zastanowić, kiedy te wstępne inwestycje się zwrócą i czy opłaca się zatrudnić jakąś dziewczynę do recepcji, podawania kawy, robienia manikiuru. Ale Lyndsay nie przejawiała najmniejszej ochoty na rozmowę. Zgodziła się na wiele propozycji Roya, w taki jednak sposób, że zupełnie go zniechęciła.

— Jest jeszcze za wcześnie — uświadomiła mu Sylwia — żeby mogła się w coś zaangażować całym sercem. W dodatku na pewno martwią ją dzieci.

Dzieci martwiły zresztą również Roya i Sylwię. Rose, uznali, nie ma w sobie nic z dziewczynki, jest dominująca, niemal brutalna. Co do Hughiego... Lyndsay oczywiście nie chciała, żeby się dowiedzieli, ale jak mieli się nie dowiedzieć, że ją ugryzł? Usłyszeli okrzyk bólu i zdziwienia, a kiedy wbiegli na górę zobaczyć, co się dzieje, usiłował ugryźć Lyndsay ponownie. Nie dosyć, że się moczył, teraz jeszcze i to. Oczywiście stracił ojca, biedny

dzieciak, ale miał przecież dopiero trzy lata, więc tak naprawdę nie rozumiał, co to znaczy. Jego zachowanie, doszli oboje do wniosku, było raczej reakcją na zachowanie Lyndsay, jej niepewność, niezdolność do podjęcia decyzji. Zachwiała jego poczuciem bezpieczeństwa, to przez nią czuł się niepewnie. Im szybciej wszyscy troje przeprowadzą się do mieszkania nad gabinetem, tym lepiej. W ich życie wróci ład, czego dzieci tak bardzo potrzebują.

— Nacisnę ją, żeby podpisała papiery — postanowił Roy. — Pomyśli, że jestem bez serca, ale trudno. To przecież dla jej dobra. Musi wreszcie stawić czoło przyszłości. Nie została zresztą bez środków do życia... Pod tym względem może się uważać za bardzo szczęśliwą młodą wdowę.

W jego głosie brzmiała nuta zniecierpliwienia. Sylwia rozpoznała ją doskonale. Pamiętała, jaką ulgę oboje poczuli — choć żadne o tym nie powiedziało — gdy Lyndsay poinformowała ich, że zamierza poślubić Joego. Oczywiście kochali ją szczerze i bardzo jej teraz współczuli, ale myśleli także, że trudy rodzicielstwa są wreszcie za nimi; że skoro wszystkie ich dzieci założyły rodziny i mają własne dzieci, będą wreszcie mieli trochę swobody, czas na robienie tego, na co nie mieli czasu przedtem, gdy zajmowali się przedsiębiorstwem i rodziną. Sylwia planowała wycieczkę wiosną do Holandii, żeby zobaczyć pola tulipanów w rozkwicie, a Roy kupił nową wędkę i przebąkiwał coś o lokalnym klubie golfowym. Skoro jednak Lyndsay miała zamieszkać w Stretton, będą musieli doglądać Hughiego i Rose, przynajmniej na początku. Oczywiście, że powinni i zrobią to z przyjemnością, niemniej mieli świadomość — i nic nie mogli na to poradzić — że pokrzyżowało to ich plany.

— Muszę ją nacisnąć, prawda? Nie chcę, ale to dla jej własnego dobra. Niech wreszcie podpisze te papiery i wszyscy będziemy mieli to w końcu za sobą. Zoe ustawiła traktor jak zwykle pod wiatą z podniszczonej blachy falistej. Wprawiała się całkiem nieźle w manewrowaniu traktorem, a ponieważ zauważyła, że robotnicy, którzy przyjechali wykopać nowy kanał rozprowadzający gnojowicę, przerwali pracę, by ją obserwować, wykonała na ich użytek parę zakrętasów, zupełnie jakby była cyrkówką ujeżdżającą kucyka. Strasznie ją podniecało, że jest dobra w czymś, o czym jeszcze sześć miesięcy temu nie miała pojęcia, a w dodatku przecież nigdy nie prowadziła samochodu. Aparaty fotograficzne i traktory — mogła powiedzieć, że wie, co się z nimi robi.

Weszła do domu i umyła się energicznie nad zlewem w kuchni. Velma nie cierpiała, gdy Robin czy Gareth wracając od krów, myli się nad zlewem w

kuchni, ale Velmy nie było i nie mogła już dłużej narzucać nikomu swoich upodobań. Zoe czuła się absolutnie szczęśliwa, używając zlewu zgodnie ze zwyczajami mężczyzn — do mycia i zmywania, jak wypadło. Powąchała ręce, żeby się przekonać, czy zmyła nawet wspomnienie zapachu krów. Dłonie pachniały wyłącznie płynem do mycia. Zdjęła z siebie spodnie i podkoszulek — jaki był sens iść w tym celu na górę, kiedy i tak trzeba było przynieść z powrotem brudne rzeczy do kuchni? — i rzuciła je niefrasobliwie na rosnącą górkę zostawianych w nieładzie ubrań do prania.

Już w swojej sypialni, gdzie wciąż trzymała odzież, włożyła parę mniej znoszonych czarnych dżinsów i czysty szary podkoszulek. Wygląda teraz zupełnie inaczej, doszła do wniosku, przyglądając się sobie w lustrze wmontowanym w drzwi szafy na ubrania, jest mniej koścista, nie sprawia wrażenia przegranej, jest świeższa, jakby wreszcie wyciągnięto ją z ciemności. Nie przytyła, ubrania leżały na niej tak samo jak dawniej, ale rysy twarzy wygładziły się, ciało jakby zaokrągliło, nie była już taka kanciasta. Na nosie i policzkach pojawiło się parę piegów, normalnie by ją to złościło, ale tu jej skóra straciła zielonkawobiały odcień i nie wyglądały wcale źle. Przeciągnęła szminką po wargach i spryskała się odrobiną męskiej wody kolońskiej, której zapach — drzewo cytrusowe z Karaibów, głosiła etykieta — bardzo lubiła. Zeszła do kuchni, a potem wyszła na podwórze.

Dom, w którym mieszkał Gareth, stał około czterystu jardów dalej, za polem szeleszczącej kukurydzy. Przez środek pola wiodła ścieżka, którą Gareth przemierzał kilka razy dziennie; Zoe mogła dostrzec na ziemi ślady jego butów i odcisk kół roweru. Podniosła oczy i jej wzrok padł na frontową ścianę zbudowanego z czerwonej cegły domu Garetha, połyskujące okna i antenę satelitarną przypominającą wielki biały spodek. To był naprawdę brzydki dom. Zapytała Robina, czy skoro już musiał zbudować dom dla pastucha, to koniecznie tak brzydki.

— Jaki? — spytał z lekkim zdziwieniem.

— No, spójrz tylko na kolor, proporcje, dopasowanie do otoczenia, w ogóle wszystko.

— Jest użyteczny — oparł Robin. — Spełnia swoje funkcje. Tak jak i samochód Robina, pomyślała Zoe, jak jego ubrania i nieszczęsny zaniedbany ogródek przy domu, w którym ginęły w bezlitosnych zwojach powoju posadzone przez Caro róże. Liczyła się funkcjonalność, użyteczność, opłacalność. Piękno, jeśli nawet się pojawiło, to tylko przypadkiem.

Zoe przeszła przez pole kukurydzy i znalazła się przy niewielkim, opadającym ukośnie przydomowym ogródku, który założyła Debbie. Przy

ścieżce ułożonej z płyt jasnego kamienia stały luźno porozstawiane doniczki i misy pełne petunii i nagietek i leżały porozrzucane plastikowe pistolety, miecze i tarcze z arsenału Eddiego, a także stało coś przypominającego raketę. Kevina zupełnie nie interesowały takie wojskowe zabawki, powiedział jej kiedyś Gareth, za to Eddiego nie sposób od nich oderwać, może Zoe się uda?

Obeszła dom, mijając nieużywane frontowe wejście z szybą przesłoniętą koronkową firanką. Drzwi kuchenne stały otworem, wisząca w nich mata poruszała się na wietrze, na schodach stało wiadro ze szczotką. Zoe wsunęła głowę do środka.
— Debbie?

Cisza. Zoe czekała. Po chwili z pokoju wyszła Debbie ubrana w krótką dżinsową spódnicę i czyściutki różowy podkoszulek bez rękawów i popatrzyła na Zoe z niedowierzaniem.

— Co ty tu robisz? !

— Przyszłam się z tobą zobaczyć.

— W jakiej sprawie?

— Chciałam cię o coś zapytać.

Debbie podeszła do krzesła i położyła ręce na oparciu.

— Może wejdiesz...

— Nie muszę — powiedziała Zoe i oparła się o framugę drzwi. — Tu mi dobrze.

Debbie wzruszyła ramionami. Podniosła ręce i przyglądała włosy przytrzymane elastyczną opaską. Potem obciągnęła spódnicę.

— No więc...?

— Chodzi o Garetha.

— Co o Garetha? — zapytała Debbie ostro.

Zoe oparła się plecami o futrynę i wsunęła dłonie do kieszeni dżinsów.

— Przyszedł złożyć wymówienie...

— Co ci do tego?

— Nic. Ale to niedobrze dla Robina. Ostatnio mu się nie wiedzie. Połowy z tego nie rozumiem, ale wiem, że chodzi o pieniądze, rodziców, odejście Lyndsay, obie farmy. A teraz jeszcze Gareth.

— Gareth powinien wreszcie pomyśleć o sobie — powiedziała Debbie pośpiesznie.

— Gareth ma obowiązki, rodzinę...

Zoe przyglądała jej się przez moment, a potem spytała:

— Czy to ty go namówiłaś, żeby odszedł?

— Nie.

— Tak tylko myślałam. — Zoe pochyliła się lekko, jakby chciała się przyjrzeć czubkom butów.

— Najwyższy czas, żeby poszukał sobie lepszej pracy — powiedziała Debbie. — Czas, żeby się ruszył.

— Ale dlaczego teraz? — zapytała Zoe, nie podnosząc oczu, jakby kierowała to pytanie do czubków swoich butów.

Debbie nie odpowiedziała. Zerknęła na stół kuchenny, gdzie czekały na wysłanie dwa podania Garetha o pracę.

— Czy gdybym wyjechała — Zoe utkwiała wzrok w twarzy Debbie — Gareth by został? Tylko na jakiś czas, dopóki Robin się nie pozbiera? Zostałby?

Debbie zachnęła się lekko.

— No... nie wiem...

— Bo widzisz... pomyślałam, że to może przeze mnie. Ostatnia kropla...

— Nie... Tak.

— Czy Gareth mógłby jeszcze zmienić zdanie?

— Nie. — Debbie zerknęła znowu na dwie koperty i zacisnęła mocno rękę na oparciu krzesła. — Nie mógłby.

— A ty?

Szybkie spłoszone spojrzenie.

— Nie. Są jakieś granice poświęcania się dla innych.

— Och wiem, oczywiście wiem, ale Robin przeżywa teraz taki trudny okres...

— Dla nas wszystkich to trudne! — wykrzyknęła Debbie. — Nie wiadomo odkąd! Całe miesiące, zanim się tu pojawiłaś!

— Wiem — powiedziała Zoe, prostując się w drzwiach. Debbie podeszła energicznie do kuchennego stołu, na którym stał toster, i wyjęła wsuniętą za niego kopertę.

— Proszę.

— Co to jest?

— Zdjęcia. Te, które zrobiłaś Eddiemu. Nie powinien był ich brać...

— Ależ są jego. Należą do niego. Bo kto jeszcze mógłby być ich właścicielem? Na nic się nikomu oprócz niego nie zdadzą.

— My ich nie chcemy...

Zoe wzięła kopertę, a potem zapytała powoli:

— Co cię właściwie gryzie? — Nie usłyszała odpowiedzi, więc dodała: — Chodzi o seks?

Debbie zrobiła nieokreślony gest.

— Nie powinien. Ciebie to nie dotyczy, nie ma żadnego wpływu na twoje życie. — Zoe spostrzegła, że Debbie mocno zaciska powieki. — Powodzenia — powiedziała, odwróciła się i odeszła.

Debbie słyszała, jak idzie po ogrodowej ścieżce, mijając kwiaty i porozrzucany plastikowy oręż, do dróżki pośród kukurydzy. Otworzyła oczy. Obie koperty leżały na swoim miejscu, dwa białe prostokąty, zaadresowane starannym, niewyrobionym pismem Garetha i opatrzone znaczkami pocztowymi. Podniosła listy. Powiedziała Garethowi, że sama je nada. „Jak chcesz”, odparł.

Odwróciła się i z listami w dłoni wróciła do pokoju. Zobaczyła przez wypucowane do połysku duże okno idącą bez pośpiechu przez kukurydzę Zoe. Zastanowiła się, jak opisać Garethowi tę wizytę. Podkoloruje trochę, żeby zrozumiał, dlaczego właśnie tak zareagowała. Ale pomyśli jeszcze, czy w ogóle mu o tym opowiadać.

— Rano — powiedziała Lyndsay. — Muszę się z tym przespać. Ojciec westchnął.

— Ranek nic tu nie zmieni...

— W tej chwili nie mogę. Po prostu nie mogę. Jestem zmęczona.

Roy spojrział na żonę. Siedziała na tym samym fotelu co zawsze i wyszywała parawanik do kominka. Robiła to już prawie od roku i Roy pomyślał, że jej zaabsorbowanie tą czynnością jest niezwykle irytujące. Nie wiedział dlaczego, ale rzeczywiście go to irytowało.

— Kochanie, powiedz coś.

— Chcemy ci pomóc, Lyndsay — zapewniła Sylwia nie przerywając mozolnego wkłuwania i wyjmowania igły. — Twój ojciec nie robi tego przecież dla siebie, myśli wyłącznie o tobie.

— Wiem.

— Nic dobrego nie wyniknie z odkładania formalności. Gdyby nie to, że wymagany jest twój własnoręczny podpis, złożyłbym go zamiast ciebie. Ale nie wolno mi.

— Przecież powiedziałam. — Lyndsay wstała, a w jej głosie brzmiała teraz prawie złość. — Powiedziałam, że zrobię to rano. — Popatrzyła na nich. — Nie jestem dzieckiem!

Zapadła cisza. Potem Roy zdjął okulary i położył je na nie podpisanej umowie.

— To przestań się zachowywać, jakbyś była — oświadczył.

— To znaczy robiąc to, co mi każesz?

Roy znów spojrział na żonę, ale nawet tego nie zauważyła, pochłonięta wyszywaniem motywu kwiatowego.

— Niekoniecznie — odparł. — Ale może byś jednak coś zrobiła. Tylko dlatego zaczęliśmy realizować ten plan, że ty nie miałaś żadnego.

— Nie, jeszcze nie — powiedziała Lyndsay gwałtownie. — Joe nie żyje od sześciu tygodni. Sześciu! Jak można wymagać podejmowania decyzji od kogoś, komu mąż umarł ledwo sześć tygodni temu?

Sylwia wetknęła pieczołowicie igłę w materiał haftu i zwinęła robótkę.

— Nie powinnaś się tak rozstrajać.

— Owszem, jestem rozstrojona — rzekła Lyndsay. — Prawdopodobnie byłam, jak to określiłaś, rozstrojona od nie wiem ilu lat. Tego nie jestem pewna, ale wy też nie. Za to jestem pewna, że gdy czegoś nie mogę zrobić, to nie mogę. Nie podpiszę dzisiaj tej umowy.

— No to będziemy musieli poczekać do jutra — powiedziała Sylwia, nie patrząc na córkę.

— Ale tylko do jutra — oświadczył z naciskiem Roy. Lyndsay popatrzyła na oboje rodziców. Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Podeszła do drzwi.

— Dobranoc — rzuciła. Spodziewali się, że powie coś jeszcze, przeprosi, nic takiego jednak nie nastąpiło.

— Dobranoc, kochanie — odparła w końcu Sylwia.

Hughie spał, siedząc na łóżku, podparty czterema poduszkami. To był jego sposób wyrażenia, że poszedł jednak na kompromis. Sylwii by się to z pewnością nie spodobało, ale Lyndsay się tym nie przejęła. Podobnie jak tym, że Hughie ją ugryzł. Nie zrobił jej krzywdy, w każdym razie na pewno nie uraził jej uczuć. Prawda była taka, że gdy Roy i Sylwia wpadli wtedy do pokoju, Lyndsay patrzyła na syna z odrobiną podziwu.

Teraz usiadła przy nim. Wyglądał na nieszczęśliwego i musiało mu być niewygodnie na tej dającej niepewne oparcie górze poduszek. Czapka do baseballu przekrzywiła mu się na głowie, zadarty daszek sterczał ku górze razem ze zwichrzonymi jasnymi włosami. Lyndsay była zadowolona, że Hughie jednak zdołał zasnąć, nawet w tej niewygodnej pozycji. Tylko gdy spał, nie nękały go te wszystkie rzeczy, które jak sobie uroił, były zatrważające.

Uroił? Kiedy na niego teraz patrzyła, rozpoznawała Joego — nie jego rysy, ale sposób zachowania, osobowość — i szczerze wątpiła, czy syn cokolwiek wymyśla. Jeśli bał się czegoś, miał po temu wszelkie powody, były to rzeczy,

które naprawdę go przerażały. Tak jak Joego przerażały czające się w jego mózgu upiory. To Lyndsay mogła sobie uroić, że ich nie ma, zignorować je, jak to zrobiła w przypadku Joego — ale nie zrobi w przypadku Hughiego. Był jej dzieckiem, w tej chwili całkowicie od niej zależnym w swojej walce z życiem. Stał przeciwko niej, bo walczył o przeżycie. Nie chciał jej sprawić kłopotu, kierował się szczerymi odruchami. Instynktownie, na swój dziecięcy sposób, próbował ją zmusić, by dostrzegła, że chce zrobić coś bezsensownego — dla siebie samej, a w konsekwencji i dla niego. Kochał ją. Chociaż taki mały, kochał ją jak nikt na świecie, wiedziała to. Nawet jeśli wspomnienie tej miłości będzie go zawstydzalo, kiedy dorośnie, nigdy nie zapomni, jak gorąco ją kochał i jak całkowicie na niej polegał. Wyciągnęła rękę i objęła stopę synka. Zawiodła Joego, zdawała sobie z tego sprawę. Nie chciała tego, przeciwnie, zrobiłaby wszystko co w jej mocy, żeby to się nie stało, ale jednak go zawiodła, bo nie umiała do niego dotrzeć. Ale do Hughiego może. Bo Hughie sam jej na to pozwalał. Otwierał się przed nią, jak Joe nigdy by tego nie zrobił. A skoro odsłaniał się przed nią całkowicie, ona udowodni, że jest tego warta. Żeby gdy dorośnie, potrafił otworzyć się przed kimś innym, nie żyć z tragicznym poczuciem całkowitego osamotnienia, jak Joe. Musi wziąć to pod uwagę, zanim podejmie rano decyzję. Ma wszelkie szanse, by nie zawieść syna i nie zaprzepaści tego.

Przez cały wieczór właściwie się do siebie nie odzywali. Robin wrócił późno, zmęczony i brudny, a kiedy szedł na górę wziąć prysznic, zwichrzył jej włosy, jakby głaskał ulubionego psa, z którym człowiek rozumie się bez słów. Postawiła przed nim zupę i kanapkę, i zaczął jeść, przeglądając jednocześnie stertę nagromadzonych na stole papierów, przyciśniętych niewielkim kluczem nastawczym, który Zoe gdzieś przypadkiem znalazła. Przeważnie faktury i rachunki. Sumy dla Zoe niewyobrażalne, ogromne, zwłaszcza że dotyczyły tego, co już minęło albo zostało zużyte: paszy, wizyt weterynarza, lekarstw, naprawy maszyn. Robin przeglądał papiery metodycznie, jeden po drugim. Obserwowała go przez moment, a potem wróciła wzrokiem do telewizora, ściszonego całkowicie, tak że widoczni na ekranie ludzie poruszali niemo ustami jak ryby pływające w akwarium. Zoe współczuła Robinowi, ale absolutnie nie mogła mu pomóc, na pewno nie akurat w tej kwestii. Próbowała dzisiaj po południu i nic z tego oczywiście nie wyszło.

— Kawy? — zapytała.

Potrząsnął głową, więc wstała, sprzątnęła talerze i zaniósła je do zlewu. Na dworze nie było jeszcze całkiem ciemno, a nad stodołą wschodził blady sierp księżyca w nowiu. Patrzyła na niego przez chwilę, zanim się zorientowała, że

widzi jeszcze jedno światło; przybliżające się światło na gościńcu wiodącym do domu. Jakiś samochód sunął powoli, jakby kierowca nie znał drogi. Zaczekała, aż wjechał na podwórze i przystanął. W środku oprócz kierowcy siedział ktoś na tylnym siedzeniu.

— Taksówka! — powiedziała Zoe.

Robin, który wypisywał cyfry na świstku papieru, chrząknął w odpowiedzi. Zoe pochyliła się do okna, przytrzymując się krawędzi zlewu. Z taksówki wysiadła ubrana na czarno dziewczyna, ciągnąc za sobą dużą miękką torbę podróżną z brezentowymi paskami.

— Robin! — Głos Zoe drżał leciutko. — Judy przyjechała.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wszystko w tym roku jest spóźnione, myślał Harry, przyglądając się łąnowi lnu. Dopiero zaczynał kwitnąć. Najpierw za dużo deszczu, teraz za mało. I od tygodni ciepłe zmienne wiatry, skutecznie wszystko wysuszające. Oparł ramiona o bramę prowadzącą na pola i usłyszał cichy szelest wetkniętych wcześniej do kieszeni kartek. Powiedział, że się temu przyjrzy. Przyrzekł Dilys.

— Na osobności — oświadczył. — Nie tutaj. Nie zamierzam ich czytać, kiedy będziesz na mnie patrzyła.

Kartki zawierały dokładne opisy dwóch parterowych domków w Stretton, które Dilys wybrała spośród wielu innych rysunków przesłanych przez agencję nieruchomości. Na pierwszy rzut oka nie tylko niczym nie różniły się od siebie, ale i od jakiegokolwiek parterowego domku, który Harry do tej pory widział. Naprawdę trudno mu było wyobrazić sobie inne niż Dean Place miejsce do mieszkania; po prostu nie wyobrażał sobie gdzie indziej życia. Zresztą nie sposób będzie tego nazywać życiem. Dlatego wciąż jeszcze nie wysłał do właścicieli listu zawiadamiającego o odejściu z Dean Place. Dilys sformułowała to odpowiednio, ale on nie mógł się zmusić, żeby podpisać. Wydawało mu się, że tym samym podpisze gwarancję śmierci. Dilys twierdziła, że jest uparty. Prawdopodobnie jest, ale nie tylko o to chodziło. Był przekonany, że stracił już wystarczająco dużo i nikt — ani nic — nie może od niego wymagać, żeby godził się na coś więcej. Zwłaszcza na utratę nędznych resztek poczucia wolności.

Wyciągnął złożone kartki z kieszeni i powoli je rozwinął. 67 Otterdale Close i The Lindens, 20 Beech Way. „Lepszy ogród”, napisała Dilys na jednym, a „bardziej słoneczny i większa kuchnia” na drugim. Jakie to miało znaczenie? Co niby miałby robić z ogrodem? A w kuchni przecież przebywała Dilys, podobnie jak w słonecznych pokojach, gdziekolwiek by były. Słoneczne pokoje! Od razu przychodziły mu na myśl wycieczki autobusowe dla starców do Llandudno. Złożył szkice niedbale i wepchnął je do kieszeni. Niech Dilys decyduje. Wszystko mu jedno i podejrzewał, że Dilys tak naprawdę też, chociaż się do tego nie przyznaje. Niech decyduje, a on będzie miał prawo potem zrzędzić.

Wdrapał się z powrotem do kabiny traktora i z turkotem pojechał zawadiacko w stronę domu. Był jak narowisty stary koń ten jego traktor — stawy sztywne, coś w nich poskrzypywało, pobolewało, ruszał z niechęcią, ale Harry znał go jak swoje pięć palców. Zawsze protestował przeciwko planom

wymienienia go na inny, podnosząc jako główny argument monstrualną cenę nowego i skrzętnie skrywając przed Joem ukradkowe, wcale nierzadkie dłubaniny przy silniku, ilekroć coś się zepsuło. Teraz w każdym razie nie będzie go musiał wymieniać. Pójdą razem na zieloną trawkę, tyle że nie będzie żadnej trawki, tylko jakiś chrzaniony ogródek dookoła domku na przedmieściu. Nagle wpadł na świetny pomysł: zabierze traktor ze sobą. Powie Dilys: „Dobrze, niech będzie 67 Otterdale Close, bo dość tam miejsca, żeby postawić traktor”. Obiecał jej, że podejmie decyzję przy kolacji, ale podekscytowany najświeższym pomysłem, zdecydował, że pojedzie i powie jej to zaraz.

Na podwórzu stał samochód. Ze zdumieniem rozpoznał wóz Lyndsay. Myślał, że jest w Stretton i załatwia sprawy związane z prowadzeniem salonu piękności, jak chcieli jej rodzice. Harry nie utrzymywał z nimi kontaktów. Mili ludzie, ale nie z jego gatunku. Złożył im raz wizytę, jeszcze w okresie gdy Joe i Lyndsay byli zaręczeni, ponieważ Dilys nalegała, i nigdy w życiu nie widział u nikogo tylu świecidełek w salonie. Wszędzie porozstawiane jakieś małe bibelotki, na każdym skrawku wolnej powierzchni. Dilys kazała mu siedzieć na krześle i nie ruszać się. Pewnie się obawiała, że coś stłucze.

— Proszę, proszę — powiedział, wchodząc niezadarnym ciężkim krokiem do kuchni.
— Co za niespodzianka.

Lyndsay siedziała przy kuchennym stole z Rose na kolanach. Mała, dysząc ciężko, ugniatała z całej siły kulkę z ciasta, które przygotowywała Dilys. Lyndsay zaczesła włosy do tyłu i czymś je tam związała. To pewnie dlatego, pomyślał Harry, wydaje się jakaś zmieniona, jakby odrobinę starsza, bardziej energiczna. Po drugiej stronie stołu Hughie rysował jedno po drugim wielkie czerwone „H” na starym katalogu nasienniczym.

— Witaj — powiedziała Lyndsay do Harry'ego z nieśmiałym uśmiechem, zupełnie jak wtedy, gdy Joe pierwszy raz przyprowadził ją do domu.

— Miło was znowu widzieć. — Harry pochylił się nad Hughiem. — Całus dla dziadka?

Chłopczyk posłusznie nastawił twarz.

— Mmm — zamruczała Rose ze zniecierpliwieniem, pokładając się na stole i domagając uwagi. — Mmm!

Harry okrążył stół i podszedł do niej.

— Puh! — wrzasnęła odchylając się od niego. — Puh, puh!

— Rose... naprawdę, Rose.

— Daj jej spokój.

— Jest straszna. Moi rodzice...

Dilys postawiła przed dziećmi po szklance soku owocowego. — Nie przejmuj się. Hughie przysunął szklankę do siebie i przechylił ją do ust, nie podnosząc ze stołu. Obserwował matkę znad brzegu szklanki.

— Znalazłam się... w raczej niezręcznej sytuacji — zwróciła się Lyndsay do Harry'ego. — Właśnie zaczęłam o tym mówić Dilys...

— Wobec kogo? — zapytał Harry.

— Wobec rodziców.

Harry czekał. Rose zaczęła walić najpierw jedną, a potem drugą otwartą dłonią w kulkę ciasta.

— Nie podpisałam umowy na ten dom w Stretton.

— Może nie był odpowiedni? — zasugerował Harry niepewny, do czego Lyndsay zmierza.

— Nie był. Ale też nie mógł być. Cały ten pomysł ze Stretton nie był odpowiedni.

— Oczywiście. — Harry pomyślał o małym parterowym domku. Hughie odstawił po cichutku szklankę. Babcia usiadła przy nim, też cichutko; była jakaś niesamowicie cichutka, czuł to. Tylko Rose robiła hałas, plaskając w ciasto.

— Zmieniłam zdanie — powiedziała Lyndsay, spuszczać wzrok na kręcone włosy córeczki, na kombinezon w zielone kropki okrywający korpulentne, mocne małe ciało. — Zmieniłam zdanie, nie wracam do Stretton. — Zerknęła na Dilys. — Zostaję tutaj.

— No, no — powiedział Harry.

— Zamierzam spróbować gospodarzyć. Tak jak Joe. Dilys i Harry wymienili spojrzenia.

— Ale ty nic nie umiesz. — Głos Dilys brzmiał niezwykle jak na nią łagodnie. — Nigdy cię to nie interesowało. Nawet nie wiesz, od czego zacząć.

Lyndsay siedziała milcząco, ze wzrokiem utkwionym w plecki Rose.

— W dzisiejszych czasach to robota dla frajerów — zaczął Harry. Poczł leciutki skurcz nadziei, gdy zaczęła mówić, zupełnie niedorzeczny, z czego natychmiast zdał sobie sprawę. Lyndsay rolniczką! Miejska dziewczyna biorąca się za gospodarstwo takie jak Dean Place; dziewczyna wychowana w miejskich ułatwionych warunkach, która nigdy nie zrobiła nic na własny rachunek! Nie mógł się powstrzymać, by o niej ciepło nie pomyśleć za sam ten pomysł, ale przecież nie powinien jej w tym utwierdzać. — Robota zupełnie inna niż kiedyś. Fura papierkowej grzebaniny i użeranie się z

kredytami. Nie produkujesz żywności, żeby ją jeść, jak kiedyś. Teraz gospodarowanie znaczy coś innego. Lyndsay spojrzała na Hughiego.

— Wezmę zarządcę. Na pierwsze lata, zanim sama się nauczę.

— Będziesz musiała mu płacić.

— Wiem.

— Z czego zamierzasz mu płacić?

— Wezmę lokatorów, skoro mam tu mieszkać — odparła Lyndsay, biorąc głęboki oddech. — Albo letników. Rodziny na ekologiczne wakacje.

Harry usłyszał, jak Dilys wciąga głęboko powietrze.

— Mieszkać tutaj... ?

— No tak. Przecież wy przeprowadzacie się do Stretton, prawda? Kupujecie domek?

— Zamieszkaś tutaj? — Harry zamknął oczy.

— Jestem teraz głównym udziałowcem — powiedziała Lyndsay — a wy się przecież wyprowadzacie.

— Chcemy wypowiedzieć dzierżawę — odezwała się Dilys niewyraźnym głosem, zupełnie jakby zapomniała, jak się nim posługiwać.

— Ale bez mojej zgody nie możecie, prawda? A ja nie chcę wypowiadać dzierżawy. Już się zdecydowałam. Właśnie to wam przyjechałam powiedzieć.

— Spojrzała na Dilys. — Myślałam, że będziecie zadowoleni. Dilys nie była w stanie się odezwać. Kiwnęła tylko głową.

— Jesteśmy wstrząśnięci — powiedział Harry.

— Człowiek się uczy całe życie — stwierdziła pewnym głosem Lyndsay.

— Życie niesie zmiany i stale trzeba się uczyć nowego. Bo się chce albo musi. Jeśli chodzi o mnie, to trochę chcę, trochę muszę. Być może mi się nie uda. Ale zamierzam spróbować.

— Ale dlaczego? — zapytała Dilys. — Dla kogo?

— Tego nie musicie wiedzieć. — Lyndsay spojrzała na Hughiego. — Wystarczy, że my wiemy.

— A co z naszymi udziałami?

— Nie możecie ich po prostu zatrzymać? Albo komuś sprzedać?

— Powiedz jej — mówiła Dilys z naciskiem, przechylona nad stołem ku Harry'emu

— niech tego nie robi, bo i tak nic z tego nie wyjdzie.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem popatrzył na siedzącego nieruchomo Hughiego i na Rose, zaglądnącą do dziurek w cieście, które przed chwilą sama wywierciła palcem.

— Przepraszam cię.

— Za co mnie przepraszasz?

— Nie mogę... Nie mogę jej czegoś takiego powiedzieć.

— Dlaczego nie?

Zamknął znowu oczy, szukając odpowiednich słów.

— Bo... nie mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że źle robi.

Z ogrodu przy domu Judy widziała rudą głowę Zoe jeżdżącej w tę i z powrotem na traktorze po podwórzu, na które wypędzano krowy. Judy nigdy w życiu nie prowadziła traktora, nigdy jej nie kusilo, żeby na niego wsiąść... w każdym razie nigdy, gdy tu dorastała. Zastanowiła się, czy Zoe nie robi tego celowo, żeby się popisać. Jeżeli tak, to niezależnie od uczuć, jakie wobec Zoe żywiła, Judy musiała przyznać, że jak na razie byłaby to pierwsza, dość niewinna demonstracja. Od momentu gdy Judy się tu pojawiła, Zoe zachowywała się z niesłychaną dyskrecją i spokojnie po prostu robiła swoje. Pierwszego wieczoru, gdy Judy miotała się na podeście, przepelniona urazą, Zoe zwyczajnie wyszła kompletnie ubrana z pokoju Robina, wyminęła ją bez słowa i zamknęła za sobą drzwi do swojego pokoju, co było bardziej frustrujące niż jakiegokolwiek działanie. Przecież Judy stała tam i stała przy sączącym się przez drzwi sypialni Robina słabym świetle, spragniona sceny i jednocześnie świadoma, że nic takiego nie nastąpi. Zoe ją przechytrzyła. Wycofała się z łóżka Robina, ledwie Judy się pojawiła, wytrąciła jej broń z ręki i uniemożliwiła wybuch furii.

Judy pochyliła się nad różami i zagarnęła kolejną garść mocnych, giętkich łodyg powoju. Poddały się z podejrzaną łatwością, jakby w pełni świadome, że Judy wyciągnęła tylko część splątanych jak pajęczyna białych korzeni; reszta została bezpieczna pod ziemią, poza jej zasięgiem. W nastroju, w jakim się znajdowała, Judy natychmiast skojarzyła to z Zoe — samowolną, zaborczą, nietykalną. Nie sposób było wpłynąć na Zoe, dotknąć jej. W razie konfrontacji wymykała ci się, chroniła we własnym świetle, zmuszała, żebyś to ty udowodniła, że narobiła szkód, o które ją oskarżasz. Zresztą przecież nie szkodziła nikomu oprócz niej, Judy, a i to za jej zgodą, wręcz na jej własne życzenie. „Nienawidzę tego miejsca, nie chcę tam mieszkać”, czyż nie tak mawiała Judy? A Zoe podobało się tutaj i mogła powiedzieć, że nie zawłaszczyła nic, czego by Judy pragnęła. Przynajmniej czego pragnęła do tej pory. Bo teraz sprawy miały się zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Do tego stopnia, że Judy nie wiedziała, co z tym począć.

Przede wszystkim nie wiedziała, co począć z Robinem. Był zaskoczony, kiedy ją zobaczył, ale zachowywał się wobec niej z ostrożną uprzejmością. Z początku uznała, przepelniona gniewem, że ma cholernie dobry powód, żeby

się tak zachowywać, skoro sypia z Zoe. Ale szybko odkryła, że zupełnie o tym nie myśli, podobnie jak Zoe; był ostrożny, ponieważ nigdy, od najwcześniejszych dni dzieciństwa, nie wiedział, jak z nią postępować. Nie pozostawiła mu złudzeń co do tego, jak niezręcznie zawsze się wobec niej zachowywał, i teraz czekał tylko, kiedy się okaże, że znowu zrobił coś złe, uraził jej uczucia. Czekał na jej stereotypową reakcję — okazanie urazy. A ona po raz pierwszy w życiu trochę się go bała. Nie czuła się na siłach stawić mu czoła. Mówiła sobie, że to przez Zoe, ale wiedziała, że to nieprawda. To nie Robin czy Zoe się zmienili. Ona się zmieniła.

Nachyliła się, podniosła z trawy nic nie ważącą stertę wyrwanych powojów i cisnęła na taczkę. Dzień był pochmurny, parny i gorący. Dopchnęła taczkę do kąta, w którym Caro założyła kom-postownik, zostawiła ją tam i poszła do kuchni, bo chciało jej się pić. W domu zastała Robina, który rozdzierał kciukiem kopertę.

— Och...

— Tak? — spytał, podnosząc na nią wzrok.

— Myślałam, że cię nie ma...

— Bo nie było. I za moment znowu nie będzie. Przeszkadzam

— Nie. — Poczwała, że się czerwieni. — Oczywiście, że nie. Nic na to nie powiedział. Podeszła do zlewu i odkręciła kran z zimną wodą.

— Tato... '

— Tak?

— Mogę cię o coś zapytać?

— Oczywiście.

Odwróciła się, trzymając jedną ręką nad zlewem ociekający wodą kubek, a drugą grzebiąc w kieszeni spodni.

— Byłam w pokoju mamy. Nie wiem dlaczego, ale weszłam tam i szperałam w szufladach i jej rzeczach...

Robin czekał z kciukiem zastygłym w półrozdarłej kopercie.

— Znalazłam to. — Wyciągnęła niewielkie okładeczki z cienkiego podniszczonego papieru. — Wiesz, co to jest?

— Bilet lotniczy — odparł Robin.

— No tak, ale co to za bilet?

— Powrotny: Anglia—Stany. Twoja matka dostała go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym.

— Przecież go nie wykorzystwała...

— Nie.

— Wiedziałaś, że go ma?

— Tak — przyznał po chwili wahania i odłożył na stół kopertę.
— Przeszukałeś jej szuflady?
— Nie, sama mi go pokazała. — Po sekundzie dodał cicho:
— Pokazywała. Całkiem często.
— Często?
— Judy... Nie chcę się kłócić, ale prawda jest taka, że był wyciągany wiele razy w roku.
— Przecież był ważny tylko sześć miesięcy...
— Wiem.
— Tato, czy to znaczy, że pokazywała ci go za każdym razem, żeby grozić odejściem?
Spojrzał na nią przelotnie, nieszczęśliwym wzrokiem, ale nie odpowiedział.
— Ale nigdy nie spełniła groźby...?
— Nie.
— Po prostu lubiła samą tę myśl.
— Może. Teraz nie ma to już znaczenia.
— Ależ ma! — wykrzyknęła Judy niemal z płaczem. - Dla mnie ma!
— Dlaczego? — zapytał obronnym tonem.
— Nie znałam jej! Wiedziałam tylko tyle, ile mi pozwoliła o sobie wiedzieć!
— Nie potrafiła ani zapuścić korzeni — pochylił głowę — ani odejść. Może ten bilet dawał jej złudzenie, że kiedyś wyjedzie...
— Och, tato...
— Nic się takiego nie działo.
— Przecież kpiła sobie z ciebie!
— Nie kpiła.
— Ale doprowadzało cię to do wściekłości?
— Przyzwyczaiałem się. — Odwrócił się tyłem i zaczął grzebać w papierach rozrzuconych bezładnie po stole.
Judy cisnęła biletem w kierunku kosza na śmieci i podeszła do Robina. Niepewnym ruchem dotknęła jego rękawa.
— Tato... — Nagle zdała sobie sprawę, że jej głos nie brzmi głośniejsz od szeptu. — Tato, przepraszam. Przepraszam...
— Zadowolona? — Gareth wpatrywał się w Debbie ciężkim wzrokiem. — Masz to, czego chciałaś?
Kiedy się wreszcie na nią natknął, szła przytrzymując na biodrze kosz wypełniony po brzegi praniem; właśnie miała je rozwiesić na sznurze. Cisnął list, który trzymał w ręce, na mokre podkoszulki i skarpetki.

List przyszedł z okolic Melton Mowbray w Leicestershire. Proponowano Garethowi, po uprzedniej rozmowie kwalifikacyjnej, zatrudnienie w czteroosobowym zespole, który zajmował się stadem złożonym z czterystu krów. Obora podzielona na boksy, automatyczny podajnik paszy, automatyczne skrobaki do gnoju. Wspaniały nowoczesny dom do dyspozycji. Wymagamy referencji z dwóch miejsc pracy.

— Masz w tej chwili do dyspozycji wspaniały nowoczesny dom — powiedział Gareth — a ja jestem sam sobie panem, nie członkiem czteroosobowego zespołu. Ale zdaje się, że tego właśnie chcesz...

Debbie skinęła w milczeniu głową. Gareth rzadko wpadał w złość i zawsze ją to rozstrajało, ale nie miała zamiaru ustąpić, skoro już tyle zyskała.

— Nie będziesz taki samotny, jak będziesz pracował z innymi...

— Nie czuję się samotny. Postawiła z impetem kosz na ziemi.

— Nie tylko ty się liczysz. Gareth chwycił list.

— Przyjrzyj się! Dokładnie te same pieniądze!

— Ale większa farma, lepiej wyposażona technicznie, nowocześniejsza... — powiedziała nieustępliwie.

— Nie zamierzasz popuścić, co? Postanowiłaś sobie i tyle. Przygryzła wargę.

Rzeczywiście postanowiła sobie. Na poły uświadamiane

lęki wykryzalizowały się w decyzję, którą nikt nie był w stanie zachwiać. Nikt i nic.

— Czyli — mówił dalej Gareth — zabieramy dzieciaki z miejsca, do którego się przyzwyczały, ze szkoły...

— Przyzwyczajają się na nowo. My także... Gareth zrobił dwa kroki do przodu i przysunął twarz do jej twarzy.

— Nie kiwnęłaś w tej sprawie palcem, tak? To ja musiałem zobaczyć się z Robinem, powiedzieć mu te wszystkie pierdoły o naszej wspólnej decyzji, a była wyłącznie twoja. To ja muszę się oderwać od roboty, którą znam na wylot i która mi odpowiada, i zaczynać na nowo w chrzanionym Leicestershire. Nalegałaś, żeby się to stało, ale sama nic nie zrobiłaś. Po prostu skorzystasz na tym.

— Nie robię tego bez powodu — wymamrotała Debbie, pochyliwszy głowę.

— A nie, oczywiście że nie. — Gareth wziął głęboki oddech. — Wychodzimy na idiotów. Kompletnych idiotów. Wygląda na to, że wszystko się tutaj uładzi i w ogóle nie miałbym się o co martwić.

— O co ci konkretnie chodzi? — zapytała, rzucając mu ostre spojrzenie.

— Lyndsay wróciła. Velma ją widziała. Judy też w domu...

— I co z tego?

— Może wróciły na dobre. Zostaną tutaj. Debbie krótko parsknęła.

— Nie rozśmieszaj mnie. Co za pożytek z nich obu? Z całej rodziny akurat te dwie są kompletnie bezużyteczne, a poza tym Robin z Judy nigdy nie dojdą do porozumienia. Nigdy. — Pochyliła się i podniosła kosz z praniem. — Z tego ich powrotu zrobi się tylko jeszcze większy chaos. Mówię ci. — Przerwała, a potem dodała z naciskiem: — No i wciąż jest tu Zoe, nie?

Zoe siedziała sztywno na łóżku. Miała na sobie starą flanelową koszulę Robina bez kołnierzyka. Znalazła ją w bielizniarce, szukając podniszczonego ręcznika, który był jej potrzebny, żeby ufarbować włosy. Koszula była sporo za duża, znoszona, a mankiety podwiniętych rękawów tworzyły wielkie miękkie obwarzanki wokół jej łokci. Ustawiona na podłodze nocna lampka rzeźbiła pokój w dziwaczne postrzępione cienie i rzucała na sufit krąg światła przypominający ducha. Zoe trzymała szkicownik na podciągniętych kolanach i rysowała z pamięci miękkim czarnym ołówkiem głowę krowy. Było dobrze po północy. Wieczór upłynął w niezbyt swobodnej atmosferze, jak wszystkie od powrotu Judy. Obserwując ją, Zoe doszła do wniosku, że w Judy aż wrze od palącej potrzeby zapytania o coś czy powiedzenia czegoś, a jednocześnie z jakiegoś powodu powstrzymuje się od tego. Zoe nie miała zamiaru niczego jej ułatwiać. A już na pewno nie zanim Judy uładzi sprawy z Robinem. Trudno powiedzieć, kiedy to nastąpi. Nie sposób ponaglać Robina, przyprzeć go do muru i nalegać, żeby coś przedyskutował. Człowiek musi czekać na odpowiedni moment, rozmyślała Zoe, zupełnie jak na odpowiednią pogodę, fazę księżyca.

Poruszyła się na łóżku i w tym samym momencie rozległ się skrzyp desek podłogi na podeście, cichutki trzask, niemal sekretny. Wstrzymała oddech. Usłyszała czyjeś stąpienie, a potem ktoś zapukał, właściwie zabębnił palcami w jej drzwi.

— Proszę — powiedziała.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i stanął w nich Robin w pidżamie w niebieskie pasczki, która była powodem jej kpinek: pidżamie uczniaka.

— Cześć. Myślałam, że to może Judy. Robin delikatnie zamknął za sobą drzwi.

— Rozmawia z tobą?

— Ledwo, ledwo. Chociaż sprawia wrażenie, jakby zaraz miała wybuchnąć.

Właściwie na to czekam.

Robin usadowił się na brzegu łóżka i przyjrzał się Zoe.

— Wyglądasz jak dziesięciolatka.

— Stale to słyszę. Ale jestem dojrzała niż wy wszyscy.

— Wiem — odparł z uśmiechem.

Podniosła ołówek i szkicownik, pochyliła się i położyła je przy lampce na podłodze. Potem odwróciła się, uklękła i objęła go rękami za szyję.

— Robin...

— Tak. — Objął ją również.

— Robin, będę musiała odejść.

— Wiem — powiedział po sekundzie ciszy.

— Zawsze wiedziałam, że to nastąpi. Od chwili gdy tu przyjechałam, wiedziałam, że będę musiała odejść. Ty zresztą też.

Przytulił ją mocno.

— Jest dobrze teraz, ale nie na zawsze.

— Wiem, ale wolałbym, żeby teraz się jeszcze nie kończyło.

— Skończyło się. Wszystko się zmieniło. Zmieniło się z przyjazdem Judy.

— Rzuciła pracę — powiedział Robin z twarzą wtuloną w ramię Zoe.

— Myślałam, że może coś takiego zrobić. To dobrze.

— I pocałowała mnie.

— Tak?

— Powiedziała, że przeprasza. Chociaż nie wiem dokładnie za co.

— Za wszystko — stwierdziła Zoe.

— Przez całe życie nie powiedziała mi nic takiego.

— Bo może nigdy przedtem tak nie czuła.

— Zoe. — Robin uniósł twarz i pocałował ją w szyję. — Byłaś jak wakacje.

— Kiedy je miałaś ostatnio?

— Nigdy nie miałem.

— Ale zrobisz sobie następne?

— Może. Ale nie tak zaraz. Na razie nie potrzebuję wakacji.

— To dobrze.

Wsunął dłonie pod pachy Zoe i przytrzymał ją w pewnej odległości od siebie. — Dokąd pojedziesz?

— Do Londynu. Wrócę do Londynu.

— Co będziesz robiła?

— To co przedtem. Ale nie tylko. Ruszę w podróż. Poszukam rzeczy, o których przedtem myślałam, przyjrę się im, porobię zdjęcia.

— Dać się nieść życiu...

— Nie, nie tak. To już znam. Wiem, że nigdzie na razie nie osiądę, ale i nie umiem dać się po prostu nieść fali. Znajdę ludzi, którym będę potrzebna.

— Szczęściarze.

— A ty zamierzasz walczyć dalej? — Pociągnęła go leciutko za płatki uszu.

— Tak. — Skinął głową. — Nie bardzo wiem jak, ale zamierzam. Ciągłe trzymając go za uszy, oparła się o jego pierś i pocałowała go.

— Podobało mi się. Naprawdę mi się podobało. Życie tutaj z tobą.

Judy usłyszała, jak zamykają się drzwi sypialni Robina. Potem zapadła cisza i nagle ogarnęła cały dom. Dopóki był w pokoju Zoe, Judy słyszała szmer rozmowy; cichej, intymnej, spokojnej rozmowy... Ale właściwie nie była pewna. Może w ogóle nie rozmawiali, może... No, Judy, przestań, lepiej przestań, powiedziała sobie. Nie twój interes. Dokładnie to, ku swemu zdumieniu, usłyszała tamtego dnia od Dilys.

— Twój ojciec ma swoje życie — powiedziała Dilys — a ty nie jesteś już dzieckiem. Postawiłaś sprawę jasno, i to od małego: nie chcesz mieć z nim do czynienia. Nawet jeśli teraz zmieniałaś zdanie i nie podoba ci się to, co się dzieje, nie on ma problem, tylko ty.

Judy osłupiała. Pojechała do Dean Place powiedzieć im, że rzuciła pracę w Londynie, wraca do domu, i spodziewała się ciepłego przyjęcia marnotrawnej córki, tymczasem oni byli zmartwieni, pełni obaw i oświadczyli jej, że nie było po co wracać.

— Wyprowadzamy się — poinformowała ją Dilys. — Do Stretton. Lyndsay tu będzie mieszkać. Ma zamiar uprawiać rolę. Nie wiem, co na to powie twój ojciec...

— Na pewno niewiele. Jest taki zajęty... — powiedziała Judy złośliwie.

— Masz na myśli Zoe?

— Właśnie. i

— Nie widzę w tym nic złego.

— Zmieniła go...

— Włała w jego serce trochę otuchy, o to ci chodzi? — Dilys roześmiała się krótko, chrapliwie, jakby chciała zbagatelizować to, co powie: — Otucha. Wszystkim nam tutaj przydałoby się trochę otuchy.

Judy przewróciła się na drugi bok. Zaciągnęła zasłony niedbale i przez szparę między nimi widziała teraz skrawek letniego nieba, mroczny, ale nie całkiem ciemny. Wisiało nad podwórzem, krowami — część spała wprawdzie w oborze, ale młodsze zostały na pobliskim pastwisku — i domem Garetha... wciąż jeszcze domem Garetha. Być może leżał bezsennie jak ona, rozmyślając o przyszłości, niepewny, czy dobrze robi, przestraszony mającą nastąpić zmianą.

— Nie ma wyboru — wyjaśnił jej Robin. — To nie on tego chce, ale Debbie. Wprawdzie nic takiego mi nie powiedział, ale sam wiem. Na pewno nie chciałby nic zmieniać.

A jednak coś zmieniał. Jak babcia i dziadek, jak Lyndsay, zdumiewająco niezależna, z czego nikt jej dotąd nie znał, daleka od czekania, aż ktoś inny poweźmie za nią decyzję, daleka... naprawdę daleka od uwarunkowań przeszłości, więzów, które przynoszą tyleż dobrego co złego. Jak ja, myślała Judy, jak ja... A w każdym razie jak ja się muszę postarać...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

— Wejdz do środka — powiedziała Lyndsay.

Drzwi popchnięte jej ręką otworzyły się i Hughie zobaczył duży pokój, a w nim okna, łóżko i szafę. Na ścianach wisiały jakieś fotografie, całe mnóstwo, przy oknie brzęczała pszczoła. A przecież Hughie nie lubił pszczoł.

Lyndsay weszła za nim do pokoju i zaczęła po nim spacerować wolnym krokiem. Co chwila przystawała przy ścianie i przyglądała się którejś fotografii. Są pełne rzędów ludzi, zauważył Hughie, jeden rząd za drugim, najmniejsi na początku, jak na gwiazdkowym zdjęciu z przedszkola. Objął Pana Fokę i czekał.

— Chodź, spójrz tutaj — powiedziała Lyndsay. Podszedł powolutku.

— Odłóż Pana Fokę.

Hughie mocniej przycisnął pluszową fokę do siebie.

— Nie, musisz go odłożyć. Chcę ci pokazać coś, co mogą oglądać tylko chłopcy. Wyłącznie chłopcy.

Hughie wciąż się wahał.

— Pan Foka jest dobry w porze spania — przekonywała Lyndsay — nie pasuje do dnia. Do dnia należą całkiem inne rzeczy.

Hughie odwrócił się i pomaszerował z powrotem do drzwi. Lyndsay nie odezwała się, dopóki do nich nie dotarł.

— Tu jest fotografia taty. Chyba był trochę większy niż ty teraz, ale niedużo. Ma kij do krykieta.

Przystanął, ale się nie odwrócił.

— To był pokój tatusia. Mieszkał tu cały czas, kiedy był chłopcem. Najpierw całkiem małym, a potem dużym. Jest na wszystkich tych zdjęciach.

Odwrócił się lekko i stał zwrócony do niej profilem.

— Teraz może to być twój pokój — mówiła dalej. — Tylko twój. Możesz zatrzymać wszystkie zdjęcia tatusia i powiesić swoje, jeśli chcesz. Możesz spać na jego łóżku. Hughie spojrzał na łóżko. Wydało mu się strasznie wysokie, w dodatku miało czarne nogi.

— Albo przyniesiemy twoje własne łóżko z domu, a to postawimy gdzie indziej.

— Zabierz stąd pszczołę — odezwał się wreszcie.

— Proszę.

— Proszę.

Otworzyła okno i szybkim machnięciem ręki wygoniła owada na zewnątrz.

— Już sobie poszła. Była po prostu bardzo śpiąca. — Spojrzała na synka. Kołysał się lekko, jak zawsze gdy się nad czymś namyślał. — Podoba ci się ten pokój? — zapytała, a gdy nie odpowiadał, dodała: — Będę spała obok. W dawnym pokoju babci. Zamierzam przenieść do niego moje łóżko. Rose dostanie sypialnię koło łazienki.

Hughie podszedł do ściany i zadarł głowę. Wisiały tu cztery fotografie z mężczyznami ubranymi w stroje do gry w rugby. Wszyscy wyglądali tak samo. Hughie nie mógłby wskazać taty, ale przecież był wśród nich, rugbista jak inni. Fotografie wisiały obok okna. Dużego okna z dużą, gładką i czystą taflą szyby, niczym nie przeciętą, nie tak jak jego małe okienko. Odwrócił się. Lyndsay stała nieruchomo, obserwując go. Podszedł szybko do łóżka i wdrapał się na stojące przy nim twarde drewniane krzesło. Ukląkł na nim, zawahał się, ale tylko na moment, a potem wyciągnął rękę i usadowił Pana Fokę na poduszce, na łóżku. Zlazł niezdarnie z krzesła i pędem wybiegł z pokoju.

Zoe się pakowała. Jej nieliczne ubrania leżały na podłodze w ciemnych stosikach, a ona klęczała obok, wyjmując z plecaka zapomniane na dnie rzeczy: skarpetki, nie zużyte rolki filmów, zdezaktualizowane rozkłady jazdy autobusów.

— Och! — powiedziała Judy, stając w drzwiach z dwoma kubkami kawy. Zoe usiadła w kucki.

— Przyszłaś mi powiedzieć, żebym sobie wyjechała? — zapytała bez urazy w głosie.

— Tak — potwierdziła Judy, przełykając ślinę.

— No to właśnie wyjeżdżam.

— Nie miałam zamiaru ci kazać, chciałam cię prosić, bo uważam...

— Co uważasz?

— Nie możemy mieszkać wszyscy razem. Teraz, kiedy wróciłam.

— Nie — przyznała Zoe. — Zdawałam sobie z tego sprawę, zanim ty w ogóle o tym pomyślałaś.

— Nie musisz być zawsze taka w porządku — powiedziała Judy z cieniem rozdrażnienia w głosie.

— Nie jestem. Ani też całkiem nieugięta. — Spojrzała na Judy. — Dalej będziesz chciał swojego ojca po moim wyjeździe?

— Zamknij się!

— No więc będziesz?

Judy postawiła kubki na małej komódce przy łóżku, rozlewając na nią trochę kawy. Powstrzymała się od wybuchu i wyznała ostrożnie:

— Wielu rzeczy nie dostrzegałam.

— I tak byłaś cholernie szczęśliwa, mając w ogóle jakiegoś ojca. — Zoe wyciągnęła rękę, podniosła kupkę podkoszulków i włożyła je do plecaka. — Prawdę mówiąc — dodała, a w jej głosie nie było charakterystycznego dla niej opanowania — jesteś w ogóle cholerną szczęściarą. Cholernie szczęśliwą zepsutą dziwką.

Judy powolutku usiadła na brzegu łóżka.

— Niczego ci nie zabrałam. — Głos Zoe łamał się. — Powiedziałam, że nic ci nie odbiorę, i tak jest. Ale to nie znaczy, że niczego nie pragnę. Tego, czego nigdy nie miałam. Można sobie wmawiać, że się nie potrzebuje tego kramu... całego tego życia rodzinnego. Można sobie wmawiać... — Przerwała, odwróciła się szybko i podniosła dłoń do oczu.

— Zoe...

— Teraz ty się zamknij. Nie pogarszaj sprawy gadaniem, że wszystko będzie dobrze.

— Wcale nie zamierzam. Ale mi przykro.

— Oczywiście, oczywiście. Nigdy byś nie pomyślała, że coś podobnego się zdarzy. Ani ja. Ani twój ojciec. — Zoe zachwiała się, wyciągając chusteczkę higieniczną z kieszeni džinsów i energicznie wytarła nos. — No ale się zdarzyło i kolej na następny ruch.

— Masz jakieś pieniądze? — Judy pochyliła się ku niej.

— Nie, ale to nieważne. Nie dbam o pieniądze. Wytrzasnę skądś...

— Możesz zatrzymać mieszkanie, jeśli chcesz — zaproponowała Judy nieśmiało.

— Powiedziałam, że wyprowadzam się dopiero za miesiąc i zapłaciłam z góry czynsz. Więc jeśli chcesz, jest twoje na miesiąc. Twoje... twoje czaple wciąż tam stoją. Jest i kołdra.

— Dzięki. — Zoe podniosła szary podkoszulek i przycisnęła go do oczu.

— Mogę ci pożyczyć trochę pieniędzy... Zoe potrząsnęła głową.

— Robin już to zrobił.

— Kochasz go? — zapytała Judy zamykając oczy.

— Myślę, że tak. Nie wiem. Nie mam na to miary.

— No tak.

— Odpowiadaliśmy sobie.

— Uhm.

— Ciężko mi odchodzić. — Zoe znowu spojrzała na Judy, twarz miała ściągniętą.

— Ale odchodzę.

W jakiś czas potem Judy zaoferowała się odwiedzić ją do Stretton, gdzie miała wsiąść do autobusu jadącego do Londynu, ale Zoe podziękowała,

wszystko w porządku, Gareth ją zabierze. Musiał przywieźć jakieś rzeczy ze Stretton i Robin powiedział, żeby wziął land-rovera, dodał też, że nic się nie stanie, jeśli Gareth nie zdąży wrócić na popołudniowe dojenie, sam się z tym upora. Popatrzył wprawdzie na Judy, jakby zastanawiając się, czy poprosić ją o pomoc, ale najwyraźniej zrezygnował. Poszła więc do domu i zostawiła ich samych, żeby mogli się spokojnie pożegnać.

Kiedy usłyszała, że land-rover wyjeżdża z podwórza, udała się na górę do sypialni Caro i patrzyła, jak samochód jedzie połą drogą do szosy, a potem skręca w lewo do wsi, skąd droga wiodła do Stretton. Nie czuła ulgi, że Zoe odjeżdża, tylko tępy ból. Miała świadomość, jak wiele jej zawdzięcza — chyba nawet więcej niż sądziła — i zdawała sobie sprawę, że jest za późno, aby naprawić to, co się stało, i odrobić to, czego narobiła.

Odwróciła się od okna i spojrzała na łóżko Caro przykryte czerwono-białą patchworkową kołdrą. Szczególna rzecz, ale pomimo wszystkich obsesji nękających ją przez minione lata, patrząc na łóżko, w którym Caro spała, a potem leżała chora, Judy widziała tylko zwykły mebel, nic poza tym. Może bym mogła nawet na nim spać, pomyślała. Może się tu wprowadzę, poprzestawiam meble... Jeśli ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu.

Na dole zaczął dzwonić telefon. Robin musiał wyłączyć aparat przy swoim łóżku. Judy czekała, licząc dzwonki, aż nabrała pewności, że nie włączył również automatycznej sekretarki. Rzuciła się do drzwi i zbiegła pędem ze schodów. Wpadła do kuchni i złapała słuchawkę.

— Halo? Halo, tu Tideswell.

— Judy? — usłyszała głos Velmy.

— Velma...

— Więc wróciłaś do domu?

— Tak.

— Na dobre?

— Jestem dopiero trzy dni. Jeszcze nie zdążyłam porozmawiać z ojcem.

— No pewnie, że nie mogłaś, dopóki ona tu była, ta madmuazela — powiedziała Velma.

— Kto?

— Wiem, że właśnie wyjechała. Nie dalej jak trzy minuty temu widziałam, jak Gareth ją wywoził. Wraca do Londynu, tak?

— Tak sądzę.

— I więcej nie wróci?

— Velma, to cię w ogóle nie powinno obchodzić.

— Prawdę mówiąc — odpowiedziała tamta — nie dzwonię do ciebie, tylko do twojego ojca.

— Pracuje na podwórzu...

— No to przekaż mu wiadomość, dobrze? Powiedz, że będę jutro jak zwykle. Jak przedtem.

— Och...

— Powiedz mu to. — W głosie Velmy brzmiało niebotyczne zadowolenie z siebie samej.

— Przykro mi — powiedziała Judy.

— Niby dlaczego ci przykro?

— Dlatego, że ta praca jest nieaktualna. Dlatego, że nigdy nie jest jak przedtem. — Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy, wyobrażając sobie Zoe, która wygląda przez okno autobusu jadącego do Londynu. — Odeszłaś stąd — powiedziała do Velmy zdecydowanie — więc nie przychodź z powrotem.

— Tato?

Robin odwrócił się. Niezbyt dobrze widział ją w niewyraźnym świetle obory, zwłaszcza że stała w otwartych drzwiach, pod światło.

— Cześć.

— Tato, zrobiłam coś przed chwilą... Zwolniłam Velmę.

— Velmę!

— Zobaczyła, jak Gareth odwozi Zoe, i zadzwoniła powiedzieć, że wraca, a ja stwierdziłam, że to niemożliwe.

— Mądrze z twojej strony — uśmiechnął się.

— Nie masz nic przeciwko temu? Potrząsnął głową.

— Mogę robić to, co ona.

— Czyli coś, czego nie robi nikt — powiedział, znowu się uśmiechając.

— Tato, wszystko w porządku? Schylił się i podniósł leżący na słomie pobijak.

— Będzie dobrze.

— Nie wiem, czy to właściwy moment, żeby cię prosić, ale, — urwała.

— No więc?

— Mogę cię o coś prosić? Mogę? .

— Oczywiście. — Wyciągnął wolną rękę i dotknął jej ramienia. — Wyduś to wreszcie z siebie.

— Nie powinnam cię prosić, nie mam żadnego prawa...

— O co takiego chodzi? — spytał, prowadząc ją na podwórze, do wiaty przy magazynie na paszę, gdzie Gareth zostawiał zwykle rower.

— Czy mogłabym zostać?

— Zostać? — Utkwił w niej wzrok.

— Tak. Mieszkać tutaj z tobą.

Zdjął rękę z jej ramienia i na moment zapatrzył się w niebo, zanim powiedział:

— Judy, kochanie, mam zamiar sprzedać farmę.

— Sprzedać...

— Tak, sprzedać. Mam nadzieję potem dostać ją z powrotem w dzierżawę.

Odprowadzać kontyngent mleka. Nie wiem, czy mi się to uda, ale muszę spróbować.

— Spojrzał na nią przelotnie. — Nie dam rady wziąć kogoś na miejsce Garetha.

Poza tym długi... lepiej o tym nie myśleć. Nowy kanał na gnojowicę to pestka.

Widziałem, że wszystko do tego zmierza, i nie chciałem widzieć. Teraz wracam do punktu wyjścia, praca bez pastucha, na okrągło. Nie ma innej rady. — Znowu zapatrzył się w niebo. — Przynajmniej tyle, że tata będzie mógł powiedzieć: a nie mówiłem?

Judy oparła się plecami o nagrzaną szarą ścianę magazynu na paszę i rozłożyła ręce.

— Nie miałam pojęcia...

— Oczywiście, bo dlaczego miałabyś mieć?

— Sądziłam, że dajesz sobie radę, że jest tu jakaś pewność.

— Nigdy nie ma — stwierdził Robin.

— Będziesz miał się dokąd przenieść, kiedy ją sprzedasz?

— Nie chcę się nigdzie przenosić.

— Bo chcesz kontynuować? Bo nie chcesz zmiany?

— Nie jest to nic wielkiego — powiedział — ale ja to stworzyłem. Poza tym... znam się na tym.

— Mimo to jest ci ciężko. Zawsze było...

— Tak. — Schylił się i wyrwał kępę chwastów ze szczeliny w betonie podwórza. — Chyba jednak nie może być jeszcze ciężej. Fizycznie tak, bo robię się coraz starszy, ale nie pod innymi względami. Nie powinienem... Cóż, nie popełnię więcej pomyłek niż przedtem. — Cisnął chwasty za róg. — Nie chciałbym zmieniać stylu życia.

Podejrzewam, że któregośdnia to nieuchronnie nastąpi, ale będę się przed tym bronił do końca. — Powoli odwrócił głowę i spojrzał na Judy. — Zawsze znajdzie się tutaj dla ciebie miejsce, Judy. Czy gdziekolwiek indziej. Przecież wiesz. Ale nie pieniądze. Rolnicy nie wypłacają sobie pensji, a zresztą nie mógłbym ci płacić.

— Może wcale tego nie chcę... Uśmiechnął się z roztargnieniem, wyraźnie znużony.

— Przemyśl to. Nie śpiesz się. Decyzje płynące z głębi serca... — urwał.

— Tak?

— Lepiej podejmować na trzeźwo.

— Mówiłam poważnie.

Nachylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. Jego własny był bardzo szorstki.

— Muszę iść, Judy. Robota czeka. Wiesz, jak to jest.

Lyndsay rozłożyła mapę na stole w kuchni swojego domu w Dean Place.

Nieregularne w kształcie, powyznaczane przypadkowo pola ciągnęły się całymi hektarami. Na mapie zaznaczono bramy i przełazy. Te ostatnie były częścią ścieżek przeznaczonych dla pieszych, ale Joe nie lubił wycieczkowiczów i udało mu się, chociaż nie zamknął przejść, uczynić je praktycznie nieprzechodnymi. Stoczono w tej sprawie jakieś lokalne bitwy, pojawiły się listy w prasie i odbyła głośna pyskówka między nim a dwiema groźnymi kobietami, zbrojnymi w artykuły kodeksu cywilnego i nożyce do cięcia drutu. Niemniej Joe, zamknięty na wszelką zmianę z zawziętością autochtona, w końcu wygrał batalię. Patrząc na oznaczone podwójną kropkowaną linią ścieżki dla pieszych, Lyndsay pomyślała, że mogłaby je na powrót otworzyć dla wędrowców, może nawet wytyczyć szlak dla chętnych do zwiedzania gospodarstwa. Gdyby Robin się dołączył, jego krowy byłyby niewątpliwą atrakcją. Ostatecznie trudno wymagać wielkiego zainteresowania wyłącznie dla pól obsianych jęczmieniem i rzepakiem.

W kuchni było cicho. Rose spała na górze, a Hughie po raz pierwszy od powrotu poszedł do przedszkola. Bez Pana Foki i czapki do baseballu. Pan Foka leżał w łóżku Hughiego, troskliwie owinięty w pidżamę, i na jego pluszowym obliczu, Lyndsay mogłaby przysiąc, malował się wyraz niekłamanej ulgi. Zastanawiała się, czy nie wsadzić go do pralki — pranie rzeczywiście by mu się przydało — ale w końcu zrezygnowała. Hughie zmieniał się małymi krokami, nie będzie tego niszczyła z powodu idiotycznego przyпіływu dbałości o higienę. Od podwórza podjechał jakiś samochód. Podniosła głowę i wyrzała przez okno. Robin. Nie widziała go dobre parę tygodni, na pewno nie od czasu, gdy wróciła do Dean Place. Wyprostowała się i czekała, śledząc wzrokiem niewyraźny cień, który pojawił się w drzwiach wiodących na ganek, a potem zbliżył do kuchennych drzwi. Otworzył je, nie pukając.

— Cześć — powiedział. Skinęła głową.

— Cieszę się, że cię widzę. I cieszę się, że wróciłaś.

Miał na sobie starą koszulę w kratkę z wystrzępionym kołnierzykiem i sztruksowe spodnie.

— Judy też wróciła.

— Wiem.

— Odwiedziła cię?

— Nie...

— Na pewno to zrobi. — Rozejrzał się wokół. — Gdzie dzieci?

— Jedno śpi, drugie w przedszkolu — odparła.

— Liczysz swoje akry?

— Usiłuję.

Okrążył stół, stanął obok niej i spojrzał na mapę.

— Co zamierzasz zrobić z ziemią, na którą nie dostaniesz pożyczki? — zapytał.

Serce jej uderzyło mocniej.

— Nie wiem.

— Drzewa? Milczała.

— Nie zalecane — odpowiedział za nią. — Zwierzęta? I teraz się nie odezwała.

— Zbyt kosztowna sprawa. No i musisz mieć kogoś do roboty. Pastwiska? Dalej milczała.

— To naprawdę najlepsze wyjście. Powiem ci, do kogo się zwrócić.

— Na początek chcę wziąć zarządcę — powiedziała Lyndsay z przymusem.

— Będzie chciał udziałów...

— Zdaję sobie z tego sprawę. Może nie wiem zbyt wiele, ale nie jestem całkiem głupia.

— Ani ja — stwierdził Robin. Odsunęła się leciutko.

— O co ci chodzi?

— Nie jestem aż taki głupi, żeby nie wiedzieć, dlaczego ledwie się do mnie odzywasz.

Położyła ręce na mapie, podparła się łokciami i zapatrzyła ponuro w stół.

— Zoe — powiedział Robin. — Tak? Odezwała się dopiero po chwili.

— Przez to poczułam się taka samotna...

— Tak czy owak byłaś samotna. Podobnie jak ja. Oboje jesteśmy samotni. I przez jakiś czas na pewno będziemy.

Skinęła ledwie dostrzegalnie głową.

— Myślałam... no więc myślałam wtedy, że staniesz przy mnie...

— Nie — powiedział Robin łagodnie. — Komu by to pomogło? Wyprostowała się i odgarnęła włosy na ramiona.

— Hughie zaczyna chyba przychodzić do siebie. Poszedł dzisiaj do przedszkola bez Pana Foki.

— To dobrze.

— Rodzice właściwie ze mną nie rozmawiają.

— Przejdzie im. Nie jest przyjemnie, gdy ktoś odrzuca twoją pomoc. Spojrzała na niego po raz pierwszy, odkąd wszedł do kuchni.

— Tylko czy naprawdę chcieli pomóc mnie? Miało to być najlepsze dla nich czy dla mnie?

Wzruszył ramionami. Wydało się to Lyndsay tak sympatyczne i rozbijające, że powiedziała gwałtownie:

— Och, Robin, przepraszam, tak bardzo cię...

— Tylko nie zaczynaj! — Śmiejąc się, wyciągnął obronnym ruchem rękę.

— Czego?

— Przepraszania. Najpierw Judy, teraz ty. Nie przestaje mnie przepraszać, a ty na dokładkę. To już naprawdę za dużo jak na mnie jednego...

— Może naprawdę chcemy cię przeprosić? — powiedziała Lyndsay z urazą. — Może naprawdę uważamy, że ci się należy?

— Jakby mi się należało, tobym się tego spodziewał, prawda? Gdybym myślał, że któraś z was ma naprawdę powód. Uważam, że wszyscy mamy jakieś swoje racje.

— Włożył ręce do kieszeni. — Judy chce zostać.

— W domu? W Tideswell? Z tobą?

— Tak.

— Boże drogi!

— Akurat w momencie kiedy muszę się zakreślić koło sprzedaży farmy.

— Musisz sprzedać?

— Tak.

— Och, Robin...

— Może właścicielom twoich gruntów. Sam nie wiem. I wziąć od nich farmę w dzierżawę, może na spółkę z tobą.

— Chybaby mi to odpowiadało — powiedziała niepewnie.

— Tak?

— Przeraża mnie rozmowa na ten temat... — urwała. — Pożyczki, te długi Joego... Nigdy nawet o tym nie wspomniał.

— Widocznie nie chciał.

— W banku też nie mieli pojęcia. Zgodzili się odłożyć spłatę, ale przecież nie na świętego nigdy...

Robin odchrząknął.

— Idę na wieczorowe kursy księgowości — powiedziała Lyndsay. — Księgowanie, prowadzenie ksiąg...

— Dzielna dziewczynka.

— Proszę cię, nie mów do mnie w ten sposób.

— Przepraszam. To z przyzwyczajenia.

— Nie ma żadnych przyzwyczajień. — Lyndsay podniosła się z za stołu i podeszła do okna. Spojrzała na jęczmień zasiany przez Joego kilka miesięcy temu, wielkie opadające pole, w które wpatrywała się podczas ich pierwszej wspólnie spędzanej gwiazdki, bo jej świeżo poślubiony mąż uparł się na nawożenie pogłównie.

Wpatrywała się bez końca, czekając, sfrustrowana i bezradna w nowej sukience z czerwonego aksamitu, w której teraz wydała się samej sobie śmieszna, a na stole przybranym bluszczem płonęły świece. — Nie ma żadnych przyzwyczajień. Dopiero dopracujemy się nowych. — Odwróciła się od okna i dodała patrząc mu prosto w twarz: — I to wyłącznie naszych własnych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zostawiła dom w nieskazitelnym stanie, pomyślała o Debbie Dilys. Kiedy Robin i Lyndsay po raz pierwszy wspomnieli o przeprowadzce do domu zajmowanego przez Garetha, była wstrząśnięta, a potem obraziła się. Ona i Harry w domu dla pastucha! Afront tak absurdalny, że właściwie nie powinien jej dotknąć. A na domiar złego Harry natychmiast uznał to za swoją szansę i uczepił się jej kurczowo. Siedziała naprzeciwko niego przy kuchennym stole, gdzie przez ponad czterdzieści lat rozstrzygano sprawy dotyczące rodziny i gospodarstwa, i wyraźnie widziała, jak mu twarz pojaśniała, gdy o tym usłyszał. Nie było wątpliwości. Wyglądał ni mniej, ni więcej, tylko jak Rose, gdy dostała biskwita. Wniebowzięty.

Powiedziała im, że to nie wchodzi w rachubę, nie tylko nie ma co rozważać tego pomysłu, ale nie powinno nawet tu paść nic podobnego. I wtedy zdarzyło się coś, co wytrąciło ją jeszcze bardziej z równowagi: Lyndsay — ze wszystkich ludzi na świecie musiała to być właśnie ona — oświadczyła, że nie ma żadnych pieniędzy, za które można by kupić jakikolwiek dom w Stretton. Na co Harry zrobił minę, jakby chciał się zerwać z miejsca i uściskać ją.

— Jeżeli chodzi o finanse — powiedziała Lyndsay, nie patrząc na nikogo w szczególności — gospodarstwo jest w opłakanym stanie. Nie ma pieniędzy na kupno nowego domu.

— Nonsens — oświadczyła Dilys, utkwivszy w niej wzrok.

— Niestety nie. — Głos Lyndsay był bez wyrazu, jakby recytowała coś niesłychanie nudnego. — To prawda. Joe tonął w długach. Pieniądze, o których nie miałaś pojęcia, ponieważ ich nie księgował, prywatnie zaciągane długi.

— He? — Dilys zacisnęła splecione ręce. Lyndsay wreszcie na nią spojrzała.

— Nie musisz wiedzieć jak dużo. Ale musisz wiedzieć, że nie ma nawet tyle, by kupić dom dla lalek, a co dopiero prawdziwy.

Dilys wstała i poszła na górę. Zostawiła ich i poszła na górę. Usiadła w zapadającym zmierzchu w swojej sypialni i czekała, spoglądając przez okno, aż któreś z nich — Lyndsay, Harry, Robin lub Judy — przyjdzie ją przeprosić. Ale nikt się nie pojawił. Siedziała więc sztywno, z dłońmi złożonymi na podolku, i myślała o tych wszystkich godzinach, które spędziła nad księgami; godzina po godzinie nad drobnymi kolumnami cyfr, skupiona na nużących szczegółach, na marzeniach Joego, by unowocześnić gospodarstwo.

Niemożliwe, wręcz obraźliwa sama sugestia, że mogła nie prowadzić wszystkiego jak należy, że Joe mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, co robi. Nie, to poza dyskusją, jak przeprowadzka do domu dla pastucha. Siedziała tak chyba z godzinę. Znajomy krajobraz za oknem pochłonęła ciemność i Dilys nie mogła już śledzić wzrokiem nurkujących do gniazda oknówek, które z pełnym zaufaniem osiedlały się co roku pod okapem domu. Kiedy wreszcie zeszła na dół, zastała ich wszystkich wciąż rozprawiających. Judy uśmiechnęła się do niej, chcąc chyba wyrazić współczucie wobec, jak sądziła, nieuniknionego. Dilys nie tego oczekiwała. Hałaśliwie, znacząco, postawiła czajnik na gazie, ze stukotem ustawiła filiżanki na stole, położyła z brzękiem łyżeczki.

A teraz jednak tu była, w sypialni Eddiego, i odklejała z szyb okiennych nalepki z dzudokami i karatekami. Pokój był w nienagannym stanie, ale Debbie zostawiła jednak te nalepki i dziwaczne zasłony, które wyglądały, jakby ktoś polał je wybielaczem. Były także dwie różne tapety; Debbie najwyraźniej lubiła tapety, położyła je wszędzie, nawet w łazience — we wzór z plawikoników i muszli, niepraktyczne i ekstrawaganckie. A jednak, mimo tapet i nalepek na oknach, Dilys dom się podobał. Próbowwała go sobie obrzydzić, ale nic jej z tego nie wyszło. Próbowwała usilnie wzbudzić w sobie uczucie, że wprawdzie wyszli z tego obronną ręką, ale nie tak, jak jej o to chodziło — również bezskutecznie.

Chciała rozpamiętywać, że nic jej nie pozostało po stracie Joego, ale choć bliska sercu, ta myśl była właśnie najmniej przekonująca.

Ułożyła nalepki w rządki na parapecie. Może spodobają się Hughiemu. Z drugiej strony może nie powinno się zwracać jego uwagi na coś tak nieprzyjemnego i pełnego przemocy. Chociaż... przecież nie było w nim żadnej gwałtowności. Odwrotnie. Ilekroć zjawiała się w Dean Place, żeby położyć dzieci spać, doznawała uczucia niezwyklego spokoju, czytając wnukowi w dawnej sypialni Joego książeczki na dobranoc. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć ani też nie pamiętała, by kiedykolwiek doznała czegoś podobnego. Triumf, satysfakcja, poczucie zwycięstwa czy choćby osiągnięcia czegoś, tak. Ale nie spokój. Kiedy siedziała na łóżku Hughiego, czytając jego ulubione zabawne króciutkie historyjki o kredkach i tygrysach, które nosiły buty i krawaty i wiodły spokojną zantropomorfizowaną egzystencję w domowym zaciszu, na krótko tylko przerywaną zadziwiającymi wydarzeniami, ogarniał ją niezwykle spokój. Wyciszała się, wyzbywała niepokoju, wracało poczucie równowagi. Nie miała pojęcia, jak to

wytłumaczyć, ale właśnie tą atmosferą oddychali z Hughiem —jakby śnieżnego pola albo nieruchomej tafli wody, nieporuszonych i nietykalnych.

Odkręciła buteleczkę z benzyną lakową, którą zabrała ze sobą na górę, i nasaczyła nią szmatkę, żeby usunąć z szyby ślady po naklejkach. Za dwa tygodnie do dawnego domu Lyndsay i Joego wprowadzi się zarządca, młody człowiek zatrudniony na trzy lata, który dwa lata temu skończył akademię rolniczą. Nieżonaty, ale miał mieszkać z dziewczyną, też po akademii, zdaje się specjalistką od upraw warzywnych.

Dawniej Dilys stanęłaby na głowie, żeby nie wpuścić na swój teren żyjącej bez ślubu pary, ale nie teraz — nie odkąd była tu Zoe, nie odkąd to przedziwne uczucie spokoju tak ją wyciszyło... Właściwie chyba już nic nie było warte stawania na głowie.

Za polem kukurydzy w zasięgu wzroku miała dom Robina. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat jeśli patrzyła na ten dom, to wyłącznie z dezaprobatą, myśląc o tym, że pod jej rządami wyglądałby zupełnie inaczej. Teraz i to minęło. Robin prowadził rozmowy w sprawie sprzedaży ziemi i tego, co na niej stało, także domu, w którym właśnie zamieszkała, i z całego serca życzyła mu powodzenia. Wszystko wskazywało na to, że mu się powiedzie, ale przecież nigdy nie można być do końca niczego pewnym. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Dilys nauczyła się także tego, że tylko głupiec jest pewny przyszłości.

Zebrała buteleczkę z benzyną i ściereczki i spojrzała na zegarek. Za dziesięć dwunasta. Harry powinien zaraz przyjść na lunch, jej całkiem odmieniony Harry, który tak uporczywie sprzeciwiał się trzymaniu inwentarza przez te wszystkie lata, a teraz z gorliwą pieczołowitością chodził koło krów Robina. Prawa ręka Robina, można by rzec. Przemierzał ścieżkę biegnącą przez pole kukurydzy co najmniej kilka razy dziennie i wracał zawsze do domu z wyrazem spokojnej satysfakcji na twarzy, którego Dilys nie widziała u niego od lat. Wykonywał pracę, którą lubił, i mógł się niczym nie przejmować. Robin się wszystkim przejmował. Jak przez całe swoje życie, doszła do wniosku Dilys. Ale choć sprawy potoczyły się dość dziwnie, być może Robin miał powody do satysfakcji, choćby z racji studiów rolniczych, które Judy zaczynała we wrześniu, częściowo finansowanych przez bank, częściowo przez ciocię Lyndsay. Ciekawe, co by ojciec na to powiedział, rozmyślała Dilys, schodząc ostrożnie po schodach, co też by sobie pomyślał, patrząc na te dwie dziewczyny, akurat te dwie dziewczyny gospodarujące na farmie? Judy w kombinezonie roboczym, Lyndsay rozprawiająca o kupnie komputera...

Dilys weszła do swojej nowej, niezbyt dużej kuchni. W padających przez południowe okno promieniach słonecznych lśniły na suszarce pomyte słoiki po dżemie, obok leżały starannie złożone ściereczki. Nigdy nie miała kuchni z oknem wychodzącym na południe, nigdy nie mieszkała w miejscu, gdzie by było tyle słońca. Odkręciła kurek i z rozmarzeniem, powoli, zaczęła myć ręce, błędząc wzrokiem ponad szeleszczącymi kolbami kukurydzy, po dachu domu w Tideswell, oborze, po reszcie zabudowań. Zmiana. Zmiana i troska, pomyślała, zmiany i troski, jak nawracający refren, życie, które miota człowiekiem jak na fali, odbiera, daje na powrót, czego byś się nigdy nie spodziewał; daje coś, czego nie oczekiwałeś, nawet nie wiedziałeś, że tego właśnie potrzebujesz, dopóki nie wpadło ci samo w ręce... Zmiana i strata. I rozwój. Tam, gdzie byś go nigdy nie oczekiwał. Bo dopóki się nie dozna straty, nie jest się przygotowanym na rozwój. Zakręciła kran i starannie wytarła ręce, przecierając ręcznikiem cienki wytarty krążek obrączki z połyskującego różowawo złota. Potem zaczęła otwierać szuflady i szafki, żeby wyjąć deskę do krojenia, bochenek chleba, nóż.